

JANE
FEATHER

Cnota

Prolog

Gęsie pióro, skrzypiąc, sunęło po pergaminie. Żywiczne polano zaskwierczało na kominku. Płomyk kapiącej łożówki rozbłysnął nagle, ożywiony podmuchem wiatru, który wtargnął do wnętrza przez szparę w nieszczelnej okiennicy. '

Siedzący przy stole mężczyzna przerwał na chwilę pisanie. Zanurzył pióro w kałamarzu i obrzucił wzrokiem słabo oświetlone, nędzne wnętrze. Popękaną boazerię pokrywała gruba warstwa kurzu. Podłoga lepiała się od brudu. Otulony peleryną mężczyzna skulił się jeszcze bardziej. Zerknął w stronę kominka; ogień dogasał. Schylił się więc do koszyka, by dorzucić następne polano. Nie uczynił tego jednak i znów się wyprostował. Niepotrzebny luksus. Obejdzie się bez niego przez parę minut. Tak, to już tylko parę minut.

Wrócił do pisania; w ciszy słyhać było tylko skrzypienie gęsiego pióra. Potem sięgnął po piaseczniczkę i osuszył zapisany pergamin. Nie czytając powtórnie dopiero co zakończonego listu, bardzo starannie go złożył, kapnął obficie woskiem ze świecy i zapieczętował swoim sygnetem. Przez chwilę siedział w milczeniu, wpatrując się w wyraźnie odcisnięty w wosku monogram *G. D.* Potem dopisał jeszcze kilka słów na wierzchu, nad pieczęcią.

Wstał i oparł list o zmatowiały srebrny świecznik na gzymsie kominka. W butelce na stole pozostała resztką brandy. Wlał ją do kieliszka i wypił jednym haustem. Poczuł miłe palenie na języku i w gardle. Podły tani alkohol stanowił dla niego pewną pociechę, choć niegdyś pijał tylko najprzedniejsze trunki.

Podszedł do drzwi i otworzył je ostrożnie. W korytarzu było ciemno i cicho. Dotarł bezszelestnie na sam koniec, do dwojga drzwi znajdujących się naprzeciw siebie. Były zamknięte. Delikatnie nacisnął klamkę z prawej strony. Gdy drzwi otworzyły się, stanął w progu, wpatrując się w ledwie widoczny w mroku zarys łóżka i skulonej pod kołdrą postaci. Wargi jego poruszały się w bezgłośnym błogosławieństwie. Potem z równą ostrożnością zajrzał do sypialni naprzeciwko.

Wrócił do oświetlonego łojową świeczką pokoju, zamknął drzwi i podszedł znów do stołu. Otworzył szufladę i wyjął z niej oprawny w srebro pistolet. Sprawdził magazynek. Jeden nabój. Wystarczy w zupełności.

Pojedynczy strzał zmaćił nocną ciszę. Na pozostawionym na gzymsie kominka liście widniały słowa: *Do moich najdroższych dzieci, Sebastiana i Judith. Kiedy to przeczytacie, poznacie wreszcie prawdę.*

i

Co ona wyrabia, u diabła?

Marcus Devlin, wielce czcigodny markiz Carrington, machinalnie odsta-
wił pusty kieliszek na tacę przechodzącego obok lokaja i wziął z niej drugi,
pełen szampana. Następnie odsunął się od ściany i wyprostował, by lepiej
widzieć, co się dzieje na drugim końcu załoczonej sali, w bezpośrednim
sąsiedztwie stołu, przy którym grano w makao. Ta dziewczyna pozwalała
sobie na jakieś szacherki. Czuł to przez skórę!

Stała za krzesłem Charliego, poruszając lekko wachlarzem, który zasła-
niał dolną część jej twarzy. Pochyliła się właśnie, by szepnąć coś Char-
liemu do ucha. Głęboki dekolot pozwalał napawać się widokiem pełnych
piersi i cienistego rowka pomiędzy nimi; wystawiono je bez żenady na
widok publiczny. Charlie podniósł wzrok i odpowiedział dziewczynie bez-
radnym, zachwyconym uśmiechem, tak charakterystycznym dla pierwszej
miłości.

Nic dziwnego, że kuzynek stracił kompletnie głowę dla panny Judith Da-
venport, stwierdził markiz. Trudno byłoby znaleźć w Brukseli mężczyznę,
na którym nie zrobiłaby wrażenia. Ta istota pełna kontrastów, impulsywna,
błyskotliwie inteligentna, potrafiła każdego owinać sobie wokół palca. To
drażniła, to rozczulała jak bezbronne kociątko; miało się ochotę wziąć ją
na rękę, przytulić, chronić przed burzami życia...

Romantyczne brednie! Markiz skarcił się surowo za podobne myśli,
godne Charliego lub innego z młodych wojaków, dumnie prezentujących
barwy swego pułku w brukselskich salonach - zwłaszcza teraz, gdy cały
świat czekał na pierwszy ruch Napoleona. Od kilku tygodni Carrington

obserwował, jak Judith Davenport rozsnuwa swe czarodziejskie sieci. Był przekonany, że nie jest to zwykła flirtująca, lecz przebiegła szelma, prowadząca przemyślaną grę. Do tej pory jednak nie odgadł, na czym owa gra polega,

Spojrzenie markiza spoczęło na młodym człowieku naprzeciw Charliego. Sebastian Davenport trzymał bank. Na swój sposób młodzieniec był równie urodziwy jak jego siostra. Siedział w swobodnej pozie i wydawał się uosobieniem bez troski. Naturalność czy szczyty aktorskiego kunsztu? Spoglądał właśnie przez stół na Charliego, śmiał się i od niechcienia przekładał trzymane w ręku karty. Wszystkim grającym udzielił się jego pogodny nastrój. Dobry humor nigdy nie opuszczał Davenportów. Może właśnie dlatego byli tacy popularni?

I nagle markiz przejrzał ich grę.

Judith poruszała wachlarzem. Leniwe, monotonne ruchy pełne były ukrytej treści. Niekiedy panna Davenport wachlowała się szybciej, to znów zastęgała w bezruchu. Raz czy drugi zamknęła wachlarz, by zaraz rozłożyć go znowu. Rozległ się czyjś śmiech. Sebastian Davenport od niechcienia przesunął grabkami na środek stołu szereg rewersów i zwitki banknotów.

Markiz ruszył przez cały pokój w tamtym kierunku. Kiedy dotarł do grających w makao, Charlie spojrzał na niego z niewesołym uśmiechem.

- Jakoś mi dziś karta nie idzie, Marcusie.
- W ogóle rzadko jej się to zdarza - odparł Carrington i zażył tabaki.
- Uważaj, żebyś nie zabrnął w długi!

Mimo uprzejmego tonu Charlie usłyszał w głosie kuzyna ostrzeżenie. Lekki rumieniec zabarwił mu policzki. Spuścił znów wzrok na karty. Marcus - jego prawny opiekun - nie okazywał zrozumienia, gdy karciane długi Charliego przekraczały wysokość jego kwartalnej pensji.

- Nie chce się pan przyłączyć do gry, milordzie? - rozległ się za plecami markiza dźwięczny głos Judith Davenport.

Uśmiechała się, a jej złotobrazowe, świetliste oczy otoczone były firanką niewiarygodnie gęstych i długich rzęs. Jednakże dziesięć lat konsekwentnego wymykania się z pułapek zastawianych przez polujące na bogatego męża panienki uodporniło markiza na przymilne spojrzenia pięknych oczu.

- Nie, panno Davenport. Podejrzewam, że i mnie szczęście by dziś nie dopisało. Pozwoli pani, bym jej towarzyszył przy kolacji? Musiał już panią straszliwie znudzić widok mego kuzyna przegrywającego raz za razem.

Skłonił się lekko i nie czekając na odpowiedź, ujął ją pod rękę.

Judith zeszywniała, gdy mocne palce zacisnęły się na jej nagim ramieniu. Twarde spojrzenie markiza pasowało jak ulał do tego stanowczego uścisku. Przebiegł ją dreszcz niepokoju.

- Nic podobnego, milordzie. Bardzo lubię obserwować grę.

Spróbowała dyskretnie uwolnić ramię. Palce markiza zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Mimo to nalegam, panno Davenport. Kieliszek grzanego wina dobrze pani zrobi.

Miał bardzo ciemne, błyszczące oczy, równie nieustępliwe jak jego słowa i ton głosu. Ich rozmowa zaczęła już zwracać uwagę; odmowa Judith budziła zdziwienie. Nie uda jej się wywinąć gładko i dyskretnie. Zaśmiała się więc lekko.

- Przekonał mnie pan, markizie. Ale wolę szampana od zwykłego wina.

- To życzenie łatwo będzie spełnić.

Sklonił ją, by wsparła się na jego ramieniu, i nakrył dłonią rączkę spoczywającą na jego czarnym rękawie. Judith poczuła się jak zakuta w kajdanki.

Przeszli przez cały pokój karciany w przytłaczającym milczeniu. Czyżby markiz domyślił się ich sekretu? Zobaczył coś na własne oczy? A może to ona zdradziła się w jakiś sposób? Albo Sebastian -jakimś powiedzonkiem lub miną? Podobne pytania i domysły przebiegały przez głowę Judith lotem błyskawicy. Marcus Devlin był zbyt doświadczonym i trzeźwo myślącym człowiekiem, by próbowali go przechytrzyć. Prawie go nie znała. Czuła jednak instynktownie, że znalazłaby w nim groźnego przeciwnika.

Pokój, w którym podawano kolację, znajdował się za salą balową, ale towarzysz Judith, zamiast zmierzać w tamtą stronę, skierował się do wielkiego francuskiego okna wychodzącego na wyłożony kamiennymi płytami taras.

Judith zatrzymała się nagle.

- Mieliliśmy podobno iść na kolację?

- Nie, pójdziemy na wieczorny spacer odetchnąć świeżym powietrzem - poinformował ją markiz z uprzejmym uśmiechem.

Pociągnął ją za sobą tak energicznie, że omal nie upadła.

- Nie przepadam za nocnym powietrzem - syknęła przez zacisnięte zęby. - Jest szkodliwe dla zdrowia: może spowodować zimnicę albo bóle reumatyczne.

- Może u starszków - odparł, unosząc gęste czarne brwi. - Ale pani nie dałbym więcej niż dwadzieścia dwa lata. Chyba że potrafi pani czynić cuda za pomocą odpowiedniej charakteryzacji.

Bezbłędnie określił wiek Judith, co jeszcze wzmogło w niej poczucie zagrożenia.

- Nie jestem aż tak doświadczoną aktorką, milordzie - odrzekła zimno.

- Czyżby? - Przytrzymał kotarę, by mogła wyjść na oświetlony pochodniami taras z widokiem na rozległy zielony trawnik. - Mógłbym przysiąc, że zakasowałyby pani wszystkie gwiazdy z Drury Lane. - Tym słowom towarzyszyło przenikliwe spojrzenie.

Judith zebrała wszystkie siły i odpowiedziała na tę uwagę tak, jakby to był żartobliwy komplement.

- Jest pan dla mnie zbyt łaskaw, markizie. Przyznam, że od dawna zazdroszczę talentu pani Siddons.

- Nie docenia pani swoich możliwości, panno Davenport - powiedział ściszym głosem. - Wspaniale gra pani swoją komedię, podobnie zresztą jak pani brat.

Judith wyprostowała się na całą wysokość. Efekt był co prawda niezbyt imponujący w zestawieniu z barczystą postacią i słusznym wzrostem jej towarzysza; łudziła się jednak, że wygląda dzięki temu wyniosłe i godnie.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, milordzie. Czyżby sprowadził mnie pan tutaj, by obrażać niejasnymi aluzjami?

- Ależ skąd! W moich uwagach nie będzie żadnych niejasności - odparł. - Choć zapewne uznaje pani za obraźliwe. Mam nadzieję, że po pani wyjściu memu kuzynowi dopisało szczęście w kartach.

- Cóż to za insynuacje?! - Krew odpłynęła jej z twarzy, by zaraz powrócić gorącą, zdradziecką falą. Judith pospiesznie zaczęła się wachlować, by ukryć wzburzenie.

Markiz wyjął jej wachlarz z dłoni.

- Manewruje nim pani wyjątkowo zręcznie.

- Cóż to ma znaczyć? - Raz jeszcze przybrała wyniosły ton, udając, że nic nie pojmuje, ale czyniła to bez większego przekonania.

- Proszę dać spokój tej komedii, panno Davenport. Na nic się to nie zda. Możecie razem z bratem oskubywać do czysta naiwniaków, nic mi do tego. Ale mego kuzyna proszę zostawić w spokoju.

- Mówi pan zagadkami. Nic z tego nie pojmuję - odpowiedziała.

Carrington niczego nam nie może udowodnić! - mówiła sobie w duchu. Ale wybierali się do Londynu. Gdyby markiz szepnął coś na ich temat... Potrzebowała czasu, by przemyśleć sprawę. Wzruszyła ramionami i odwróciła się od swego towarzysza, jakby chciała wrócić na salę.

- Proszę więc pozwolić, bym je pani wyjaśnił. - Chwycił ją za ramię.
- Przejdziemy się kilka kroków, żeby nie stać w pełnym świetle. Nie chce pani chyba, by wszyscy widzieli i słyszeli to, co zamierzam pani powiedzieć.

- Nie jestem ciekawa żadnych pańskich wyjaśnień, milordzie. A teraz proszę wybaczyć...

Zaśmiał się szyderczo.

- Nie próbuj się ze mną fechtować, panno Davenport! Pierwsza lepsza oszustka to dla mnie żaden przeciwnik. Może i sprytna z pani osobka, ale i mnie sprytu nie brak, i posługuję się nim znacznie dłużej niż pani.

W jednej chwili Judith zrezygnowała z dalszych bezsensownych zaprzeczeń. Wzmogłyby tylko ich wzajemny antagonizm, a co za tym idzie, zwiększyłyby niebezpieczeństwo. Powiedziała spokojnie:

- Niczego nie może pan udowodnić.

- I nie zamierzam - odparował. - Jak już powiedziałem, żerujcie na wszystkich głupcach, jacy się wam nawiną. Ale moją rodzinę zostawcie w spokoju. - Wziął ją pod rękę i sprowadził po schodach na trawnik. Na jego skraju rosły obok siebie dwa dęby; oświetlone blaskiem księżyca, rzucały na murawę długie cienie. Tam właśnie markiz się zatrzymał. - A zatem, panno Davenport, musi mi pani obiecać, że położy kres tej idiotycznej fascynacji Charliego.

Judith wzruszyła ramionami.

- Cóż z tego, że zadurzył się we mnie? To nie moja wina!

- A czyjaż by? Myśli pani, że jej nie obserwowałem? - Oparł się o pień drzewa, skrzyżował ramiona na piersi i wpatrywał się w jasny owal jej twarzy i złociste oczy. - Jest pani wyrafinowaną kokietką. Proszę skierować swoje wymowne spojrzenia na innego głupiego żółtodzioba i na nim demonstrować swe uwodzicielskie talenty.

- Uczucia pańskiego kuzyna to jego osobista sprawa - odparła. - Do prawdy nie pojmuję, co to pana obchodzi, milordzie.

~ Trudno żeby mnie nie obchodziło, kiedy mój podopieczny wpada w szpony pazernej szelmy, pozbawionej wszelkich...

Mocne plaśnięcie dłoni w policzek przerwało mu w pół zdania. Zapadła nagła cisza, tym okropniejsza, że z wnętrza domu docierały do nich ulotne dźwięki muzyki.

Judith odwróciła się raptownie, przyciskając rękę do ust, jakby walczyła ze łzami. Postanowiła za wszelką cenę rozbroić Marcusa Devlina. Jeśli szczerść nie robiła na nim wrażenia, musi spróbować czegoś innego. Nie

mogła dopuścić do tego, by rozpowiadał po londyńskich klubach diabli wiedzą co na temat Davenportów, gdy będą zabiegać o wstęp na tamtejsze salony. W tej chwili Judith nie potrafiła wymyślić nic lepszego od zranionej niewinności. Nawet jeśli nie zdoła tym wzruszyć markiza, może przynajmniej skłoni go do milczenia?

- Cóż pan o mnie wie? - powiedziała zdławionym głosem. - Nie ma pan pojęcia, jak cierpię... Nigdy świadomie nie wyrządziłabym krzywdy nikomu, a co dopiero pańskiemu kuzynowi... - Głos jej się załamał i przeszedł w łkanie.

Wspaniała z niej aktorka! - stwierdził Marcus, choć ani na chwilę nie zwiodła go swym mistrzowskim występem. Poglądził się po piekącym policzku, na którym z pewnością pozostał ślad jej palców. Tamten wybuch był bardziej przekonujący, aczkolwiek gwałtowny wybuch świętego oburzenia nie pasował do niecnej awanturnicy, za jaką uważał Judith. Nie zwracając uwagi na jej mężnie powstrzymywane łkania, stwierdził z całym spokojem:

- Ma pani niezłą siłę w rękę jak na taką drobną osóbkę.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwała. Podniosła głowę i przemówiła śmiało, choć z pełną godności rezerwą:

- Czekam na przeprosiny, markizie.

- To raczej ja mógłbym ich oczekiwać. - Nadal masował obolały policzek, a przenikliwe spojrzenie, jakim obrzucił Judith, nie dodało jej pewności siebie.

Uznała, że najrozsądniej będzie wynurzyć się z cienia i przerwać tę niepokojącą rozmowę, która zdążyła w niewłaściwym kierunku. Toteż wzruszyła lekko ramionami.

- Nie jest pan dżentelmenem, milordzie. - Odwróciła się, by wejść z powrotem do domu.

- O, nie! Tak łatwo się pani nie wywinie - oświadczył markiz. - Jeszcze nie teraz! Nie zakończyliśmy naszej dyskusji, panno Davenport. - Chwytną ją za ramię i przez chwilę stali tak bez ruchu: Judith nadal zwrócona w stronę domu, Carrington w dalszym ciągu oparty o drzewo. - Była to wyjątkowo gwałtowna napaść, moja pani, w odpowiedzi na...

- ... niewybaczalną zniewagę, mój panie! - weszła mu w słowo, mając nadzieję, że markiz nie pozna po głosie, jak rozpaczliwie czuje się przyparta do muru.

- Nawet jeśli ostrą, to w pełni zasłużoną - podkreślił. - Całe pani zachowanie dowodzi niezbitości, że oboje z bratem jesteście... jakby to ująć?

... wytrawnymi graczami stosującymi metody odbiegające od ogólnie przyjętych norm.

- Wracajmy już na salę! - Zabrzmiało to raczej jak żałosna prośba niż niezłomne postanowienie.

- Za chwilę. Jak na taką wytrawną flirtiarę odgrywa pani bardzo przekonująco niewiniątko, płonące świętym oburzeniem. Mimo to należy mi się od pani coś więcej niż bolesny policzek. - Pociągnął ją ku sobie ruchem wędkarza zwijającego żyłkę, ona zaś zbliżyła się równie opornie jak schwyтана na haczyk ryba. - Sprawiedliwość nakazuje, by ukoła pani zadany ból.

Drugą ręką ujął ją pod brodę i zmusił do odchylenia głowy. Jego czarne oczy nie były już takie twarde i Judith dostrzegła w nich iskierki śmiechu... oraz jakiś niepokojący błysk, który przypawił ją o drzenie. Rozpaczliwie poszukiwała w myśli czegoś, co odbierze mu chęć do śmiechu i zaradzi złu.

- Chce pan całuska, żeby się szybko zagoiło, jak dzidzius, który podrapał sobie kolanko? - Uśmiechnęła się pobłaźliwie i spostrzegła z satysfakcją, że zaskoczyła go i zyskała w ten sposób przewagę. Stała na palcach i pospiesznie cmoknęła go w policzek. - Dobrze już, dobrze: zaraz przestanie boleć! - Wywinąwszy się z uścisku markiza, wybiegła z cienia na oświetlony księżycem ogród. - Dobrej nocy, milordzie! -i już jej nie było. Mignęła mu tylko w księżycowym blasku jej smukła postać w jedwabnej sukni o barwie topazu.

Marcus wpatrywał się w mrok, choć dziewczyna już zniknęła. Jak, u diabła, ta podła szelma zdołała go okpić?! Żeby to był chociaż równy przeciwnik... ale taka podfruwajka?! Udało się jej równocześnie zirytować go i rozbawić. Przede wszystkim jednak rzuciła mu wyzwanie. W porządku. Jeśli nie zdoła odstraszyć jej od Charliego, znajdzie inny, skuteczniejszy sposób, by wyrwać chłopaka z jej pazurków.

Judith wróciła do karcianego pokoju tylko po to, żeby się pożegnać. Wymówiła się bólem głowy. Charlie, uosobienie troskliwości, błagał o łaskę odwiezienia jej do domu, ale Sebastian zerwał się już z miejsca.

- Nie fatyguj się, Fenwick. Sam ją odwożę. - Ziewnął. - Prawdę mówiąc, i mnie nie zaszkodzi położyć się wcześniej. To był męczący tydzień. - Uśmiechnął się szeroko do wszystkich siedzących wokół stołu.

- Może i męczący, ale dla ciebie cholernie szczęśliwy, Davenport - powiedział z westchnieniem jeden z graczy, popychając w jego stronę swój skrypt dłużny.

- O, ja zawsze mam diabelne szczęście - stwierdził pogodnie Sebastian, chowając rewera do kieszeni. - To u nas rodzinne. Prawda, Judith?

Uśmiechnęła się z pewnym roztargnieniem.

- Tak powiadają.

Sebastian przyjrzał się jej uważniej, a potem jego spojrzenie pomknęło ku drzwiom. Stał w nich markiz Carrington i zażywał tabaki.

- Trochę pobladłaś, moja kochana - zauważył Sebastian, biorąc siostrę pod ramię.

- Nie najlepiej się czuję - przyznała. - O, jakiś ty miły, Charlie! - Uśmiechnęła się ciepło do chłopaka, który otulał ją, szalem.

- Może powinniśmy zrezygnować z jutrzejszej konnej przejażdżki - powiedział Charlie, nie mogąc ukryć rozczarowania. - Czy mógłbym zamiast tego złożyć wizytę?

- W żadnym wypadku! Moja ciotka nie znosi gości - przerwała mu i na pociechę pogładziła przelotnie po rękę. - Ale do jutra będę zdrowa jak rydz! Spotkamy się w parku, tak jak się umówiliśmy.

Brat i siostra opuścili razem pokój karciany. Stojący w drzwiach Marcus skłonił się im.

- Dobrej nocy, panno Davenport. Serwus, Davenport!

- Dobranoc, milordzie. - Wyminęła go, a potem, wiedziona niezrozumiałym impulsem, dorzuciła szeptem przez ramię: - Jutro rano wybieram się na konną przejażdżkę z pańskim kuzynem!

- Połapałem się już, że rzuca mi pani wyzwanie - odparł równie cicho. - Ale jeszcze pani nie wie, na co mnie stać. Radzę uważać! - Skłonił się znowu, bardzo oficjalnie, i odwrócił się, nim zdążyła mu odpowiedzieć.

Judith przygryzła wargę; ogarnęły ją równocześnie niepokój i podniecenie. Nigdy jeszcze nie czuła nic podobnego. Wiedziała jednak, że ta dziwna płatanina uczuć może być groźna.

- Co się stało, Ju? - spytał Sebastian, skoro tylko znaleźli się na ulicy.

- Powiem ci, jak już będziemy w domu. - Wsiadła do dość obskurnego powozu, który czekał na nich tuż za rogiem, i oparła się o popękane skórzane poduszki. Ściągnęła brwi i przygryzła zębami dolną wargę.

Sebastian dobrze znał tę minę. Siostra miała taki wyraz twarzy, gdy w grę wchodziły zasady - a konkretnie jej prywatny, dość osobliwy kodeks honorowy. Brat wiedział też, że nie wyciągnie z Judith niczego, póki

nie będzie gotowa do zwierzeń. Siedział więc spokojnie i czekał, aż sama mu wyzna, co ją trapi.

Powóz zatrzymał się przed niewielkim domem w dzielnicy, która bezpownotnie utraciła dawną świetność. Brat i siostra wysiedli i Sebastian zapłacił woźnicy, wynajętemu na cały wieczór. Judith przez ten czas zdażyła otworzyć drzwi frontowe. Znaleźli się na korytarzu oświetlonym jedną tylko łójówką, płonąca w kinkiecie obok schodów.

- Wcześniej czy później ktoś się połapie, że nikomu nie podajemy swego adresu - zauważył Sebastian, wchodząc za siostrą na górę. - Bajeczka o drażliwej ciotce też może wzbudzić podejrzenia.

- Nie zabawimy już długo w Brukseli - odparła Judith. - Napoleon niebawem wykona ten swój pierwszy ruch... A potem armia wyniesie się stąd i nie będzie warto tkwić dłużej w pustym mieście. - Otworzyła drzwi u szczytu schodów i weszli do saloniku.

Pokój był mroczny i nędznie urządony. Meble zniszczone, dywan wytarty, mdłe światło łójówek nie poprawiało sytuacji. Judith rzuciła indyjski szal na kanapę ze złamanym oparciem i opadła na fotel. Czoło jej przeciętnała głęboka zmarszczka.

- Ileśmy dziś zarobili?

- Dwa tysiące - odparł. - Mogło być więcej, ale przegrałem następną partię po twoim wyjściu z Carringtonem. Przeliczyłem się o jednego asa. - Pokręcił głową, ubolewając nad własną głupotą. - Zawsze tak bywa: jak przez dłuższy czas kieruję się wyłącznie twoimi znakami, tracę wy-czucie.

- Mhm. - Judith zrzuciła pantofle i zaczęła masować stopę. - Musimy jednak ćwiczyć od czasu do czasu, by utrzymać się w formie. Prawdę mówiąc, trzeba będzie porządnie wszystko dopracować, bo chyba dziś popełniłam błąd, choć nie mam pojęcia, jaki. Ale wystarczyło, by wielce czci-godny markiz Carrington nas rozszyfrował..

Sebastian gwizdnął.

-A niech to wszyscy diabli! I co my teraz zrobimy?

- Bo ja wiem... - Judith, z nadal zmarszczonym czołem, zabrała się energicznie do drugiej nogi. - Powiedział, że nie wyda naszego sekretu, ale zażądał kategorycznie, żebym uleczyła Charliego z jego cielejącej miłości.

- To nic trudnego. Nigdy ci nie sprawiało kłopotu spławienie zbyt natarczywego amanta.

- Rzeczywiście, ale czemu miałabym to robić? Nie wyrządę Charlie-mu najmniejszej krzywdy. Prawdę mówiąc, nieco bardziej wyrafinowane

zaloty podziwiają na niego zbawiennie. A jeśli przegra przy tym kilka tysięcy, to stać go na to. Zresztą, nie licząc tych kilku minut dziś wieczorem, kiedy pracowaliśmy w duecie, Charlie przegrywa tylko dlatego, że ty masz lepszą głowę do kart. Poza tym gra, bo ma na to ochotę, i doprawdy nie rozumiem, czemu Carrington się do tego wtrąca!

Sebastian bacznie obserwował siostrę. Nie ulegało wątpliwości: chodziło o pogwałcenie jej najświętszych zasad.

- Jest opiekunem Charliego - przypomniał Judith. - A z nas podejrzana para, Ju. Nie powinnaś tak sobie brać do serca, jeśli ktoś to widzi i nie okazuje nam szacunku.

- Dajże spokój! - zaproponowała. - Nie jesteśmy gorsi od innych, tylko mniej zakłamanymi. Musimy mieć dach nad głową i coś do jedzenia, więc zarabiamy na to w jedyny sposób, jaki znamy.

Sebastian podszedł do kredensu i nalał koniaku do dwóch kieliszków.

- No, ty mogłabyś być jeszcze guwernantką. - Podał jej trunek i roześmiał się na widok przerażonej miny siostry. - Już widzę, jak wprowadzasz w tajniki malowania akwarelą albo uczysz włoskiego małe dziewczynki w falbaniastych fartuszkach!

Judith się roześmiała.

- Nic podobnego! Nauczyłabym je raczej, jak grać w pikietę i tryktraka, żeby się to opłacało. Jak trzepotać rękami i kokietować dżentelmenów, by skłonić ich do gry. Jak wiecznie przenosić się z miejsca na miejsce. Jak wynająć najtańszą kwaterę z najtańszą usługą. Jak wynieść się cichaczem po nocy, by uniknąć aresztowania. Jak stworzyć z niczego szykowną kreację. Krótko mówiąc, tego wszystkiego, czego mnie życie nauczyło.

W głosie Judith nie było już śmiechu. Sebastian wziął ją za rękę.

- Jeszcze się odegramy, Ju!

-I pomścimy ojca-dodała, podnosząc głowę. Wypiła łyk koniaku. - Za wyrównanie jego krzywd!

Sebastian w milczeniu przyłączył się do toastu, a potem oboje przez chwilę wpatrywali się w pusty kominek. Wspominali przeszłość i w duchu powtarzali swoje ślubowanie. Wreszcie Judith odstawiła kieliszek i wstała.

- Idę do łóżka. - Pocałowała brata w policzek. Ten czuły gest wywołał w niej jakieś skojarzenia. W oczach błysnęła determinacja. - Mam ochotę poigrać z ogniem, Sebastianie!

- Czyli z Carringtonem?

Skinęła głową.

- Aż się prosi, by dać mu nauczkę! Obiecał, że nas nie zdradzi... ale jeśli mimo to szepnie swoim londyńskim znajomym, że lepiej nie siadać z tobą do kart? Spróbuję zaintrygować go, skłonić do flirtu... żeby nie miał czasu patrzeć ci na ręce!

Sebastian spojrział na siostrę z powątpiewaniem.

- Jesteś pewna, że dasz mu radę?

Czy była tego pewna? Przez chwilę czuła znów dotyk palców markiza na swojej skórze, widziała twarde, przenikliwe czarne oczy, stanowcze usta, mocno zarysowaną szczękę. Ale przecież umiała owinąć sobie wokół palca każdego eleganta i światowca!

- Oczywiście - oświadczyła z wielką pewnością siebie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką będę miała frajdę, gdy ulegnie mi równie łatwo jak jego kuzynek. Już ja nauczę tego despotę!

Sebastian spojrział na nią z jeszcze większym powątpiewaniem.

- Chyba nie powinnaś się rozpraszać, Judith. Gracemere'a mamy już niemal w ręku. Nie narażaj naszych planów na szwank dla byle czego!

- O tym nie ma mowy, przysięgam! Pokażę tylko wielce czcigodnemu markizowi, że nie można mnie bezkarnie obrażać.

- Ale jeśli pobudzisz jego ciekawość, będzie chciał się dowiedzieć, kim jesteśmy i skąd przybywamy.

Wzruszyła ramionami.

- No to co? Uruczmy go naszą zwykłą bajeczką: jesteśmy dziećmi niedawno zmarłego dżentelmena, nieco ekscentrycznego Anglika z szacownej, choć mało znanej rodziny, który po tragicznej śmierci żony postanowił spędzić resztę życia na obczyźnie i włókł nas ze sobą po wszystkich krajach Europy!

- Zamiast wyznać szczerze - uzupełnił Sebastian - że jesteśmy dziećmi ziemianina z Yorkshire, którego wyrzekła się własna rodzina, który opuścił Anglię z powodu skandalu i związanego z nim samobójstwa żony, który musiał pod przybranym nazwiskiem zarabiać na chleb przy karcianych stolikach na całym kontynencie.

Słowa toczyły się gładko, niby to od niechcenia, ale Judith dobrze знаła swego brata; czuła jego ból, bo taki sam dręczył jej serce.

- I który wyuczył nas wszystkich swoich sztuczek, tak że w nieprzyzwoicie młodym wieku staliśmy się jego pomocnikami i współnikami - dokończyła.

Sebastian pokręcił głową.

- To zbyt gorzka prawda, by wielki świat zdołał ją przełknąć, moja kochana!

- Właśnie! - Judith skinęła głową i podjęła znów z ożywieniem: - Nie martw się, Sebastianie! Carrington nie odkryje prawdy. Wymyślę jakieś usprawiedliwienie naszego karcianego oszustwa. Może powiem, że zrobiliśmy to dla kawału? Jeśli nigdy więcej nas nie przyłapie, a ja mu troszkę zawrócę w głowie, zobaczysz, że nie wróci więcej do tego tematu.

- Jeszcze nie spotkałem mężczyzny, którego nie zdołałabyś usidlić - przyznał ze śmiechem Sebastian. - Oglądanie mojej siostrzyczki w akcji jest dla mnie źródłem nieustannej radości!

- Poczekaj, aż się zabiorę do Gracemere'a - odparła Judith, posyłając bratu całusa. - To dopiero będzie majstersztyk, możesz mi wierzyć!

Przeszła do sąsiadującej z salonem sypialni. Była równie mroczna i zaniedbana. Służąca właściciela domu nie należała do gorliwych, ale Davenportowie od niepamiętnych czasów wynajmowali podobne mieszkania i nauczyli się przymykać oczy na to, czego lepiej nie dostrzegać.

Judith rozebrała się, położyła do łóżka i wlepiła wzrok w spleśniały baldachim. Gracemere był w Londynie. Muszą dysponować co najmniej dwudziestoma tysiącami funtów, by znaleźć mieszkanie w jakiejś przyzwoitej dzielnicy. Potrzebne im będą także pieniądze na opłacenie służby i kupno (lub choćby wynajem) powozu i koni. Oboje powinni mieć wytworną garderobę i robić wrażenie ludzi bogatych. Kiedy się już urządzają, na codzienne wydatki starczy im tego, co wygrają w karty, ale muszą to robić bardzo dyskretnie. Gry hazardowe były ogólnie przyjętą rozrywką dam i dżentelmenów, nie mogli jednak zdradzić się z tym, że wygrana czy przegrana ma dla nich jakieś znaczenie.

W fazie końcowej, przed zadaniem wrogowi ostatecznego ciosu, zamierzali znów działać w duecie. Była to metoda niezwykle skuteczna i ogromnie ryzykowna. Uciekali się do niej tylko w ostateczności.

George Davenport nie miał o niej pojęcia. Nauczył swoje dzieci, jak wykorzystywać podczas gry wrodzony spryt i zręczność, ale mimo to znajdowały się nieraz w bardzo ciężkiej sytuacji... Na całe dni, niekiedy nawet tygodnie, ojciec znikał w mrocznym świecie swych wewnętrznych przeżyć i dzieciom brakowało wówczas nie tylko pieniędzy, ale także jedzenia, opału czy nawet dachu nad głową. Wtedy właśnie Judith i jej brat nauczyli się polegać wyłącznie na sobie.

Dzisiaj zostali zaskoczeni podczas zwykłego treningu; od czasu do czasu ćwiczyli w ten sposób, żeby nie wyjść z wprawy. Judith popełniła widać jakiś błąd i została zdemaskowana.

Marcus Devlin, markiz Carrington.

Bernard Melville, hrabia Gracemere.

Taktyka, jaką obierze wobec pierwszego z nich, powinna się przydać w kampanii przeciwko drugiemu. Sebastian miał całkowitą rację: nie wolno się rozpraszać. Musi zatem skoncentrować się na tym, co najważniejsze - zawojować markiza, by zapewnić sobie jego milczenie. A wszelka osobista satysfakcja z pokonania przeciwnika powinna być jedynie dodatkiem bez znaczenia. Nic nie może przeszkodzić realizacji wielkich planów, które były siłą napędową ich życia, jedynym celem jej i Sebastiana.

2

MÓJ drogi Bernardzie, jak ja wytrzymam dwa miesiące bez ciebie?

Agnes Barret westchnęła, po czym prostując nogę z uśmiechem zadowolenia, zmierzyła wzrokiem smukłą łydkę i kształtną kostkę. Uszczypnęła się raz i drugi w udo; ciało było sprężyste jak u młodej dziewczyny.

- Twój mąż ma prawo do miodowego miesiąca, moja droga.

Hrabia Gracemere obserwował swą towarzyszkę z nieco pobłażliwym, ale i pożądlivym uśmiechem. Próżność była jedyną słabostką Agnes... a w dodatku naprawdę miała czym się pysznić. W czterdziestym trzecim roku życia jest piękniejsza niż dwadzieścia lat temu, pomyślał. Jej kasztanowate włosy były równie połyskliwe, płowozłote oczy świetliste, skóra delikatna i czysta, a postać gibka i pełna wdzięku. Doprawdy, żadna kobieta nie mogła się z nią równać! Bernard Meville znał mnóstwo kobiet. Pojawiały się i znikwały, tylko Agnes pozostawała. Nie wyobrażał sobie życia bez niej, podobnie jak ona bez niego.

- Thomas? - Agnes niedbałym machnięciem ręki zbyła wzmiankę o dopiero co poślubionym mężu. - Podagra znów daje mu się we znaki, wyobraź sobie! Lewa noga tak mu dokucza, że nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. A to raczej uniemożliwia wszelkie uciechy miodowego miesiąca. - Wzięła z nocnego stolika kieliszek wina i popijała je drobnymi łydkami, zerkając na hrabiego.

- Martwi cię to? - spytał Bernard. - Miałem wrażenie, że niezbyt ci w smak intymne współżycie z podstarzałym mężem.

- Istotnie... ale w końcu trzeba się czymś zająć, żeby wytrzymać dwa miesiące na wsi - odparła Agnes nieco cierpkim tonem. - Ty w Yorkshire

z pewnością znajdziesz sobie do łóżka jakąś dójkę czy kogoś w tym rodzaju.

- Czyżbyś była zazdrosna, Agnes?

Uśmiechnął się i także podniósł do ust kieliszek. Podeszedł z nim do okna i spojrzął na płynącą w dole Tamizę. Wzdłuż brzegu sunęła w ślimaczym tempie ciągnięta przez konia barka. W gorącym czerwcowym powietrzu rozchodził się dźwięk dzwonów. W Londynie było mnóstwo kościołów.

- Też coś! Miałabym być zazdrosna o wiejską dziewczuchę?

- Jesteś niezrównana, kochanie. Nie musisz być o nikogo zazdrosna.

Wziął do ust łyk wina, pochylił się nad Agnes i przycisnął wargi do jej warg. Rozchyliła je i wino ściekło po jego języku do wnętrza jej ust. Ręce Melville'a leniwym, pieśczośliwym ruchem powędrowały ku jej piersiom. Gdy opadła znów na łóżko, osunął się na nią.

Słońce właśnie zaszło i rzeka płynąca w dole pod ich oknem poszarzała i zmatowiała.

- Nie wiem, kiedy będę mogła poprosić Thomasa o tyle pieniędzy, by zaspokoić twoich wierzycieli. - Agnes zmieniła pozycję, łóżko skrzypnęło. - Jakoś niezręcznie domagać się okazałej kwoty zaraz po odejściu od ołtarza.

- I dlatego wybieram się do Yorkshire - odparł Bernard, kładąc rękę na jej biodrze. - Zejdę z oczu moim wierzycielom, a ty, najdroższa, urabiam podagrycznego, ale majątnego, sir Thomasa!

Agnes zachichotała.

- Już sobie przygotowałam wzruszającą historyjkę o ubogiej kuzynce, cierpiącej na reumatyzm i wegetującej na poddaszu.

- Mam nadzieję, że twój mąż nie zechce poznać tej biedulki. - Bernard się roześmiał. -- Wątpię, bym zdołał wcielić się w tę rolę!

- O, w każdym oszustwie jesteś niezrównany. Ja zresztą też - odparła Agnes.

- I dlatego tak do siebie pasujemy - przytaknął Bernard.

- Zawsze tak było. - Na ustach Agnes pojawił się uśmiech. - Ileż to lat mieliśmy za pierwszym razem?

-- Wystarczająco dużo, choć dosyć wcześnie zabraliśmy się do tego.

- Przesunął leniwie dłonią po jej policzku. - Jesteśmy dla siebie stworzeni. - Uniósł się na łokciu, brutalnie przycisnął usta do jej ust i przygniótł ją ciężarem swego ciała. Kiedy oderwał się wreszcie od niej, w płowych oczach Agnes migotały błyski podniecenia. Przesunęła pieśczośliwym gestem po swych posiniaczonych, obrzmiałych wargach.

Bernard zaśmiał się i położył znowu obok niej.

- Jednak lepiej będzie - powiedział z takim spokojem, jakby te graniczące z okrucieństwem pieszczoty w ogóle nie miały miejsca-jeśli na początku sezonu rozejrzę się za jakimś nadzianym dudkiem. Nie chciałbym uzależnić się całkowicie od hojności twojego męża. Bezwiednej, rzecz jasna.

- Istotnie, to by nie było rozsądne. Jaka szkoda, że Thomasa nie ciągnie do kart. -Agnes westchnęła. -Tak się nam kiedyś dobrze grało w duecie!

- No cóż, Thomas Barret to nie George Devereux - przytaknął Gracemere, znów sięgając od niechcenia po wino. - Ciekawe, co też się dzieje z twoim mężulkiem!

- Miejmy nadzieję, że nie żyje-powiedziała Agnes, wyjmując mu z rąk kieliszek -- bo byłabym bigamistką! - Sączyła wino, oczy błyszczały jej wesołością.

-A któżby o tym wiedział prócz nas? - Gracemere się zaśmiał. -Alice Devereux, żona George'a, od dwudziestu lat spoczywa w grobie... a przynajmniej cały świat tak sądzi. Biedactwo, nie przeżyła hańby swego męża!

- Wybuchnął śmiechem.

- Prawdę mówiąc, świat niewiele wiedział o Alice Devereux - wtrąciła Agnes z nutką goryczy. - George poślubił tę chodzącą niewinność, zaszył się z nią w głuszy Yorkshire i pilnował, by wiecznie była w ciąży.

- Ale gdy ta biedna pustelnica zgasła, narodziła się towarzyska Agnes - zauważył Gracemere.

- Tak, to znacznie wygodniejsze wcielenie - przyznała Agnes z pewną satysfakcją. - Miło wspominać swój debiut towarzyski w roli ciepłej wdówki. Elegancki świat odnosi się znacznie pobłaźliwiej do kobiet niezależnych finansowo. - Uśmiechnęła się leniwie. - Za żadne skarby nie zgodziłabym się odgrywać znów pierwszej naiwnej! Brakuje ci czasem Alice, Bernardzie?

Pokręcił głową.

-Nie, Agnes jest o wiele ciekawsza. Alice była młodą dziewczką, Agnes to dojrzała kobieta. Dokładnie w moim guście.

-Wyrafinowanym, niekiedy szokującym... -mruknęła Agnes, dotykając brutalnie potraktowanych ust. -Ale wracając do kwestii finansowych...

- Nadal mam posiadłość George'a w Yorkshire.

-Ale niewiele z niej pożytku.

- To smutne, ale prawdziwe: żeby przynosiła zyski, trzeba ją utrzymać w dobrym stanie - przyznał z westchnieniem. - A ja po prostu nie mam pieniędzy.

- Zwłaszcza na tak przyziemne sprawy jak prowadzenie gospodarstwa - stwierdziła Agnes bez cienia nagany.

- To prawda, można je wydawać znacznie przyjemniej. - Podniósł się z łóżka. - A jeśli już o tym mowa... - Podeszedł do toaletki. Agnes usiadła na łóżku, nie odrywając oczu od kochanka, rozkoszując się widokiem jego nagości, choć znała jego ciało równie dobrze jak własne. - A jeśli już o tym mowa - powtórzył, otwierając szufladkę - mam dla ciebie podarek ślubny, kochanie. - Wrócił do łóżka i rzucił jej na kolana jedwabny woreczek. Roześmiał się, gdy pochwyliła skwapliwie prezent. - Zawsze byłaś zachłanna, moja cudowna Agnes!

- Tak samo jak ty - odgryzła się z uśmiechem i wyjęła z woreczka brylantową obrózkę. - Och, Bernardzie, jakie to piękne!

- Prawda? Zdołasz chyba skłonić męża, by zwrócił mi tę sumkę?

Agnes wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś niezrównany, Bernardzie! Kochanek ofiarowuje mi ślubny prezent... na koszt męża. Ubóstwiam cię!

- Wiedziałem, że docenisz ten finezyjny żarcik - powiedział, klękając na łóżku. - Pozwól, że założę ci tę błyskotkę. Nagość i brylanty to kombinacja, której nigdy nie mogłem się oprzeć.

- Nigdzie nie widzę twojego kuzyna, Charlie. - Judith wzięła pod ramię młodzieńca, z którym przechadzała się po zatłoczonym salonie. Rozejrzała się dokoła, nie po raz pierwszy tego wieczoru. Ciekawe, czemu markiz Carrington nie zaszczycił swą obecnością przyjęcia u Bridgesów?

- Marcus nie przepada za balami i różnymi bankietami - odparł Charlie. - Nic, tylko by czytał książki. - Powiedział to takim tonem, jakim się mówi o nieuleczalnej chorobie. - Zwłaszcza o wszelkich wojnach od początku świata - uściślił. - Wiecznie czyta coś po grecku i po łacinie, a potem rozpisuje się o jakichś tam zamierzchłych bitwach. Nie rozumiem, co w tym ciekawego, kto z kim wygrał w starożytności. A pani to rozumie, Judith?

Uśmiechnęła się.

- Owszem, to może być interesujące. Odkryć, dlaczego losy bitwy tak właśnie się potoczyły i wykorzystać wnioski przy ocenie współczesnych batalii.

- Zupełnie jakbym słyszał Marcusa! - wykrzyknął Charlie. - Dyskutujcie godzinami z Wellingtonem, Blucherem i całą resztą o Napoleonie. Usiłują zgadnąć, jak się teraz zachowa, na podstawie tego, co wyrabiał w przeszłości. Ani rusz nie mogę pojąć, czemu taka gadanina ma być równie ważna jak normalna bitwa, ale wszyscy dokoła powtarzają, że tak jest.

- Nie sposób wygrać bitwy bez zastosowania właściwej taktyki - zwróciła mu uwagę Judith. - A dzięki umiejętnej strategii można ograniczyć liczbę ofiar.

Zdawała sobie jednak sprawę, że dziewiętnastolatek marzący o heroicznych wyczynach i sławie nie doceni wagi tego problemu.

- Ja tam nie mogę się doczekać chwili, kiedy damy łupnia Boneyowi i jego żabojadom! - oświadczył Charlie, nieco rozczarowany, że jego bóstwo wykazuje brak entuzjazmu do rozlewu krwi i bitewnych jatek.

- Pewna jestem, że wkrótce to nastąpi - pocieszyła go Judith. - Wellington tylko czeka, by Napoleon się zbliżył. Wtedy błyskawicznie zaatakuje, zanim wróg się spostrzeże.

- Ani rusz nie rozumiem, czemu nie możemy wyjść mu naprzeciw? Opuścił przecież Paryż! - ubolewał Charlie półgłosem, rozglądając się dokoła, czy nikt z pułkowej braci nie słyszy jego krytycznych uwag pod adresem naczelnego wodza. - Dlaczego musimy czekać, aż on się zbliży?!

- Chyba byłoby dość trudno przetrzymać dwieście czternaście tysięcy zbrojnych, żeby zagrozić Napoleonowi drogę - odpowiedziała Judith. - Nasze wojska są rozstawione od Mons po Brukselę i z Charleroi do Liege, o ile wiem.

- Zupełnie jakbym słyszał Marcusa! - stwierdził po raz drugi Charlie. - Mnie się takie mędrkowanie wydaje małoduszne, i tyle!

Judith roześmiała się i korzystając z okazji, wróciła do pierwotnego tematu, jeszcze bardziej frapującego.

- A więc twój kuzyn nie przepada za balami i spotkaniami towarzyskimi? Wobec tego może i lepiej, że się nie ożenił.

Powiedziała to lekkim tonem, nawet się roześmiała.

- O, Marcus na ogół nie przepada za damskim towarzystwem.

-A to dlaczego?

Charlie zmarszczył brwi.

- Chyba to ma jakiś związek z zerwanym narzeczeństwem. Nie bardzo wiem, czemu nie wypaliło. Ale kobiet mu nie brak, to znaczy... tych innych... Chciałem powiedzieć... -- Utknął na dobre. Jego twarz w blasku świec była ognicie czerwona.

- Doskonale rozumiem, co chciałeś powiedzieć, Charlie - powiedziała Judith i poklepała go po ramieniu. - Naprawdę nie masz się czego wstydić.

- Nie wypada mówić o takich rzeczach w obecności damy - odparł nadal czerwony jak burak - ale z panią tak się swobodnie rozmawia,...

- ... jak ze starszą siostrą- dokończyła z uśmiechem Judith.

-Ależ skąd! Oczywiście że nie... Jakżebym mógł...

Znowu go zamurowało. Judith słyszała niemal zgrzyt klucza otwierającego właściwe drzwi, gdy prawda zawarta w jej słowach dotarła do świadomości chłopca. Roześmiała się w duchu. Charlie był na najlepszej drodze do wyleczenia się z cielejącej miłości - bez ingerencji nadopiekuńczego kuzyna. Nie zamierzała jednak informować o tym wielce czcigodnego markiza. Zresztą i tak nie było go w pobliżu.

Marcus zjawił się dokładnie o północy. Nie dostrzegł swego podopiecznego ani panny Davenport, choć wydawało się, iż cały świat przybył do Bridgesów. Przywitawszy się z panią domu, markiz skierował kroki do pokoju karcianego. Wokół stołu, przy którym grano w faraona, panowało miłe ożywienie. Sebastian Davenport wygrywał raz za razem. Markiz bacznie obserwował przebieg gry. W zachowaniu Davenporta nie dostrzegł nic podejrzanego. Młodzieniec niewątpliwie miał szczęście, ale i umiejętność oceny sytuacji. Carrington przyglądał się uważnie twarzy Sebastiana. Pozbawiona wyrazu w chwili podejmowania decyzji... a zaraz potem odprężona i beztroska. Urodzony gracz! - pomyślał. Mistrzowska gra wymagała zarówno inteligencji, jak i silnych nerwów; młody Davenport posiadał obie te zalety. Marcus dałby głowę, że nie brakowało ich również siostrze Sebastiana, choć nie mógł dotąd ocenić jej gry.

Doszedł do wniosku, że Davenportowie to para awanturników, pozbawiona wszelkich skrupułów. Nie widział jednak konieczności publicznego zdemaskowania ich. Tylko chciwcy i głupcy padali ofiarą zawodowych szulerów... i mieli to, na co zasłużyli. A Charliego sam potrafi obronić.

- Zagramy w pikietę, Davenport?

Ta sugestia zaskoczyła Sebastiana. Spojrzał na markiza i przypomniał sobie relację Judith z wczorajszej wysypki. Ale propozycja markiza wydawała się całkiem niewinna, a gra w pikietę stanowiła specjalność Sebastiana.

- Oczywiście! - odparł pogodnym tonem. - Sto gwinei za punkt?

Marcus przełknął to bez mrugnięcia okiem.

- Jak sobie życzysz.

Sebastian wycofał się z gry w faraona i wstał od stołu. Markiz już na niego czekał w zacisznym kącie pokoju przy dwuosobowym stoliku. Gdy młodzieniec usiadł, wskazał mu nową talię kart.

-Tasujesz, Davenport?

Sebastian wzruszył ramionami i popchnął talię po blacie w stronę markiza.

-Czyń honory domu, milordzie!

- Jak sobie życzysz.

Karty zostały rozdane. Przy stoliku zaległo milczenie. Obok Sebastiana stał kieliszek czerwonego wina, ale choć młodzieniec dość często podnosił go do ust, trunku prawie nie ubywało. Marcus był niezłym graczem, ale po trzeciej partii nie miał już wątpliwości, że przeciwnik nad nim góruje. Odprężył się, pogodził z nieuchronną przegraną i oddał się przyjemności gry z prawdziwym mistrzem.

- Cóż za miła niespodzianka, milordzie! - rozległ się za jego plecami melodyjny głos Judith. Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. - Brakowało nam pana.

- Proszę stanąć za bratem - burknął, nie zwracając uwagi na jej zalotny ton.

- Słucham? - Zrobiła zdziwioną minę.

-Niech pani stanie za bratem, żebym mógł mieć panią na oku.

Teraz dopiero zrozumiała, o co chodzi. Spojrzała na niego z konsternacją. Ochota do flirtu przeszła jej jak ręką odjął w obliczu niesłusznego podejrzenia.

-Ależ ja wcale...

- Doprawdy? - przerwał jej, nie odrywając wzroku od kart, choć przyszło mu to z trudem. - Tak czy owak, wolę nie ryzykować. Proszę się odsunąć.

Stanęła z boku, opanowując się z wysiłkiem. Spróbowała odwołać się do brata,

-Sebastianie...?

Roześmiał się niewesoło.

- Przyłapał cię na gorącym uczynku, Ju. W takiej sytuacji nie mogę go wyzwać.

- Jestem tego samego zdania - przytaknął Marcus, rozstając się z dziewczynką pik. - Co prawda siostrzana pomoc nie jest ci potrzebna, Davenport.

- Spojrzał z rezygnacją, jak jego karta przechodzi w ręce przeciwnika.

- Obawiam się, że klęska mnie nie ominie.

Sebastian podliczył punkty.

- Bardzo mi przykro, Carrington. Mam dziewięćdziesiąt siedem punktów.

- A jaka stawka? - zainteresowała się żywo Judith.

Wysokość wygranej okazała się ważniejsza od zranionych uczuć.

Marcus wybuchnął śmiechem.

- Co za para łotrów bez czci i wiary!

- Nic podobnego! - zaoponował Sebastian. - W każdym razie Judith ma niezłomne zasady, choć nieco ekscentryczne. Jej normy moralne nieco odbiegają od ogólnie przyjętych.

- Nietrudno mi w to uwierzyć - odparł Marcus.

- To samo można by powiedzieć o tobie, Sebastianie - zauważyła Judith.

- My po prostu mamy własny kodeks postępowania, milordzie. - Postanowiła zmienić taktykę w stosunku do nieprzejednanego markiza. Jeśli woli impertynenckie uwagi od kokieterii, proszę bardzo!

Ku jej rozczarowaniu Marcus pokręcił głową.

- Proszę odłożyć te prowokacje na inną okazję, madame. Jutro rano ureguluję swój dług, Davenport. - Nabazgrał ustaloną formułkę na jednej z leżących pod ręką czystych kartek i podsunął ją Sebastianowi. - Wpisz należną kwotę. - Gdzie się podziewa mój kuzyn, panno Davenport?

- Wyszedł z wicehrabią Chancetem i kilkoma kolegami. Mieli jakieś umówione spotkanie. Ale muszę pana rozczarować, milordzie: jeszcze się mną nie znudził.

Marcus wstał od stolika.

- Mhm. Jakoś mnie to nie dziwi. Ale niech pani nie będzie zbyt pewna swego, drogie dziecko. - Uszczypnął ją w policzek. - Jeszcze pani nie wie, na co mnie stać!

- Strasznie się z tobą spoufalił - zauważył Sebastian po odejściu markiza.

- Właśnie! Mam ochotę go zamordować - oświadczyła Judith. - Ja usiłuję z nim flirtować, a on traktuje mnie jak nieznośną smarkułę! Widać sądzi, że jak nas rozszyfrował, to może traktować protekcyjnie.

Sebastian zmarszczył brwi.

- To całkiem zrozumiałe. Grunt, żeby trzymał język za zębami.

Judith westchnęła.

- Chciałam mu zawrócić w głowie, żeby milczał, ale jakoś mi się to nie udaje.

- Wczoraj byłaś pewna, że ci się uda - przypomniał jej brat, zbierając karty. - Do tej pory nie spudłowałaś ani razu.

- To prawda. - Judith skinęła rezolutnie głową. - Tak czy inaczej, zmuszę go, żeby mnie potraktował serio! Mam wrażenie, że najlepiej będzie kłócić się z nim ząb za ząb.

Sebastian się roześmiał.

- Znakomicie: kłótnie to twoja specjalność!

- Owszem. I zamierzam wykorzystać to w całej pełni.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiezek. Poczowała dreszczyk emocji na myśl o zaciętej walce na języki i rozumy z wielce czcigodnym mar-kizem.

3

Dzień dobry, Charlie! - powitał Marcus swego kuzyna następnego ranka.

Charlie siedział już przy stole zastawionym do śniadania. Miał przed sobą czubaty talerz polędwicy wołowej i wymamrotał powitanie z pełnymi ustami.

- Ileś przegrał w karty wczoraj wieczorem? - spytał Marcus lekkim tonem, nalewając sobie kawy. - Grałeś zdaje się w makao przy stole Davenporta?

Charlie przełknął to, co miał w ustach, i popił piwem.

-Niewiele.

-A konkretnie?

Marcus nałożył sobie smażonych nereczek.

- Siedemset gwinej - odparł kuzyn wyzywająco. - Nie sądzę, by mnie to zrujnowało.

- Istotnie - zgodził się dość przyjaznym tonem Marcus. - O ile nie będzie się to powtarzało co wieczór. Często grywasz z Davenportem?

- Grałem z nim po raz pierwszy. - Charlie się nastroszył. - A bo co?

Marcus nie odpowiedział, tylko drażył dalej.

-Czy to jego siostra zasugerowała, żebyś z nim zagrał?

- Nie mam pojęcia. Kto by pamiętał takie rzeczy?

Charlie wpatrywał się w kuzyna ze zdumieniem i z pewnym niepokojem. Wiedział z doświadczenia, że Marcus nie pyta, byle pytać. Takie

przesłuchanie mogło zakończyć się kazaniem o szkodliwości gier hazardowych. Niby nic nowego, ale zawsze nieprzyjemne.

Marcus jednak wzruszył tylko ramionami i rozłożył gazetę.

- Masz rację, to nic ważnego. Atak przy okazji... nie uważasz, że Judith Davenport to dla ciebie trochę za ostra sztuka?

Charlie poczerwieniał.

- Cóż to ma znaczyć?

- Nic wielkiego - odparł Marcus, przeglądając pobieżnie gazetę. - To bardzo atrakcyjna kobieta i wytrawna kokietka.

- Ona... ona jest cudowna! - wykrzyknął Charlie, odsuwając się z krzesłem od stołu. Poczerwieniał jeszcze mocniej. - Nie pozwolę jej obrażać!

- Nie gorączkuj się tak, Charlie. Sądzę, że ona sama uznałaby to za trafne określenie.

Marcus sięgnął po musztardę.

- Nie jest żadną kokietką! - Charlie spiorunował kuzyna wzrokiem.

Marcus westchnął.

- Nie sprzecząmy się o definicje. Kobieta tego pokroju nie jest odpowiednią towarzyszką dla dziewiętnastolatka. To nie pensjonarka!

- Pensjonarki mnie nie interesują- oświadczył Charlie.

- A powinny... w twoim wieku. - Spojrzał na kuzynka przez stół i powiedział cieplejszym tonem: - Judith Davenport to kobieta z doświadczeniem, światowa dama. Zapuszczasz się na zbyt głębokie wody. Takie jak ona pożerają żółtodziobów na surowo, drogi chłopcze! A ludzie już zaczynają gadać. Chyba nie chcesz być pośmiewiskiem całej Brukseli?

- To, co mówisz, jest... jest niegodne! Jak możesz obsypywać ją zniewagami, gdy nie może się bronić?! - zaperzył się Charlie. - Pozwól, że ci powiem...

- Daruj sobie! - Marcus uciszył go kategoriycznym gestem. - Za. wczesna pora na wysłuchiwanie górnolotnych tyrad. - Nereczki powędrowały na widelcu do ust. - Chcesz robić z siebie durnia? Proszę bardzo. Ale nie w mojej obecności!

Charlie sapnął z oburzenia i z rozognioną twarzą wypadł z pokoju śniadaniowego.

Marcus skrzywił się, gdy drzwi zamknęły się z hukiem. Czyżby obrał niewłaściwą taktykę? Do niedawna wystarczyła uszczypliwa uwaga lub wygłoszone kategoriycznym tonem zdanie, by zawrócić Charliego na właściwą drogę, ilekroć zbłądził na manowce. Ale metody skuteczne w poskra-

mianiu wyrostków raniły teraz dumę młodzieńca, przeżywającego uniesienia pierwszej miłości.

Trzeba będzie znaleźć inny sposób. Widelec markiza znieruchomiał w pół drogi do ust, gdy przyszło mu do głowy idealne rozwiązanie. Czy można skuteczniej uchronić Charliego od niebezpiecznej zażyłości z panną Davenport niż zajmując jego miejsce?!

W chwili obecnej markiz nie miał stałej kochanki. Zakończył ostatnią *affaire* bez cienia żalu przed samym wyjazdem do Brukseli. Może by więc przedstawić Judith Davenport propozycję nie do odrzucenia? Piękna panna znajdzie się definitywnie poza zasięgiem rąk Charliego. Kuzynek radykalnie wyleczy się ze złudzeń, ujrawszy swoje bóstwo we właściwym świetle. A on sam...

Boże wielki! Tętniące zmysłowością wizje napłynęły wzburzoną falą. W duszy ściągał już z niej eleganckie stroje i cieniuseńką bieliznę, odsłaniając prężne i smukłe młode ciało o mlecznej karnacji. Jaką była kochanką- namiętną czy bierną? Nie, z pewnością nie zachowywała się biernie! Dzika i porywcza, pełna żarliwych słów i gorącego pożądania, skłonna do niepohamowanych okrzyków w chwilach miłosnych uniesień... Nie mogło być inaczej!

Marcus potrząsnął głową, by uwolnić się od tych widziadeł. Jeśli same marzenia tak go podniecały, to co będzie, gdy się urzeczywistnią? Pomysł przybierał coraz bardziej realne kształty. Tak, złoży pannie Judith Davenport propozycję, której ta z pewnością nie odrzuci. Oferta przekroczy najśmielsze marzenia dziewczyny, zarabiającej na chleb karcianymi sztuczkami. Godzinę później w bryczesach z kozłej skórki, surducie z oliwkowego sukna i wysokich butach lśniących jak dwa słońca markiz wyruszył na poszukiwanie panny Davenport.

W całej Brukseli panowało wyraźne napięcie. Na rogach ulic zbierały się grupki ludzi rozprawiających i gestykulujących z ożywieniem. Zajrawszy do oficerskiej mesy, Carrington odkrył przyczynę takiego stanu rzeczy.

- Wygląda na to, że Boney lada chwila zaatakuje - poinformował markiza Peter Wellby, gdy jego lordowska mość przyłączył się do grupy sztabowców i doradców Wellingtona, pogrążonych w zażartej dyskusji. - Wydał wczoraj *Proclamation a l'armee* i właśnie wpadła nam w ręce. ~ Podał Marcusowi dokument. - Przypomina w niej, że właśnie teraz przypada rocznica zwycięskich bitew pod Marengo i Friedlandem. Jeśli los pozwolił im dwukrotnie rozgromić wroga w tym szczęśliwym dniu, z pewnością dokonają tego po raz trzeci.

Marcus przejrzał proklamację.

- Hm. Stare sztuczki Napoleona - skomentował. - Wspomnienie dawnych triumfów dla podniesienia ducha i ożywienia dumy narodowej.

- Stare, ale przeważnie skuteczne - zauważył pośpiesznie pułkownik, lord Francis Tal lent. - Siedzieliśmy na tyłku, czekając odpowiedniej chwili, by go zaskoczyć, a ten sukinsyn zaskakuje nas! Gotowaliśmy się do ataku, nie do obrony!

Marcus skinął głową.

- Napoleon nigdy nie czekał, aż go zaatakują. Jego strategia zawsze opierała się na rozległej, druzgoczącej ofensywie. Warto o tym pamiętać.

Zapadło niezręczne milczenie. Przez cały ostatni tydzień Marcus Devlin głośno wyrażał swoje poglądy na ten temat, ale był to głos wołającego na puszczy.

- Otrzymaliśmy raport od naszych agentów, że zatrzymał się na drodze do Charleroi i szykuje się do defensywy - bąknął wreszcie Peter.

-Agentom nieraz już podsuwano mylne informacje.

Po cierpkiej uwadze markiza znów zapadło milczenie.

- O, to ty, Marcusie! Cieszę się, że cię widzę, chłopie. - Arthur Wellesley, książę Wellington, wyszedł z sąsiedniego gabinetu z mapą w rękę. - Wygląda na to, że miałeś słuszość! Rzuć na to okiem: może przypuścić atak na Ligny, Quatre Bras albo Nivelles. Jak ci się zdaje, gdzie? - Położył mapę na stole i postukał palcem w każdy z wymienionych punktów.

Marcus uważnie studiował mapę.

- Ligny - rzekł stanowczo. - To najsłabszy punkt na naszej linii frontu. W tym miejscu jest wyraźna luka między pozycjami Bluchera a naszymi.

- Blucher wezwał swoich ludzi z Namur, by go wsparli pod Ligny - wyjaśnił książę. - My skoncentrujemy się na odcinku od Brukseli do Nivelles.

-A gdyby Francuzi, powiedzmy, zawrócili na północ w stronę Quatre Bras? - Marcus powiódł końcem palca po mapie, obrazując manewr. - Napoleon może rozdzielić swe siły i zmusić nas do walki na dwóch frontach.

Wellington zmarszczył brwi i w zamyśleniu gładził się po brodzie.

- Możesz wziąć udział w naszej naradzie dziś po południu? - Zwinął mapę.

- Do usług, książę - odparł z ukłonem Marcus.

W obecnej groźnej sytuacji sprawy prywatne powinny automatycznie zejść na dalszy plan. Mimo to Marcus ani rusz nie mógł o nich zapomnieć. Wieczorem spotka się oczywiście z Judith na balu u księżnej Richmond,

ale... Aż drżał z niecierpliwości, jak niedowarzony żółtodziób w pogoni za obiektem swych marzeń. Doszedłszy do wniosku, że przed naradą na nic się Wellingtonowi nie przyda, postanowił szukać dalej Judith.

Dopał ją wreszcie w siedzibie jednego z przybocznych księcia. Zebrali się tam chyba pół Brukseli. Wszyscy mówili równocześnie i zdumiewali się, że Napoleon - niewiarygodnie! - zdołał zaskoczyć Wellingtona i podobno gotował się do szturmu na miasto.

- Nie ma obawy, książę trzyma rękę na pulsie. - Pułkownik o imponujących bokobrodach uspokajał roztrzęsioną damę w modnym francuskim czepku. - Skoncentruje swe siły w pobliżu Nivelles i udaremni wszelkie ataki na Brukselę.

- Jestem pewna, że nie ma się czego obawiać, droga pani - rozległ się melodyjny głos panny Davenport.

Stała przy oknie i jej włosy, splecione w skromną koronę, lśniły jak miedź w promieniach słońca. Ubrana była w powiewną muślinową suknię, na głowie miała maleńki koronkowy czepek. Carrington przyglądał się jej w milczeniu, z pełnym uznaniem. Było coś uroczo prowokacyjnego w kontraście między wytworną prostotą stroju a szelmowskim błyskiem złotobrazowych oczu i ledwie dostrzegalnym ironicznym uśmiechem. Markiz poczuł dreszcz radosnego podniecenia. Zaskoczyło go to. Nie pamiętał, by od wczesnej młodości coś ekscytowało go do tego stopnia.

Podszedł do niej.

- Pani zimna krew jest doprawdy godna podziwu, panno Davenport. Naprawdę nie lęka się pani korsykańskiego potwora?

- Ani trochę, milordzie. - Obracała od niechcenia złożoną parasolkę.
- Mam nadzieję, że otrząsnął się pan po wczorajszej porażce? Była, jak sądzę, niebagatelna!

- Ma pani na myśli porażkę w starciu z pani bratem czy z panią?

Zmrużył oczy i otworzywszy tabakierkę, zażył dyskretnie tabaki.

- Pierwsze słyszę, bym odniosła jakieś zwycięstwo. - Spojrzała na niego spod rzęs. - Po prostu obstawałam przy swoim.

- Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się skłonić panią do zmiany stanowiska. - Schował emaliowaną tabakierkę do kieszeni surduta. - Chciałbym przedstawić pani pewną propozycję, panno Davenport. Czy mógłbym złożyć pani wizytę dziś po południu?

- Niestety, ciotka, która mieszka razem z nami, jest cierpiąca i wszelkie wizyty fatalnie się odbijają na jej nerwach. Nieraz stukanie do drzwi sprawia ją o atak nerwowy - wyjaśniła z uprzejmym uśmiechem.

- Wspaniała z pani kłameczucha, panno Davenport - stwierdził przyjaznym tonem. - Nie będę się dopytywał, czemu robi pani taką tajemnicę ze swego miejsca zamieszkania.

- To doprawdy powściągliwość godna dżentelmena, milordzie!

- Nieprawdaż? No to może namówię panią do złożenia wizyty w moim domu?

- O, to już sugestia niegodna dżentelmena.

- Moje zaproszenie odnosi się, rzecz jasna, również do pani ciotki - mruknął.

W oczach Judith pojawił się błysk uznania. Ten słowny pojedynek był znacznie zabawniejszy od tradycyjnego flirtu! A Marcus Devlin zapowiedział się na godnego przeciwnika.

- Niestety, ciocia nie opuszcza domu.

- To doprawdy bardzo niedogodne! A może wręcz przeciwnie?

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli, milordzie.

- Co w takim razie uczynimy? Muszę z panią porozmawiać w cztery oczy. Jak to zorganizujemy?

- Wczoraj wieczorem uprowadził mnie pan z łatwością godną mistrza.

- Judith usłyszała własny głos i się zdumiała. Jak zdobyła się na tak ryzykowną sugestię?!

Markiz skłonił się, jego czarne oczy błysnęły.

- Jeśli pani sobie tego życzy, służę z przyjemnością. Proszę powiedzieć „pa, pa!” komu trzeba. Wyruszamy na poszukiwanie ustronnego zakątka.

- Nie sądzę, byśmy zdołali wymknąć się z tego pokoju. - Wskazała gestem otaczający ich tłum.

- Może się założymy?

Przygryzła dolną wargę, przechyliła głowę na bok i rozważyła kwestię. To było stokroć lepsze od flirtu!

- O dwadzieścia gwinej?

- Zgoda, panno Davenport.

W następnej sekundzie chwycił ją na ręce. Była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili odebrało jej mowę. On zaś zaczął przepychać się ze swym ciężarem przez tłum.

- Pannie Davenport zrobiło się słabo. Wieść o zbliżaniu się Napoleona okazała się ponad jej siły.

- O mój Boże! Nic dziwnego - powiedział wyróżniający się bokobrodami pułkownik. - Powinniśmy chronić nasze wrażliwe damy od podobnych wstrząsów.

- No właśnie, Naseby - przytaknął Marcus. - Wyniosę ją na świeże powietrze. Straszny tu ścisk.

Wszyscy ze współczuciem rozstępowali się przed nimi, co umożliwiło im dotarcie do drzwi. Judith otrząsnęła się już ze zdumienia, ale nadal milczała. Cokolwiek by powiedziała, pogłębiłoby jeszcze farsowy charakter tej sceny. Przymknęła więc oczy i bez oporu pozwoliła się wynieść na ulicę. Gdy się już tam znaleźli, markiz postawił ją na ziemi i z bardzo zadowoloną miną stwierdził:

- Jest mi pani winna dwadzieścia gwinei, panno Davenport.

- To jawna bezczelność! - wykrzyknęła Judith. - A powiedzieć, że mdleję ze strachu przed Napoleonem, to szczyt... szczyt... Doprawdy, słów mi brak!

- ... podłości? - podsunął uprzejmie. - Nikczemności?

- ... złęgo smaku! - warknęła. - I braku wychowania!

-Ale musi pani przyznać, że poskutkowało.

-Niczego nie zamierzam przyznawać! - Wygładziła fałdy spódnicy, poprawiła miniaturowy czepeczek i rozłożyła parasolkę. - Nie mam przy sobie dwudziestu gwinei, milordzie. Ale prześlę je na pański adres dziś po południu.

- Doskonale. - Skłonił się. - A teraz pomyślmy o jakimś zacisznym miejscu, w którym moglibyśmy porozmawiać. Chyba najlepiej pójść do parku.

Ujął ją pod łokieć.

- Nie mam ochoty na spacer po parku! - Całe opanowanie Judith i jej zaczepny ton zniknęły w przypływie rozdrażnienia.

- Woli pani, żebym ją odprowadził do domu? - zaproponował ugrzecznionym tonem.

- Dobrze pan wie, że nie!

- W takim razie pozostaje nam tylko park.

Wyglądało na to, że istotnie nie ma innego wyjścia. Chyba żeby odwróciła się na pięcie i uciekła co sił w nogach... ale to byłoby śmieszne i żenujące. Musiała zrobić to, czego sobie życzył.

Przez żelazną bramę weszli do środka i markiz Carrington skierował się bez namysłu w stronę niewielkiego zagajnika.

Judith się zawahała.

-Nie moglibyśmy przeprowadzić naszej rozmowy na otwartej przestrzeni, milordzie?

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym złożyć swą propozycję, krążąc wokół klombu. A tkwiąc bez ruchu pośrodku ścieżki, budzilibyśmy ogólne zdumienie.

Usiadł na kamiennej ławce pod sosną i poklepał wymownie miejsce obok siebie.

Judith nie była pewna, czy to zaproszenie, czy rozkaz, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Usiadła. Ciekawość wzięła górę nad niepokojem.

- Przejdę od razu do rzeczy - oznajmił Carrington.

- Na szczęście!

Udał, że nie słyszy ironicznego wykrzyknika.

- Dom ze służbą przy Half Moon Street; para koni zaprzęgowych i powóz oraz koń pod siodło; dwa tysiące funtów kwartalnej pensji.

- Dobry Boże - zdumiała się Judith. - O czym pan mówi? - Odwróciła się, spojrzała na niego i zrobiła wielkie oczy. - Chyba pan zwariował!

- Moim zdaniem brzmi to całkiem rozsądnie - odpowiedział. - Taka pensja pozwoli pani żyć w wielkim stylu. Oczywiście, nie zabraknie również prezentów. Przekonasz się, że nie jestem skąpiradłem, moja droga.

- Boże święty! - Krew odpłynęła jej z twarzy. - Co mi pan właściwie proponuje, milordzie? - Okazała się wyjątkowo niedomyślna.

- *Carte blanche* - wyjaśnił. - I zadbam o zabezpieczenie pani na przyszłość, kiedy... gdybyśmy sprzykrzyli się sobie nawzajem. - Uśmiechnął się. - No i co? Chyba trudno o bardziej zadowolający układ?

Judith wstała z ławki. Odwróciła się do niego plecami i odeszła kilka kroków. Ekscytująca zabawa przybrała nieprzewidziany obrót. Co innego zaintrygować mężczyznę i skłonić go do flirtu... a co innego zostać potraktowana jak ostatnia dziwka! Jak on śmiał proponować jej coś takiego? Jak mógł przypuszczać, że zgodzi się na to?!

Marcus zauważył, że dziewczyna szuka czegoś w woreczku, i pomyślał, że pewnie sięga po chusteczkę. Nic dziwnego: podobna oferta wywołałaby łązy radości u najbardziej pazernej samiczki!

- Nie ma tu nikogo, kto. stanąłby w obronie mego honoru, panie marki-zie, więc sama muszę go bronić. - Judith się odwróciła. W rękę trzymała mały, oprawny w srebro pistolet i celowała prosto w serce Carringtona. - Obraził mnie pan w sposób niewybaczalny. W naszej rodzinie nie było i nie ma dziwek. Nawet... luksusowych dziwek!

Carrington stał w osłupieniu. Nie odrywał oczu od maleńkiej, śmiercio-nośnej broni wycelowanej w jego pierś.

- Nie żartuj, Judith - powiedział, przełykając z trudem ślinę. - Odłóż broń, nim zrobisz jakieś głupstwo.

- Upprzedzam, że doskonale strzelam - odparła. - I nie żartuję.

- Wielki Boże! - szepnął, próbując uporządkować rozszalałe myśli. Nie wątpił, że Judith Davenport jest zdolna do zabicia go. - Nie zamierzałem nikogo obrazić - spróbował perswazji. - Ani ciebie, ani twojej rodziny. Ale twoje życie u boku brata to nie jest spokojna egzystencja kobiety cnotliwej. To ryzykowny, niepewny żywot dwojga awanturników. Chyba temu nie zaprzeczysz?

Judith nawet nie próbowała zaprzeczać.

- Ale to nie usprawiedliwia tej haniebnej propozycji! Nie z własnej woli czy winy żyję w takich warunkach. A czemu tak jest, nie ma pan pojęcia!

Marcus znów przełknął ślinę. W ustach mu zaschło. Czy zdążyłby podbiec do niej, nim wystrzeli? Nie ma mowy. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w Judith. Przymknęła jedno oko i wyciągnęła rękę z pistoletem. Huknął strzał, z lufy trysnął ogień. W powietrzu rozeszła się woń kordytu. Marcus nie czuł jednak bólu. Automatycznie spojrzął tam, gdzie spoglądała Judith. W równej odległości od obu jego butów widniał dołek w ziemi. Nie pojawił się tam przypadkiem.

- Nie jest pan wart, by ginąć przez pana na szubienicy - powiedziała lodowatym tonem i wrzuciła pistolet do woreczka. - Jak tylko wrócę do domu, odeślę panu dwadzieścia gwinei.

Marcus odchrząknął.

- W tej sytuacji gotów jestem zapomnieć o zakładzie.

- Zawsze płacę swoje długi - odparła. - A może pan sądzi, że nawet na to nie starcza mi honoru?

Pospiesznie zamachał rękoma.

- To była tylko luźna sugestia. Teraz widzę, że niestosowna.

Judith przez minutę mierzyła go morderczym spojrzeniem. Potem odwróciła się i zdecydowanym krokiem opuściła zagajnik.

Marcus odetchnął głęboko i przegarnął włosy rękami. Założył z góry, że Judith często otrzymuje podobne propozycje. Żyła dzięki własnemu sprytowi, więc łatwo było dojść do wniosku, że zechce też spieniężyć własne wdzięki. Ale jak to ujął jej brat? Wspomniał coś o surowych, choć ekscentrycznych zasadach siostry. Cóż, Marcus miał właśnie okazję zapoznać się z nimi.

Wielkie nieba! Jakaż by z niej była podniecająca, pełna temperamentu kochanka! Odkrył, że na przekór wszystkiemu nie zamierza rezygnować z, pościgu za nią.

- Wielki Boże! Co cię tak rozwścieczyło, Ju? - Sebastian podniósł głowę znad szachownicy, gdy siostra otworzyła z rozmachem drzwi i wpadła, kipiąc gniewem, do ich saloniku.

- Chyba nigdy w życiu nie byłam taka zła! - oświadczyła, ściągając rękawiczki z drżących rąk. - Carrington miał czelność zaoferować mi *carte blanche!* - Rzuciła rękawiczki na kanapę i wyciągnęła szpilki przytrzymujące czepek.

Sebastian gwizdnął.

- Coś mu odpowiedziała?

- Strzeliłam do niego. - Wyciągnęła z woreczka pistolet i cisnęła go również na kanapę.

Brat sięgnął po broń. Ostra woń kordytu nadal biła z lufy. Sprawdził magazynek; był pusty.

- Strzeliłaś, bez wątplenia - zauważył. - Tylko wierzyć mi się nie chce, żebyś przedziurawiła markiza. Piekielna z ciebie choleryczka, ale nie mordczyni.

Judith przygryzła wargę. Sebastian zawsze umiał ściągnąć ją na ziemię.

- Strzeliłam mu pod nogi - wyznała. - Ale napędziłam mu porządne-go stracha, Sebastianie! Był przekonany, że lada chwila wyląduje u Bozi! - Roześmiała się nagle, ubawiona tym wspomnieniem. - Nalej mi sherry, mój złoty! To był męczący ranek.

Sebastian napełnił dwa kieliszki winem ze stojącej na kredensie karafki.

-A jakie ci proponował warunki? - spytał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Pytam z czystej ciekawości.

Kiedy mu powiedziała, gwizdnął po raz drugi.

- Gdyby nie nasze plany co do Gracemere'a, moglibyśmy ubić wspaniały interes! Forsy starczyłoby dla dwojga.

- Sprzedałbyś własną siostrę?! -wykrzyknęła.

- O, wyłącznie po najwyższej cenie - zapewnił ją uroczyście.

Judith cisnęła w niego poduszką, po czym zajęła się problemem szachowym, który brat właśnie rozważał. Uważali tę grę za dobre ćwiczenie intelektualne, zaprawę przed wieczorną grą w karty.

- Gdybyśmy po przyjeździe do Londynu wzbudzili jakieś podejrzenia, nigdy nie zaakceptują nas w kręgach, w których obraca się Gracemere - odezwał się znów Sebastian, tym razem całkiem serio. Wypił łyk sherry. — Niechcący wprowadziłaś Carringtona w błąd swoim sposobem bycia. Uważam, moja droga, że powinnaś się przerzucić na skromne dekolty i świątobliwe minki.

-A ty kogo zamierzasz odgrywać? - Spojrzała na niego znad kieliszka.

- O, ja będę zapalonym podróżnikiem - oświadczył. - Takim, co spędził mnóstwo czasu w obcych krajach, wszystko widział i słyszał... i ubóstwia zanudzać swymi opowieściami o egzotycznej faunie i florze.

Judith parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie pogodnego, lekkomyślnego braciszka w takiej roli.

- Będziesz musiał wyrzec się pasiastych kamizelek i najmodniejszych fularów... i grać w wista po pensie za punkt.

- Nie, tego bym nie wytrzymał - stwierdził Sebastian. - I nie mieliśmy wówczas pieniędzy na codzienne wydatki. - Podobnie jak siostra utkwiał wzrok w szachownicy. - Potrafisz rozwiązać ten problem? Mam grać białymi; mat w trzech posunięciach. Gapię się na to od pół godziny. Mógłbym tego pionka zamienić w hetmana... ale potem pat.

Judith zmarszczyła brwi i się zastanowiła.

-A nie lepiej w skoczka? Spróbuj na d7.

Sebastian skorzystał z jej sugestii i dalej już samodzielnie rozwiązał problem.

- Łebska z ciebie dziewczyna! - powiedział, przewracając jednym prztyczkiem czarnego króla. - Zawsze byłaś bardziej dalekowzroczna niż ja.

- Tylko w szachach. W pikietę bijesz mnie na głowę.

Brat wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył.

- Chyba pora coś przegryźć? - Wskazał gestem stół.

Judith skrzywiła się na widok nieciekawego posiłku, który zostawiła im gospodyni.

- Znowu tylko chleb i ser!

- Za to obiad jemy u Gardenerów - przypomniał jej, odkroiwszy pajdę chleba. - A z pewnością jeszcze lepsza będzie kolacja u księżnej Richmond!

- Chyba lord Carrington raczy się pojawić na tym balu? - Judith siadła przy stole i wbiła nóż w klin sera. - Nie najlepiej mi idzie z czarowaniem markiza... - Nachmurzyła się. - Grożenie pistoletem nie zachęca do flirtu. - Wzięła w palce kawałeczek sera i nagle coś jej się przypomniało. - Och! Muszę uregulować dług honorowy. Jestem winna Carringtonowi dwadzieścia gwinei!

4

X rudno wprost uwierzyć, że Napoleon i jego armia znajdują się tak blisko miasta! - myślała tego wieczoru Judith, dołączając wraz z Sebastianem do kolejki gości, którzy powoli wstępowali po imponujących schodach, by przywitać się ze stojącą na górnym podeście księżną Richmond.

Większość mężczyzn miała na sobie wojskowe mundury. Obsypane klejnotami damy w różnobarwnych sukniach balowych przypominały rój motyli. Jednakże pod pozorami bez troski krył się niepokój, widoczny w gorączkowej paplaninie, nerwowym śmiechu, rozbieganych spojrzeniach. Elegancki świat, który zebrał się na salonach księżnej Richmond w ten gorący czerwcowy wieczór, oczekiwał w napięciu jakiegoś znaku, jakiejś wieści.

Markiz Carrington rozmawiał z księciem Wellingtonem i generałem Karlem von Clausewitzem w końcu sali, na wprost podwójnych drzwi, przez które właśnie wchodzili Davenportowie. Judith zerknęła ukradkiem do ściennego lustra, by sprawdzić, czy dobrze się prezentuje. Tak czy owak, mało prawdopodobne, by po rannym incydencie Carrington podszedł do niej, a nawet jeśli podejdzie, to cóż ją to obchodzi?! Ten człowiek dopuścił się wobec niej niewybaczalnej zniewagi! Zwróciła się do brata.

- Zatańcz ze mną, Sebastianie!

- Jeśli sobie tego życzysz... - Spojrzył na nią kąpiąco. - Odkąd cierpisz na taki brak partnerów, że musisz tańczyć z bratem?

- Mój karnet jest pełniejszy od trzeciego kotyliona - odparła, opierając się na jego ramieniu. - Odmawiałam wszystkim, którzy prosili o wcześniejsze tańce, bo chciałam mieć trochę spokoju na samym początku. Ale teraz wzięła mnie chęćka...

Sebastian nic nie odpowiedział. Objął tylko siostrę w talii i zawirowali w walcu.

Stanowią wyjątkowo efektowną parę, zauważył w duchu markiz, obserwując Davenportów. Jego myśli odbiegły od dyskusji na temat wsparcia wojsk pruskich za Sambre. Oboje mają miedziane włosy i te niezwykle, złotobrazowe oczy. Podobni do siebie jak bliźnięta: nosy proste, wargi pełne, kości policzkowe nieco skośne, szczęki mocno zarysowane. Czarująca para awanturników! Kim właściwie są? I skąd się tu wzięli, u diabła?!

Czy Judith odmówi mu tańca po niefortunnej porannej propozycji? Jego męska duma nie zniosłaby kolejnej porażki z rąk tej bezczelnej, choć niewątpliwie inteligentnej szelmy!

Carrington pod jakimś pretekstem rozstał się ze swymi rozmówcami, a następnie przysuwał się coraz bliżej tanecznego kręgu. Wreszcie znalazł się na wprost Davenportów. Wówczas prześlizgnąwszy się zręcznie wśród tańczących par, poklepał lekko Sebastiana po ramieniu. Zwyczaj odbijania tancerki nie był przyjęty na salonach, ale niekiedy warto zdobyć się na nieco oryginalności.

- Użyczysz mi siostry na resztę walca, Davenport? Haniebnie ją monopolizujesz! Masz ją przecież zawsze przy sobie.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, Carrington, Judith sama musi zdecydować, czy życzy sobie takiej zmiany.

- Pani?... - Carrington skłonił się z żartobliwą galanterią. Jego oczy spoglądały na nią porozumiewawczo i pojednawczo.

Judith rozejrzała się po sali; doskonale wiedziała, że zwracają ogólną uwagę. Marcus Devlin chytrze ją osaczył!

- Cóż, my, kobiety, powinnyśmy chyba przywyknąć do tego, że przechodzimy z rąk do rąk niczym pakunek - stwierdziła, zwinnie się prześlizgując z objęć brata w ramiona następnego tancerza.

- Nic dziwnego, że wielu ma ochotę dźwigać takie słodkie brzemie - mruknął Marcus, rozkoszując się jej bliskością.

Była lekka i drobna, a zarazem gładka, lśniąca i niebezpieczna jak dzika kotka.

Judith odetchnęła głęboko.

- No cóż, po tym, co zaszło dziś rano, powinnam być przygotowana na kolejne zniewagi z pańskiej strony.

- Na nic lepszego nie potrafisz się zdobyć, Judith? - Uniósł kpiąco brwi.
- Doprawdy, jestem zawiedziony.

- Niestety, nie mam przy sobie pistoletu - odparowała. - Widzę, że już pan wrócił do równowagi!

- Dość długo to trwało - przyznał. - Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z rysicą.

- Z rysicą?! - Tak ją zaskoczył, że spojrzała na niego. Czarne oczy uśmiechnęły się do niej, pełne szczerzej wesołości.

- Tak, moja rysiczko. Dobrześ usłyszała!

Policzki Judith lekko poróżwiały. Uznała, że najrozsądniej będzie zignorować tę uwagę.

- Mam nadzieję, że pieniądze dotarły już do pana, markizie,

-A jakże! Serdeczne dzięki za wsparcie materialne.

Przygryzła wargę i wbiła wzrok w przestrzeń. Ale długo nie wytrzymała i się rozchichotała. Marcus czuł, jak całe jej ciało się odpręża.

- Dostałem przebaczenia? - spytał, poważniejąc nagle.

- Za cóż to, milordzie?

- Teraz nie żartuję, Judith. Szczerze kajam się z powodu tego, co zaszło dziś rano. Chciałbym wiedzieć, czy moje przeprosiny zostały przyjęte.

- Odmowa przebaczenia byłaby dowodem małoduszności, milordzie.

-A to nie leży w pani charakterze, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. Małoduszność nie należy do rodzinnych cech Davenportów. Staramy się być wielkoduszni i na swój nieco osobliwy sposób honorowi.

- Czyżby oszukiwanie podczas gry było honorowe?

To już nie było wesołe przekomarzanie się. Judith przygryzła znów usta, ale tym razem nie po to, by powstrzymać śmiech.

- Nie mogę tego panu wytłumaczyć.

- Wyobrażam sobie, że to dość trudne do wyjaśnienia.

- Nie robimy tego stale - rzekła sztywno.

- Oddycham z ulgą!

- Wygrywamy w karty dzięki naszym zdolnościom i doświadczeniu - powiedziała. - To, co pan widział albo się panu zdawało...

- Widziałem z całą pewnością.

-To był tylko... rodzaj treningu. Nie robiliśmy tego dla zysku.

- Wybacz, ale jakoś nie mogę uwierzyć w czystość waszych intencji i uczciwość gry.

Judith milczała. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Kiedy Marcus znów się odezwał, jego głos stracił nieco ze swej ostrości.

- Ale może potrafiłbym zrozumieć, co was zmusiło do stosowania podobnych sztuczek.

Uniosła dumnie głowę. Po raz pierwszy ujrzał, jak mrocznieją jej złote, rysie oczy.

- Doprawdy, milordzie? - spytała zimno. - To bardzo uprzejme z pana strony. Ale to moje osobiste sprawy. A na pańskim zrozumieniu wcale mi nie zależy.

Marcusowi zaparło dech w nagłym porywie gniewu. Jego ręka zacisnęła się na ręce Judith, niemal miażdżąc jej smukłe palce. Taniec się skończył i dziewczyna wyswobodziła się z jego uścisku. Zmagając się z gniewem, spoglądał za nią, gdy opuszczała parkiet. Suknia z kremowej gazy na nieco ciemniejszym atłasowym spodzie stanowiła idealną oprawę dla miedzianych kędziorów opadających na ramiona. Marcus zastanawiał się, czy jej topazy - naszyjnik i kolczyki - są prawdziwe. Jeśli to była sztuczna biżuteria, to doprawdy pierwszorzędną. Ale musiał przyznać, że Davenportowie niezwykle zręcznie odgrywali swe role; byli bezbłędni w każdym szczególe.

Kim oni naprawdę są, u diabła? I czemu ta dziewczyna budzi w nim takie gwałtowne pożądanie?!

Pokręcił niecierpliwie głową i zszedł z parkietu. Przemknęło mu przez myśl wspomnienie Marthy - delikatnej, ciemnowłosej, sarniookiej Marthy, która by nawet muchy nie skrzywdziła. Łagodna, prostoduszna... stworzona wprost na ofiarę. Były biegunowo odmienne: jagniątko i nieujarzmiona ryśca. Musi przecież istnieć jakiś złoty środek!

Judith schroniła się w pokoju dla pań. Rozmowa z Carringtonem bardziej ją wstrząsnęła, niż chciała się do tego przyznać. Był niezwykle dociekliwy, a jego pytania bardzo osobiste. Wdzierały się na zakazany teren, do mrocznej krainy, do której tylko ona i Sebastian mieli prawo wstępu: to był ich świat. Mieli wspólne, niedostępne dla innych sekrety, cierpienia i plany. Mogła ufać jedynie bratu.

Przysunęła się do lustra, poprawiając szpilki we włosach. Pokój był pełen kobiet - rozgadanych, poprawiających suknie lub makijaż. Rozprawiały przede wszystkim o tym, jak powinny się zachować, gdy dojdzie do bitwy.

- Za nic tu nie zostanę, by zgwałciła mnie horda Francuzów! - oświadczyła z energią dama siedząca przed lustrem na aksamitnym taborecie.

- Och, droga hrabino! Jak pani może nawet wspominać o takich okropnościach? - pisnęła blada, niepozorna myszka, upuszczając na podłogę grzebień. - Książę nie porzuci nas chyba na łaskę i niełaskę tego potwora!

- Jak tylko nasza armia opuści miasto, Francuzi tu wtargną. Zapamiętajcie sobie moje słowa! - prorokowała hrabina, lubując się swą koszmarną wizją, i pudrowała uróżowane policzki.

- No, cóż, będą musieli najpierw pokonać naszą armię - przypomniawszy z całą powagą Judith. - Chyba nie należy od razu przewidywać klęski.

- Pewnie że nie! - wtrąciła tęga pułkownikowa. - Ma pani absolutną rację, panno Davenport. W takiej chwili naszym mężczyznom potrzebne są kobiety, które wesprą ich na duchu, a nie kapryśne beksy! Nie ulega wątpliwości, że sprawimy Francuzom lanie!

- Oczywiście - przytaknęła Judith. - Wpadanie w panikę nic nie da.

Przywołane w ten sposób do porządku hrabina i niepozorna myszka zamilkły, pełne urazy.

- Kiedy się bitwa zacznie, w całym mieście nie uświadczą koni - zauważyła ze spokojem inna dama. - Alfred przezornie ukrył nasz zaprzęg w stajni na peryferiach. Zanim udał się na front, polecił mi opuścić Brukselę. Na wszelki wypadek - dodała, uśmiechając się do Judith i żony pułkownika. - Rozsądni ludzie są przygotowani na każdą ewentualność.

- Ja tam nie zamierzam chyłkiem zmykać, gdy pułkownik Douglas znajdzie się w ogniu bitwy - oświadczyła jego żona, znikając za parawanem, gdzie kryły się pokojowy sedes i umywalka. Jej donośny głos był wyraźnie słyszalny mimo chrzęstu sztywnej taftowej spódnicy. - Obowiązkiem żony oficera jest czekać na męża tuż za linią frontu, choćby serce jej się łamało z trwogi. Wytrwałam u boku pułkownika podczas całej kampanii na Półwyspie Pirenejskim i nie będę teraz bojaźliwie zmykać przed cholernymi zabojadami! Niech mnie tylko spróbują zaatakować!

Judith się roześmiała. Odzyskała panowanie nad sobą i opuściła pokój dla pań. Wracając na salę balową, wpadła na Charliego.

- Widziałem, jak tańczyliście z Marcusem - powiedział oskarżycielskim tonem. - A mówiła pani, że nie będzie tańczyć przed trzecim koty-lionem!

- Bo nie miałam takiego zamiaru - powiedziała z pojednawczym uśmiechem. - Ale brat namówił mnie na walca, a pański kuzyn zmusił mnie, bym zatańczyła także z nim.

- Marcus bywa bardzo despotyczny - powiedział Charlie, nieco ułagodzony. - Zauważyłem, że kobietom się to podoba.

- Zapewniam, drogi Charlie - rzuciła szorstko - że nie wszystkie dajemy się tyranizować.

Charlie wydawał się zaskoczony takim naświetleniem sprawy. Zaśmiał się niepewnie.

- Pani zawsze żartuje, Judith!

- Mylisz się, Charlie. Wcale nie żartowałam. - Poklepała go lekko wachlarzem po ramieniu. - Nie zdążyłeś poznać zbyt wielu kobiet, ale to przyjdzie z czasem.

Uważa mnie pani za żółtodzioba! - Z rozpaczą przypomniał sobie słowa kuzyna, które padły podczas śniadania.

Judith uśmiechnęła się w duchu i postarała się czym prędzej podnieść chłopca na duchu.

- Skądże znowu! Ale żołnierz nie ma wiele czasu na zalecanki.

- O tak, to prawda! - Charlie się rozpogodził. - Mamy co innego na głowie. Książę jest zdumiewająco opanowany, nieprawdaż? Powiada, że podjął już niezbędne kroki, i nie ma wątpliwości co do dalszego biegu spraw.

Judith zerknęła w przeciwny koniec pokoju, gdzie Wellington żartował z grupą oficerów, otoczony wianuszkami zachwyconych dam. Miał w ręku kieliszek szampana i wcale nie wyglądał na generała, którego śmiertelny wróg gotuje się do bitwy w odległości zaledwie kilku kilometrów. Głupiec czy geniusz? Miała nadzieję, że geniusz. Inaczej Bruksela znalazłaby się w opłakanej sytuacji!

- Panno Davenport, czy została już pani przedstawiona księciu Wellingtonowi? - Dobiegający z tyłu głos markiza Carringtona kompletnie zaskoczył Judith. Zmieszana się i spłonęła rumieńcem.

- Nie - odparła, wachlując się energicznie. - Musi pan tak się skradać i mnie straszyć?

Marcus rozejrzał się po zatłoczonym salonie i uniósł brwi.

- Skradać się? Ależ, panno Davenport, ani mi w głowie takie teatralne sztuczki. - Podał jej ramię. - Proszę pozwolić, bym przedstawił panią księciu. Flirtuje zapamiętale z każdą ślicznotką ale równie wysoko ceni cięty dowcip jak ładnego buziaka.

Judith bez oporu pozwoliła się prowadzić. Zawarcie znajomości z bohaterem narodowym było wielkim zaszczytem; być może Carrington traktował to jako rodzaj zadośćuczynienia za wyrządzoną zniewagę? Byłoby niegrzecznie odrzucić taką propozycję. Markiz zręcznie torował im drogę w tłumie - przyjacielskim gestem, uprzejmym słówkiem, grzecznym ukłonem - aż wreszcie dotarli do kąta, gdzie stał książę w otoczeniu swej świty.

Marcus zaciągnął Judith przed oblicze generała.

- Czy wolno mi przedstawić pannę Davenport, wasza książęca mość?

- Jestem oczarowany, madame. - Książę pochylił się w ukłon. Jego oczy znad wydatnego nosa spozierały na Judith z wyraźnym uznaniem. - Doprawdy, zachwycająca... Obserwowałem panią przez cały wieczór i głowiłem się, kto by mógł nas sobie przedstawić... Na szczęście, mój wierny druh, Carrington, wyjawiał, że ma zaszczyt być z panią w przyjaźni.

Rekompensata za zniewagę? Akurat! Została tu sprowadzona przez księżęcego rajfura jako nowa zabaweczka dla wielkiego człowieka!

- To nie żadna przyjaźń, zaledwie przelotna znajomość - odparła Judith, rzucając księciu promienny uśmiech znad wachlarza. - Ale czuję się zaszczycona, że wasza książęca mość polecił markizowi, by mnie sprowadził. Jestem mu doprawdy zobowiązana.

- Nie, nie, madame, to ja będę mu za to wdzięczny do końca życia - odparł wylewnie książę. - Najpierw pozwoli pani kieliszek szampana. A potem pogadamy sobie, ile dusza zapagnie! - Ujął ją pod ramię i wyprowadził poza otaczający go krąg dworaków; dał znak lokajowi, by pospieszył za nimi z szampanem na tacy.

Przelotna znajomość, dobre sobie! Bezczelna szelma zrobiła z niego fanfaroną, który szczyci się rzekomymi znajomościami! Rozbawiony i zirytowany równocześnie Marcus spoglądał za oddalającą się Judith, wspartą na ramieniu Wellingtona.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy bal u księżnej Richmond przeistoczył się w ogólną kotłowaną przerażonych cywilów i nagle pobudzonych do działania oficerów. Konny wysłaniec, który właśnie przybył galopem, wszedł na salę balową i przez chwilę stał, przeczesując wzrokiem olśniewający tłum w poszukiwaniu naczelnego wodza. Następnie zaczął się przedzierać przez ciżbę w stronę okna, pod którym książę siedział na ławeczce obok Judith.

Wellington był oczarowany swą towarzyszką, która nie udawała skromnisi i flirtowała równie bezwstydnie jak on.

- Nie ma to jak kobiety światowe, moja droga - stwierdził, poklepując ją po rękę. - Nie dla mnie te wszystkie cnotki i niedotykalskie, panno Davenport!

- A fe, wasza książęca mość! - strofowała go ze śmiechem Judith, nie próbując wcale uwolnić ręki z jego uścisku. - Całkiem mi książę zniszczy reputację!

- Skądże znowu, madame! Może się pani czuć przy mnie całkiem bezpieczna.

Judith przechyliła główkę na bok i uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Jaka szkoda!

Wellington ryknął śmiechem. Śmiał się jeszcze, gdy dotarł do niego kurier.

- Wasza książęca mość...

Czego tam? - rzucił książę gniewnym tonem.

Ważne wieści, milordzie. - Wysłaniec rozejrzał się po sali. - Ściśle poufne, wasza książęca mość.

Wellington podniósł się natychmiast.

Proszę wybaczyć, panno Davenport.

Stał się nagle całkiem innym człowiekiem; twarz miał tak poważną, jak-by nigdy w życiu się nie śmiał.

Zorientowawszy się szybko w sytuacji, Judith wstała również i wyciągnęła rękę.

- Zostawiam pana ważniejszym sprawom, wasza książęca mość.

Wellington ujął jej dłoń i ucałował, potem zaś skinąwszy na swych sztabowców, ruszył w stronę niewielkiego salonu za salą balową.

- Poproś lorda Carringtona, żeby się do nas przyłączył - polecił swemu adiutantowi.

Marcus wszedł do saloniku kilka minut później i zamknął za sobą podwójne drzwi.

- Quatre Bras? - spytał bez wstępów.

- Psiakrew! Miałeś całkowitą rację, Marcusie. Lewe skrzydło Francuzów skreśliło na północ. Książę Orański zagroził im drogę pod Quatre Bras, ale Napoleon szykuje się do otwartego ataku.

- A równocześnie prawym skrzydłem zaatakował Prusaków pod Ligny? - dokończył Marcus.

- Tak jest: Ligny na wschodzie i Quatre Bras na zachodzie - przytaknęła Wellington, pochylając się nad mapą. - Powiadomić wszystkich: ruszamy pod Quatre Bras!

Na sali balowej orkiestra co prawda grała nadal, ale tancerzy prawie nie było. Grupki ludzi zbierały się po kątach, a oficerowie wymykali się dyskretnie. Judith rozglądała się za Sebastianem, gdy podszedł do niej Charlie; był bardzo podniecony, po prostu promieniał.

- Chciałem się pożegnać z panią, Judith, muszę wracać do mego regimentu.

- Co się stało?

- Wszyscy zostaliśmy powiadomieni: wyruszamy niezwłocznie do Quatre Bras.

Nie był w stanie ukryć swego zapału i w Judith wezbrała nagle fala czułości, połączonej z lękiem. Tyłu młodych ludzi rwie się do walki, a może czeka ich śmierć na krwawym polu.

- To moja pierwsza bitwa - powiedział.
- Wiem, że będziesz walczył jak lew - odparła i z ogromnym wysiłkiem zdobyła się na uśmiech. - Chodźmy! Odprowadzę cię.

Zeszła z nim na dół. We frontowym holu tłoczyli się mężczyźni w mundurach. Spiesznie, po cichu przekazywano im rozkazy. Żołnierze zegnali się i wychodzili niewielkimi grupkami, udając, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Kiedy jednak znaleźli się na zewnątrz, odrzucali powściągliwość na cztery wiatry, puszczali się pędem, pokrzykiwali na woźniców, wydawali gromkie rozkazy i hałaśliwie wymieniali informacje.

W holu Judith wspięła się na palce i pocałowała Charliego w policzek.

- Uważaj na siebie!
- No tak, oczywiście. - Wyraźnie chciał jak najszybciej odejść, jego oczy biegały po całym holu. - O, tam stoi Larson! On jest z mojej kompanii.
- No to w drogę, Charlie! - Przyjacielskim gestem popchnęła go w stronę drzwi. Uśmiechnął się do niej trochę z zalem, trochę ze skruchą. Potem pochylił się i niezgrabnie ją pocałował.

- Jesteś cudowna, Judith!
- Wiem, że tak myślisz - powiedziała. - Zmykaj już! Masz teraz na głowie ważniejsze sprawy od umizgów.
- Tak, to prawda.

Pomachała do niego ręką, nim zniknął w ciżbie. Uśmiechnął się od ucha do ucha, posłał jej z daleka pocałunek, a potem dał nurka w tłum, wołając po nazwisku swego przyjaciela.

Przygnębiona Judith odwróciła się i ruszyła z powrotem na górę. Sebastian właśnie jej szukał. Podał siostrze okrycie; sam narzucił już płaszcz na ramiona.

- Judith, odwiozę cię natychmiast do domu.
- Rozejrzała się po opustoszałych salonach.
- Tak, nie warto dłużej zostawać, chyba że dotrą tu dalsze nowiny.
 - Tutaj niczego więcej się nie dowiemy. - Brat zarzucił jej na ramiona pelerynkę ze złocistej tafty. - Wellington i Clausewitz odjechali już, każdy ze swoją świtą. Za pół godziny ruszają do Quatre Bras.

Wziął siostrę za rękę i niecierpliwie pociągnął w stronę schodów.

- Po co ten pośpiech, Sebastianie?
- Daj spokój, Ju! - Rozejrzał się niespokojnie dokoła. - Nie chcę tracić ani chwili!
- Czego?
- Bitwy, oczywiście! - odparł, zmuszając ją niemal do biegu.

- Jedziesz do Quatre Bras? - spytała. Ale znała już odpowiedź. Oczywiście, że Sebastian nie mógł siedzieć beczynninie w Brukseli, gdy losy Europy ważyły się w tak niewielkiej odległości od miasta.

Uśmiechnął się do niej niewesoło i z poczuciem winy, tak samo jak Charlie.

- Dałbym nie wiem co, Ju, żeby osobiście zmierzyć się z tymi cholernymi żabojadami! A ponieważ to dla mnie nieosiągalne, muszę przynajmniej zobaczyć wszystko na własne oczy!

Nie próbowała odwieść go od tego postanowienia. Gdyby ich życie potoczyło się inaczej... gdyby było takie, jakie być powinno, jej brat miałby prawo do oficerskiego patentu w szkockim regimencie, w którym służyły całe pokolenia Devereux. Jakże musi cierpieć Sebastian, stojąc na uboczu, gdy równi mu wiekiem i urodzeniem spieszą do boju w barwach swego pułku!

Ale wkrótce ich krzywdy zostaną pomszczone, a brat odzyska wszelkie należne mu prawa. Wzięła go za rękę i mocno ją uściśnęła. Odruchowo odwzajemnił uścisk, ale wiedziała, że nigdy jeszcze nie był myślami tak daleko od niej.

5

Gdy dotarli do swego mieszkanka, Judith zaczęła w saloniku, aż Sebastian przebierze się z wieczorowego stroju w bryczesy z kozłej skóry i wysokie buty.

- Skąd weźmiesz konia?

- Steven Wainwright zaproponował mi swego zapasowego podjezdka. Sprawdził zawartość wszystkich kieszeni, przeliczył pieniądze. - Dasz sobie radę beze mnie, Ju?

Judith nie była pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu.

- Oczywiście! Spotkamy się tutaj, kiedy już będzie po wszystkim.

Pochylił się, by ją ucałować.

- Wiem, że nie powinienem cię opuszczać, ale...

- Dajże spokój! - przerwała mu. - O mnie się nie martw. Uważaj lepiej na siebie! Mamy przecież wielkie plany. Nie możemy pozwolić, by je pokrzyżowała jakaś złąkana kula!

- Jasne! Chyba nie myślisz, że sprawię ci zawód? - Z jego oczu zniknęło podniecenie. Były pełne napięcia z domieszką niepokoju.

Pokręciła głową.

-Skądże znowu!

Nogi w wysokich butach zadudniły na schodach, trzasnęły drzwi frontowe. Judith podeszła do okna wychodzącego na wąską uliczkę i spoglądała za bratem, który niemal biegiem zmierzał w stronę śródmieścia.

Była dopiero czwarta rano, ale w mieście panowały ruch i gwar jak w środku dnia. Dzwony dzwoniły; z okien wychylały się głowy w nocnych czepkach; z dala dolatywał niespokojny zgiełk gromadzących się tłumów. Mieszkańcy Brukseli byli przerażeni! Judith nie zamierzała siedzieć w domu; pragnęła także być świadkiem historycznych wydarzeń. Nie mogła zwierzyć się z tego Sebastianowi: udaremniłaby mu przeżycie wielkiej przygody. Teraz jednak przebrała się szybko w amazonkę z solidnego granatowego sukna. Zamknęła swą sztuczną biżuterię w ukrytej pod łóżkiem drewnianej skrzynce, a wyjęty z niej zwitek banknotów wetknęła do kieszeni płaszcza. W drugiej zniknął nabity pistolet.

Następnie wyszła z domu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Potrzebowała jakiegoś środka transportu, obawiała się jednak, że nie zdobędzie konia ani powozu. Mieszkańcy Brukseli nie rozstaną się z nimi za żadną cenę, chcąc je mieć pod ręką w razie ucieczki.

Skierowała się w rejony odległe od eleganckiego śródmieścia i znacznie od niego uboższe. Ich mieszkańcy nie odczuwali takiego lęku przed naddciągającym wrogiem, gdyż nie mieli dobytku, który można zagrabić.

Chrapliwe okrzyki, śpiewy i śmiechy dobiegały z szynku przy końcu uliczki; żółtawe światło padało z otwartych drzwi na pokryte błotem kocie łby. Bywalców karczmy nie trwożyła perspektywa bitwy, mającej się rozegrać w zasięgu ich wzroku. Na widok stojącej w cieniu chłopskiej furmanki serce Judith zabiło gwałtownie. Mizerna szkapa stała w hołoblach ze smętnie zwieszonym łbem.

Judith podkrađła się do wozu i poklepała chudą końską szyję. Furmanka była pusta. Widać jej właściciel zdążył sprzedać wszystko, co przywiózł do miasta, a teraz przepijał w szynku zarobione pieniądze. Pewnie długo tam zabawi, więc przy odrobinie szczęścia Judith zdąży odstawić na miejsce konia z wozem, nim ktoś zauważy ich brak. Odwiązała okręcone wokół słupka lejce i po cichutku wycofała z podwórza szkapę i wóz. Gdy byli już dość daleko od szynku, wskoczyła na ławeczkę dla woźnicy, potrzęsnięta

lejcami i cmoknęła zachęcająco. Z ciężkim westchnieniem konisko powlokło się dalej ulicą.

Gdy opuścili najuboższą dzielnicę, Judith zorientowała się, że w mieście zapanowała panika. Domy stały otworem, a ich mieszkańcy uwijali się, wynosząc cały swój dobytek i ładując na bryczki i wozy. Zewsząd słychać było głosy domagające się koni.

Judith jechała wąską, brukowaną kocimi łbami uliczką, gdy z mroku wynurzyło się dwóch mężczyzn, którzy schwycili jej konia za uzdę, tuż przy pysku. Chabeta zatrzymała się natychmiast, wyraźnie zadowolona z postoju.

- Odsuń się, paniusiu, rekwirujemy konia - oznajmił jeden z napastników.

Był służącym, sądząc z rypсового fartucha. Towarzyszący mu tegi, czerwoniczy dżentelmen w atłasowej kamizelce oddychał z wyraźnym trudem, ale z całych sił wczepił się w lejce.

- Z czyjego rozkazu? - spytała hardo Judith. Jej ręka zniknęła w głębi kieszeni i zacisnęła się na pistolecie.

- Nie pani interes! - wysapał grubas. - Potrzebuję konia.

- Ja też - oznajmiła z naciskiem Judith. - Niech pan puści cugle, jeśli łaska.

Mężczyzna w fartuchu obszedł wóz i z kijem w rękę zmierzał ku niej.

- Niech się panna nie prosi o kłopoty! Zsiadać grzecznie i raz dwa, to krew się nie poleje.

- Przykro mi was rozczarować, ale krew się chyba poleje. - Judith wyciągnęła pistolet z kieszeni i wycelowała w tego z kijem. - Odsunąć się od wozu! I puścić konia!

Grubas sapnął, zarządził i wypuścił z ręki wodze. Ale służący był ulepiony z twardszej gliny.

- To czcza gadanina! Jeszczem nie widział baby, co by się nie bała broni... a ta niby chce sama strzelać?!

- Rozwieję twoje złudzenia, mój pocziwce.

Po raz drugi w ciągu ostatniej doby Judith wypaliła z pistoletu. Kula świsnęła tuż nad uchem służącego. Zaklął szpetnie i odskoczył. W tej chwili spłoszony koń poderwał się do biegu, a Judith trzepnęła jeszcze lejcami. Wiekowa szkapa mknęła niemal galopem, a wóz trząsał się i podskakiwał na kocich łbach.

Judith wybuchnęła triumfalnym śmiechem i dopiero wtedy zauważyła, jak kurczowo ściska cugle. Podczas konfrontacji nie czuła strachu, teraz

jednak serce waliło jej jak szalone. Ściągnęła więc lejce, gdy dotarli do końca uliczki; musiała zrobić kilka głębokich wdechów, nim się uspokoiła.

Skręciła w szeroką, wysadzaną drzewami aleję, która dochodziła do drogi do Quatre Bras.

Lord Carrington stał pod domem i obserwował niespokojne zachowanie okolicznych mieszkańców. Był w stroju do konnej jazdy i uderzając szpicrutą o cholewki butów, czekał, aż mu podprowadzą wierzchowca ze stajni. Bez trudu rozpoznał kobietę na furmance, która właśnie wyjechała zza zakrętu. Judith nie wzięła kapelusza i jej miedziane kędziory były wyraźnie widoczne w świetle księżyca.

Dokąd ona się wybiera, u diabła?!

Kiedy zrównała się z nim, podszedł do wozu. Zręcznie podciągnął się na ławeczkę obok niej.

- Dokąd to, panno Davenport? Wierzyć mi się nie chce, że taka dzielna dziewczyna ucieka!

Judith zamrugała oczami, zdumiona jego nagłym, a niespodziewanym pojawieniem się.

- Oczywiście, że nie uciekam, ale Sebastian postanowił przyjrzeć się z bliska bitwie. Więc pomyślałam, że i ja nie będę siedzieć w domu! Co pan robi na moim wozie?

- Jadę na gapę - odparł zwięźle. - Po jakie licho wybierasz się do Quatre Bras?!

- A cóż to pana obchodzi, dokąd jadę?

Zignorował to pytanie.

- Niepoczytalna z ciebie wariatka, moja panno - wypalił bez ogródek.

- Jak twój brat mógł puścić cię samopas na taką wyprawę?!

- Przekonał się pan na własnej skórze, milordzie, że potrafię sama za dbać o siebie! - Spiorunowała go wzrokiem.

- Możesz sobie poradzić z jednym nieuzbrojonym przeciwnikiem. Ale z rozbestwionym żołdactwem po bitwie? Bardzo wątpliwe.

- Właśnie zdołałam obronić siebie i konia przed dwoma napastnikami! Uzbrojonymi! - odpaliła.

- Moje gratulacje - rzucił kąśliwie. - Godny podziwu ślepy traf, który czasem sprzyja pomyłkom.

- Nie pańska sprawa, co robię i co z tego wyniknie!

- Wręcz przeciwnie, z każdą chwilą twoje sprawy, szalona panno, wiążą się coraz bardziej z moimi. - Wyciągnął przed siebie długie nogi i usadowił

się z wyraźną intencją pozostania na wozie przez czas dłuższy. - Zamierzam pogłębić naszą przelotną znajomość. - Spojrzał na nią z wyrzutem, a Judith mimo woli się zaczerwieniła. - Choć powinienem spodziewać się złośliwego ukąszenia po każdym przejawie życzliwości z mojej strony dodał, by pognać ją ostatecznie.

Judith odetchnęła głęboko.

- Może to wygląda na czarną niewdzięczność, ale nie potrzebuję usług raj fura!

- Co takiego?! - wykrzyknął. - Do wszystkich... - Nagle zatrząsł się ze śmiechu. - Ależ ty masz barwny słownik, ryciszko! A może to znów moje złudzenia, tym razem słuchowe?

- I nie lubię, gdy ktoś się ze mnie wyśmiewa! - burknęła z rozdrażnieniem.

- Nie lubisz? To nie wytaczaj takich absurdalnych zarzutów!

Judith przerwała tę utarczkę słowną, w której markiz wyraźnie był górą. Droga - w tej chwili pusta - rozwijała się przed nimi niczym jasna, lśniąca wstęga. Drzewa i żywopłoty wynurzały się z mroku w miarę, jak noc bladeła. Niebo było ciemnoniebieskie, a Gwiazda Polarna błyszczała na nim, maleńka jak główka szpilki. Judith miała wrażenie, że znaleźli się we dwoje na krańcu wszechświata i czekali na coś, czego nie potrafiłaby określić. Ogarnęła ją dziwna słabość, a ciało wymykało się spod kontroli. Gdy tak siedziała na wąskiej ławeczce obok Marcusa i zetknęli się udami, przeszył ją prąd o niezwyklej mocy.

Marcus również poczuł wstrząs, gdy emanująca z niej energia złączyła się z jego siłą witalną. Z determinacją przycisnął znów udo do uda Judith. Pragnął tej kobiety jak żadnej innej i chciał ją mieć za wszelką cenę. Czuł, że i w niej rośnie napięcie, i z rozmysłem milczał przez długą chwilę. Kiedy wreszcie odezwał się, zagadnął z pozorną nonszalancją:

- Skąd wytrzasnąłś ten sfatygowany pojazd?.

To całkiem zwyczajne pytanie pozwoliło Judith odprężyć się nieco. Po chwili odpowiedziała spokojnie:

- Znalazłam go przed karczmą. Właściciel jest pijany i przez dobrych kilka godzin nie zauważył braku konia i wozu.

Marcus wyprostował się na ławeczce.

- Chcesz powiedzieć, że go ukradłaś?!

- Wcale nie! Tylko pożyczylam. - Zbagatelizowała sprawę machnięciem ręki. - Odstawię wóz i konia na dawne miejsce, kiedy mi już nie będą potrzebne.

- Niepoprawna dziewczyno! Jak nie oszukujesz w karty, to kradniesz konie! - wybuchnął Marcus. - Najwyższy czas, żeby ktoś wziął cię w karby, zanim przebierzesz miarękę i skończysz na szubienicy! - Wyjął jej lejce z rąk i skierował konia na pobocze drogi, w cień kolczastego żywopłotu. Szkapo pochyliła łeb i zaczęła szczypać trawę.

- Co pan wyprawia?! - natarła na niego Judith.

- Sam jeszcze nie wiem.

Obrócił się na ławeczce i chwycił ją za ramiona. Znów przeleciał między nimi ten dziwny prąd. Judith spojrzała w oczy Marcusa, pełne determinacji, i poczuła, że rozgorzał w niej ogień, zmieniając mięśnie i kości w roztopioną lawę.

- Wprawiasz moje myśli w taki zamęt, Judith... - przyznał Carrington gardłowym szeptem, patrząc jej w oczy. - To chciałbym stłuc cię na kwaśne jabłko, to czule pieścić, ale wiem, że muszę cię mieć.

Judith potrząsnęła głową bez słowa. Odebrało jej chyba mowę. Była pewna tylko jednego: chce czuć na sobie jego ręce. Brutalne czy łagodne, wszystko jedno!

Marcus jęknął ostatecznie pokonany i przyciągnął Judith do siebie. Pocałował ją niemal brutalnie. Jej wargi rozchyliły się, ręce owinęły wokół szyi Marcusa, palce przegarniały jego gęste, ciemne włosy. Pulsowało w niej gorące podniecenie, a fale pożądania rozchodziły się po całym ciele. Nigdy dotąd nie odczuwała czegoś podobnego; poddała się temu palącemu doznaniu. Miała wrażenie, że stapia się w jedno z tym mężczyzną, którego ręce wędrowały po niej, uczyły się jej kształtów.

Marcus oderwał się na chwilę od pocałunku, by przyciągnąć ją do siebie na kolana.

- Chcę jeszcze więcej - powiedział cicho i odnalazł znów jej usta. Głowa Judith spoczywała teraz na jego ramieniu, jej usta pod jego ustami stały się jeszcze bardziej bezbronne. Ręce Marcusa odnalazły jej piersi i przyłgnęły do miękkich wzgórków kryjących się pod żakietem. Judith poruszyła się na jego kolanach, jej uda rozchyliły się same, gdy ukryty w jej wnętrzu pożar groził w każdej chwili unicestwieniem rozsądku i poczucia rzeczywistości.

- Dobry Boże! Ileż w tobie pasji, rysiczko! - Marcus uniósł głowę i spojrział w półprzytomne, pożądliwe, złociste oczy.

- To skutki szampana - mruknęła Judith, przyciągając znów do siebie głowę Marcusa.

Carrington się cofnął. Nagły śmiech błysnął w jego oczach, zabrzmiał w głosie i przygasił nieco płomień pożądania.

- Czy ja dobrze słyszę?! Według ciebie to tylko szampan?

- A nie? - Uśmiechnęła się szeroko.

Ale nawet kpiarski uśmiech nie zdołał zamaskować ogni płonących w jej oczach ani zmysłowego grymasu ust.

- Ach, ty szelmo! - powiedział miękko Marcus.

Jego ręka sunęła znów ku piersi Judith, a palce zręcznie uporały się z guzikami jej zakietu. Zadrżała, chwila swawolnej wesołości minęła. Maleńkie guziczki batystowej bluzki ustąpiły także i czuła teraz palce Marcusa na swojej skórze - gorące, stanowcze, doświadczone... Podniosła rękę, by pogłaskać go po włosach. Całe ciało w ślad za ręką wygięło się ku niemu w przypływie pożądania.

- Nigdy jeszcze nie czułam się tak jak teraz - szepnęła, nie mogąc złapać tchu z podniecenia.

- To mi się bardziej podoba - mruknął. - Nie chcę już słyszeć tych bredni o katastrofalnych skutkach szampana!

Uśmiechnął się do niej z istic męską satysfakcją. Spoglądając Judith w oczy, zaczął powolutku, centymetr po centymetrze, podciągać jej spódnicę do góry. Gorące tchnienie letniej nocy musnęło nogi, gdy spódnica znalazła się na wysokości ud. Dłoń Marcusa objęła jej kolano i sunęła w górę po wewnętrznej stronie uda.

- Gdybyś wiedziała, ile razy o tym marzyłem - wyznał Marcus. Jego palce skradały się coraz wyżej i wyżej. - Smagałaś mnie swoim ostrym języczkiem, a ja zadrezczałem się wizjami twojego ciała tuż przy moim.

Judith nic nie odpowiedziała, tylko dotknęła językiem warg i przymknęła oczy. Unosiła się na fali niezwykłych doznań, ale tylko coraz. szybsze falowanie piersi świadczyło o jej rosnącym podnieceniu.

Nagle czar przysł, gdy w ich intymny świat wtargnęły ostre dźwięki: gwar głosów, tupot nóg, przenikliwy zew trąbki. Stojący dotąd spokojnie koń spłoszył się i popędził wprost na żywopłot. Judith z wrzaskiem oburzenia spadła z kolan Marcusa. Ten, klnąc, chwycił za lejce, które niebacznie wypuścił z garści, i uwiesił się na nich, zmuszając do cofnięcia się przerażoną szkapę, która omal nie uwięzła w żywopłocie.

- A niech to wszyscy diabli! - wyraziła swe niezadowolenie Judith, wdrapując się znów na ławeczkę.

- Zręcznie powiedziane - stwierdził z aprobatą Marcus, oglądając się przez ramię. - Wygląda na to, że znaleźliśmy się na trasie regimentu spieszącego do boju.

- Nie mógł sobie wybrać innej drogi?! - burknęła Judith, wygładzając spódnice.

Marcus zerknął na nią z ukosa, wyraźnie ubawiony. Chyba pogodził się z nagłym antraktem w ich namiętnej scenie miłosnej.

- Wyjaśnij mi coś - zagadnął podejrzanym tonem. - Uznałaś moją wczorajszą propozycję za zniewagę... a ta scena w żywołocie nie budzi w tobie zastrzeżeń?

Judith przeczesła palcami rozczochrane włosy.

- Pytasz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Tym razem nie proponowałaś pieniędzy za moje usługi. Dostrzegasz chyba różnicę między prostytutką a kochanką?

Marcus gwałtownie zaczerpnął powietrza, a następnie powoli wypuścił je z płuc, starając się opanować. Znów te jej ekscentryczne zasady moralne! Było mu jednak obojętne, w myśl jakich reguł ukształtuje się ich związek, byle się ukształtował.

- Nie masz pojęcia, Judith, jak bardzo cię pragnę. Ale jeśli tego zażadasz, odejdę i nigdy już nie będę ci się narzucał. Gdybyś jednak...

- Nie chcę, żebyś odchodził - odpowiedziała z niewątpliwą szczerością.

- Rozumiesz, co oznacza taka decyzja?

- Rozumiem.

Poczuł ogromną ulgę. Co za przyjemność mieć do czynienia z kobietą, prostolinijną i niezbyt cnotliwą! Nigdy nie przepadał za czystymi dziewczątkami. Przekonał się, że znajomość życia i szczerość są znacznie bardziej podniecające.

Spojrzał ze zniecierpliwieniem na szeregi żołnierzy maszerujących drogą. Jak długo to jeszcze potrwa, do cholery, zanim ta kolumna przejdzie?

Judith poprawiła się na ławeczce.

- Dokąd właściwie jedziemy? - Klamka już zapadła, ale ni stąd, ni zowąd ogarnął ją niepokój.

- W pobliżu jest niewielki zajazd - odparł - jeśli dobrze pamiętam... Bogu dzięki, chyba to już koniec kolumny!

Wjechali z powrotem na drogę i ruszyli znowu w stronę Quatre Bras. Świtało już na dobre. Niebo przecinały czerwone smugi, szarość nabrała różanych odcieni.

- Jakie to pięknie! - powiedziała Judith. - Zawsze lubiłam podróżować o brzasku.

Spojrzał na nią z ukosa.

- To raczej niezwykła pora na podróżę.

Wzruszyła ramionami.

- Być może... dla innych.

Marcus nic nie odpowiedział. Nie miał ochoty rozwijać tego tematu. Nie teraz, kiedy pragnął, by Judith zapomniała o przeszłości, by ośwładnęła ją bez reszty pożądanie. Wiedział, że jest równie roznamiętniona jak on. Była awanturnicą, zepsutą i pozbawioną skrupułów, ale on pragnął właśnie takiej.

W szarawym świetle zamajaczył przed nimi dom kryty strzechą. Szyld kołysał się na wietrze, poskrzypując

- Koniec podróży - powiedział cicho Marcus.

Koniec? A może właśnie początek? - pomyślała Judith. W głowie jej się kręciło. Cóż za odurzająca mieszanina emocji: podniecenie, niepokój, niecierpliwe oczekiwanie... Nie kwestionowała swoich czynów ani motywów. Często działała pod wpływem impulsu, ale teraz ośwładnęła ją nieprzeparta żądza, domagająca się zaspokojenia. Pragnęła tego mężczyzny, musiała poczuć go na sobie i w sobie. Dotknąć jego skóry i poznać jego ciało tak dokładnie, jak znała własne. Wezbrał w niej odwieczny głód i w tej chwili gotowa była go zaspokoić, szarpiąc zębami i pazurami niczym drapieżna kocica w dżungli.

6

Sypialnia na poddaszu, o ścianach bielonych wapnem, była skromnie umeblowana, lecz czystotka. Nierówne deski podłogi pokrywała trzcinowa mata. Spłowieiałe muślinowe firanki powiewające w otwartym oknie były dobrane kolorem do baldachimu nad łóżkiem. Judith, zdejmując rękawiczki, zauważyła, jak drżącej ręce. Podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem spoglądała na ogród warzywny i roztaczającą się za nim panoramę pól i łąk. Za plecami swej towarzyszki Marcus taktownie usiłował pozbyć się madame Berthold, żony oberżysty, cierpliwie wysłuchując jej

monologu, w którym pochwały wynajętego pokoju przeplatały się z ponurymi przepowiedniami co do wyniku bitwy.

W końcu udało się skłonić madame do wyjścia. Marcus zamknął drzwi, oparł się o nie i wpatrywał się w odwróconą do niego plecami Judith. W pokoju zaległa cisza i wytworzyła się znów atmosfera niecierpliwego oczekiwania. Carrington rzucił szpicrutę na krzesło i powoli zaczął ściągać rękawiczki. Judith się nie poruszyła.

Podszedł do niej od tyłu. Uniósł ciężką zasłonę miedzianych loków i delikatnie przytknął usta do ciepłego karku dziewczyny. Przeszedł ją dreszcz, Marcus znów poczuł, że emanująca z nich energia i siły witalne przenikają się i zespalają ze sobą. Jego wargi odnalazły wyjątkowo wrażliwe miejsce pod uchem Judith; czuła jego oddech na skórze.

- Chcę cię ujrzeć nago, moja piękna rysiczko!

Odciągnął ją od okna, obrócił twarzą do siebie i wziął pod brodę. Judith ujrzała w jego oczach zmysłowy błysk, mówiący o pożądaniu równie dobitnie jak słowa, i poczuła, że przenosi się w jakiś inny wymiar, gdzie jedyną rzeczywistością były potężne fale doznań i emocji. Jej pragnienia utożsamiały się z pragnieniami Marcusa; trapił ich ten sam głód. Szepnęła, że i ona marzy o jego nagości. Powiodła dłonią po jego policzku, obrysowała małym palcem kontur jego ust. Chwycił ją za przegub, przytrzymał jej rękę i wciągnął ciekawski paluszek do ust, delikatnie przygryzając zębami jego koniec.

Było to rozkoszne doznanie, promieniujące z palca na całe ciało Judith. Oblizwała wargi, błysnęła oczyma... jej zmysłowe odruchy były równie spontaniczne i szczere jak jego.

- Boże święty! Ależ ja cię pragnę, Judith! - Czuł pożar w lędźwiach.
- Muszę zobaczyć cię calutką!

Wziął ją na ręce i poczuł znów, jak lekkie i prężne jest jej ciało, Prawdziwa złotooka rysica!

Posadził ją na skraju łóżka, przyklęknął, ściągnął jej buty. Potem wstał i również ją postawił na nogi.

- Będzie mi łatwiej rozebrać cię na stojąco - wyjaśnił z uśmiechem, całując ją leciutko.

- Sama uwinę się z tym szybciej - podsunęła Judith.

Marcus potrząsnął głową i zanurzywszy ręce we włosach dziewczyny, pocałował ją w usta. ich piersi przylgnęły do siebie. Judith jęknęła cichutko pod naporem jego warg. Gwałtownie wciągnął powietrze i puścił jej

włosy. Jego palce szybko i zręcznie zajęły się rozpinaniem żakietu, a następnie batystowej bluzki.

Miękkie wzgórki piersi zniknęły we wnętrzu jego ciepłych dłoni. Gdy końcami palców drażnił ich koniuszki, Judith przeszył rozkoszny dreszcz. Przymknęła oczy. Wodził dłońmi po jej klatce piersiowej, poznawał jej kształt, gładkość skóry, zarys żeber, wąską talię... Cofnął się o krok i objął zachwyconym spojrzeniem półnagą postać: lśniące włosy, mleczna karnacja, falujące piersi.

Judith uśmiechnęła się zagadkowo, spojrzała spod ciężkich powiek i przesunęła dłońmi po nagich piersiach.

- Zdejmij spódnicę! - szepnął chrapliwie.

Odpięła haftki z tyłu i spódnica opadła jej do kostek. Stała teraz przed nim w samej halce. Chwycił ją za biodra i pociągnął ku sobie. Zadrżała, czując przez cienką tkaninę gorący dotyk jego rąk. Przesunął palcem, a potem językiem wzdłuż jej kręgosłupa. Judith zadrżała, wyrwał się jej cichutki jęk. Jej stopy zadreptały niecierpliwie po podłodze.

Guzik przytrzymujący w pasie halkę ustąpił. Również i ta część garderoby opadła do stóp. Marcus wodził dłońmi - niespiesznie, pieścizotliwie - po łukach bioder, sprężystych pośladkach, smukłych udach, po czym obrócił dziewczynę twarzą ku sobie.

Objął spojrzeniem całą jej postać - od czubka ognistej czupryny do palców nóg, nadal odzianych w pończochy. Koronkowe podwiązki przytrzymywały je tuż nad kolanem. Marcus postanowił nie ruszać pończoch; było w nich coś rozkosznie prowokującego.

- Jesteś taka piękna - powiedział. - Ucieleśnienie moich marzeń.

Judith objęła go za szyję i przywarła nagim ciałem do szorstkiego surduta i gładkiej skóry bryczesów. Odrzuciła głowę do tyłu, wygięła porcelanową, szyję. Włosy opadły jej płomienną kaskadą na ramiona. Napór jej bioder świadczył wymownie o pożądanym, jakie odczuwała.

-Judith... Rysiczko! - szeptał, biorąc ją na ręce i tuląc do siebie. - Co ty ze mną wyprawiasz?!

Złożył ją na kapie przykrywającej łóżko, Przez chwilę wpatrywał się w nią a potem zaczął zrzucać z siebie ubranie.

Judith nie odrywała od niego oczu. Pochłaniała wzrokiem jego silne, muskularne ciało. Kiedy ściągnął koszulę, podziwiała potężną lekko owłosioną pierś, a gdy rozpiął pas i pozbył się bryczesów, z nieukrywaną ciekawością wpatrywała się w płaski brzuch, smukłe biodra, długie muskularne

nogi i męskość, świadcząca o niewątpliwym pożądaniu. Wciągnęła raptownie powietrze i poruszyła się niespokojnie na łóżku.

Przysiadł na jego brzegu, a potem położył się obok Judith. Całował jej szyję, głaskał brzuch, wdychał zapach jej ciała. Poznawał jego kontury, dotykał wypukłości i wgłębień, a ona pojękiwała pod dotknięciem pieśczołliwej ręki, szepcząc jego imię. Usta Marcusa wędrowały po jej piersiach, zębami drażnił delikatnie sutki. Fale coraz to nowych doznań opływały Judith, budząc w niej pożądanie coraz większe, nie do wytrzymania. Poczwała na biodrze napór pulsującej męskości i objęła ją palcami - było to niezwykle i cudowne uczucie.

Marcus jęknął cicho, jego język znaczył wilgotną, palącą ścieżkę na jej brzuchu. Rozchyliła uda, jej pieśczołoty stały się bardziej natarczywe.

-Ależ ty jesteś niecierpliwa! Nie tak szybko, kochanie, bo całkiem mnie wykończysz - powiedział z uśmiechem. - Cóż by to była za szkoda dla nas obojga!

Skinęła głową ze zrozumieniem. Wsunął rękę między jej uda, ostrożnie badając, czy jest już gotowa. Otworzyła się pod jego dotknięciem, wydając cichutkie piski zadowolenia.

- Chcę patrzeć w twoje oczy, kiedy się znajdę w tobie - wyszeptał miękko.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje.

Marcus znów ją całował. Oczy mu promieniały; świadomy, że daje jej rozkosz, osunął się między nogi Judith z cichym pomrukiem satysfakcji. Czwała napór jego męskości, gdy wnikał w szczelinę jej ciała, i zacisnęła instynktownie nogi. W jego oczach mignęło zdumienie. Ponownie dotknął jej ręką, a wówczas uniosła się ku niemu i objęła go nagląco nogami. Zbyt późno zdał sobie sprawę z istnienia kruchej błony, broniącej dostępu do wnętrza. A gdy ją przebił i ich ciała zespoliły się, w oczach Judith błyszczwały łzy, ale z jej ust wydobył się triumfalny okrzyk. Instynktownie podjęła narzucony przez kochanka rytm. I nawet cała gwardia napoleońska nie zdołałaby rozdzielić ich w tym momencie.

W oczach Judith pojawił się wyraz najwyższego zdumienia. Odrzuciła głowę do tyłu, wygięła szyję w łuk, a nogi zacisnęła wokół pasa Marcusa, wciągając go coraz głębiej w siebie. Z najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od wszelkich ruchów, rozkoszując się gorącym, aksamitnym wnętrzem jej ciała, wstrząsanego pierwszym orgazmem. Chętnie pozostałby tak na wieki, ale i jego orgazm nie dał na siebie czekać. Z prawdziwym

żalem Marcus wycofał się, ale nawet w chwili szczytowania tulił Judith do siebie.

- Boże święty! - westchnęła. - Ależ to było cudowne!

Marcus opadł na łóżko obok niej. Oczy miał zamknięte i przez dłuższą chwilę milczał. W końcu spytał dziwnie bezbarwnym głosem:

- Czemuś mnie nie uprzedziła?

- O czym?

Przewrócił się na bok i oparł na łokciu.

- Że jesteś dziewicą. - Jego spojrzenie padło na jaskrawoczerwone smugi na jej udach, gdy leżała obok niego z bezwstydnie rozpostartymi nogami. - Czemu mi nie powiedziałaś, do cholery?! - spytał z pretensją w głosie. Jego spojrzenie było twarde, jakby najwyższe uniesienie, które przed chwilą wspólnie przeżywali, zostało splamione poczuciem winy i wstydu z racji tej pomyłki.

- Myślałeś, że nie jestem dziewicą? - spytała.

- A co miałem myśleć? Zachowywałaś się jak kobieta doświadczona w tych sprawach. Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś nadal dziewicą?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - Judith siadła na łóżku. Nagły niepokój zmącił jej euforię.

- Oczywiście, że tak! - Opadł znów na poduszki. - Nie mam zwyczaju deflorować niewinnych dziewcząt!

- Przecież oboje tego pragnęliśmy. - Judith była szczerze zdumiona. Nie zaszło nic nieprzewidzianego.

Spojrzał na nią badawczo.

- Chyba masz rację - odparł z namysłem. - Wszystko zostało z góry przewidziane.

W tym pozornie beznamietnym stwierdzeniu było coś nieprzyjemnego. Judith poczuła zażenowanie i niepokój. Wyśliznęła się z łóżka i podeszła do umywalki. Nalała wody do miednicy.

- Mówisz tak, jakbyś był na mnie zły. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Zanurzyła ręcznik w wodzie i obmyła zakrwawione uda. - Czym cię tak zdenerwowałam?

Marcus wpatrywał się w kwiecisty baldachim, próbując wszystko sobie poukładać w głowie. Może krzywdził ją tym podejrzeniem? Jaki cel mogłaby mieć podobna intryga? A poza tym nawet najwspanialsza aktorka nie zdołałaby zagrać takiej namiętności, takiego pożądania, takiego zaspokojenia!

- Wracaj do łóżka - powiedział. - Musimy odespać tę noc.

- Nie wyjaśnisz mi, o co chodzi?

Podeszła do łóżka. Ujrzał w jej wielkich oczach zmęczenie i niepokój; przysiągłby, że jest szczerą.

- To *tristesse d'amour* - powiedział łagodnie. - Wybacz, to się zdarza... a ty kompletnie mnie zaskoczyłaś. Czuję się trochę niewyraźnie, ale to minie po paru godzinach snu. Zamknij oczka. ~ Dotknął jej powiek, pogłaskał po policzku i po chwili poczuł, że leżąca obok niego dziewczyna się odprężyła. Zmęczenie okazało się silniejsze od niepokoju.

Zapadając w nieświadomość, Judith wdychała zapach męskiego potu i ich miłosnej nocy. To wszystko było dla niej takie nowe... nic dziwnego, że tego czy owego nie mogła zrozumieć.

Obudziły ją straszne dudnienie i huk. Przez chwilę leżała, nie pojmując, skąd się wzięła w tym obcym łóżku, pod muślinowym baldachimem. Po tem wszystko jej się przypomniało. Usiadła wyprostowana.

- Co to za hałasy?

- Strzały armatnie. - Marcus stał przy oknie. Miał już na sobie bryczesy i właśnie wkładał koszulę. - Bitwa się rozpoczęła.

- Która godzina?

- Czwarta po południu.

Odwrócił się w stronę łóżka. Judith zachowywała się całkiem naturalnie, a wyglądała równie urzekająco i rozpustnie: siedziała na łóżku okryta jedynie rozpuszczonymi włosami i wymiętym prześcieradłem. Przypomniał sobie jej zapamiętanie w miłości, jej dziką namiętność i cudowną szczerłość. Szczerłość? Nie uprzedziła go, że jest dziewicą. Pozwoliła, by sam się o tym przekonał - zbyt późno. Ale może istotnie w obliczu nowych, niezwykłych doznań nawet nie pomyślała o swym dziewictwie? Ostatecznie dla awanturnicy nie jest ono sprawą najwyższej wagi! Marcus odsunął od siebie podejrzenia i napawał się widokiem bardzo jeszcze zaspanej Judith, która mrugała oczami i potrząsała głową, starając się wrócić do rzeczywistości.

- Przespaliśmy cały dzień! - powiedziała w końcu.

- Na to wygląda. - Podeszedł do łóżka i pochylił się, by ją pocałować.
- Jak się czujesz?

Judith się zastanowiła.

- Jestem trochę obolała - odparła po namyśle.

Marcus wzdrygnął się i powiedział sucho:

- Domagałem się odpowiedzi, to ją mam. W dzbanku jest gorąca woda. Ale jak się czujesz... duchowo?

Z wyrazu jego twarzy poznała, że szczerze go to interesuje i pragnie równie szczerzej odpowiedzi.

- Cudownie! - oświadczyła. - Ta cnota jest stanowczo zbyt przeceniana! Uśmiechnęła się do niego. - Czym się tak gryzłeś przed zaśnięciem? Naprawdę nie powinieneś robić sobie wyrzutów. Nie jesteś za nic odpowiedzialny!

Marcus zmarszczył brwi.

- Oczywiście że czuję się odpowiedzialny! - Chwycił jeden z jej potarganych loków i owinał go sobie wokół palca. - Wszystko to wydarzyło się tak szybko... może nazbyt szybko.

- Bo ja wiem? - odparła, przekrzywiając głowę na bok. - Mnie się wydawało, że z niczym się za bardzo nie spieszyliśmy.

Marcus dał za wygraną. Nie przekona jej, że powinna czuć się skruszona z powodu czegoś, czego najwyraźniej nie wstydziała się ani trochę. W tej sytuacji i jego wyrzuty sumienia powinny szybko minąć. Co się stało, to się nie odstanie. Nic już nie przeszkadzało kontynuacji ich romansu. Prawdę mówiąc, gdyby nie ostrzał artyleryjski... i nie żołądek, który na gwałt domagał się jedzenia, Marcus bezwzględnie wylądowałby znów w łóżku obok Judith.

Roześmiał się i ściągnął z niej prześcieradło.

- Wstawaj, bezwstydna rozpustnico! Schodzę na dół zamówić dla nas haniebnie spóźnione śniadanie!

- Znakomicie, bo umieram z głodu! A potem pojedziemy do Quatre Bras?

On sam wybierał się tam istotnie, lecz nie miał zamiaru wlec ze sobą Judith na pierwszą linię frontu. Ale po co się kłócić o pustym żołądku?

- Jak najprędzej. Z pewnością przydam się w kwaterze głównej Wellingtona. - Powiniennem się tam stawić ubiegłej nocy; będę musiał wymyślić jakąś przyzwoitą wymówkę. Nie mogę przecież oznajmić, że zatrzymała mnie amory! - Roześmiał się i zdjął z palca ciężki złoty sygnet. - Lepiej to załóż dla zachowania pozorów. Madame Berthold z pewnością by dostrzegła brak ślubnej obrączki.

- Masz rację. Zupełnie mi to nie przyszło do głowy! - odparła, przymierzając sygnet. - Trochę za duży, ale jakoś się trzyma na palcu.

Nalała wody z dzbanka do miednicy.

Marcus stał przy drzwiach jak wryty, zdumiewając się naturalnością, z jaką Judith myła się przy nim. Łędwie znów dawały o sobie znać, więc

zaklął pod nosem, wyrwał się spod jej uroku i zbiegł na dół do ogólnej izby, w której można było popić, zjeść i pogadać.

- O, już pan wstał, milordzie! Mówiłam właśnie panom oficerom, że zatrzymał się u nas bardzo zdrożony dżentelmen ze swoją małżonką. - Madame Berthold spojrzała na niego znad beczki, z której właśnie utoczyła piwa do kufla. Wyglądała na przestraszoną. - Bitwa się już zaczęła, milordzie- Przez cały dzień czekaliśmy, kiedy hukną armaty, ale odezwały się dopiero godzinę czy dwie temu. Francuzi umyślnie opóźniali atak... tak powiadają panowie oficerowie.

- Carrington! Co ty tu robisz, chłopie?

Marcus zaklął straszliwie w duchu, rozpoznawszy znajomego oficera dragonów i jego dwóch towarzyszy, stojących przy szynkwasiu.

-A, to ty, Francis? Jestem w drodze do kwatery głównej Wellingtona.

- Przesąpił próg izby i skinieniem głowy powitał dwóch pozostałych.

-Dzień dobry, Whitby. Witaj, George.

Pułkownik, lord Francis Tallent, spojrział na starego przyjaciela z najwyższym zdumieniem.

-Jesteś tu... z żoną?

- Wszyscy mamy swoje sekrety, Francis - rzucił lekkim tonem Marcus. Przyjaciele powinni wyciągnąć właściwe wnioski i dyskretnie zmienić temat. Ostatecznie miłosne awanturki to prywatna sprawa każdego mężczyzny. Zwrócił się do oberżystki: - Mogłaby pani zanieść na górę coś w rodzaju spóźnionego śniadania?

- I może herbatkę dla szanownej małżonki albo kieliszek sherry?

- podsunęła madame Berthold, pełna jak najlepszych chęci.

- O, proszę się nie fatygować ze względu na mnie. Równie dobrze mogę zjeść tutaj. Jestem głodna jak wilk!

Judith Davenport z uśmiechem wplynęła do izby. Nie skończyła jeszcze układać włosów i właśnie na oślep zwijąta loki w kok i upinała go szpilkami. Nie miała na sobie żakietu, a batystowa bluzka była rozpięta pod szyją. Uniesione w górę ramiona sprawiały, że biust jeszcze bardziej rzucał się w oczy.

- Myślałam właśnie, Marcusie... - Urwała nagle, zorientowawszy się, że w pokoju jest jeszcze ktoś oprócz nich. Wszyscy trzej oficerowie spaśowieli. Judith opadły ręce.

Czy usłyszała ich głosy? Jak mogła ich nie słyszeć na schodach? Świat zatrząsł się w posadach, gdy Marcus uświadomił sobie w pełni, co się stało i jakie będą nieuchronne skutki tego wydarzenia. Kiedyś zobaczył kłusow-

nika, który wpadł w straszliwe stalowe szczęki. Omal nie zemdłał z przerażenia na widok cierpień tego człowieka. Identycznie czuł się w tej chwili, gdy sam wpadł w złowieszcze zęby pułapki. Nie było wyjścia... żadnego wyjścia. Judith mogła być awanturnicą, ale nie dziwką. A on pozbawił ją dziewictwa.

- Znacie się oczywiście z moją żoną, Francis - powiedział. Podeszedł do drzwi i wziawszy Judith za rękę, wciągnął ją do pokoju. - Moja droga, czy znasz także wicehrabiego Whitby'ego i George'a Bannistera?

- Chyba już miałam przyjemność - odparła niezbyt przytomnie Judith.

W głowie jej wirowało, odkąd zdała sobie sprawę z rozmiarów katastrofy i z jej konsekwencji. Wszyscy ci ludzie należeli do londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Anegdotka o tym spotkaniu dotrze niebawem do stolicy i zamknie raz na zawsze jej i Sebastianowi wstęp na londyńskie salony. I krzywda ich ojca nie zostanie pomszczona. W tej chwili bajeczka Marcusa o „żonie” była jedyną jej osłoną. Skorzysta z niej, oczywiście, zanim będzie zdolna do przemyślenia całej sprawy.

- Niech to wszyscy diabli! Ale z ciebie cicha woda, Marcusie! - wykrzyknął Francis. - Takie sekrety! Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia, lady Carrington!

- I nasze! To trzeba koniecznie oblać - oświadczył Bannister. - Szampa, moja dobra kobieto!

- Nie jestem pewna, czy go mamy, wielmożny panie - odparła zakłopotana oberżystka. - Lepiej pójde i spytam męża.

Pospiesznie odeszła, a w izbie zapadło milczenie. Zdumienie i zakłopotanie trójki przyjaciół było widoczne, choć przez grzeczność starali się je ukryć.

- A więc wybierasz się z lady Carrington do Quatre Bras - odezwał się Whitby, podnosząc do ust kufel piwa.

- Coś w rodzaju podróży poślubnej - przytaknął Marcus bez zmrużenia oka. - Dość nietypowa, ale takie już mamy trudne czasy. - Jego uśmiech był nieco wymuszony.

- No właśnie - przyświadczył lord Francis.

- Jakie wieści z pola bitwy? - Marcus zmienił raptownie temat rozmowy.

- Jak było do przewidzenia, Boney zaatakował Bluchera pod Ligny i Wellingtona pod Quatre Bras.

- A czemu tak zwlekał z ofensywą? Zostało mu zaledwie pięć godzin do zachodu słońca.

- Według naszych agentów nie zarządził dziś rekonesansu o świecie i był przekonany, że pod Ligny napotka tylko jeden korpus Bluchera. Nie miał pojęcia, że Ziethen przybył mu w sukurs ze swoimi ludźmi. Uważał widać, że nie ma się do czego spieszyć - odparł Francis.

- Ale mimo to źle z nami na obu frontach - dorzucił posepnym tonem Whitby. - Wellington poniósł ciężkie straty pod Quatre Bras i otrzymaliśmy rozkaz sprowadzenia posiłków z Nivelles,

- Oto śniadanie, milordzie... a to butelka najlepszego czerwonego wina. - Żona oberżysty wmaszerowała z suto zastawioną tacą. - Mam nadzieję, że się nada. Szampana nie mamy, jaśnie panie.

- Nada się, jak najbardziej - uspokoił ją Carrington. Przyniósł krzesło „żonie”. - Siadaj, Judith, proszę, Przyłączycie się do nas, panowie?

- Dzięki, Carrington, ale nie skorzystamy. Błagam o wybaczenie, pani markizo. - Whitby skłonił się uroczyście. - Prawdę mówiąc, nawet o drugim śniadaniu dawnośmy już zapomnieli.

- Wiem, że jest mocno spóźnione - zdołała wykrztusić Judith.

Usiadła na krześle podsuwanym przez Marcusa i zerknęła przy tym na niego. Twarz miał bez wyrazu, z oczu nic nie mogła wyczytać.

- Ukroić ci szynki, moja droga? - spytał z chłodną uprzejmością.

- Owszem, dziękuję.

Policzki jej poróżwiały.

- Może kawałek kurczęcia?

- Bardzo proszę.

Wbiła oczy w obrus. Miała wrażenie, że popełniła jakąś straszną zbrodnię i zaraz na nią spadnie nieuchronna kara. W fatalnym nastroju skoncentrowała się na jedzeniu, pozostawiając podtrzymywanie konwersacji panom. Rozmowie towarzyszył nieustanny huk armat. Nagle zagłuszył go znacznie bliższy i wciąż przybierający na sile zgiełk. Coraz wyraźniej można było odróżnić poszczególne wołania, wrzaski i tupot.

Lord Francis podbiegł do drzwi gospody; za nim poszli inni. Rwący strumień ludzi - niektórzy konno, inni w powozikach i na bryczkach, ale większość na piechotę - płynął drogą w kierunku Brukseli. Kobiety niosące na rękę niemowlęta i starsze dzieci czepiające się matczynych spódnic brnęły po twardych grudach skrzepłego błota. Mężczyźni byli uzbrojeni w to, co nawinęło się im pod rękę: kije, noże, stare rusznice.

- Cóż to ma znaczyć, u diabła?! - wykrzyknął Marcus.

- Wygląda na beżładną ucieczkę przed wrogiem - odparł Whitby. - Widać Wellington jest w odwrocie.

- Napoleon nie mógł go rozgromić w tak krótkim czasie - zaoponował Marcus. - To niewiarygodne!

- Tak, tak, wielmożni panowie, oni mówią, że wojsko jest w odwrocie. - Oberżysta wrócił pędem z pobocza drogi, gdzie usiłował zebrać informacje od uciekających. - Wellington cofa się do Brukseli, Prusaki wieją do Wavre.

- A niech to wszyscy diabli! - wrzasnął George Bannister, chwytając kapelusz. - W drogę, moi panowie!

- Berthold! - huknął Marcus do oberżysty, który znów zmierzał do drzwi. - Każ zaprzęgać mego konia do wozu!

Popędził na górę do sypialni, przeskakując po dwa stopnie naraz. Judith przez chwilę pozostała w opustoszałej izbie z szynkwasem, wsłuchując się w dolatujący z zewnątrz potężny zgiewk. Potem pomknęła po schodach za Marcusem.

Włożył właśnie surdut i sprawdzał zawartość kieszeni. Obejrzał się na wchodzącą Judith i oznajmił lakonicznie:

- Jadę do Quatre Bras. Ty zostań tutaj. Ureguluję rachunek, jak wrócę po ciebie.

- Zapominasz, że i ja wybieram się do Quatre Bras - odparła z trudem przez zaciśnięte gardło.

W obecnej sytuacji wszelkie dyskusje na tematy osobiste były nie na miejscu, ale chłód w głosie Marcusa wydał się jej niczym nieusprawiedliwiony. Nie mogła też uwierzyć, że zamierzał wynieść się stąd, pozostawiając ją w pustej oberży, odciętą od wszelkich informacji.

- O tym nie ma mowy - uciał kategorycznie. - To zbyt niebezpieczne. Zresztą tylko byś przeszkadzała.

Ogarnął ją gniew. Sprawilo jej to pewną ulgę, gdyż zapomniała o dręczącym ją poczuciu bezsilności i obawie przed straszliwą karą z powodu tego, co zaszło między nią a Marcusem Devlinem.

- To mój koń i mój wóz! - podkreśliła z wściekłością. - I nie ty mi będziesz dyktował, dokąd jechać i co robić! Nie masz do tego prawa! - Chwyciła żakiet i rękawiczki. - Jeśli chcesz, żebym znów cię podwiozła, proszę bardzo. A jak nie, szukaj sobie innego środka lokomocji!

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i wybiegła z pokoju. Klnąc pod nosem, Marcus chwycił swoją szpicrutę i popędził za Judith. Dotarł na dziedziniec przed stajnią, deptając dziewczynie po piętach. Judith wskoczyła na ławeczkę furmanki - zaprzęzonej i gotowej do drogi - i trzępnęła lejcami. Marcus chwycił za wędzidło i zatrzymał konia.

- Zachowujesz się jak nieznośny bachor! - warknął. - Na polu bitwy nie ma miejsca dla kobiet. Zsiadaj natychmiast!

- Nie! - odpysknęła Judith. - Ty arogancki, nieznośny tyranie! Już ci mówiłam: pojedę, dokąd zechcę, a ty nie masz prawa mną komenderować!

- Owszem, mam święte prawo jako twój mąż - oświadczył. - Pole bitwy to nie miejsce dla mojej żony. Rób, co ci mówię!

Judith na chwilę zaniemówiła.

- Nie jestem twoją żoną! - zdołała w końcu wykrztusić.

- Praktycznie rzecz biorąc, jesteś. A jak tylko dopadnę jakiegoś księdza, zostaniesz nią w obliczu Boga i prawa.

Tego by nawet święty nie wytrzymał!

- Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś był ostatnim mężczyzną na ziemi!
- wrzasnęła.

- Dla ciebie, moja droga, rzeczywiście nim będę - stwierdził sucho.

- Pierwszym i ostatnim, którego poznasz w biblijnym znaczeniu tego słowa.

Biała jak kreda Judith stanęła na wozie i smagnęła konia lejcami. Zwierzę parsknęło i puściło się galopem, ku kompletnemu zaskoczeniu Marcusa. Ściskając nadal wędzidło, potknął się i omal nie przewrócił. Odzyskał jednak na czas równowagę i rozsądek. Puścił wodze, by rozhukany koń nie powłókł go za sobą. Następnie uchwycił się burty wozu, wspiął na ławeczkę i odebrał Judith cugle. Koń gnał, jakby pszczoła użądliła go w podogonie.

- Monsieur! Monsieur! - rozległy się za nimi pełne oburzenia krzyki oberżystki.

Judith obejrzała się przez ramię. Madame Berthold pędziła za nimi, wymachując rondlem; jej fartuch powiewał na wietrze, czepek spadł jej do rowu, ale ścigała ich, nie zważając na nic.

- Chyba zapomniałeś o zapłacie - zdołała wykrztusić Judith, nim porwał ją histeryczny śmiech; całkiem zapomniała o gniewie.

- Niech to szlag!

Marcus ściągnął gwałtownie lejce. Biedne, oszalałe ze strachu konisko omal nie stanęło dęba. Markiz spojrzął na Judith, zgiętą w pół i płaczącą ze śmiechu. Wargi mu zdrzętały, a ramiona zatrzęsły się, gdy dotarła do niego w pełni absurdalność tej sceny. Obejrzał się przez ramię na madame Berthold: nadal pędziła za nimi, ciężko dysząc.

- Kiedyś naprawdę spiorę cię na kwaśne jabłko! - zapowiedział niemogącej złapać tchu Judith i sięgnął do kieszeni po pieniądze. - Omal nie zostałem przez ciebie złodziejem!

Spojrzał w dół, na czerwoną, pełną oburzenia twarz madame Berthold, obdarzył ją zniewalającym uśmiechem i rozpląnął się w przeprosinach, usprawiedliwiając swe zapomnienie nagłością wyjazdu. Udobruchał oberżystkę garścią suwerenów, które pokrywały z nawiązką koszty noclegu i posiłku. Madame stała na drodze bez tchu, oczekając potem, gdy Marcus popędził znów szkapę.

- Na czym to stanęliśmy? - zwrócił się do Judith.

Przestała się wreszcie śmiać i opadła bez sił na twardą drewnianą ławeczkę.

- Na drodze do Quatre Bras, dokąd oboje zmierzamy. Pod prąd.

- Na to wygląda. Tam znajdziemy księdza.

- Musi być jakieś inne wyjście! - upierała się, przygryzając wargę. Nie mogła jednak wymyślić żadnego, które zapobiegłoby totalnej katastrofie. Czy Sebastian zdoła jej wybaczyć, że zniweczyła ich długo i starannie przygotowywaną kampanię dla głupiej awanturki miłosnej?

- Pozbawiłem cię dziewictwa i zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku. To by raz na zawsze zniszczyło twoją reputację. W tej sytuacji jest tylko jedno honorowe wyjście - stwierdził rzeczowo, bezbarwnym tonem.

- Czyżbyś zapomniał, milordzie, że jestem oszustką, złodziejką, awanturnicą spod ciemnej gwiazdy, że nie należę właściwie do towarzystwa i żyję z karcianych sztuczek? - mówiła szorstko, gniewnie, z wysiłkiem.

- Nie zapomniałem. Będę musiał cię skłonić do zaniechania tych niegodnych praktyk.

-A jeśli ich nie zaniecham, milordzie?

Wzruszył ramionami.

- To nie żarty, Judith. Twoja nowa pozycja nakłada na ciebie pewne obowiązki. Potraktuj je jako warunki naszego układu. Coś za coś.

Coś za coś? Judith odwróciła się, próbując uporządkować myśli kłębiące się w jej głowie. Małżeństwo z markizem byłoby niezwykle pomocne w realizacji ich wspólnych planów -jej i Sebastiana. Jako markiza Carrington zostałyby niezwłocznie, w najbardziej naturalny sposób przyjęta do kręgów towarzyskich, w których obracał się Gracemere. Sebastian również byłby wszędzie mile widziany jako szwagier Carringtona. Ich pozycja wśród londyńskiej elity zostałyby ugruntowana, a zgromadzone przez nich

fundusze pokryłyby z nawiązką koszty kawalerskiego życia Sebastiana. Zamiast domu z mnóstwem służby miałyby elegancką garsonierę z jednym dobrze wyszkolonym lokajem. Zaoszczędzonych pieniędzy starczyłoby na znacznie dłużej. I dzięki temu mogliby zemścić się na swoim wrogu wcześniej, niż przewidywali! A gdy tego dokonają, Sebastian odzyska swoje dziedzictwo. Sam los wtyka jej w ręce atutową kartę! Tylko ostatni głupiec zrezygnowałby z niej dla niemądrych skrupułów.

Ale Marcus nie może się o tym dowiedzieć! Nie może poznać ich sekretów! Jak więc w tej sytuacji uczciwie wypełniać zobowiązania wynikające z ich układu?

- Właściwie nic o tobie nie wiem - powiedziała głośno. - Na przykład... czemu się dotąd nie ożeniłeś?

Zapadło milczenie. Marcus wpatrywał się w przestrzeń i zastanawiał się, czy wyjawić jej prawdę... a raczej jej oficjalną, mniej drastyczną wersję. Honor nakazywał mu trzymać się tej wersji, gdyż osoba najbardziej pokrzywdzona od wielu lat spoczywała w grobie. Całą prawdę znał już tylko on i ten drugi. Ale Judith miała prawo żądać wyjaśnień.

- To przykra, dość banalna historia... Ale w moim przypadku skomplikowała sprawę duma, której mi nie brak. Dziesięć lat temu miałem narzeczoną. Była twoim przeciwieństwem. Zналиśmy się od dzieciństwa i jakoś nie przyszło mi do głowy, że powinienem zabiegać o jej względy. Martha była słodka, łagodna i sądziłem, że znajdę w niej uległą, wzorową żonę. A tymczasem oszalała na punkcie pewnego łowcy posagów, hazardzisty, który bardzo sprytnie ją w sobie rozkochał. No i zerwała zaręczyny.

Mówił spokojnym głosem, nawet trochę kpiąco.

- Rola wzgardzonego narzeczonego wydawała mi się bardzo trudna i poniżająca. Byłem za młody, by znieść ze spokojem publiczne upokorzenie. Doszedłem do wniosku, że znacznie wygodniej będzie przez resztę życia obchodzić się bez żony.

- A ona poślubiła tego łowcę posagów?

Czyż miała inne wyjście? Biedne głupiatko. Marcus zamknął oczy, usiłując odegnąć od siebie wspomnienie posiniaczonej twarzy Marthy i jej rozpaczliwych łkań. Judith, ta nieujarzmiona dzika kotka, nigdy by nie wpadła w takie tarapaty! Awanturnica bez skrupułów potrafi wykorzystać każdą sytuację dla własnej korzyści.

Czy tak było i dziś? Słyszała ich głosy, schodząc po schodach? Wiedziała, kogo spotka na dole, nim zeszła tam w niedbałym stroju, promieniejąc

blaskiem triumfującej, zaspokojonej kobiecości? Czy zrobiła to z premedytacją?

Ale choćby nawet tak było, on jako człowiek honoru nie miał innego wyjścia.

- Tak, wyszła za niego - odparł - i dziewięć miesięcy później zmarła w połogu, pozostawiając mu całą swą fortunę na stracenie. - Pokręcił głową i zakończył stanowczym tonem: - Nie będziemy nigdy więcej rozmawiać o Marcie. Jesteś jej całkowitym przeciwieństwem, jakbyście należały do dwóch odmiennych gatunków.

Judith pragnęła go spytać, czy wierzy, że ich małżeństwo może być udane. W głębi duszy jednak знаła odpowiedź. Żenił się z nią z przymusu, zdradzał to każdym słowem i tonem głosu.

Gdyby nie chodziło o zemstę nad Gracemere'em, Judith bez żalu zwróciłaby Marcusowi wolność. Przekonałaby go, że dla takich jak ona reputacja nie ma wielkiego znaczenia i że z chęcią pozostanie jego kochanką, póki im się to nie sprzykrzy. Ale gracz nie wypuszcza z ręki atutowej karty.

Odwróciła się i napotkała jego chłodne spojrzenie.

— A więc układ stoi, milordzie - powiedziała po prostu.

Carrington skinął głową potwierdzająco i skupił się na powożeniu.

Judith zamknęła oczy, wsłuchując się w coraz bliższy huk dział. Na drodze panował tłok. Mijały ich oddziały piechoty, jazdy i artylerii. Prócz tych okrucichów cofającej się armii pełno było uciekającej w popłochu ludności cywilnej. I nagle osobiste uczucia, namiętność i pragnienie zemsty wydały się Judith bez znaczenia w obliczu wydarzeń, które miały pochłonać tysiące ludzkich istnień i zdecydować o przyszłości świata.

1

Wioska Quatre Bras wyrosła na skrzyżowaniu dróg. Teraz w oczach Judith przypominała ilustrację do *Piekle* Dantego. Bitwa nadal wrzała i ciężki całun armatniego dymu spowijał zniszczone budynki: pojedyncze chaty oraz zabudowania większych gospodarstw położonych wzdłuż drogi. Zabici i ranni leżeli wszędzie, gdzie było trochę wolnego miejsca. Z lazaretu polowego dolatywały rozpaczliwe krzyki i jęki.

Na głównej ulicy pełno było ludzi i koni. Jedno zranione zwierzę szamotało się, uwiązane do obalonej armaty. Koń kwiczał przeraźliwie, gdy grupka żołnierzy usiłowała przeciąć postronki i dźwignąć przewrócone działo.

- Dobry Boże! Nie powinnaś tego oglądać - wymamrotał Marcus, zwracając się do Judith. - Co ja z tobą pocznę, u diabła?!

- Wcale nie musisz się mną zajmować - oświadczyła. - Schodzę z wozu. Zajęcia mi tu nie zabraknie!

Zerknął na nią z ukosa, dostrzegł wyraz determinacji na jej pobladłej twarzy i ściągnął lejce. Znajdowali się za linią frontu, ale i tu zagrożenie było duże. Judith miała już zeskoczyć z wozu, gdy Marcus powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

-Chwileczkę!

- Szkoda czasu! - rzuciła niecierpliwie.

- Tutaj jest niebezpiecznie ~ przekonywał.

- A gdzie jest bezpiecznie? - odparowała, wskazując otaczający ich zewsząd chaos. - Będę ostrożna!

Marcus zmarszczył brwi. Potem wzruszył ramionami z rezygnacją.

- Niech ci będzie. Trzymaj głowę nisko i nie wychodź na otwartą przestrzeń. Jadę prosto do Wellingtona. Zostań tu, we wsi. Odnajdę cię, gdy już będę wiedział, jak sprawy stoją.

Kiwnęła głową i zeskoczyła z furmanki. Podkasawszy spódnicę, przebiegła przez drogę do leżących w cieniu żywopłotu rannych, którymi nikt się nie opiekował. Przez wiele godzin, nawet po zachodzie słońca, kiedy przerwano już walkę i ucihły wystrzały armatnie, Judith biegała po wodę, by napoić spragnionych, albo po bandażę do lazaretu polowego, by opatrzyć choć niektóre z ich ran. Czuwała przy umierających lub zapadających w błogosławione omdlenie. Półprzytomni zwierzali się jej ze swych obaw, win i najgłębszych pragnień, a serce Judith wzbierało litością i przerażeniem: tyle cierpienia, tyle zmarnowanego młodego życia.

Przez cały wieczór nieustannie wypatrywała Sebastiana i nadsłuchiwała jego głosu. Z pewnością był świadkiem tej masakry. A może wmieszał się w tłum walczących? Może jakaś zbłąkana kula. Nie, nie może tak myśleć!

Marcus odnalazł ją w lazarecie polowym. Trzymała za rękę młodzieńczego chorążego, gdy chirurg amputował mu nogę. Chłopiec wbijał zęby w twarde ramię i ścisnął rękę Judith tak mocno, że palce mu zbieleły. Marcus obserwował ich do chwili, gdy ranny przekroczył próg ludzkiej

wytrzymałości i jego ręka opadła bezwładnie na stół. Judith zaczęła rozcierać obolałe palce i rozglądać się za kimś innym, kto potrzebuje pomocy.

Zauważyła Marcusa i spojrzała na niego oczyma zamglonymi ze zmęczenia. Twarz miała usmoloną, a na spódnicy zakrzepłą krew. Odgarnęła z czoła wilgotne od potu włosy. We wnętrzu szpitalnego namiotu powietrze było duszne i cuchnęło krwią.

- Jaki jest wynik bitwy?

- Nasza armia wycofuje się na razie pod Mont St. Jean - powiedział Marcus. - Wellington pozostał tu ze swoim sztabem; dokonują oceny sytuacji. - Wyjął chusteczkę i otarł Judith pot z czoła, a potem czarną smugę z policzka. Oczy miał posępne. - Usiłuję się dowiedzieć czegoś o Charliem. Straty są ogromne.

- A ja ciągle mam nadzieję, że zaraz spotkam Sebastiana. - Judith rozejrzała się po lazarecie. Latarnie oświetlały wnętrze krwawym blaskiem, na ścianach namiotu tańczyły wielkie cienie, gdy chirurdzy poruszali się między stołami, na których było pełno rannych. - Co teraz zrobimy?

- Jesteś zupełnie wykończona - odparł Marcus. - Musisz coś zjeść i odpocząć.

Głowa Judith opadała, jakby szyja nie mogła utrzymać jej ciężaru.

- Jest jeszcze tyle do pracy.

- Starczy na dziś. Jutro będzie równie dużo albo i więcej.

Wziął ją za ramię i pociągnął w stronę wyjścia. Pośliznęła się w kałuży krwi i przyłgnęła do niego rozpaczliwie. Objął ją mocno, przytulił do siebie; jej gibkie, prężne ciało wydawało się pozbawione ścięgien i kości. Była przesiąknięta wonią krwi, ziemi i potu. Marcus poczuł, że wzbiera w nim fala czułości i się zdumiał. Judith Davenport podniecała go, irytowała, bawiła, ale nie budziła w nim dotąd instynktów opiekuńczych. Ucałował ją w spocone czoło i wyprowadził na chłodne nocne powietrze.

- Ale najpierw załatwimy pewną sprawę niecierpiącą zwłoki. Zadbam o to, by wszystko odbyło się dyskretnie.

- O czym ty mówisz?

Wziął ją za lewą rękę, na której nadal błyszczał jego sygnet.

- Twoja obecność tutaj, w moim towarzystwie, domaga się wyjaśnień... a wyjaśnienie może być tylko jedno. Załatwimy sprawę bez zwłoki. We wsi jest belgijski ksiądz, który udzieli nam ślubu. Nie zajmie to wiele czasu.

Judith mimo wszystko spodziewała się tradycyjnego ślubu... ale Marcus widać chciał to mieć jak najprędzej z głowy. Sprawilo jej to przykrość, choć i ona kierowała się w tej sprawie względami praktycznymi. Nie zawierali

przecież małżeństwa z miłości, lecz układ na zasadzie „coś za coś”. Mimo woli jednak wyrwało się jej pytanie:

- Czy to musi odbyć się teraz? W środku tej rzezi?

- To kwestia honoru - odparł krótko. - Mojego, jeśli na twoim ci nie zależy.

Ta ironiczna uwaga sprawiła, że Judith zaczerwieniła się i zirytowała.

- Kiedy ostatnim razem dyskutowaliśmy o moim honorze, miałam pistolet w rękę - przypomniała mu, prostując się dumnie mimo zmęczenia.

Donośny okrzyk zagłuszył odpowiedź Marcusa.

-Judith! Ju!

Oboje odwrócili się i ujrzeli Sebastiana.

- Braciszku! - Judith pomknęła ku niemu, zapominając o Marcusie i swoim honorze. - Wszędzie cię szukałam!

- Co ty tu robisz, u diabła?! - dopytywał się, obejmując ją. - Zostawiłem cię przecież w Brukseli!

- Naprawdę myślałeś, że usiedzę w domu? - odcięła się i uśmiechnęła od ucha do ucha.

Pokiwał żałośnie głową.

- Chyba nie... Znam przecież swoją siostrzyczkę! - Dopiero teraz zauważył Marcusa i uniósł brwi. - Jak się masz, Carrington!

- Nie widziałeś przypadkiem Charliego? - spytała pospiesznie Judith. - Marcus usiłuje dowiedzieć się czegoś o nim.

- Widziałem go kilka godzin temu - powiedział Sebastian. - Był z Neilem Larsonem. Larsona postrzelili, a Charlie wyniósł go z pola bitwy. Po tem go zabrali na jeden z wozów wracających do Brukseli.

Judith spostrzegła, że Marcusa opuszcza napięcie; „czarny diablik zeskoczył mu z ramienia” -jak mawiał jej ojciec.

- Bogu dzięki! - wymamrotał markiz. Jego oczy nie były już twarde, a usta zaciśnięte. Cała jego uwaga skoncentrowała się na osobie Sebastiana. - Zjawiasz się w samą porę, Davenport, żeby mi wyświadczyć wielką przysługę.

- Jaka?

- Poprowadzisz swoją siostrę do ołtarza. Żenię się z nią.

-Co takiego?!

- Pozwól, że porozmawiam z bratem w cztery oczy - wtrąciła pospiesznie Judith.

Marcus skłonił się sztywno,

- Ależ oczywiście. Plebania, jak się łatwo domyślić, znajduje się obok kościoła. Spotkamy się tam, kiedy mu wszystko wyjaśnisz.

Ruszył w stronę niewielkiego, stojącego przy drodze kościoła. Jedna z kul armatnich pozbawiła go wieży. Judith spoglądała za odchodzącym.

- Mów, o co chodzi! - domagał się Sebastian.

Wyjaśniła mu sytuację najlepiej, jak umiała. Nie było jednak łatwo przyznać się bratu, jak dalece dała się ponieść namiętności.

Sebastian słuchał w milczeniu, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Był zaskoczony, że jego trzeźwo myśląca siostra w chwili szaleństwa omal nie zrujnowała tego, co było celem ich życia. Nie mógł też pojąć, jak Marcus Devlin mógł obudzić w niej tak gwałtowne uczucia.

Ponieważ brat milczał, Judith spytała niepewnie:

- Bardzo jesteś na mnie zły?

- Nie wiem, czy to odpowiednie słowo, ale chyba tak.

Był nie tylko zły, ale i zazdrosny. Markiz wtargnął do ich prywatnego świata. Sebastian nie chciał dzielić się uczuciami siostry. Byli nierozłączni i tacy sobie bliscy! Mieli wspólne myśli, marzenia i obawy... A teraz znalazła sobie kogoś innego i z nim będzie się dzielić tym wszystkim!

- Czy ty naprawdę chcesz za niego wyjść? - spytał nagle. - Czy robisz to z musu?

Judith przygryzła wargę.

- Moje uczucia nie mają większego znaczenia. Nawarzyłam piwa i muszę je wypić. Jeśli za niego nie wyjdę, nigdy nie dokonamy tego, czego musimy dokonać! Zresztą, znakomicie się składa: markiza Carrington zdoła bez trudu zaprzyjaźnić się z Gracemere'em. A i ty zdobędziesz pozycję w towarzystwie. Trudno sobie wyobrazić coś lepszego, prawda?

- Chyba masz rację. - Wpatrywał się w ciemność, marszcząc brwi. Jeśli będzie oceniał całą sprawę pod kątem użyteczności, może okaże się mniej bolesna. - Ale jeśli Carrington się domyśli, że posłużyłaś się nim do własnych celów?

Judith wzruszyła ramionami.

- Czemu miałyby się domyślić?

Sebastian przeganiał rękami włosy i ścisnął bolące skronie.

- Musimy zrobić wszystko, żeby się nie zorientował. Nie znam go dobrze, ale z pewnością byłby groźnym przeciwnikiem!

Judith doszła do tego samego wniosku, ale starała się zbagatelizować sprawę.

- Bo ja wiem? Co prawda chce wszystkimi rządzić, ale ja go tego oduczę! Co do innych wad, to nie podejrzewam go o jakieś obrzydliwe przywary ani perwersje. - Zaśmiała się nerwowo. - Z pewnością zorientowałabym się w trakcie... to znaczy...

- Rozumiem, co masz na myśli - przerwał jej Sebastian. - Ale wolałbym się w to nie wgłębiać.

- Przepraszam - bąknęła. - Nie pomyślałam, że to dla ciebie kępujące.

- Jakoś do tego przywyknę - burknął i dodał z nagłym ożywieniem. - Więc jeśli już podjęłaś decyzję, to twoja wysoka pozycja może nam się przydać. A za mąż i tak byś wyszła, wcześniej czy później. Wspaniale, że robisz taką dobrą partię!

Judith nie bardzo wierzyła w tę nagłą zmianę frontu, ale wołała jej nie kwestionować.

- No to chodźmy. Załatwimy to od ręki! - powiedziała z równą determinacją.

Marcus czekał na nich w niewielkim ogródku obok plebanii. Przyglądał się im, gdy szli ramię w ramię, pogrążeni w rozmowie. O czym tak dyskutowali? O nim? Czyżby padł ofiarą ich wspólnych machinacji?

Gwałtownie odsunął od siebie te podejrzania. Zupełnie zrozumiałe, że Judith i Sebastian mieli wiele do omówienia. Całkiem naturalne. Nic groźnego! Judith mogła zachowywać się zbyt swobodnie i być pozbawiona skrupułów, ale to jeszcze nie znaczy, że jest podstępna i zdradziecka jak Dalila wobec Samsona!

A poza tym, kiedy patrzył na jej promienną piękność, której nie przyćmiły krew, pot ani wielogodzinne czuwanie przy rannych, i gibką postać, pełną wdzięku mimo śmiertelnego zmęczenia, pragnął jej równie mocno jak ubiegłej nocy. Nie będzie tradycyjną wzorową żoną, to oczywiste. Jest zmienna i ruchliwa jak żywe srebro, mieniąca się tęczą barw jak oszlifowany diament i z pewnością nigdy mu się nie znudzi!

Wyszedł im naprzeciw z wyciągniętą ręką.

- No i co, Sebastianie? Mam nadzieję, że wyraziłeś zgodę na małżeństwo siostry? Prawdę mówiąc, sam powinienem cię o to prosić.

Sebastian mocno ucisnął wyciągniętą do niego rękę.

- Ju nigdy nie pytała o pozwolenie, kiedy się na coś uparła. A zresztą - dodał z lekkim uśmiechem - w tych okolicznościach...

Marcus mimo woli uśmiechnął się w odpowiedzi na ten zniewalający, porozumiewawczy uśmiech. Jakże podobny do uśmiechu jego siostry!

No właśnie - przytaknął. - Idziemy? A prawda, Judith, oddaj mi sygnet.

O dziwo, proboszcz uznał ślub zawierany podczas bitwy za coś równie naturalnego jak udzielanie ostatniej posługi umierającym, na czym zszedł mu cały dzień. Był równie zmęczony jak oni, a na widok pokrwawionej i brudnej sukni Judith skinął głową ze zrozumieniem. Zawołał z kuchni siałą babinę na drugiego świadka i zaprowadził ich wszystkich do zrujnowanego kościoła. Odczytał liturgię w tak błyskawicznym tempie i tak niewyraźnie, że nawet Judith, która od dzieciństwa paplała po francusku, nie wszystko rozumiała.

I tak oto w zrujnowanym kościele, o dwa kroki od pola bitwy, Judith Davenport i Marcus Devlin markiz Carrington zostali zaślubieni według praw buskich i ludzkich. Marcus założył żonie na palec swój sygnet i szepnął: „W Londynie znajdziemy coś odpowiedniejszego” i zgodnie z obyczajem pocałował ją lekko w usta.

M'sieur... madame... s'il vous plait. - Ksiądz powrócił z zakrystii z oprawnym w skórę tomiskiem. - *Le registre,*

Judith i Marcus złożyli swe podpisy w rejestrze pod mało czytelnymi bazyliami poprzednich par.

Eh, vous aussi, m'sieur.

Proboszcz skinął na Sebastiana, który podpisał się tuż pod siostrą. Starowina postawiła krzyżyk. I nagle w mrocznym, zrujnowanym kościele zapadło niezręczne milczenie. Judith kaszlnęła, a Sebastian odezwał się ze sztucznym ożywieniem:

No i po wszystkim! Moje gratulacje. - Ucałował siostrę i uściśnął dłoń szwagra. - Mam w jukach butelczynę koniaku. Wypijemy za zdrowie młodej pary!

Marcus skinął głową

Może poczekać na zewnątrz, a ja załatwię resztę formalności z księdzem proboszczem?

Judith wpatrywała się w stronicę parafialnego rejestru i trzy złożone na niej podpisy. Poczowała nagłe zimno i włosy zjeżyły jej się na karku.

Wydźmy stąd - powiedział Sebastian, biorąc ją za ramię.

Jak we śnie pozwoliła się wyprowadzić do ogrodu.

To małżeństwo jest nieważne - szepnęła drżącym głosem.

Brat popatrzył na nią. Księżyc w nowiu z trudem przedzierał się przez całun chmur. W tym oświetleniu twarz Judith miała barwę wosku.

- O czym ty mówisz?
- O podpisach - szepnęła. - To nie są nasze prawdziwe imiona i nazwiska.

- Dobry Boże! - Sebastian gwizdnął z cicha. - Nikt nas tak nie nazywał od dzieciństwa! W ogóle już nie pamiętam, że kiedyś nazywaliśmy się inaczej.

-I co teraz zrobimy?

- Nic - odparł. - Nikt o tym nie wie. Gdybyśmy wrócili i próbowali odkręcić sprawę, Marcus dowiedziałby się o wszystkim.

Judith zadrżała.

-To jakiś koszmarny! Jestem zamężna... i nie jestem.

- Judith Davenport jest zamężna - oświadczył stanowczo Sebastian.
-A Charlotte Devereux zmarła w drugim roku życia.

- Ale co z dziećmi? - zaprotestowała gwałtownie. - Przecież będą nieślubne!

- Nikt o tym nie ma pojęcia oprócz nas dwojga - stwierdził brat, ściskając mocno jej ręce. - I nigdy się nie dowie! Sami tworzymy naszą biografię i decydujemy o tym, jak wygląda prawda. Zawsze tak było!

- Tak - potwierdziła, biorąc się w garść. - Masz rację. Czym jest ostatecznie świstek papieru?

Drzwi kościoła otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Odskoczyli od siebie jak para winowajców. Marcus zbliżał się do nich ze zmarszczonym czołem. Jego podejrzenia znowu odżyły.

- Czyżbym wam przeszkodził? Jakies sekrety rodzinne? - spytał sztywno.

Judith rozpaczliwie szukała odpowiedzi, w której byłaby choć cząstka prawdy. Uśmiech miała nieco wymuszony, ale głos brzmiał całkiem naturalnie.

- Rozmawialiśmy o naszym ojcu. Zmarł w ubiegłym roku w Wiedniu.

- Ogromnie by się cieszył z małżeństwa Judith - wtrącił gładko Sebastian. - Nie miał w życiu wielu szczęśliwych chwil.

- To prawda - przytaknęła Judith. - Nasza matka zmarła, kiedy byliśmy bardzo mali. Ojciec nigdy się nie otrząsnął po tym ciosie. - Przesunęła ręką po czole. - Jakoś mi słabo, chyba zemdleję.

- Musisz coś zjeść - zatroszczył się natychmiast Marcus. Dręczące go podejrzenia na chwilę ucichły. - Idziemy do kwatery głównej Wellingtona!

Sebastian wolał wrócić do swych przyjaciół, którzy zatrzymali się w miejscowej gospodzie, Marcus natomiast pospieszył wraz z Judith do domu z kamienia, jednego z nielicznych budynków niepozabawionych jeszcze dachu. Znaleźli tam cały sztab Wellingtona, zgromadzony wokół stołu. Sam książę, pogryzając pajdę jęczmiennego chleba, słał na wszystkie strony rozkazy i komunikaty przez niezliczonych posłańców.

Francis Tallent podał Judith cierpkie czerwone wino w cynowym kubku; powitał ją przyjaźnie, bez zdziwienia. Przeleciało jej przez głowę pytanie: co też pomyślał sobie o niej, gdy ujrzał ją w oberży w rozpiętej bluzce, z włosami opadającymi na ramiona? Doszła do wniosku, że lepiej się nad tym nie zastanawiać, i siadła przy stole.

Wkrótce poczuła się całkiem swobodnie w nowym otoczeniu. Była równie brudna i wyczerpana jak wszyscy, a to, czym zajmowała się przez ostatnich kilka godzin, dawało jej prawo do przebywania w towarzystwie weteranów, którzy przeżyli niejedną kampanię. Nawet Wellington powitał ją przyjaźnie, choć z pewnym roztargnieniem. Nazwał Carringtona chytrusem, który trzymał pod korcem swoje małżeńskie plany, a jej doradził życzliwie, by próbowała sprać krew ze spódnicy wodą z solą.

Resztę nocy poślubnej Judith przespała pod żołnierskim płaszczem na stole. Oczywiście nie na tym, przy którym odbywała się narada wojenna. Marcus mimo woli zerkał w stronę żony, starając się nie myśleć o tym, jak spędziliby tę noc w zwykłych warunkach. Zdjął surdut, zwinął i podłożył jej pod głowę zamiast poduszki. Powieki Judith zadrgały i wymamrotała coś niezrozumiałego. Uśmiechnął się, pogładził ją po włosach, mniej błyszczących niż zwykle, i wrócił do stołu, przy którym obradowali.

Tuż przed świtem zbudził Judith ordynans, który dotknął z wahaniem jej ramienia.

- Lady Carrington, przyniosłem kawę. Wyjeżdżamy stąd.

Otworzyła oczy i zamrugała półprzytomnie. Pamięć stopniowo jej wracała i niebawem siedziała już na stole, wymachując nogami. Z pełnym wdzięczności uśmiechem przyjęła z rąk ordynansa kubek z kawą. Prócz nich dwojga w pokoju nie było nikogo.

- Gdzie się podzieli wszyscy?

- Są przed domem, gotowi do drogi - odparł. - Lord Carrington czeka na panią, milady.

-Dziękuję!

Zsunęła się ze stołu i wyszła na zewnątrz. Był wilgotny, szary świt. Kubek z kawą przyjemnie grzał w ręce. Przed frontowymi drzwiami tłoczyli

się ludzie i konie. Wellington dosiadł swego ulubionego wierzchowca o imieniu Copenhagen. Koń stawał dęba, niecierpliwie podrzucał łbem, wietrzył niebezpieczeństwo. Wioska wydawała się dziwnie cicha po zamęcie poprzedniego wieczoru. Sznur wozów ruszał właśnie spod lazaretu w stronę Brukseli, wioząc tych, których chirurgom udało się pozszywać. Na pobliskiej łące trwały przygotowania do masowego pochówku. Ludzie kopiący groby w porannej mgłę podobni byli do duchów.

Trzymając za uzdę karego ogiera, Marcus rozmawiał z Francisem Tallentem. Judith pospieszyła ku nim. Pułkownik Tallent przywitał się z nią wesoło, po czym przeprosił ich i podszedł do księcia Wellingtona. Judith przyjrzała się uważnie mężowi. Wydawał się zmęczony, ale spokojny.

- Zaraz ruszamy?

Marcus zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Jak tylko będziesz gotowa do drogi. Wypoczęłaś choć trochę? Musiało ci być twardo na tym stole!

Roześmiała się.

- Sypiałam w gorszych warunkach, mój panie! Prawdę mówiąc, wypoczęłam znakomicie. Przespałam ze trzy godziny. - Łyknęła z przyjemnością kawę. - Elixir bogów!

Marcus się uśmiechnął.

- To prawda. I mnie uratował życie! Dziś, niestety, musisz sama sobie radzić z wozem i szkapą. Trzymaj się dzielnie!

Judith zerknęła na ogiera.

- Pojedziesz wierzchem?

- Tak, Francis użyczył mi jednego ze swych koni.

- Drugiego dla mnie nie znajdzie? - spytała bez większej nadziei.

Spojrzał na nią chłodno.

- Choćby i znalazł, niczego by to nie zmieniło. Jakaś już „pożyczyła” (twoje własne słowo!) wóz i konia, powinnaś o nie dbać i zwrócić je właścicielowi w dobrym stanie.

Judith skrzywiła się, ale musiała uznać słuszność tej uwagi.

- Nie myślałam, że będę je miała na głowie aż tak długo!

W jego czarnych oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Rozumie się, że nie! Ale ostatnimi czasy co krok to niespodzianka.

- To prawda - zgodziła się Judith z lekkim uśmiechem. ~ Sądzę, że właściciel konia i furmanki będzie rad z odzyskania zguby i z sówitej rekompensaty. Z pewnością karczmarz zdoła go odszukać, kiedy go o to poproszę po powrocie do Brukseli.

- Zdołałaś uciszyć wyrzuty sumienia? - zażartował.

Judith się roześmiała.

- Moje sumienie nigdy nie sprawia mi kłopotu. Ale jeśli nie jadę razem z tobą, zostanę tu jeszcze jeden dzień. W lazarecie nadal jest mnóstwo roboty.

Marcus zmarszczył brwi i rozważył sprawę. Judith wczoraj udowodniła, że zna się na rzeczy i dobrze sobie radzi.

- Chyba mogę wyrazić na to zgodę. Później kogoś po ciebie przyślę. Jak się zjawi, masz z nim natychmiast jechać. Zabierze cię do mnie bez zwłoki, bo nie wiadomo, jak długo zabawimy w tym czy innym miejscu. Gdybyś marudziła, moglibyśmy się zgubić. Czy to jasne?

Chwila wzajemnego zrozumienia okazała się bardzo krótka.

- Owszem, jasne. Ale byłoby równie jasne bez tego mentorskiego tonu! - wytknęła mu, uznawszy, że do wdrażania reform lepiej przystąpić od razu. - Nie jestem dzieckiem!

- Na litość boską, Judith! Nie mam czasu na sprzeczki z tobą w czasie kampanii wojennej!

- Właśnie o tym mówiłam - syknęła zapalczywie. - Wystarczy cię posłuchać!

Ujął ją mocno za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Może jestem troszkę despotyczny, za to ty kolczasta jak jeź! - Choć w jego głosie brzmiała irytacja, w oczach mimo woli błysnęło pożądanie. Jakże wyraźnie pamiętał dotyk jej miękkich warg... -Ale kolczasta czy nie, mam na ciebie chrapkę. Już ja ci przygotuję niespodziankę na powitanie, możesz być pewna! - Brwi uniosły się, oczy załśniły. - Czy to skłoni cię do posłuszeństwa, rysiczko?

Judith uśmiechnęła się szeroko. Przeszła jej irytacja.

- Stawię się na wezwanie mojego pana!

Ujął jej twarz w dłonie i ucałował w usta. Mocny i władczy pocałunek wzburzył jej krew.

- Trzymam cię za słowo - powiedział Marcus.

Odwrócił się, wskoczył na konia i pomachał jej ręką na odjezdnym.

W miarę upływu dnia myśli o namiętnych porywach coraz rzadziej nawiedzały Judith. Wkrótce zmęczona do cna poruszała się jak w transie, wiedzona jedynie potrzebą niesienia pomocy w tym morzu cierpienia. Poprzedniego dnia Wellington stracił pięć tysięcy ludzi. Nadal jeszcze znoszono do lazaretu rannych z pobojuwiska, na którym przeleżeli całą noc. Napływało coraz więcej okaleczonych ciał i wydawało się, że ich opatrywanie nigdy się nie skończy.

Mniej więcej w połowie ranka niebo pociemniało i po kilku minutach przecięły je zrygaski błyskawic. Pioruny wała tak mocno jak wczoraj artyleria, pomyślała Judith, przystanąwszy na chwilę u wejścia do namiotu.

Przez cały dzień lało jak z cebra. Judith wkrótce przemokła do suchej nitki, ale nie miała czasu się tym przejmować. Wozy pełne jako tako pozszywanych rannych przez cały dzień turkotały na drodze do bezpiecznej - na razie - Brukseli. Zbliżał się wieczór. Judith starała się właśnie ułożyć jak najwygodniej na wozie pod plandeką kolejną partię rannych, gdy ktoś zawołał ją nieśmiało.

- Charlie! - Zaskoczona i uradowana podniosła głowę i spojrzała na niego. Woda ściekała jej z włosów. - Bogu dzięki, nic ci się nie stało!

- No, tak - wymamrotał z rumieńcem równie szkarłatnym jak jego wojskowa kurtka. - Panno Daven... to znaczy Ju... Mój kuzyn... to on przysłał ranie po panią. Jest razem z wojskiem pod Waterloo. Musimy tam natychmiast jechać.

Judith ze znużeniem wygramoliła się z wozu. Co też Marcus powiedział Charliemu?

- Czy to daleko stąd?

- Nie, jakieś trzy kilometry. Zajęliśmy pozycje w poprzek drogi do Brukseli - wyjaśnił Charlie. - Ale dziś nie doszło do bitwy z powodu burzy.

- Muszę odnaleźć mój wóz i konia.

- Już wiem, gdzie są. Tam po drugiej stronie, kolo zagrody. Marcus mi powiedział, gdzie ich szukać. - Wyraźnie unikał oczu Judith. - Powiadomił mnie też... Powiniennem chyba złożyć gratulacje.

- Och, Charlie, jak trudno mi to wytłumaczyć, zwłaszcza w takiej chwili! - Położyła rękę na jego ramieniu. - Prawdę mówiąc, wątpię, czy w ogóle zdołam ci to wytłumaczyć! To się stało tak nagle.

- W Brukseli nie myślała pani o...

- Nie, nie! - przerwała mu, odgadując podejrzenia chłopca. Musi czuć się upokorzony, że oboje zadrwili sobie z niego, romansując pod jego bokiem. - To było jak grom z jasnego nieba. Trudno wymagać, byś to zrozumiał, bo ja sama tego nie pojmuję!

- O? - mruknął Charlie bez większego przekonania, podsadzając ją na wóz. - Uwiążę mego konia z tyłu i siądę obok pani. Mam tu plandekę, którą możemy się osłonić.

Judith wzięła do rąk lejce i oboje z Charliem skulili się pod płócienną płachtą. Co prawda byli już tak przemoczeni, że niewiele to dało. Po chwili Charlie odezwał się gniewnym tonem:

- Mój kuzyn nie ma zwyczaju zaskakiwać ludzi. Czemu ni stąd, ni zowąd wziął ślub na polu bitwy?! Myślałem, że takie porywy miłosne zdarzają się tylko w romansach pani Radcliffe!

Judith uśmiechnęła się i poklepała go po rękę.

- Znasz to stare porzekadło: prawda bywa bardziej zdumiewająca od fikcji?

Jeśli to powiedzonko trafi mu do przekonania, nie będę się bawić w dalsze wyjaśnienia, pomyślała. Charlie nie potrafiłby zrozumieć nieprzynoszącej im zaszczytu prawdy: raptowny przypływ wzajemnego pożądania, pechowy zbieg okoliczności i nadmierne poczucie honoru jednej ze stron... wykorzystane bez skrupułów przez drugą.

Armia Wellingtona rozlokowała się na obrzeżach Waterloo, w poprzek drogi do Brukseli, pod osłoną niewielkiego wzgórza, utrudniającego wrogom zwiad i ostrzał. Była to całkiem mocna pozycja, toteż książę był w dobrym humorze, kiedy Judith eskortowana przez Charliego wkroczyła do jednego z szeregu budynków gospodarskich, które stanowiły osłonę armii na obu flankach. Ogień płonął na palenisku i w powietrzu unosił się zapach schnącej wełny, gdy przemoczeni wojacy tłoczyli się wokół kominka.

- Zostaniemy tu, jeśli Blucher obieca nam wsparcie, choćby jeden korpus mówił właśnie książę, siedząc przy stole zastawionym do kolacji. - Otóż i lady Carrington! Prosto z lazaretu w Quatre Bras, co? Mąż opowiadał, jaki z pani zuch. - Pomachał jej na powitanie trzymaną w garści kością od kotleta. - Proszę podejść do ognia i się osuszyć. Carrington wyszedł rozejrzeć się w terenie. Napoleon przyczaił się za przeciwległym wzgórzem.

Judith opadła na ławkę przy stole. Takie ją ogarnęło zmęczenie, że nie miała siły podejść do ognia. Charlie wyszedł znów na deszcz, by dołączyć do swego regimentu. Ktoś podsunął Judith wino w cynowym

kubku. Podniosła je do ust z wdzięcznością. Podobnie jak ubiegłej nocy jej obecność nie budziła niczych zastrzeżeń. Teraz mniej ją to dziwiło, gdyż w ciągu dnia zawarła znajomość z kilkoma żonami oficerów, które razem z nią pracowały w lazarecie. Wszystkie towarzyszyły mężom na szlaku bojowym i były przyzwyczajone do trudów życia obozowego. Obecność markizy Carrington mogła nieco dziwić, ale wojsko już przywykło do Carringtona, jeszcze większego dziwoląga - cywilnego doradcy taktycznego.

Marcus zjawił się kilka minut później. Strzepnął wodę z surduta i rzucił przemoczony cylinder na ławę.

- Leje jak z cebra - stwierdził. - Drogi toną w błocie, pole zmieniło się w grzęzawisko! - Spozrzegł żonę i podszedł szybko do stołu. - Jak się miewasz?

- Jak topielica - odparła i uśmiechnęła się ze znużeniem. - Ale ogólnie rzecz biorąc, nieźle. A będzie jeszcze lepiej, jak dostanę drugi kubek wina.

- Uważaj z tym! - ostrzegł ją, ale sięgnął po butelkę i napełnił znów jej kubek. - Zmęczenie i wino to piekielna kombinacja. Jadłaś coś?

- Jeszcze nie - odparła. - Jestem na to zbyt zmęczona.

- Musisz coś zjeść! Potem zaprowadzę cię na moją kwaterę i będziesz mogła ściągnąć te mokre szmatki.

Judith udawała, że je baraninę na zimno i przysłuchiwała się konwersacji. Marcus siedział na ławie obok niej, podtrzymując żonę ramieniem. Sennie popijała wino i usiłowała nadażyć za tokiem dyskusji. Wyglądało na to, że wszystko zależy od Prusaków. Przyślą im ten korpus czy nie? Francuzi na przeciwległym wzgórzu mieli ogromną przewagę liczebną nad armią Wellingtona.

W pokoju panowało zbyt silne napięcie, by Judith mogła ot tak sobie iść do łóżka, toteż pokręciła głową, gdy Marcus proponował, że ją tam odprowadzi. O trzeciej nad ranem przemoczony do cna posłaniec wpadł z wieścią, na którą wszyscy czekali. O świcie dwa korpusy pruskie wyruszą z Wavre, by uderzyć na prawe skrzydło Francuzów.

- Dwa razy lepiej, niż się spodziewaliśmy! - wykrzyknął Peter Welby.

Marcus studiował mapę.

- Z Wavre do Waterloo jest piętnaście kilometrów, a będą posuwać się w żółtym tempie po tym błocku. Dotrą tu pewnie koło południa.

- Jeśli żabojady zaatakują wcześniej, musimy się trzymać do przybycia odsieczy, i tyle - stwierdził książę.

Odżyła w nich nagle pewność siebie i wiara w zwycięstwo. Wstawano od stołu, by przespać się trochę, nim nastąpi atak.

- Chodź, Judith. - Marcus wstał, pociągając za sobą żonę. Szła bez oporu, potykając się tylko od czasu do czasu, gdy ją prowadził w ulewnym deszczu przez zalany wodą dziedziniec do niewielkiego domku.

Wewnątrz na glinianej polepie spali żołnierze i Judith musiała przeska-kiwać przez nich; mąż przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Wspięli się po chwiejnych schodach na poddasze pachnące jabłkami i sianem. Na prymitywnie skleconym łóżku leżał siennik przykryty kocem. W tej chwili wydało się to Judith szczytem komfortu.

- Czy Francuzi spodziewają się Prusaków? - spytała, opadając na te luk-susy.

Huknął kolejny grom.

- Chyba nie - odparł Marcus, zdejmując żonie buty. - Grouchy na rozkaz Napoleona ściga widmowych Prusaków, cofających się rzekomo w kierunku Liege, gdy w rzeczywistości Blucher maszeruje w naszą stronę. Chyba sprawimy Boneyowi niespodziankę. - Przysiadł na brzegu łóżka, by ściągnąć własne buty. - Mam nadzieję, że tak będzie. Judith, nie możesz spać w mokrym ubraniu!

- Ty też! - odparowała i z trudem wracając do pozycji siedzącej, zaczęła się mocować z guzikami żakietu. - Palce mam jak kołki...

- Daj, ja to zrobię.

Odsunął ręce Judith i sam rozpiął jej żakiet. Kiedy go ściągał, musnął jej piersi; sutki natychmiast wyprężyły się, napierając na cienki batyst bluzki. Powoli nakrył dłońmi miękkie wzdórki. Zwilżyła językiem wargi i sta-- bez ruchu; ich spojrzenia się zwały. Deszcz bił w okiennice. Na dole któryś z żołnierzy jęknął i poruszył się we śnie; rękojeść pałasza stuknęła o klepisko.

W nagłym porywie pożądania, w kompletnym milczeniu Marcus ściągnął z Judith resztę ubrania. Oczy jej płonęły, ale skórę miała chłodną, gdy wodził rękoma po jej nagim ciele.

- Włóż pod koc! - szepnął chrapliwie, popychając ją na łóżko.

Judith posłusznie skuliła się pod szorstką wełną, nie odrywając oczu od męża, gdy się rozbierał. Kiedy odchyliła koc, wśliznął się pod niego, przy-ciągnął ją do siebie i przywarł do niej. Czuła jego dłoń na wypukłości biodra, na udzie, na uniesionej nodze.

Judith zadrżała i rozkwitła pod tą gorącą, zaborczą, dociekliwą pieśczo-tą. Czuła twardość jego muskularnego ciała, słonawy smak skóry. A potem

ich usta zwały się ze sobą, języki splótły - i nie istniało już nic prócz obejmujących się ciał i szaleńczego pożądania.

- Kochaj mnie! - szeptała z ustami na jego ustach. - Teraz, już!

Marcus wciągnął ją pod siebie. Rozchylił jej uda i wstrzymał się na chwilę, nim wniknął do jej wnętrza. Judith miała zamknięte oczy, twarz jej jaśniała szczęściem. Pod wzrokiem męża uniosła jednak bujne rzęsy, ukazując cudowne, złotobrazowe, kocie oczy, pełne namiętności.

- Kochaj mnie - szepnęła znowu.

Z cichutkim westchnieniem zanurzył się w wilgotnej głębi, a ona zamknęła się wokół niego. Wniknął jeszcze dalej, czując uległość jej ciała i pochylił się, by musnąć wargami jej wilgotne skronie, kąciki oczu i ust. Uśmiechnęła się i wysunęła rękę, by dotknąć miejsca, gdzie zespoliły się ich ciała. Marcus wciągnął gwałtownie powietrze, jego rozkosz jeszcze spotężniała. Uniósł Judith ku sobie, wnikając jeszcze głębiej. Rozkosz rozkwitła także w niej, a gdy sięgnęła szczytu, Judith krzyknęła bezgłośnie, z ustami na jego ustach.

Zagłębił się raz jeszcze i poczuł w ciele pulsowanie orgazmu. Gdy chciał się wycofać, instynktownie objęła go ramionami, by zatrzymać w sobie. Oparł się jednak i wyśliznął z jej ciała na sekundę przedtem, nim osiągnął szczyt.

Gdy gorączka opadła, leżeli przytuleni do siebie. Marcus czuł, jak rytm serca Judith uspokaja się; zapadała w sen. Obejmował ją, rozważając, czemu w ostatniej chwili się wycofał. Była teraz jego żoną. Mogła mu urodzić dziecko. A jednak... prawie jej nie znał i nie miał do niej zaufania.

Budził się powoli, rozkosznie, czując, jak jego ciało ożywa pod wpływem delikatnych karesów. Słyszał cichy pomruk zadowolenia Judith, gdy reagował na dotyk jej pieścizliwych dłoni. Sięgnął sennym ruchem do loków żony. Tym razem, po najgwałtowniejszych uniesieniach, darzyła go leniwą pieścizotą, zapoznając się z każdym centymetrem jego ciała, z każdą płaszczyną i wgłębieniem. Poddawał się temu subtelnemu preludium przed symfonią, którą miał odegrać na jej delikatnej, rozedrganej jak struna kobiecości.

Za zamkniętymi okiennicami zmyte ulewnym deszczem niebo pojaśniało. Wstawał sobotni ranek - osiemnasty czerwca 1815 roku. Burza minęła.

Jakiś ptak w gałęziach bluszczu z uporem powtarzał raz po raz swą piosenkę.

Judith przeciągnęła się z lubością pod szorstkim kocem, zaspokojona i uszczęśliwiona. Było ciepło, sucho i nie wyobrażała sobie większej radości niż spędzenie z Marcusem całego dnia na tym poddaszu, Ale jej mąż właśnie odrzucał przykrycie.

- Musisz już wstawać? - spytała z czułym, kusicielskim uśmiechem.

- Muszę. - Nachylił się i ją pocałował. - Ale ty zostań tu i śpij. Zobaczymy, co uda mi się zdobyć na śniadanie. - Wstał z łóżka i zadrżał na poranym chłodzie. Podniósł swoje ubranie i się skrzywił. - Wszystko jeszcze mokre! Nie wychodź spod koca. Zabiorę twoje rzeczy, żeby wyschły przy ogniu.

- Nie możesz ich rozwiesić na oczach tych wszystkich mężczyzn! - pisała Judith.

- To nie czas i nie miejsce na takie skrupuły - odparł i wzdrygnął się, włożywszy wilgotne bryczesy. - Niebawem wrócę. Nie ruszaj się stąd!

- Wedle rozkazu! - mruknęła Judith, naciągając koc na głowę. - Bez ubrania i tak bym nie wstała.

Usłyszała śmiech Marcusa, potem trzask zamykanych drzwi i jego kroki, gdy zbiegał po schodach. Zasnęła znów na godzinę. Zbudził ją dźwięk (rąbki i tupot nóg. Uklękła na łóżku, otworzyła okiennice i wyjrzała na dziedziniec, gdzie ludzie i konie brnęli wytrwale przez kałuże. Znów dotarł do niej dźwięk trąbki, nagłący zew, który budził lęk i podniecenie. Trzasnęły drzwi na dole i na schodach rozległy się kroki Marcusa. Wszedł obładowany jej fatałaszkami i koszykiem.

- Już wstałaś? To dobrze - powiedział dziarskim tonem. Postawił kosz na podłodze i rzucił jej rzeczy na łóżko. Mina mu trochę zrzędała. - Ubranie masz wreszcie suche, ale poza tym niewiele dobrego można o nim powiedzieć. W koszyku znajdziesz kawę, chleb i dżem. A teraz muszę cię, niestety, opuścić.

- Dlaczego? - Usiadła na łóżku owinięta w koc.

- Francuzi się zbliżają, a my... - Powietrzem wstrząsnęła salwa artyleryjska, na sekundę zapadła niepokojąca cisza. Potem działa odezwały się znowu. - Otworzyliśmy do nich ogień - zakończył Marcus i posępnie zacisnął wargi. - Nie wiem, kiedy wrócę. Masz tu na mnie czekać.

-A ty gdzie będziesz?

Z Wellingtonem.

-Na polu bitwy?!

Serce podskoczyło jej gwałtownie. Jakoś dotąd nie pomyślała, że Marcus też może się znaleźć pod ostrzałem.

-A gdzież by? - spytał lakonicznie. - Taktyka podczas bitwy nieustannie się zmienia. - Pochylił się nad Judith, wziął ją za ramiona i spojrzał jej głęboko w oczy. - Wróć do ciebie. Zostań tu!

- Jeszcze nie odchodź!

Chwyliła go za ramię. Twarz mu złagodniała.

- Nie bój się.

- Ja się nie boję o siebie... - powiedziała z wahaniem - tylko o ciebie. Chcę być razem z tobą!

- To niemożliwe, ryszczko. Sama dobrze wiesz.

Przesunął delikatnie palcem po jej policzku.

- Powiedz mi jedną rzecz...

Sama nie wiedziała, czemu właśnie teraz zadaje mu to pytanie; to nie była odpowiednia pora ani miejsce na taką dyskusję. A mimo to właśnie teraz, po nocy pełnej namietności, w obecnej serdecznej atmosferze rozpaczliwie pragnęła wyjaśnić tę kwestię.

Marcus czekał.

- Czemu wycofałeś się wczoraj w nocy?

Wpatrywała się w niego uparcie, czekając na odpowiedź. Kiedy minionej nocy instynktownie próbowała zatrzymać go w sobie, a on się temu oparł, była tak pogrążona w rozkosznych doznaniach, że poczuła tylko lekkie ukłucie żalu. Teraz, w chłodnym świetle dnia, zdała sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa do macierzyństwa; dopiero po załatwieniu porachunków z Gracemere'em będzie mogła wziąć na siebie inne obowiązki. Chciała też lepiej poznać swego męża, nim zostanie matką jego dziecka. Czy Marcus czuł to samo co ona? A może chodziło mu o coś innego?

Nie odpowiedział od razu. Stał, wpatrując się w nią tak przenikliwie, że niemal zaglądał jej do wnętrza duszy. Judith zadrzała. Wydało się jej nagle, że stoi na skraju przepaści, w której czai się coś mrocznego i odrażającego. Potem Marcus odwrócił się i podszedł do drzwi. Przystanął z ręką na klamce i nie odwracając się do żony, powiedział:

- Odpowiem ci pytaniem na pytanie. Czy wiedziałas wczoraj, kto jest w oberży na dole, nim zdecydowałaś się na tak efektowne wejście?

Przytłaczająca cisza zawisła nad nimi. Kiedy Judith nic nie odpowiedziała, Marcus bez słowa otworzył drzwi i wyszedł.

Sądził, że z rozmysłem chwyciła go w pułapkę, zmusiła do małżeństwa! Fala mdłości podeszła jej do gardła. Nic dziwnego, że nie chciał

mieć dzieci z taką wyrachowaną oszustką! Jak musiał jej nienawidzieć! Ta nienawiść nie zgasiła w nim pożądania, ale dla Marcusa nie była żoną, tylko płatną dziwką. Poczuła w ustach gorycz żółci, w głowie pulsował ból. Czemu nie zaprzeczyła oskarżeniu? Czemu nie zasypała go lawiną protestów, nie zapewniła o swej niewinności, nie oburzyła się, jak mógł ją podejrzewać o coś takiego? Bo dobrze wiedziała, że w gruncie rzeczy Marcus miał rację. Uważał, że wyszła za niego dla pieniędzy i pozycji. I tak właśnie było. Jakie to ma znaczenie, że nie wiedziała, kto był w izbie na dole? Tak czy owak, wykorzystała sytuację i niezłomne poczucie honoru Marcusa. Czemu nie miałby jej uważać za wyrachowaną naciągaczkę?

Drżąc, włożyła wymiętą, poplamioną amazonkę. Sygnet na jej palcu zamigotał w promieniach słońca. Kiedy razem z Sebastianem urzeczywistnią swój plan, jej brat odzyska rodową posiadłość, ojciec zostanie pomszczony, a Gracemere pokonany, wyjawi Marcusowi, że ich ślub nie jest ważny. Zwróci mu wolność. Ale do tego czasu musi nadal odgrywać tę farsę. To przecież nic nowego! Całe jej życie było kiepską maskaradą.

Wyszedłszy z domu, zatrzymała się, nie wiedząc, dokąd pójść. Odgłosy bitwy były gromkie i przerażające: szcęk białej broni, huk armat, ostre salwy muszkietów. Na dziedziniec zaczęli już napływać ranni.

Wreszcie pobiegła na wzgórek za zabudowaniami gospodarskimi. Widok, jaki roztaczał się stamtąd, budził fascynację i grozę. Było to pole, okolone żywopłotami. Przetaczały się po nim - to do przodu, to do tyłu - dwie stłoczone na tych dwóch hektarach armie. Sztandary powiewały, trąbki grały do boju. Piechota Wellingtona atakowała czworoboki Francuzów. Kawaleria pędziła, przeskakując przez ludzi i działa, przesywając wrogów lancami i rąbiąc pałaszami. Piechurzy, rząd za rzędem, przyklekali, unosili muszkiety. Ceł, pal! -ogłuszająca salwa i kolejne straty w szeregach nadciągających Francuzów.

Judith, patrząc na to z oddali, miała wrażenie, że ogląda scenę ze sztuki jakiegoś obłąkańca. Co czuli ludzie ustawieni naprzeciw siebie tylko po to, by się zabijać? Trupy ludzi i koni zaściełały pole. Judith nie mogła uwierzyć, że istnieją jakieś prawidła w tej grze, że ta rzeź ma jakiś cel. A jednak musiało tak być. Gdzieś tam, w centrum wydarzeń, był Marcus... a on dostrzegał w tym sens.

Wróciła na dziedziniec, by pomagać przy rannych, ale późnym popołudniem znów wspięła się na pagórek. Atak Prusaków na skrzydło armii Napoleona wywarł już zamierzony efekt, lecz Judith nie orientowała się

w tym. Zauważyła jednak, że Francuzi chyba ustępują, a w każdym razie są mniej liczni. Zwróciła uwagę na intensywny ostrzał wzniesienia, za którym kryła się brygada Brytyjskiej Gwardii Pieszej. I nagle kanonada ustała. Zapadła niesamowita cisza. Gdy rozwiął się dym armatni, Judith ujrzała, że kolumna francuskich grenadierów, straszliwa gwardia napoleońska, z gromkim okrzykiem *Vive l'Empereur!* rusza w tym kierunku.

Była szósta wieczór.

Nagie zza wzgórze wyrosła jak spod ziemi brygada brytyjskich gwardzistów, strzelając w szeregi gwardii napoleońskiej raz za razem, salwa za salwą. Efekt był taki, jakby potężny taran uderzył w czoło francuskiej kolumny i odepchnął ją do tyłu. Grenadierzy padali pokotem. Ci z tyłu próbowali strzelać nad głowami swoich kolegów, ale szyki się poplątały i wszczęło się zamieszanie. Z nieludzkim wrzaskiem brygada brytyjskich piechurów skoczyła naprzód z pałaszami w garściach. Na oczach Judith wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. Gwardia cesarska, ostatnia nadzieja Napoleona, złożona z jego niezawodnych, zahartowanych w bojach wiarusów, załamała się, poddała tyły i rzuciła się do ucieczki, a za nią popędziła wrzeszcząca wniebogłoso brygada.

Jak we śnie Judith odwróciła się i zeszała ze wzgórze, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co widziała. A jednak wyglądało na to, że jest już po wszystkim. Wellington i Blucher odnieśli zwycięstwo pod Waterloo. Na dziedzińcu koło stajni zapanowała - mimo ogólnego zmęczenia - atmosfera triumfu. Żniwo śmierci było straszliwe. Rannych nieprzebrana rzesza. Ale Bonaparte został ostatecznie pokonany! Prusacy ścigali uciekających Francuzów, co pozwoliło znacznie bardziej poszkodowanym Brytyjczykom pozbierać się, dojść nieco do siebie i ocenić straty.

Marcus wjechał na dziedziniec koło północy. Towarzyszył Wellingtonowi podczas spotkania dwóch zwycięskich wodzów. Ucałowali się po bratersku i Blucher podsumował wydarzenia dnia w swojej dość ubogiej francuszczyźnie:

- *Quelle affaire!*

Określenie adekwatne do sytuacji, pomyślał Marcus. Żadne kwieciste zwroty nie wyraziłyby dobitniej, że była to ostateczna klęska Napoleona. Nareszcie świat zazna znów pokoju.

Marcus wypatrywał swej żony na oświetlonym pochodniami dziedzińcu. W końcu dostrzegł ją, pochyloną nad noszami. Jakby wyczuła jego obecność, wyprostowała się, odgarnęła włosy z oczu i spojrzała w jego stronę. Serce mu podskoczyło na jej widok. Gorzki smak ich pożegna-

nia i żrący kwas podejrzeń straciły swą moc; pragnął jedynie zamknąć ją w ramionach.

- Nic ci się nie stało! - powiedziała z ogromną ulgą, gdy zeskoczył z konia obok niej.

W jej oczach dostrzegł cień smutku, niepewność i lęk - skutki tej nie-szczęsnej porannej scysji. Zapraǳnął scałować smutek z jej oczu, ukoić drżenie miękkich warg. W tej chwili miało znaczenie tylko to, że na niego czekała.

- Tak - odparł, chwytając ją w objęcia. - Jestem zdrowy i cały, ryszczko!

Objęła go ramionami i przytuliła się do niego. Oparła głowę na jego pierś i wsłuchiwała się w mocne bicie jego serca. Zamknęła oczy i na chwilę zatraciła się w jego kojącym uścisku, w ciepłe jego bliskości i w przeczućiu czekających ich miłosnych uniesień.

9

I en twój nowy majordomus miał wyraźną ochotę zamknąć mi drzwi przed nosem. - Bernard Melville, hrabia Gracemere, wszedł bez ceremonii do buduaru lady Barret. -- Czyżby podagryczny sir Thomas nabrał jakichś podejrzeń?

-Ależ skąd! Thomas siedzi w swoim klubie i pochrapuje nad kieliszkiem porto. - Agnes przeciągnęła się leniwie na pasiastym szezlongu; przerwano jej właśnie popołudniową drzemkę. - Hodgins jest po prostu nadgorliwy. Wiedział, że o tej porze wypoczywam. - Wyciągnęła. rękę do gościa. - Myślałam, że zjawisz się w Londynie dopiero w przyszłym tygodniu.

Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

Nie wytrzymałbym ani dnia dłużej bez ciebie, najdroższa.

Agnes się uśmiechnęła.

Co za urocze słówka, Bernardzie! Mam im wierzyć?

Ależ tak - zapewnił, pochylając się nad nią. Chwycił ją za nadgarstki i unieruchomił ręce, trzymając je po obu stronach jej głowy. - Tak, moja zachwycająca Agnes, musisz im wierzyć!

Jego bladoniebieskie oczy - tak jasne, że niemal bezbarwne - zwarły się z jej oczyma. Agnes zadrżała, oczekując, że potwierdzi te słowa zaborczym pocałunkiem... i nie tylko.

Gracemere zaśmiał się, odgadując bez trudu jej myśli.

- Pilno ci, kochanie? Zdumiewające, jak rozłąka dodaje apetytu! - Trzymał się nadal na dystans, rozmyślnie się z nią drażniąc.

- Jesteś okrutny, Bernardzie - powiedziała cicho. - Czemu tak się znęcasz nad moją miłością?

- Miłością? To nie jest właściwe określenie - mruknął, przybliżając twarz do twarzy kochanki, ale nadal jej nie dotykając. - Obsesja, zgłodniała żądza, ale nie miłość! To zbyt mdłe uczucie dla kogoś takiego jak ty.

- Albo ty - szepnęła.

- Tak, obsesja i wilczy głód - odparł z okrutnym uśmiechem. - Pożeramy się nawzajem.

- Pocałuj mnie! - domagała się, usiłując wyrwać uwięzione ręce i dotknąć kochanka.

Pochylił się jeszcze bardziej, napierając całym ciężarem ciała na jej nadgarstki i powoli, bardzo powoli zbliżył usta do jej ust. Ugryzła go w wargę, do krwi. Cofnął się raptownie.

- Ty suko!

- Przecież to lubisz - stwierdziła zgodnie z prawdą.

Trzepnęła ją po twarzy rozpostartą dłońią. Zaśmiała się podniecona. Zgarnęła końcem palca kroplę jego krwi i podniosła do swoich ust. Oblizwała językiem czerwoną smugę, jej płowe oczy załśniły.

- Mam przyjść do ciebie dziś w nocy, milordzie?

Zamiast odpowiedzi ucałował ją brutalnie. Słyszając dyskretne stukanie, wyprostował się i odsunął od Agnes. Wziąwszy jakieś czasopismo z okrągłego stolika, kartkował je od niechcienia, gdy lokaj poprawiał ogień na kominku.

- Słyszałem, że Carrington przywiózł sobie żonę z Brukseli - zagadnął hrabia lekkim tonem. - Całe miasto o tym mówi. Podobno to jakieś zero?

- Podobno... Jeszcze jej nie widziałam. Zjechaliśmy do Londynu dopiero wczoraj - odparła Agnes równie zdawkowym tonem. - Letitia Moreton powiada, że dziewczyna jest olśniewająco piękna i całkiem bystra. Podobno oczarowała ze szczętem nasze czcigodne matrony. Sally Jersey jest nią zachwycona.

-A więc nie jest to drugie wydanie Marthy?

Po wyjściu lokaja Gracemere odrzucił czasopismo na stolik i usiadł, starannie wygładzając beżowe pantaloney.

- Z pewnością nie! -- odparła Agnes - Nie ma w sobie nic z niepozornej myszki, tak mi się zdaje. Ale poza tym niczego nie wiadomo o nich, bo przybył także jej brat. Równie czarujący, jak twierdzi Letitia.

- I przy gotówce? - W bładoniebieskich oczach pojawił się błysk chciwości.

Agnes pokręciła głową.

- Tego nie wiem. Ale jeśli to szwagier Carringtona... Czemu pytasz? Zabębnił palcami po poręczu fotela.

- Szukam naiwniaka do oskubania. Nowi przybysze najlepiej się do tego nadają. Ciekawe, czy on gra w karty?

- Kto nie gra? - spytała Agnes. - Postaram się dowiedzieć czegoś więcej dziś wieczorem w Cavendish House. Ale znam lepszy sposób na podreperowanie twoich finansów, kochany.

Siadła prosto i przybrała rzeczowy ton.

- Doprawdy? - Gracemere uniósł brwi. - Zamieniam się w słuch, najdroższa!

- Córka Letitii Moreton ma na imię Harriet - oznajmiła Agnes i opadła znów na poduszki z uśmiechem zadowolenia. -I trzydzieści tysięcy funtów posagu. Powinno ci to wystarczyć na dłuższy czas.

Gracemere zmarszczył brwi.

- Smarkuła prosto z dziecinnego pokoju!

- Tym lepiej - zawyrokowała Agnes. - Łatwo pójdzie na lep kompletów czarującego, dojrzałego mężczyzny. Zawrócisz jej w głowie, nim zdąży poznać kogoś innego.

Hrabia rozważał sprawę, postukując paznokciem o zęby.

- A co z Letitią i ojcem tej dziewczynki? Z pewnością nie uradują ich zaloty łowcy posagów!

- Nie wiedzą, że jesteś łowcą posagów - zwróciła mu uwagę Agnes.

- I masz tytuł hrabiowski! Letitia będzie uszczęśliwiona... bylebyś mądrze rozegrał sprawę. Zdażyłam już zawrzeć dozonną przyjaźń z tą damą.

- Zaśmiała się nieprzyjemnie. - Co za ciamajda i te omdlewające pozy! Utrzymuje, że jest słabego zdrowia i dlatego nie może towarzyszyć swej córeczce na balach tak często, jak by chciała. Jak myślisz, kto się zaoferował wyręczyć ją w tym?

Uniosła lekko brwi, a Gracemere wybuchnął śmiechem.

- Cóż za wytrawna intrygantka z ciebie, kochanie! A więc będę miał okazję spotkać to słodkie dziecko w twoim towarzystwie?

- I to nieraz! - potwierdziła Agnes i znów uśmiechnęła się z satysfakcją.

- A tymczasem postaraj się dowiedzieć czegoś bliższego o szwagrze Carringtona. Nie zaszkodzi oskubać naiwniaka, zanim dziedziczka spadnie prosto z nieba - powiedział, wstając. - Nie zaproszono mnie do Cavendish House, bo wszyscy sądzą, że nadal bawię na wsi. Polegam więc na twoim sprycie, najdroższa. - Znowu pochylił się i położył rękę na piersi kochanki, wyczuwając jej natychmiastową reakcję. - A więc do zobaczenia... później.

Agnes poruszyła się na szeszlongu, jedną stopą dotknęła podłogi. Hrabia przesunął dłonią po jej rozpalonym ciele; pod peniuarem była naga.

- Do zobaczenia później - powtórzył i wyszedł.

Marcus rzucił lejce forysiowi i wysiadł z kariolki na Berkeley Square.

- Przyjrzyj się lewej pęczynie prowadzącego, nim zabierzesz go do stajni, Henry. Czułem, że coś z nim nie tak, kiedy braliśmy ostatni zakręt.

- Robi się, panie.

Chłopak przytknął rękę do jasnego loczka na czole gestem podobnym do salutowania, zanim chwycił konia za uzdę.

Marcus wspiął się po frontowych schodach swej okazałej rezydencji. Podwójne drzwi otworzyły się, gdy tylko przed nimi stanął.

- Dzień dobry, wasza lordowska mość. Niezwykle piękne mamy dziś popołudnie, pozwolę sobie zauważyć.

Ukłon majordoma był równie pompatyczny jak jego słownictwo.

- Dzień dobry, Gregson. Pozwól sobie, jeśli masz ochotę. - Markiz wyczył mu swój pejcz i cylinder z karbowanym brzeżkiem. - I przynieś do mego gabinetu butelkę bordo, rocznik 79, dobrze?

Przemierzył wielki, lśniący marmurem hol frontowy i wąskim pasażem za schodami udał się do niewielkiego pokoju na tyłach domu. Młody sekretarz porządkował właśnie papiery na masywnym biurku z wiśniowego drewna. Powitał ukłonem wchodzącego chlebobdawcę.

- Dzień dobry, panie markizie.

Dzień dobry, Johnnie. Jaka to miłą robótkę przygotowałeś mi tym razem?

- Zestawienie wydatków domowych - odparł sekretarz - i plik rachunków lady Carrington z ostatnich trzech miesięcy. Wasza lordowska mość chciał zająć się nimi osobiście.

W głosie młodego człowieka była nutka zdziwienia, gdyż regulowanie wszelkich rachunków, jakie przysyłano do rezydencji, należało do jego obowiązków.

- Istotnie - powiedział Marcus z pewnym roztargnieniem, wskazując równiutko ułożony stosik. - To te?

- Tak jest, panie markizie. A tutaj są zaproszenia; może również zechciałby je pan przejrzeć?

- Ani mi się śni - rzucił Marcus, przeglądając rachunki. - Zanieś je lady Carrington.

- Tak też uczyniłem, milordzie, ale pani markiza oświadczyła, że nie czuje się upoważniona do podejmowania decyzji za waszą lordowska mość.

John poczerwieniał i chwycił się odruchowo za prawe ucho. Czuł się bardzo niezręcznie, przekazując chlebodawcy niezbyt taktowną odpowiedź lady Carrington. Ale jego lordowska mość wzruszył tylko ramionami.

- Doskonale. Sam to z nią przedyskutuję.

Odłożył plik rachunków na biurko i marszcząc nos z niesmakiem, zajął się przeglądaniem ozdobnych kart. Liczba irytujących, natrętnych zaproszeń niepomniernie wzrosła od czasu, gdy się ożenił. Wszyscy dobrze wiedzieli, że markiz stroni od życia towarzyskiego. Czyżby nadgorliwe panie domu, złąknione jego towarzystwa uznały, że mariaż zmienił diametralnie jego upodobania i życiowe nawyki?

- Jeśli nie ma pan dla mnie innych poleceń, milordzie, wrócę do pracy nad tekstem pańskiego wystąpienia w Izbie Lordów na temat ustaw zbożowych.

Marcus się skrzywił.

- Nie mógłbyś mi znaleźć jakiegoś ciekawszego tematu, Johnnie?

Sekretarz wydawał się zaskoczony.

- W chwili obecnej nie ma bardziej ważkiego problemu, wasza lordowska mość.

- Może by tak coś na temat armii albo floty? Powiedzmy; proponowane zmiany w prawie morskim. Co ty na to?

- Postaram się znaleźć odpowiednie materiały, milordzie.

John opuścił gabinet ze zbolałą miną.

Marcus się uśmiechnął. Problemy polityczne fascynujące Johna nie pokrywały się z upodobaniami jego chlebodawcy. Powrócił do leżących na biurku papierów i znów wziął do ręki plik rachunków.

Zjawił się majordomus z czerwonym winem.

- Czy pani markiza jest w domu, Gregson?

- Tak jest, wasza lordowska mość. Tuszę, iż lady Carrington przebywa w żółtym salonie. - Majordomus z całym ceremoniałem odkorkował butelkę i napełniwszy kryształowy kieliszek, podał go swemu panu. - Doskonały rocznik. Czy to wszystko, wasza lordowska mość?

- Na razie tak. Dzięki, Gregson,

- Dziękuję, milordzie.

Rozkoszując się wspaniałym bukietem bordo, markiz podszedł do okna wychodzącego na niewielki ogród. Pod wpływem silnego wiatru rdzawe liście kasztanowca opadały na trawę. Marcusowi przypomniały się nagle włosy Judith: lśniące w blasku świec... rozsypane po poduszkach... jedwabisty miedziany trójkąt u zbiegu kremowych ud...

Wrócił pospiesznie do biurka i chwycił znów plik rachunków. Uderzył nimi kilkakrotnie o dłoń. Judith w swych wydatkach osobistych doprawdy przekroczyła wszelkie granice! Owszem, była piękna i dobra w łóżku, ale przecież zapłacił już za to nielichą cenę!

Czemu, u diabła, jej rozrzutność tak go irytowała? Zwykle nie miał przecież węża w kieszeni. Nie przejmował się wydatkami. Mógł sobie na to pozwolić. A jednak teraz, gdy przeglądał rachunki żony i widział, ile wydawała na swoją garderobę, myślał mimo woli, że dorwała się do jego pieniędzy i odbija sobie lata biedowania, nicowanych ubrań, tandetnych świecidełek, nędznych mieszkaneł i ustawicznego zachowywania pozorów dostatku.

Rezydencja przy Berkeley Square, rodowa posiadłość w hrabstwie Berkshire, niewzruszona pozycja towarzyska. Powinna sobie od rana do nocy gratulować znakomitych efektów swojej chytrej sztuczki!

Marcus opróżnił kieliszek i powtórnie go napełnił. Od czasu zwycięstwa pod Waterloo nie poruszali w rozmowie z Judith sprawy jej efektownego wejścia do pokoju w oberży. Nie padła też ani jedna uwaga na temat jego konsekwentnie stosowanej metody antykoncepcyjnej. Co się zaś tyczy życia towarzyskiego, to zgodnie z obyczajami wielkiego świata każde z nich chodziło własnymi drogami. Byli naprawdę razem tylko w najcichszych, najbardziej intymnych godzinach nocnych. Wówczas wzajemne pożądanie

okazywało się silniejsze niż brak szacunku i zaufania. Każdego ranka Marcus budził się pełen ciepłych uczuć i wewnętrznego zadowolenia, ale zaraz powracająca pamięć niszczyła tę iluzję.

Judith nigdy nie opowiadała mu o swej przeszłości, a on nigdy się nie dopytywał. W gruncie rzeczy byli parą obcych sobie ludzi, których łączyły tylko porywy namiętności. I to miało mu wystarczyć? No cóż... musiało, gdyż na nic innego nie mógł liczyć.

Odstawił kieliszek i wyszedł z gabinetu z plikiem rachunków w rękę. Żółty salon był niewielkim pokoikiem na piętrze, w tylnej części domu. Judith od początku szczególnie go sobie upodobała, wzgardziwszy nieco sztywnym przepychem pokoi reprezentacyjnych: biblioteki, wielkiego salonu, sali jadalnej. Gdy teraz Marcus otworzył drzwi żoninego saloniku, powitał go wesoły kobiecy śmiech, który urwał się nagle, gdy znajdujące się tam trzy damy zauważyły, kto wszedł. Przez króciutką chwilę Marcus czuł się intruzem we własnym domu.

- A, to ty, Carrington! Czyżbyś miał ochotę napić się razem z nami ratafii? - spytała Judith swym zaczepnym tonem, unosząc brwi.

- Jeśli kiedykolwiek poproszę o kieliszek ratafii, będzie to nieomyślny znak, że postradałem zmysły - oświadczył, składając damom ukłon.

Dzień dobry, drogie panie. Nie chciałbym ci przeszkadzać, Judith, ale wpadnij do mego gabinetu, jak tylko będziesz wolna.

Judith wyraźnie się najeżyła. Nie udało się jej do tej pory ukrócić tyrańskich zapędów męża.

- Resztę popołudnia też mam zajęta - skłamała. - Przełożmy naszą rozmowę na inny dzień, dobrze?

- Niestety, nie - odparł. - To pilna sprawa. Oczekuję cię w gabinecie... spojrzał na zegar na kominku - ... powiedzmy za godzinę, dobrze? - Nie czekając na odpowiedź, raz jeszcze skłonił się przyjaciółkom żony i wyszedł, zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

Judith miała wrodzony dar zjednywania sobie przyjaciół, toteż kołatka u drzwi była w ciągłym użyciu, a damskie śmiechy i szepty rozlegały się we wszystkich kątach tej do niedawna typowo męskiej siedziby. Zresztą nie przybywały tu wyłącznie damy. Nie brakowało mężczyzn rwących się do odegrania roli wiernego amanta markizy Carrington. Nie znaczy to wcale, by Judith pozwalała swoim adoratorom na niestosowne poufałości. Wszelkie flirty prowadziła z mistrzowską lekkością i taktem. Ale czegoż innego można się było spodziewać po tak doświadczonej kokietce?

Gdy Marcus dotarł do frontowego holu, rozległo się znów stukanie do drzwi. Przystanął, chcąc sprawdzić, kogo znów diabli niosą.

- Dzień dobry, lady Devlin - powitał wchodzącą majordomus.

- Dzień dobry, Gregson. Czy pani markiza w domu? - Nowo przybyła nerwowo poprawiała strusie pióro przy kapeluszu.

- Jej lordowska mość jest w żółtym salonie, lady Devlin.

- W takim razie od razu tam pójde. Nie musisz mnie anonsować. Och, to ty, Marcusie? Ależ mnie zaskoczyłeś!

Marcus spojrział na bratową ze zdziwieniem. Sally mieniła się na twarzy. Wiedział, że czuła się nieswojo w jego towarzystwie, ale żeby aż tak?

- Najmocniej przepraszam, Sally. - Skłonił się i odsunął, by mogła go wyminąć na schodach. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku na Grosvenor Square?

Czekał z rezygnacją na nudne sprawozdanie z przypadłości bratanków, przeważnie bólu ząbków i przeziębień. Ku jego zaskoczeniu Sally wydawała się zdziwiona pytaniem i zamiast uraczyć go drobiazgowym opisem: dziecięcych chorób odparła:

- Tak, tak. Dzięki za pamięć, Marcusie. Okazujesz zawsze tyle troski.

- Przesuwała dłonią po poręczy, jakby zamierzała ją wypolerować swoją rękawiczką. - Chciałam się zobaczyć z Judith.

- Jest w swoim saloniku.

Sally puściła się galopem na piętro, nie pożegnawszy się nawet ze szwagrem. Marcus pokręcił głową zaskoczony. Nie miał w zasadzie nic przeciwko ładniutkiej żonie Jacka, ale była z niej głupia gąska, bez wyrobienia towarzyskiego. Mimo to Judith polubiła ją, zdaje się. Zdumiewające! Na ogół nie miała cierpliwości do durniów.

- To ty, Sally? Czy coś się stało? - Judith pospiesznie wstała na widok wbiegającej do salonu szwagierki.

- Och, Judith! Muszę z tobą pomówić! - Sally chwyciła ją za obie ręce.

- Nie mam pojęcia, co robić! - Dopiero teraz dostrzegła pozostałe dwie damy. - Isobel... Cornelio... ja naprawdę głowę tracę!

- Wielkie nieba. Sally! - Isobel Henley zlustrowała baczynym okiem drobne ciasteczka na talerzu i zdecydowała się wziąć makaronik. - Któreś dziecko znów zachorowało?

- Z tym poradziłabym sobie znacznie łatwiej!

Sally opadła na kanapę i powiodła tragicznym wzrokiem po najbliższym otoczeniu. Jej zazwyczaj wesołe niebieskie oczy były pełne łez. Usiłowała je otrzeć koronkową chusteczką, pospiesznie wydobyta z woreczka.

- Napij się herbaty - doradziła praktyczna Judith, napełniając filiżankę i podając ją szwagierce.

Sally piła i starała się opanować. Odstawiwszy pustą filiżankę na stół, odetchnęła głęboko.

- Od trzech dni usiłuję znaleźć jakieś rozwiązanie. Głowa mi od tego pęka! I niczego nie mogę wymyślić!

Nerwowe palce rozdarły mikroskopijną chusteczkę.

- Powiedz, o co chodzi, może ci pomożemy! - Cornelia Forsythe pochyliła się raptownie, by poklepać przyjaciółkę po ręce. Lorgnon wpadło jej przy tym do filiżanki i herbata chlapnęła na suknię. - O Boże! - Niezdarnie usiłowała wytrzeć plamę. - A tak elegancko wyglądałam, wychodząc z domu!

Judith uśmiechnęła się w duchu. Cornelia była zbyt tęga, miała suknie prawie zawsze poplamione czy wymięte, a włosy rozczochrane. Odnaczała się jednak żywym umysłem i błyskotliwym dowcipem.

- Jakim cudem? Muszę zdobyć cztery tysiące funtów do jutra rana!

- Cztery tysiące?! - Judith gwizdnęła zupełnie jak Sebastian. - Po co ci aż tyle?

- To przez Jeremy'ego - wyjaśniła Sally. Jej młodszy brat był lekkoduchem bez grosza przy duszy. - Musiałam mu pożyczyć cztery tysiące, bo inaczej zamknęliby go do więzienia za długi, a teraz potrzeba mi na gwałt całej sumy... Ale jak mogłam mu odmówić tych pieniędzy?!

- Może twój mąż? - podsunęła Cornelia.

Sally zerknęła na Judith.

- Jack może by mu i pomógł, ale znasz opinię Marcusa na temat Jeremy'ego!

Judith skinęła głową. Marcus nie miał krzty zrozumienia dla młodych ludzi bez grosza, pozwalających sobie na kosztowne ekscesy. Zwykł mawiać, że służba w wojsku jest najlepszym rozwiązaniem dla takich durniów. Judith w zasadzie zgadzała się z mężem. Szaleńcza pogoń za uciechami świata wydawała się jej szczytem bezmyślności. Ale takie przemyślenia niewiele by pomogły Sally.

- Pewnie Marcus uznał, że Jeremy musi ponieść konsekwencje swoich czynów? - powiedziała.

Sally kiwnęła głową.

- I prawdę mówiąc, nie dziwię się mu. Jeremy trwoni coraz więcej i więcej.

- Ale jak ci się udało zdobyć dla niego te cztery tysiące?

Isobel zawróciła konwersację do punktu wyjścia i wzięła następny makaronik. Strasznie lubiła słodczyce. Ale ani makaroniki, ani ratafia nie były w stanie (ku uciesze Judith) osłodzić jej kaśliwych uwag.

- Zastawiłam rubiny Devlinów - odparła bezbarwnym głosem Sally.

Isobel upuściła ciasteczko na dywan.

- Co takiego?!

Judith przymknęła oczy, pełne znaczenie tych bulwersujących słów z trudem do niej docierało.

Sally kontynuowała głosem pozbawionym wyrazu:

- Nic innego nie mogłam wymyślić. Jeremy był w rozpacz. Ale teraz Marcus upomniął się o te rubiny. Jack myśli, że dałam je do czyszczenia.

- Marcus się o nie upomniął? Jakim prawem?

Sally spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby pytała: „kpiż czy o drogie pytasz?”

- Przecież one są twoje, Judith!

- Moje?

- Jesteś markizą Carrington, więc klejnoty Devlinów należą do ciebie. Marcus tylko mi je pożyczył. Co prawda nikt się nie spodziewał, że znajdzie sobie żonę, więc myślałam... - Głos jej się załamał.

Zapadło głucho milczenie. Trzy jej przyjaciółki zastanawiały się nad sytuacją.

- Aleś sobie napytała biedy! - odezwała się w końcu Cornelia. - Powinnaś była obstalować dobrą kopię tych rubinów!

- Pewnie, że kazałam ją zrobić - odparła Sally. - Ale Carrington nie dałby się nabrać na żadną kopię!

- To prawda - przytaknęła Judith, wspominając bystre oko i lotny umysł swego męża. - No cóż... Mogę mu powiedzieć, że nie przepadam za rubinami i nie mam nic przeciwko temu, żebyś je zatrzymała, ale nie, to nic nie da! Marcus, tak czy owak, będzie chciał je obejrzeć.

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju, bijąc się z myślami. Mogła dopomóc Sally, ale wiązało się to z dużym ryzykiem. Gdyby Marcus odkrył, co zrobiła, ich zgoda małżeńska - i tak dość chwiejna - przepadłaby raz na zawsze. Ale rzeczywiście mogła udzielić szwagierce pomocy. A przyjaciół w potrzebie się nie opuszcza. To kwestia honoru!

- Kiedy musisz je wykupić, Sally?

- Jack chce je zwrócić Marcusowi już jutro. - Sally załamała ręce. - Tak okropnie się czuję, Judith! Zupełnie jakbym cię okradła.

- Co za bzdury! - Judith zbyła jej słowa machnięciem ręki. - Wcale mi nie zależy na tych rubinach! A jeśli brat prosił cię o pomoc, musiałaś jej oczywiście udzielić. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś o tym wcześniej. Taka duża wygrana w ciągu jednego wieczoru może zwrócić uwagę...

- O czym ty mówisz? Wiem, że lubisz grać w karty, ale...

- Tu nie chodzi o lubienie - odparła Judith. - Mnie karta po prostu idzie, rozumiesz?

- Zauważyłam to. - Cornelia przyjrzała się markizie przez lorgnon. - Tak samo jak twojemu bratu.

- Nasz ojciec był doskonałym graczem - stwierdziła Judith, nie wdając się w dłuższe wyjaśnienia - a my okazaliśmy się zdolnymi uczniami. Właśnie dlatego lubię grać w karty.

- Ale ja ciągle nie rozumiem... - powiedziała niepewnie Sally.

- U pani Dolby mogłabym tyle wygrać - powiedziała Judith zwięźle - nie zwracając niczyjej uwagi.

- Ale nie wypada, żebyś tam chodziła, Judith! - Isobel była zaszokowana.

Karciane wieczorki u wspomnianej wdowy cieszyły się nie najlepszą sławą ze względu na wysokie stawki i zbyt swobodne zachowanie gości.

- A to dlaczego? Wiele kobiet tam bywa!

- Tak, ale uważa się na ogół, że to jest w złym tonie.

- Sebastian mnie tam zabierze. W towarzystwie brata nie narażę się na żadne plotki.

- Ale co na to powie Carrington?

- Nie musi o tym wiedzieć - oświadczyła Judith. - I dobrze mu tak! Z pewnością będą tam grali w makao. - Uśmiechnęła się do Sally. - Głowa do góry! Jutro rano wykupisz rubiny.

- Skąd ta pewność?

- Mam dużą wprawę - zapewniła Judith z odrobiną goryczy.

Przyjaciółki wkrótce się pożegnały. Sally miała nieco weselszą minę. Udzielił się jej optymizm szwagierki, choć bała się jeszcze uwierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

Przez chwilę Judith stała w pustym salonie, marszcząc brwi. Od czasu zamążpójścia grywała tylko dla zabawy, a stawki były symboliczne. Poważna gra o ciężkie pieniądze to całkiem co innego... Kto wie, może wyszła z wprawy? Przymknęła oczy, wyobrażając sobie karty na stole i graczy. Dobrze znany dreszczyk przebiegł jej po plecach. Uśmiechnęła się w duchu. Nie, ani trochę nie wyszła z wprawy!

Musi zapewnić sobie towarzystwo brata. Miał już pewnie jakieś plany na wieczór i będzie potrzebował trochę czasu, żeby je zmienić. Judith nawet nie przyszło do głowy, że brat mógłby jej sprawić zawód. Zaraz się wybierze do jego mieszkania, ale nie. Marcus na nią czekał. Ciekawe, co kryje się za tym wezwaniem do gabinetu? Przez chwilę miała ochotę zignorować polecenie męża, ale oparła się pokusie. Sprawy między nimi nie układały się najlepiej, a to byłoby jawne wypowiedzenie wojny.

W odpowiedzi na jej energiczne stukanie Marcus sam otworzył drzwi.

- Zastanawiałem się, jak długo jeszcze zatrzymają cię twoje kumy.

- Miały niewątpliwe prawo pierwszeństwa - odparowała. - Byłoby szczytem nieuprzejmości z mojej strony ponaglać je do wyjścia. Choć ty, zdaje się, jesteś odmiennego zdania. Bardzo wyraźnie dałeś im do zrozumienia, że nie powinny zabawić zbyt długo!

Marcus spojrzął na zegar i zauważył sucho:

- Nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Czekałem na ciebie grubo ponad godzinę.

Judith przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

- A czegoś ty się spodziewał, Carrington?

Tak go zaskoczyła, że roześmiał się mimo woli.

- Jak mógłbym po tobie spodziewać się czegoś innego, ryszczko?

Jedna ze szpilek poluzowała się i pasemko miedzianych włosów wymknęło się z wysokiego koka. Pod wpływem nagłego impulsu, prawie bezwiednie Marcus wyciągnął szpilkę. A potem nie mógł się już powstrzymać: jego palce błądziły w jedwabistym gąszczu, usuwając szpilkę po szpilce i burząc fryzurę.

Judith nie protestowała. Ilekroć poczuła na sobie jego ręce, nie była zdolna do sprzeciwu. Gdy wszystkie włosy opadły gęstą chmurą na jej ramiona, przegarnął je rękoma; był nimi urzeczony. Potem odsunął się nieco, by podziwiać swoje dzieło.

- Czemuś to zrobił? - spytała Judith.

- Nie wiem - odparł i pokręcił głową ze zdumieniem. - Po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Otoczył jej twarz dłońmi i ucałował ją w usta. Długi, przeciągły pocałunek jak zawsze zauroczył ich kompletnie. Lekko zdyszana Judith odsunęła się od niego, gdy cofnął ręce.

- Jesteś prawdziwym mistrzem w całowaniu, mój mężu - zauważyła z uśmiechem.

- A ty, oczywiście, masz ogromne doświadczenie w tym względzie?
- Tego się nie dowiesz ode mnie, mój panie! Musisz to sam wydedukować!

- Chyba to nie czas i nie miejsce na takie zgadywanki. Odłóżmy to na później.

- Czemu więc zawdzięczam to nagłe wezwanie? - spytała Judith, zmieniając temat w nadziei, że krew jej nieco ostygnie, a kolana przestaną się uginać.

- A właśnie! - Marcus oparł się o biurko, krzyżując nogi w kostkach i sięgnął za siebie po plik rachunków. - Przeglądałem właśnie twoje wydatki w tym kwartale i sądzę, że powinnaś mi wyjaśnić niektóre pozycje.

- Wyjaśnić? - Spojrzała na niego całkiem zbita z tropu. Poprzednie podniecenie zgasło, jakby ją oblał wiaderem zimnej wody.

- Właśnie.

Podał jej rachunki i dołączone do nich zestawienie wypisane kaligraficznym pismem sekretarza. Ostateczna kwota była istotnie bardzo pokaźna, ale z pewnością nie horrendalna jak na zwyczaj londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

- Cóż ci mam wyjaśniać? - Judith przerzucała rachunki. - Wszystko jest chyba całkiem jasne.

- Czy cena czterystu funtów za jedną suknię nie wydaje ci się nieco za wyżoną? - spytał, odbierając od niej plik rachunków. Przerzucał je, póki nie znalazł wspomnianej pozycji. - O, tutaj!

- To była specjalna toaleta z okazji prezentacji u dworu - wyjaśniła.

- A to i to? - Podsunął jej kolejny rachunek. - Pięćdziesiąt gwinei za klamerki do pantofli!

Judith cofnęła się o krok.

- Postawmy sprawę jasno, Marcusie. Czy kwestionujesz wysokość moich wydatków?

Zacisnął wargi.

- Bardzo trafnie odgadłaś.

- I oskarżasz mnie o szastanie pieniędzmi?

W uszach jej zaczęło szumieć, gdy w pełni do niej dotarło, jak upokarzająca jest ta scena. Strofowano ją jak dziecko, które przepuściło na głupstwa swoje kieszonkowe! Nikt dotąd nie kwestionował jej wydatków. Od chwili, gdy na znak dorosłości upięła włosy, była odpowiedzialna nie tylko za własne, ale także za rodzinne finanse. Dokonywała prawdziwych cudów.

To właśnie dzięki niej po śmierci ojca powstał „fundusz Gracemere'a”, niezbędny do ostatecznego pokonania wroga.

- Krótko mówiąc, tak.

- Wybacz, ale jaką sumę uważasz za stosowną na pokrycie moich kwartalnych wydatków? - Głos jej drżał. - Nie określiłeś żadnego limitu.

- Moja wina - przyznał. - Pokryję te wydatki, a następnie skonsultuję się z moimi bankierami w sprawie twojej kwartalnej pensji. Jeśli przekroczysz ustaloną kwotę, będę musiał cię prosić, byś przedstawiała mi wszystkie swe rachunki do akceptacji.

Wyprostował się, rzucając plik rachunków na biurko na znak, że posłuchanie skończone.

- Jestem pewien, że powściągniesz swą rozrzutność, gdy zrozumiesz, że twoja nowa pozycja nie gwarantuje ci czerpania ze studni bez dna. Przykro mi, jeśli wcześniej nie uświadamiałaś sobie tego.

Słyszał kaśliwy ton swojego głosu, niemal widział nieprzyjemny grymas na swej twarzy, ale nie mógł się pohamować.

Obawiając się, że wybuchnie, jeśli pozostanie choćby minutę dłużej w jednym pokoju z mężem, Judith odwróciła się na pięcie i wyszła. Twarz jej płonęła ze wstydu. Marcus oskarżał ją, że dorwała się do jego sakiewki i czerpie z niej zachłannie. Za kogo ją uważał? Znała dobrze odpowiedź: za szczwaną, pozbawioną skrupułów naciągaczkę, która nie cofnie się przed niczym dla zaspokojenia swych zachcianek.

Ale przecież wcale tak nie było! To prawda, że pozory świadczyły przeciwko niej. Wyszła za niego z niezbyt szczytnych pobudek. Ale nie była nikczemną kreaturą, za jaką ją uważał!

I nie zamierzała przyjąć pokornie nędznej pensyjki i podporządkować się nieustannej kontroli! Zacisnęła usta z determinacją. To, co postanowiła zrobić dla Sally, może równie dobrze uczynić dla siebie. Wróci do dawnych zwyczajów i z pewnością zarobi przy karcianym stoliku na własne potrzeby. A Marcus Devlin niech się wypcha swoją kwartalną pensją!

Pół godziny później w towarzystwie kroczącego z tyłu lokaja Judith udała się do kawalerskiego mieszkania swojego brata przy Albemarle Street. Sebastian wybierał się właśnie na konną przejażdżkę po Hyde Parku, ale zrezygnował z niej ze zwykłym dobrodusznym uśmiechem i wprowadził siostrę do saloniku.

- Sherry?

- Poproszę.

Wzięła podawany jej kieliszek.

-A zatem, co cię tu sprowadza, Ju?

- Kilka spraw. - Zapoznała go pokrótce z historią Sally i czterech tysięcy funtów.

Sebastian zmarszczył brwi.

- To byłaby cholernie duża wygrana jak na jedną noc!

- Wiem, ale co począć? Gdyby Marcus odkrył, co Sally zrobiła, wolę nie myśleć, jak by zareagował! Jack może by ją lepiej zrozumiał, ale on zawsze robi to, co starszy brat mu powie.

- Ten twój mąż lubi być panem i władcą! - zauważył Sebastian.

- Żebyś wiedziała! - przytaknęła Judith. - Starszy brat Jacka... opiekun Charliego... mój mąż - dodała kąśliwie szeptem.

- Co się stało? - spytał ją Sebastian prosto z mostu.

Judith powiedziała mu, starając się zachować spokój, ale gniew znów ją ogarnął, gdy przypomniała sobie upokarzającą rozmowę w gabinecie. Krążyła nerwowo po saloniku brata, a haftowane falbanki spacerowej sukni objęły się jej o kostki.

- To nie do zniesienia! - zakończyła z porywczym gestem. - I sam Marcus! I cała sytuacja!

- Co zamierzasz zrobić?

Sebastian zbyt dobrze znał swoją siostrę, by sądzić, że podporządkuje się potulnie woli męża.

- Sama zdobędę pieniądze na swoje wydatki. Podobnie jak dawniej.

Sebastian gwizdnął z cicha.

- Nie możesz mu powiedzieć prawdy? Przecież nie miałaś pojęcia, na kogo się natkniesz na dole w tej oberży. Od tego przecież wszystko się zaczęło!

Judith pokręciła głową.

- Nic by to nie dało. I tak by myślał o mnie wszystko co najgorsze. A prawda wcale nie jest taka oczywista, jak ci się zdaje. - Rzuciła bratu bezradne spojrzenie. - Wyobraź sobie, że mu powiem: „Nie zwabiłam cię z rozmysłem w pułapkę, ale okazja była zbyt dobra, żeby z niej nie skorzystać. A poza tym wcale nie jesteśmy małżeństwem, tylko wolałam ci o tym nie wspominać*”.

Uniosła wysoko brwi.

Sebastian udał, że rozważa sprawę.

Obawiam się, że nie byłby tym zachwycony... Ale przynajmniej na mnie zawsze możesz liczyć! U pani Dolby gra na całego zaczyna się o dość

późnej porze. Możesz się spokojnie wybrać przedtem do Cavendish House, a ja cię stamtąd zabiorę do niej. Odpowiada ci to?

- Jeszcze jak! Marcus z pewnością nie zjawi się w Cavendish House i nie będzie zdziwiony, jeśli wrócę do domu o świcie. Stale chodzimy odmiennymi drogami.

- Lepiej sięgnij do „funduszu Gracemere'a" - powiedział Sebastian. - Musisz mieć na rozpoczęcie gry, stawki tam są wysokie, a na męża w tym wypadku nie masz co liczyć. - Przeszedł do sąsiadującej z salonem sypialni i wrócił z wypchaną sakiewką. - Wetknął ją siostrze do ręki i uśmiechnął się szeroko. - Osiemset funtów. Jeśli nie zdołasz na jednym posiedzeniu rozmnożyć ich do czterech tysięcy, będę wiedział, że straciłaś smykałkę.

Judith uśmiechnęła się i zważyła sakiewkę w rękę.

- Bez obawy! A teraz mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. - Odstawiła kieliszek. - Jeśli już wypowiadam Marcusowi wojnę, to na wszystkich frontach! Wystaraj mi się o wysoki, sportowy faeton i parę koni. Mój mąż odnosi się bardzo krytycznie do pustogłowych kobiet, którym się wydaje, że potrafią kierować zaprzęgiem, niech się więc umocni w swej fatalnej opinii o mnie!

Sebastian podrapał się po nosie i dołał sobie sherry. Judith była wściekła. A jak już wkroczy na wojenną ścieżkę, nic jej stamtąd nie zawróci. Będzie trwała przy swoim aż do końca! Wiedział o tym z doświadczenia.

- Musisz go aż tak prowokować? - spróbował ją powściągnąć, ale bez większej nadziei.

- Mam go w nosie! - odparła siostra. - Uważa, że się ożenił z oszustką, intrygantką bez skrupułów! No to będzie taką miał!

Sebastian westchnął.

- Ile chcesz wydać na tę parę koni?

- Nie więcej jak czterysta funtów, chyba że znajdziesz cuda warte każdej ceny!

- Grantham tkwi w długach po uszy. Może uda mi się kupić jego gniade za cztery setki.

- Cudownie! Zapłać za nie z naszego funduszu, a ja ci zwrócę, jak tylko mi wpadnie trochę grosza.

Podniosła się i ucałowała brata.

-- Zmykam, a ty pędź do Hyde Parku!

- Ju...

- Słucham?

Zatrzymała się przy drzwiach.

- Gracemere jest w Londynie.
- Ooo. Widziałeś go?
- Nie, ale Wellby wspomniał o tym dziś rano u White'a.
- Ooo - powtórzyła Judith i dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach. - W takim razie wkrótce zaczynamy, Sebastianie!
- Tak - potwierdził. - Wkrótce zaczynamy.

Judith przez chwilę stała na chodniku, spoglądając pustym wzrokiem na wąską uliczkę. Lokaj cierpliwie czekał. Nagły podmuch wiatru porwał garść opadłych liści. Zawirowały wokół niej. Bezwiednie chwyciła jeden z nich. Był suchy, łamliwy i rozpadł jej się w palcach. Kiedy doprowadzą Gracemere'a do ostatecznego upadku, nie będzie już musiała trwać w małżeństwie, które nie było małżeństwem. Zwróci Marcusowi wolność. Ale przedtem da mu nauczkę!

10

Przez drzwi pomiędzy pokojami Marcus słyszał głos Judith; rozmawiała ze swą pokojówką Millie, gdy stroiła ją na wieczór. Po sprzeczce z żoną pozostał mu dziwny niesmak. Miał pełne prawo ograniczyć jej nadmierne wydatki, ale nie mógł pozbyć się uczucia, że postąpił niezgodnie ze swym charakterem. Jakież to w końcu miało znaczenie, ile Judith wydaje? Choćby przez całe życie rozrzuciła pieniądze garściami, nie zdołałaby przepuścić jego fortuny. Ale gorycz, jaką odczuwał, zatriumfowała nad jego wrodzoną szczodrobliwością. Nie chodziło mu o to, by odczytać Judith marnotrawstwa. Chciał ją po prostu ukarać. Otóż i cała prawda. Bardzo nieprzyjemna.

Starannie wpiął brylantową spinkę w śnieżnobiałe fałdy fularu.

- Nie musisz czekać na mój powrót, Cheveley.
- Tak jest, milordzie. - Lokaj odwrócił wzrok od wnętrza szafy, w której troskliwie rozwieszał jego ubrania. - Jak sobie wasza lordowska mość życzy - powiedział drewnianym głosem.
- Życzę sobie tego, Cheveley - zapewnił go Marcus z leciutkim uśmiechem. Czują jak mimoza godność osobista lokaja zawsze cierpiała, ilekroć chlebobawca dawał mu do zrozumienia, że poradzi sobie bez niego.

- Martwi mnie ten twój kaszel. Powinieneś położyć się wcześniej i porządnie się wygrzać.

Ten dowód troskliwości sprawił, że chude policzki Cheveleya poróżwiały, a jego sztywność zniknęła. Markiz Carrington był wyrozumiałym i sprawiedliwym panem. Od razu dostrzegał oznaki niezadowolenia lub złego samopoczucia i potrafił odpowiednio zareagować.

- Zbytek łaski, milordzie. Za dzień czy dwa będę zdrowy jak rydz.

- Jestem tego pewien. Ale przy twoich słabych płucach powinieneś uważać. Możesz już odejść. I kładź się do łóżka!

Marcus zaczekał, aż lokaj wyjdzie, a następnie otworzył drzwi do pokoju żony. Judith siedziała przed lustrem, przyglądając się krytycznie swemu odbiciu; Millie przetykała jej loki złotą aksamitką.

- Dobry wieczór, milordzie.

Dla zachowania pozorów Judith uśmiechnęła się do niego w lustrze, ale nie odwróciła się na powitanie.

- Dobry wieczór, Judith.

Usiadł na obitym aksamitem krzesle przy kominku. Millie wzięła się do zapinania mikroskopijnych guziczków przy obcisłych rękawach toalety z bładozielonej krepy. Znakomicie uwydatnia karnację i kolor włosów Judith, pomyślał Marcus. A cieniutki jedwabny sznur, którym była przepasana, podkreślał szczupłość talii.

- Chciałeś ze mną o czymś pomówić? - spytała po chwili Judith, zastanawiając się, czemu Marcus odwiedza ją w sypialni z łącie męzowską bezceremonialnością. Nie byli ostatnio zbyt przyjaźnie do siebie nastawieni.

- O niczym konkretnym - odparł i zauważył od niechcienia: - Prześliczna suknia!

Na twarzy Judith odmalowało się niedowierzanie. Zamrugała oczami i odprawiła pokojówkę.

- Dobrześ się sprawiła, Millie. Możesz odejść.

Służąca dygnęła i wyszła. Judith odwróciła się na taborecie i zmierzyła wzrokiem swego małżonka. Był jak zawsze nienagannie ubrany. Czarne atłasowe spodnie tuż za kolana, biała kamizelka. Z biżuterii tylko brylantowa spinka i złoty sygnet, który wrócił znów do niego. Czarne włosy miał uczesane a la Brutus, w czarnych oczach gniewne błyski, ale chyba nie z jej powodu.

- Czy mnie słuch nie myli? - spytała nieco zaczepnie, unosząc brwi. - Spodobała ci się moja suknia? Doskonale się składa, bo nieraz mnie w niej

zobaczysz przez następnych kilka lat. Będę ją nosić, aż się rozpadnie ze starości. Tego sobie właśnie życzyłeś, nieprawdaż?

- Nie bądź niemądra - odparł Marcus. Przyszedł tu z zamiarem pogodzenia się z żoną, ale wyglądało na to, że nie ma o czym marzyć. - Dobrze wiesz, że wcale nie to miałem na myśli. Powinnaś być zadowolona z wysokości swej pensji.

Judith odwróciła się znów do lustra.

- Twoja wielkoduszność mnie przytłacza.

Pośliniła palec i zwilżyła delikatnie zarysowany łuk brwi, starając się opanować. Kolejny wybuch gniewu wytrąciłby ją z równowagi, a dziś wieczorem musiała być opanowana, by wygrać cztery tysiące dla Sally.

Marcus westchnął i spróbował z innej beczki.

- Pomyślałem sobie, że wybierzemy się dziś razem do Cavendish House.

Judith wiedziała, że nie znosił życia towarzyskiego; powinna więc docenić wysokość ofiary, na jaką zdobył się dla niej. Spodziewał się, że ją to zaskoczy, ale nie przypuszczał, że będzie to dla niej szok. Zaraz jednak błysk przestachu zastąpił wyraz chłodnego wyrachowania.

- Cóż za galanteria, milordzie! Ale nie musisz się fatygować. - Zaśmiała się lekko, nadal mierząc krytycznym okiem swoje odbicie w lustrze. - To by mi tylko popsuło wieczór, a może na tym ci właśnie zależy?

- Najmocniej przepraszam. - Markiz wstał, jego usta się zacisnęły. - Nie chciałem bynajmniej psuć ci zabawy. Wybacz.

Judith nieco złagodniała. Znów odwróciła się w jego stronę.

- Chodzi mi tylko o to, że nie mogłabym się dobrze bawić, widząc, jak cię to wszystko nudzi. - Zaczęła zbierać szpilki rozrzucone na toalecie.

Nie będzie nikogo z twoich przyjaciół, a moi cię wcale nie interesują.

Nie marzyła ani trochę o jego towarzystwie, ot i cała prawda.

Marcus skłonił się i odparł chłodno:

- Jak sobie życzysz. Z pewnością najlepiej wiesz, co ci odpowiada. - Wrócił do swego pokoju, nie spojrzawszy już na nią ani razu.

O Boże! - pomyślała załłośnie Judith. Przecież nawet niedobrana para nie musi wечно prawić sobie uszczypliwości. Nie powinna była nigdy się wiązać z Marcusem! Im prędzej go opuści, tym lepiej.

Było już po drugiej w nocy, gdy wynajęta dorożka zatrzymała się pod numerem szóstym na Pickering Street. Sebastian wyskoczył i pomógł siostrze wysiąść. Judith wygładziła swą pelerynkę ze złotej tafty i poprawiła muślinową krezę u szyi, spoglądając ciekawie na wysoki, wąski dom. A więc to było londyńskie wydanie „eleganckiego” domu gry!

Lokaj w liberii wpuścił ich do środka, odebrał od nich okrycia i poprowadził ich wąskimi schodami na górę. Znajdowały się tam trzy rześcicie oświetlone salony, pełne mężczyzn i kobiet w wieczorowych strojach. Wśród tej ciżby krążyli lokaje z kieliszkami na tacy. Ponad stonowany gwar rozmów wzbijały się wykrzykniki towarzyszące grze w kości-

Judith spojrzała na Sebastiana, a ten uśmiechnął się szeroko. Zrozumieli się w mgnieniu oka: znów byli u siebie w domu!

-Ach, panie Davenport, jestem zachwycona, że zechciał nas pan odwiedzić. Lady Carrington, to doprawdy zaszczyt...

Amelia Dolby, stojąca przy stole do gry w lotto, sunęła już ku nowo; przybyłym. Mimo wyzywającego makijażu gospodyni, jej absurdalnie dziewczęcych loczków i niemal przezroczystej sukni, Judith oceniła ją na co najmniej sześćdziesiąt lat. Ostre rysy, bystre oczy i uśmiech piranii witającej kolejną ofiarę. Judith dobrze znała takie uśmiechy i odpowiedziała podobnym, choć nieco dyskretniejszym. Po czym - na kilka następnych godzin -jej twarz zastygła w nieprzeniknionej masce.

- W co ma pani ochotę zagrać, markizo? - spytała Amelia Dolby, - Może w kości?

Judith pokręciła głową. Oboje z Sebastianem grali w kości wyłącznie dla zabawy; tylko głupcy liczyli na wygraną tam, gdzie wszystko zależało od przypadku.

-Jeszcze nie wiem. A ty, Sebastianie?

- Chyba spróbuję szczęścia w lotto - odparł beztroskim tonem, podwiązując koronkowe mankiety, by mu nie opadały na ręce.

- W takim razie ja zagram w makao.

Nigdy nie grywali z bratem w to samo.

Amelia Dolby podprowadziła ją do właściwego stołu i zapoznała z pozostałymi graczami. Z niektórymi Judith już się zetknęła. Wszyscy byli nieuleczalnymi hazardzistami, toteż założyli z góry, że i ona znajduje się w szponach nałogu. Nie znalazłaby się tutaj, gdyby nie mogła sobie pozwolić na wysoką stawkę, a w gruncie rzeczy tylko to ich obchodziło.

Trzy godziny później Judith wygrała już niemal pięć tysięcy gwinei. Starczy na wykupienie rubinów i nabycie faetonu i pary koni! Wyprawa

okazała się bardzo owocna i równie podniecająca. Judith była mile ożywiona i nie mogła pojąć, czemu tak długo odmawiała sobie tej przyjemności. Oczywiście z niemądrej lojalności względem męża. Obawiała się, że mogłaby mu tym sprawić przykrość. Idiotyczne skrupuły! Przecież i tak wszystko, co robiła, było mu nie w smak! Dogadywali się tylko w łóżku.

Judith z trudem przełknęła ślinę, schowała swoją wygraną i zrezygnowała z dalszej gry.

Sebastian nadal siedział przy stole do lotto. Panowała tam pełna napięcia cisza; większość grających, chcąc ukryć swe emocje, zasłaniała twarze maskami. Zorientowawszy się, że brat w najbliższym czasie nie odejdzie od gry, Judith postanowiła przejść się po salonach. Była całkiem odprężona, gdyż osiągnęła już zamierzony cel. Postanowiła zagrać w cokolwiek, wyłącznie dla przyjemności, jeśli zwolni się gdzieś miejsce.

- Lady Carrington! - zawołała do niej jakaś kobieta siedząca przy stole do gry w faraona. - Może przyłączy się pani do nas?

- Jeśli znajdzie się dla mnie miejsce. - Judith z uśmiechem podeszła do nieznajomej. - Najmocniej przepraszam, madame, ale...

- Panie pozwolą, że dokonam prezentacji. - Amelia Dolby znalazła się obok nich. - Lady Barret... lady Carrington.

- Dopiero wczoraj wróciłam do Londynu - wyjaśniła Agnes Barret. - Mój mąż niedomagał i nasz pobyt na wsi się przedłużył. - Wskazała Judith wolne krzesło obok siebie. - Proszę usiąść. Miałam nadzieję zawrzeć z panią znajomość już w Cavendish House - ciągnęła dalej, gdy Judith zajęła miejsce. - ... ale była pani tak obłączona, moja droga, że nie mogłam się docisnąć! - I ze śmiechem wyciągnęła do niej rękę.

- Pochlebia mi pani - zaprotestowała skromnie Judith i ujęła podaną dłoń.

Gdy ścisnęły sobie ręce, lady Barrett wpatrywała się w nią z takim skupieniem, jakby w pokój u nie było nikogo więcej. Judith poczuła gęsią skórę, włosy na karku się zjeżyły. Wszystkie dźwięki docierały jakby z oddali, zlewały się w niezrozumiały pomruk; blask żyrandoli przygasł, widziała je jak przez mgłę. Miała wrażenie, że spętał ją jakiś czar. Ale po chwili lady Barret uśmiechnęła się i puściła jej rękę.

-A więc lubi pani grać w karty, lady Carrington? Czy pani brat podziela to upodobanie?

Judith zmusiła się do pozornej swobody. Co jej się stało, u licha?

- Gra teraz w lotto - odpowiedziała, wykładając pieniądze na stół.

W grze w faraona zasadniczą rolę odgrywa przypadek. W zwykłych okolicznościach i przeniosłaby się gdzie indziej. Teraz jednak nie mogła się skoncentrować i przegrała znaczną sumkę, nim zorientowała się w sytuacji. Zła na siebie, pośpiesznie wymówiła się od dalszej gry i wstała od stołu.

- Ależ, lady Carrington, szczęście z pewnością znów pani dopisze - perswadowała sąsiadka, starając się ją powstrzymać.

- Nie teraz, gdy czarny diablik przycupnął mi na ramieniu - zacytował" Judith ulubione powiedzonko swego ojca; zawsze je powtarzał, gdy mu, karta nie szła.

W płowych oczach lady Barret coś zamigotało. Nieco przybladła i sztuczne rumieńce na jej policzkach wydawały się bardziej jaskrawe.

- Od dawna nie słyszałam tego porzekadła.

Judith wzruszyła ramionami.

- Doprawdy? Myślałam, że jest w powszechnym użyciu. O, to ty, Sebastianie! - Odwróciła się do brata z wyraźną ulgą. - Chyba jeszcze ni miałeś zaszczytu poznać lady Barret?

Bacznie obserwowała brata, gdy uśmiechał się i kłaniał nowej znajomej. Czy i on wyczuł osobliwą, niepokojącą aurę, która ją otaczała? Nie wydawał się wcale zmieszany. Jak zwykle roztaczał swój niezawodny urok i uśmiechał się beztrząsco. Agnes Barret odwzajemniła się pełnym uznaniem błyskiem oka i wyraźnym zalotnym śmiechem.

- Już późno, Sebastianie. Pora wracać - powiedziała nagle Judith. - Pani wybacz, madame.

Brat spojrział na nią przenikliwie, po czym pożegnał lady Barret ze znacznie większą kurtuazją. Gdy znaleźli się poza zasięgiem jej słuchu, zauważył:

- To było trochę zbyt raptowne, Ju.

- Głowa mnie rozboleła - wyjaśniła. Całe jej poprzednie ożywienie zniknęło. Pragnęła czym prędzej znaleźć się jak najdalej od tych zatłoczonych sal, za mocnych perfum, zbyt jaskrawych świateł. - A poza tym karta mi nie szła i zupełnie się pogubiłam.

Odpowiedział na to żałosne wyznanie grymasem dezaprobaty.

- Znasz zasady - skarcił ją. - Trzeba się skoncentrować, żeby nie wiem co!

- Tak, ale nie byłam w stanie myśleć jasno. - Zastanawiała się, czy opowiedzieć o niezwykłym wrażeniu, jakie wywarła na niej lady Barret, ale ostatecznie dała temu spokój. Usprawiedliwiać partacką grę nieprzychylnie

nymi fluidami płynącymi od sąsiadki? Brzmiało to idiotycznie! - W każdym razie mam te cztery tysiące na rubiny. I na konie też mi starczy.

Obejrzała się przez ramię. Lady Barret także wstała od stołu i rozmawiała z panią domu. Nowa znajoma była doprawdy niezwykle pociągająca: wysoka, smukła, szykownie ubrana w szmaragdową suknię z głębokim dekoltem i szeroką falbaną u dołu. W młodości musiała być wyjątkowo piękna, pomyślała Judith, z tą masą kasztanowatych włosów i z prowokującymi ustami. Szmaragdowy był jednym z ulubionych kolorów Judith. Teraz przysięgła sobie, że już nigdy nie włoży nic w tym odcieniu zieleni, i zaraz ofuknęła się w duchu za tę niemądrą dziecinadę.

Już świtało, gdy zaspany odźwierny wpuścił Judith do Devlin House. Na paluszkach wspięła się po schodach i dotarła do swego pokoju. Wiedząc, że późno wróci, zapowiedziała Millie, by na nią nie czekała. Ogień na kominu niemal wygaśł, świece prawie się wypaliły. Pospieszenie zrzuciła z siebie ubranie i nago podeszła do okna, by podziwiać różowy blask jutrzeńki.

- Gdzieś ty była, do wszystkich diabłów?

Odwróciła się raptownie na dźwięk kipiącego gniewem głosu. Marcus opierał się o framugę wewnętrznych drzwi. Był nagi podobnie jak ona i całe jego ciało pulsowało napięciem jak struna skrzypiec.

- W Cavendish House.

- Cztery godziny temu pojechałem do Cavendish House, żeby przywieźć cię do domu. Ale nie było cię tam.

Przez następne trzy godziny leżał, oczekując w każdej chwili powrotu żony, a równocześnie wyobrażając sobie wszystko co najgorsze, poczynawszy od napaści rzezimieszków, a kończąc na randce z jakimś gachem. Wszystko, co o niej wiedział, pozwalało snuć jak najokropniejsze przypuszczenia, toteż w krótkim czasie nie był już w stanie myśleć logicznie.

Judith mimo wyczerpania pospiesznie zebrała myśli. Wzruszyła ramionami i spytała zimno:

- Czyżbyś mnie szpiegował?

Marcus udał się do Cavendish House w najlepszych zamiarach, pragnąc załagodzić wszelkie niesnaski w jedyny skuteczny sposób - miłosną pieśczęcią i porywem namiętności. Ale po tym chłodnym, ironicznym pytaniu wszelkie dobre intencje wzięły w łeb.

- Wygląda na to, że nie bez powodu. Gdy nie znajduję mojej żony tam, gdzie miała być, gdy znika diabli wiedzą gdzie na całą noc, każdy by przyznał, że trzeba ją mieć na oku!

Judith pospiesznie zmieniała taktykę. Tylko tego brakowało, by Marcus łąził za nią krok w krok! Jej plany zdobycia pieniędzy spaliłyby na panewce. Uśmiechnęła się więc pojednawczo i odpowiedziała spokojnie i rozsądnie;

- Byłam z Sebastianem, Marcusie. Od dawna nie mieliśmy okazji porozmawiać ze sobą dłużej.

Carrington wiedział, jak silne więzi łączyły ją z bratem. Spojrzał na nią bacznie i zmarszczył brwi. Do diaska! Im dłużej na nią patrzył, tym wyraźniej dostrzegał jej piękność i jej nagość. Był coraz bardziej podniecony. Judith zbliżyła się do niego z wyciągniętymi rękoma.

-Ale jeśli tak się już zdarzyło, że oboje nie śpimy o świcie, może warto by to wykorzystać?

Wziął ją za obie ręce, powtarzając sobie w duchu, że wytłumaczyła mu przecież całkiem przekonująco, gdzie była i z kim.

- Też tak sądzę.

Pociągnął ją w stronę łóżka, położył się obok niej i przytulił ją do siebie.

- Poszłicie z Sebastianem do jego mieszkania?

Judith zeszywniała.

- Mieliśmy ze sobą tyle do pomówienia - wykręciła się i jej dłonie zaczęły błędzić po ciele męża.

Marcus przytrzymał wędrującą rękę.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Judith!

Niech to szlag! Dlaczego ją zmusza do jawnego kłamstwa?

- Oczywiście.

Mówiła prawdę czy kłamała? Czemu miałby jej wierzyć? Uparta, bolesna nieufność popychała go na niebezpieczną ścieżkę.

- Ciągle mam wrażenie, że nie jesteś ze mną szczerą.

Nadal trzymał ją za rękę.

- Nie rozumiem dlaczego - mówiła niewyraźnie, z ustami przy jego skórze. A mimo to nie zdołała rozproszyć jego podejrzeń!

- Jeśli mnie okłamujesz, Judith, przekonasz się, że moja cierpliwość i wyrozumiałość mają swoje granice! Jesteś moją żoną, strażniczką mego honoru. A honor i kłamstwa nie chodzą tymi samymi drogami.

- Do wszystkich diabłów, Marcusie! - Usiadła raptownie na łożku i spiorunowała go wzrokiem. - Przestań mi grozić! Czemu miałabym cię okłamywać?

- Nie wiem - odparł. - Ale odwracając kota ogonem: czemu nie miałabyś kłamać?

Zabolało tak, że Judith zacisnęła powieki. Właściwie dlaczego tak bolało? Przecież naprawdę go okłamała. Ale kto ją do tego zmusił?

Marcus uniósł się na poduszkach i wpatrywał się w nią spod półprzykniętych powiek. Wyczuwał jej ból... tak wyraźnie, jakby to jego ktoś zranił. Gorączkowo szukał słów, które wyjaśniłyby coś, ocaliłyby coś z tej nocy.

- Judith, nie mogę pozwolić, żebyś włóczyła się gdzieś, licho wie po co, i w dodatku po nocy... wszystko jedno, z bratem czy bez niego. Może kiedyś miałaś takie zwyczaje, ale teraz zajmujesz całkiem inną pozycję. Markiza Carrington, moja żona, musi być zawsze bez zarzutu, bez względu na to, co niegdyś wyprawiała Judith Davenport. Dobrze wiesz, że mam rację!

- Ale dlaczego od razu zakładasz, że coś przeszkobałam?! - warknęła.

- Mówię ci przecież, że byłam z moim bratem! Czy to nie wystarczy?

- Zapominasz, że dobrze wiem, coście razem wyczyniali. Te sztuczki z wachlarzem.

- To się zdarzyło raz. Dawno temu! - przerwała mu zaczerwieniona.

- Nie masz najmniejszych podstaw do podobnych oskarżeń!

- Oby tak było - odparł. - Bo musisz jedno wiedzieć, Judith. - Ujął ją mocno za brodę. Jego oczy i głos były twarde jak żelazo. - Gdybym odkrył, że znów gracie w duecie, między nami wszystko by się skończyło i to w bardzo przykry sposób. Rozumiesz?

Wyrwała mu się i odparła lodowatym tonem:

- Trudno czegoś takiego nie zrozumieć.

- Wołałem się upewnić.

- Możesz być całkiem pewny.

Ale przecież będą musieli zagrać w duecie z Sebastianem. Ostatni raz...

A gdy już będzie po wszystkim, zwróci Marcusowi wolność. Niech sobie znajdzie taką żonę, jakiej pragnie: uosobienie honoru i prawości; uległą i posłuszną chodzącą doskonałość. I niech się przekona, jaką będzie miał z nią frajdę! - pomyślała kaśliwie.

- Chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia - oświadczyła. -
Dobrej nocy, milordzie!

Marcus wstał z łóżka.

- Dobrej nocy, madame.

Stuknęły zamykane drzwi. Judith skuliła się na łóżku. W gardle ją ścisnęło. Łzy napływały do oczu. Była nieszczęśliwa i rozczarowana. Pragnęła całkiem innego zakończenia tej nocy. Było w zasięgu ręki i bezlitośnie pozbawiono ją w ostatniej chwili tej radości. Wpatrywała się piekącymi oczyma w blade światło poranka. Wszystko ją bolało, umysł miała przeraźliwie jasny i była dosłownie chora z pożądania.

Nagle drzwi między pokojami otworzyły się znów z impetem. Obok jej łóżka stał Marcus. Wyczuwała równie wyraźnie burzę miotających nim uczuć jak jego fizyczne podniecenie.

- Do jasnej cholery, Judith! Co ja mam z tobą począć?! - Zmuszał się do mówienia szeptem, ale jego bezsilna wściekłość i namiętność były przez to jeszcze bardziej widoczne. - Pragnę cię nad życie, ale doprowadzasz mnie do takiego szału, że sam już nie wiem, czy chcę cię kochać czy zamordować?!

Judith bez słowa odrzuciła przykrycie, ukazując się cała jego oczom w perłowym blasku jutrzeńki. Opadł na łóżko obok niej i przygarnął ją do siebie. Brał w posiadanie szorstką, nagłą pieczęcią każdy wzniesienie i wgłębienie jej ciała, żądał odpowiedzi, co sprawia jej największą rozkosz. Odkryła się całkowicie przed nim, wyjawiając, czego najbardziej pragnie.

Oznakował ją płonąca pieczęcią swej ręki i swego języka, poznawszy całą jej słabość i najdziksze porywy namiętności. Wpatrywała się w niego oczyma pełnymi łez radości, gdy przewalała się nad nimi zawierucha zmysłów, by unieść oboje tam, gdzie nic już nie miało znaczenia prócz doskonałej jedności, gdzie ona istniała w nim, a on w niej.

Leżał potem, obejmując ją ramieniem. Czuł jej głowę na swoim barku i ciało miękko wtulone w niego, gdy zapadała w sen. Przepęłniała go ogromna czułość. Rozkwitła jak maleńki krokus, który przedarł się przez twardą glebę nieufności. Taka namiętność nie mogła być czymś bez wartości. Taka namiętność nie mogła być kłamstwem! Gdyby tylko mógł spojrzeć innymi oczami, pozbyć się uprzedzeń, dostrzec inną, prawdziwą Judith!

U

Bernard Melville, hrabia Gracemere. Przez całą szerokość sali balowej Judith spoglądała na człowieka, który doprowadził jej ojca do ruiny. To przez niego George Devereux musiał opuścić Anglię, tułał się z dwójkiem dzieci po obcych krajach, a wreszcie zginął śmiercią samobójczą. Do wiecznie płonącego w sercu Judith gniewu dołączyło się podniecenie - dreszcz emocji, jaki odczuwała podczas gry w karty, wiedząc, że ma przeciwnika w garści.

- Charlie, znasz hrabiego Gracemere'a?

- Jasne! Wszyscy go znają. - Partner markizy zawirował z nią w walcu.

- Cudownie tańczysz, Judith.

- To, jak tańczy kobieta, zależy od talentu partnera - zauważyła ze śmiechem. - Na szczęście dla mnie, jesteś uzdolniony w tym kierunku!

Charlie się zarumienił.

- Wielka szkoda, że nie jest to wasza cecha rodzinna - dodała w zadumie.

- Co masz na myśli?

- No cóż... twój kuzyn Marcus nie jest urodzonym tancerzem.

- Nigdy go to nie pociągało - przyznał Charlie. - Prawdę mówiąc, straszny z niego nudziarz. Nic go nie interesuje oprócz historii i sztuki wojennej - powiedział z goryczą.

- Czyżbyście się pokłócili z Marcusem? - spytała Judith.

Charlie był częstym gościem w Devlin House, ale z niewiadomej przyczyny nie pokazywał się tam od dwóch tygodni. Judith przyjrzała mu się baczniej i zauważyła ściągnięte rysy i wyraźne skrepowanie młodzieńca.

- Jest taki cholernie wymagający, Judith! A poglądy ma z czasów króla Ćwiczka! I ani w ząb nie rozumie, że człowiek musi mieć w życiu jakieś przyjemności!

- To nie całkiem tak - zaoponowała łagodnie. - Marcus wie, co to przyjemności. Pasjonuje się sportem i jazdą konną. I ma wielu przyjaciół, którzy wcale nie uważają go za nudziarza.

- Bardzo przepraszam. - Charlie się zmieszał. - Nie powinienem był tego mówić. To twój mąż.

- Tak, ale nie jestem ślepa na jego przywary - stwierdziła Judith z kwaśnym uśmiechem. - Nie ma zrozumienia dla tego, co uważa za słabość charakteru. Czym mu się naraziłeś, Charlie?

Charlie pokręcił głową i próbował się roześmiać.

- To nic wielkiego. Wszystko się rozejdzie po kościach. Masz już dość tańca? Może ci przynieść kieliszek szampana?

Judith nie drażyła tematu, gdyż Charlie najwyraźniej nie chciał o tym mówić.

- Nie, dziękuję - odparła. - Ale chciałabym, żebyś mnie zapoznał z Gracemere'em.

- Oczywiście, jeśli ci na tym zależy. Nie zaliczam się do jego kompanii, nie znamy się zbyt blisko. Ale mogę ci go przedstawić w każdej chwili.

Judith obrzuciła wzrokiem salę balową, szukając Sebastiana. Spozstrzegła go wreszcie: tańczył z Harriet Moreton. Uświadomiła sobie nagle ze zdumieniem, że brat często prosił do tańca tę nieśmiałą, ładniutką siedemnastolatkę, choć nie była właściwie w jego typie. Sebastian poczuł na sobie wzrok siostry i spojrzał w jej kierunku. Wiedział, że Judith postanowiła dziś zawrzeć znajomość z Gracemere'em. I to w taki sposób, żeby i on mógł się do nich przyłączyć, nie budząc niczyjego zdziwienia. Czekał właśnie na znak od niej.

- Słowo daję, wieś jest cholernie nudna o tej porze roku - zwierzał się hrabia grupce znajomych, gdy Judith i Charlie podeszli bliżej. - Błocko, nic, tylko błocko, jak okiem sięgnąć.

- Nie rozumiem, czemuś nie wrócił wcześniej do miasta - zauważył jeden ze słuchaczy.

- Miałem swoje powody - rzucił hrabia z lekkim uśmieszkiem. Kiedy jego spojrzenie padło na Charliego i Judith, uśmiech stał się o wiele szerszy. - Witaj, Fenwick! Przedstawisz mnie chyba swej uroczej towarzyszce? Lady Carrington, nieprawdaż? Przez cały wieczór marzę o tym zaszczycie.

Skłonił się i podniósł rękę Judith do ust.

- Miło mi, panie hrabio.

Judith spojrzała wreszcie z bliska na człowieka, który zaprzętał jej myśli we śnie i na jawie od niespełna dwóch lat. Od chwili, gdy oboje z bratem przeczytali ostatni list ojca i zrozumieli wreszcie, że przyczyną jego hańby i tułaczki nie był jedynie pociąg do hazardu.

Bernard Melville miał bładoniebieskie oczy. Rybie oczy, pomyślała Judith w przyływie obrzydzenia. Ich spojrzenie zdawało się przenikać ją na

wskroś. Wysunęła rękę z uścisku hrabiego i z trudem powstrzymała się od wytarcia jej o spódnicę. Poczowała się skalana tym dotknięciem, choć była w rękawiczkach. Prócz rybich oczu Gracemere miał okrutne usta i spiczasty nos. Rozpustne życie wycisnęło piętno na jego twarzy.

Jakim cudem zdoła ukryć swój wstręt i nienawiść i oczarować tego człowieka? Oczywiście, że zdoła. Przez całe życie musiała ukrywać swe uczucia z winy Gracemere' a. Uśmiechnęła się do niego znad rozpostartego wachlarza.

- Wrócił pan ze wsi, hrabio? W jakim zakątku Anglii pan przebywał?

- Mam posiadłość w Yorkshire - wyjaśnił. - Dziura zabita deskami, ale czuję się w obowiązku od czasu do czasu tam zajrzeć.

Cranshaw! Majątek, który wygrał od ich ojca. Dziedzictwo Sebastiana. Zalała ją płomienna fala gniewu; pospiesznie spuściła oczy.

- Prawie nic nie wiem o Yorkshire...

- Nic dziwnego: spędziła pani większość życia za granicą, markizo.

- Tyle pan o mnie wie, to mi pochlebia! - Roześmiała się z kokieterią. Był to efekt wyćwiczony do perfekcji.

- Droga lady Carrington, wieść o pani małżeństwie wyrwała cały Londyn z letniej nudy!

- Cóż za niebotyczny komplement, milordzie! Nie miałam pojęcia, że moje skromne małżeństwo konkuruje o tytuł sensacji sezonu z... bitwą pod Waterloo!

Był to błąd taktyczny, ale nie mogła się oprzeć. W gronie słuchaczy dały się słyszeć chichoty. Oczy Gracemere'a straciły blask, policzki mu poczerwieniały. Ale po chwili roześmiał się także.

- Ma pani absolutną rację: zrobiłem z siebie durnia! Proszę o wyrozumiałość: to pani piękność pozbawiła mnie rozumu.

- Za to ten komplement udał się panu znakomicie - odparła, uderzając go po rękę wachlarzem. - Błyskawicznie wrócił pan do formy!

Skłonił się ponownie.

- Mogę więc nabrać śmiałości i błagać o najbliższy taniec, markizo?

- Obiecałam go co prawda swemu bratu, milordzie, ale nie sądzę, by zbytnio obstawał przy prawie pierwszeństwa. - Zwróciła się do Sebastiana, który niby to przypadkiem zatrzymał się w pobliżu:

- Pozwolisz, mój drogi?

- Przywykłem już do tego, że brat jest zawsze na szarym końcu - rzekł z uśmiechem.

- Zdażył już pan poznać mego brata, milordzie?

- Nie sędzę - odparł Gracemere. - Co za uderzające podobieństwo!
- Wszyscy tak twierdzą. - Młodzieniec się skłonił. - Sebastian Davenport, do usług!

- Bardzo mi miło. - Hrabia odwzajemnił ukłon. Zmierzył badawczym wzrokiem młodego człowieka, który uśmiechał się niezbyt mądrze. Agnes spotkała go u tej Dolby, musi więc być zapamiętałym graczem. Jak do-
brym? To się jeszcze okaże. - Dość często grywam z przyjaciółmi w karty. Niech się pan przyłączy do nas - zaproponował nieco protekcyjnym tonem. - Jeśli lubi pan takie rozrywki.

Sebastian zapewnił go, że lubi; bąknął nawet coś o zaszczycie. Potem Judith wsparła się na ramieniu hrabiego i Bernard Melville poprowadził ją do tańca.

- A zatem nie ruszył pan za przykładem większości do Brukseli, by przyjrzeć się wielkiej bitwie, panie hrabio?

- Niestety, nie. Cechuje mnie zawstydzający, a może raczej bezwstydy brak zainteresowania działaniami wojennymi.

- Nawet wówczas, gdy chodzi o Napoleona? Doprawdy powinien się pan wstydzić! - Roześmiała się, zerkając na niego spod rzęs,

- Jestem pod tym względem niepoprawny. - Uśmiechnął się do niej.
- W przeciwieństwie do pani męża, który jest prawdziwym autorytetem w tych sprawach!

I to nie ekspertem zza biurka, ale takim, co się sprawdza na polu bitwy!
- pomyślała Judith, wspominając ów dzień pełen grozy. Jakież to było inne od nieustannych uciech londyńskiego sezonu! Nic dziwnego, że Marcus nieraz wyrażał się pogardliwie o życiu wyższych sfer.

Skwitowała uwagę hrabiego skinieniem głowy.

- Tak - rozważał dalej Gracemere. - Pani mąż patrzy z góry na nas, pustogłowów. Ogólnie wiadomo, co myśli o naszych nieskomplikowanych uciechach.

Judith wyczuła w słowach hrabiego osobistą nutkę. Oj, chyba Bernard Melville nie przepada za Marcusem Devlinem!

- Każdy ma swoje gusty - zauważyła obojętnym tonem.

Hrabia przyjrzał się jej bacznie.

- Ale pani, markizo, nie podziela chyba pogardy męża dla beztroskiej rozrywki? - Szerokim gestem wskazał salę balową.

Gdybyś ty wiedział, Gracemere, jak starannie zaplanowane są moje beztroskie rozrywki! - pomyślała Judith. Przytaknęła jednak z uśmiechem słowom hrabiego i zatrzepotała kokieteryjnie rzęsami. Z wewnątrz-

nym obrzydzeniem zauważyła błysk zainteresowania w jego bezbarwnych oczach.

Marcus zjawił się w chwili, gdy pani domu miała już opuścić swe stanowisko u szczytu schodów. Godzina była zbyt późna, by lady Grey mogła liczyć na przybycie dalszych gości; powitała więc markiza z radosnym zdumieniem i poinformowała, że lady Carrington przebywa zapewne na sali balowej.

Marcus udał się więc w tamtym kierunku. Przez chwilę nie mógł dostrzec żony w kłębiącym się tłumie. I nagle ją zobaczył.

Jego ręce zacisnęły się odruchowo w pięści, gdy ujrzał, jak Judith wdzięcznie wiruje w ramionach Bernarda Melville'a i patrzy na niego śmiejącymi się oczyma. Jak, u licha, spiknęli się z Gracemere'em?! Bezsensowne pytanie. Musieli się zetknąć wcześniej czy później. Nie było co marzyć o tym, że Gracemere pozostanie na prowincji w trakcie londyńskiego sezonu. Pewnie szukał kolejnej ofiary, którą mógłby oskubać do cna.

Taniec się skończył i hrabia sprowadził swą partnerkę z parkietu. Judith uśmiechała się do niego tak, że przyglądający się temu mąż miał ochotę zgrzytać zębami. Obserwował jej niezliczone flirty w Brukseli z rozbawieniem i podziwem. Ani trochę nie przeszkadzała mu beztroska kokieteria, która zapewniła żonie taką popularność w Londynie. Ale wdzięczyć się do Gracemere'a?! To było całkiem co innego! Usiłując przemóc niesłabnący od lat gniew, Marcus patrzył, jak hrabia prowadzi Judith w stronę otwartego francuskiego okna.

Zbываяc liczne powitania zdawkowym uśmiechem, Marcus zdołał się przebić przez tłum na sali i wyszedł na taras. Nikogo nie zgorszyło, że Judith i jej partner postanowili zaczerpnąć świeżego powietrza. Wieczór był ciepły, a na tarasie sporo ludzi. Ale dawny gniew tłący się w duszy Carringtona buchnął znów jasnym płomieniem. Z trudem maskując swe emocje, markiz zmierzał w stronę pary opartej o parapet i wpatrzony w księżyc.

- Dobry wieczór, moja droga.

- Marcus! Co cię tu sprowadza? - Judith odwróciła się raptownie, słysząc to ciche powitanie. Mógłby przysiąc, że w pierwszej chwili dostrzegł w jej oczach błysk radości; natychmiast jednak zgasł i twarz Judith stała

się nieprzeniknioną maską. Po plecach Marcusa przebiegł dreszcz niepokoju.

- Podziwialiśmy właśnie z panem hrabią gwiazdne konstelacje - powiedziała Judith.

- Twoja żona, Carrington, mogłaby być astronomem!

- Moja żona ma wiele niezwykłych talentów.

Napięcie unosiło się w powietrzu jak ciężka chmura. Judith spróbowała je rozładować. Roześmiała się.

- Wiem troszkę o tym i owym, ale razem to się kupy nie trzyma. Moje wykształcenie zostało, niestety, karygodnie zaniedbane.

- Wieloletnie podróże po obcych krajach były z pewnością niesłychanie kształtujące - zauważył hrabia, podsuwając tabakierkę Carringtonowi, który podziękował uprzejmie, lecz kategorycznie.

- Mówię pięcioma językami - oświadczyła Judith - i liznęłam trochę matematyki. - Rzuciła mężowi figlarne spojrzenie. - Niektórzy nawet uważają, że jestem bardzo wyrachowana. Prawda, mój drogi?

- Jeszcze jak! - odparł, podejmując z przyjemnością to zaproszenie do flirtu. Poczuł, że napięcie w nim opada i gniew przygasa. Nie zamierzał wciągać Judith w stare waśnie, zaćmiewać blasku jej oczu, wpatrzonych w niego. - Może byś zatańczyła dla odmiany ze swoim starym mężem?

Judith przechyliła główkę na bok, rozważając sprawę.

- To doprawdy niezwykła propozycja! Tylko czy nie będą pokpiwać, że takie z nas papużki nierozłączki?

- Skądże znowu! Gdyby groził podobny skandal, ulotnię się natychmiast!

Do Gracemere'a, który przysłuchiwał się ich dialogowi, dotarło wreszcie, że tych dwoje całkiem o nim zapomniało. Mruknął więc:

- Państwo wybaczą... - Ukłonił się i odmaszerował.

Marcus wyciągnął rękę do żony.

- Zatańczymy, lady Carrington?

- Jeśli nalegasz, milordzie. - Złożyła rękę w jego dłoni. - Ale nie pojmuję, czemu miałbyś się tak dręczyć. Oboje wiemy, że tańce cię nudzą.

- Tańce być może, ale twoje towarzystwo nigdy! - powiedział, gdy zajmowali miejsce wśród innych par.

- To prawda. Ja cię zanadto drażnię - odparła z kokieteryjnym uśmiechem.

- Drażnisz, bawisz, podniecasz i zaspokajasz - rzekł z pozornie obojętnym uśmiechem, który pozostawał w sprzeczności z jego słowami i ze

zmysłowym blaskiem oczu. Układ tanecznych figur wkrótce ich rozdzielił. Gdy znów się zesłi, Marcus zauważył:

- Kto jak kto, ale ty bawisz się dziś wybornie.
- Czy to zbrodnia? - Uniosła wyzywająco brwi.

Marcus pokręcił głową.

- Schowaj pazurki, rysiczko! Nie zamierzam się z tobą kłócić.
- Nie? - odparła zawiedziona. - Tak nam się zawsze dobrze kłóci!

Układ tańca znów ich rozdzielił, zanim Marcus zdążył odpowiedzieć. Kiedy wrócili do siebie, Judith robiła wrażenie dziwnie roztargnionej. Wpatrywała się w jakiś punkt nad jego ramieniem.

- Widzę, że rozmowa ze mną cię nudzi - wycedził, gdy po raz drugi w ciągu dwóch minut nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Bardzo przepraszam! - Nadal jednak wpatrywała się w nie wiadomo co i gryzła wargę; wyczuwał napięcie w całym jej ciele.

-O co chodzi, Judith?

Pokręciła głową.

- O nic! Tylko... Znasz lady Barret?

- Agnes Barret? Oczywiście. To żona sir Thomasa Barreta. Wiele lat temu wpłynęła na nasze wody jako wdowa po jakimś włoskim arystokracie. Zeszłego roku w lecie wyszła za Barreta. - Marcus wzruszył ramionami. - To podagryczny stary piernik, ale pieniędzy mu nie brak. Widać zapragnęła bezpiecznej przystani, choć z pewnością mogłaby sobie znaleźć kogoś ciekawszego. To diabelnie atrakcyjna kobieta!

- Istotnie - przytaknęła Judith, nadal nieobecna duchem. Potem jednak otrząsnęła się nieco z zadumy. - Przyszedłeś tu, żeby się upewnić, że nie przepadłam Bóg wie gdzie?

- Nie prowokuj mnie, Judith.

- Ani mi to w głowie! - zaprotestowała z miną niewiniątka. - Ale sam przyznasz, że to podejrzane, gdy ktoś zachowuje się niezgodnie ze swym charakterem!

- Przyszedłem tu dla ciebie - wyjaśnił.

- Żeby mnie szpiegować! - podchwyciła i z triumfem kiwnęła głową.

- Nie przeinaczaj moich słów. Dla ciebie i tyle.

-Ale to przecież na jedno wychodzi! Chciałeś się upewnić, że nie robię jakichś głupstw.

-Tak czy owak, dobrze się zastanów, nim zachce ci się nowych psikusów - oświadczył. - Bo zjawię się ni stąd, ni zowąd i dostaniesz za swoje!

Judith przez chwilę milczała. Potem wybuchnęła śmiechem.

- Coś mi się zdaje, że się kłócimy! - oświadczyła z satysfakcją. - Wiedziałam, że ten rozejm długo nie potrwa!

- Osa! - syknął i wyprowadził ją z tanecznego kręgu.

- Wracamy do domu?

- Wyśmienity pomysł.

- Dobry wieczór, lady Carrington! Witaj, Marcusie! Pozwólcie, że złożę wam najlepsze życzenia. Zrobiłabym to wcześniej, ale atak podagry Barreta zatrzymał nas dłużej na wsi. Dopiero co wróciliśmy do Londynu.

Lady Barret wyrosła przed nimi jak spod ziemi; wyciągnęła rękę do Judith, Marcusa obdarzyła uśmiechem.

- Ta okropna wojna - mruknęła - całkiem zdeorganizowała nam życie towarzyskie. Kto żyw wyjeżdżał do Brukseli!

- Z pewnością nie wszyscy - zaprotestował Marcus, podnosząc dłoń lady Barret do ust.

- No cóż... Teraz, gdy ten potwór - lady Barret wzdrygnęła się dyskretnie - został wreszcie uwięziony na wyspie, miejmy nadzieję, że wszystko wróci do normy.

- Wojna trwała piętnaście lat - zauważyła Judith, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Pokój nie jest dla nas stanem normalnym.

Uśmiech zamarł Agnes na ustach, rysy wyostrzyły się, a oczy zmieniły w wąskie szparki. Zaśmiała się; zabrzmiało to jak brzęk tłuczonego szkła.

- Cóż za celna uwaga, moja droga markizo! I jaki cięty dowcip!

Judith wyczuła znów niepokojącą aurę tej kobiety. Była przekonana, że Agnes Barret jest niebezpieczna i lepiej z nią nie zadzierać. Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie chciałam być niegrzeczna, madame. Ale prawie całe życie upłynęło mi w cieniu wojny, więc być może patrzę na tę sprawę z innej perspektywy.

Oczy Agnes zwięzły się jeszcze bardziej na tę aluzję do różnicy wieku.

- Chciałabym pani złożyć wizytę, lady Carrington. Mam nadzieję, że zastanę panią w domu - rzuciła chłodno.

- Będę zaszczycona - odparła Judith z rezerwą w głosie.

Marcus pociągnął żonę do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Agnes Barret była zatopiona w poufnej rozmowie z Bernardem Melville'em. Judith wydało się nagle, że widzi dwa jadowite węże z rozedrganymi językami. Wstrząsnął nią dreszcz odrazy.

- Co cię dręczy, Judith? - spytał cicho Marcus. - Jesteś taka spięta! I zachowywałaś się wyjątkowo niegrzecznie.

- Wiem. W tej kobiecie jest coś... - Wzruszyła ramionami. - Nieważne. Pewnie imaginacja płata mi figle.

Ruszyła w stronę schodów.

- Już wychodzisz, Judith? - Z cienia koło drzwi wynurzył się Charlie; Judith miała wrażenie, że zaczął się na nich na podeście. Ukłonił się jej i zwrócił do kuzyna, nie patrząc mu w oczy. - Mógłbyś mi poświęcić jutro kilka minut, Marcusie? Mam pewną sprawę.

- Zawsze znajdę dla ciebie czas, Charlie - zapewnił spokojnie Marcus.
~ Powiedzmy... koło południa, jeśli ci to odpowiada.

- Tak, jak najbardziej. - Na policzkach Charliego wykwitły żywe rumieńce. - No to do zobaczenia. Dobranoc, Judith. - Niezręcznie ucałował ją w policzek i pospiesznie wrócił na salę.

- Przekłęty dureń! - zauważył dość spokojnie Marcus.

- Czemu tak mówisz? Co się stało?

- Znów nękają go wierzycciele. Siedzi po uszy w długach, przeważnie karcianych. Będzie mnie błagał o zaliczkę, żeby je spłacić. Oczywiście nie ma pojęcia, że wiem o wszystkim.

- A skąd wiesz?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Przecież jestem opiekunem Charliego. Staram się wiedzieć o wszystkim, co go dotyczy. To mój obowiązek!

-A ty traktujesz bardzo serio swoje obowiązki - powiedziała w zadumie; Marcus był opiekunem surowym, ale niezwykle troskliwym.

- To prawda - przytaknął. - i nigdy o tym nie zapominaj, moja pani żono!

- Despota! - rzuciła mu przez ramię, ale była zbyt przychylnie do niego nastawiona, by wszczynać kłótnię.

Prawie już świtało, gdy Marcus wylądował wreszcie w swoim łóżku. Doszedł do wniosku, że jeśli nadal będą tak zarywać noce, to już w połowie sezonu przyjdzie im wyjechać na wieś dla poratowania zdrowia. Obudził się, gdy Cheveley rozsunał story. Za oknem był piękny, słoneczny ranek. Marcus odrzucił kołdrę, wstał i się przeciągnął.

- Mój szlafrok, Cheveley!

Lokaj trzymał już w pogotowiu brokatowy szlafrok. Marcus okrył się nim i zajrzał do pokoju żony.

- Dzień dobry, rysiczko!

Judith siedziała na łożku, wsparta o stos poduszek. Spływały na nie jej miedziane włosy. Na nocnym stoliku stała taca z gorącą czekoladą i biszkoptami. Na kolanach markizy leżał stos pięknie wykaligrafowanych liścików.

- Dzień dobry, Marcusie! - Uśmiechnęła się do niego znad filiżanki, myśląc, jak przyjemnie być w zgodzie z mężem.

- Widzę, że masz mnóstwo wielbicieli. - Pochylił się, by pocałować ją w czubek noska. Wziął do ręki kilka liścików miłosnych i zaraz upuścił je znowu na kołdrę. - Nawet kwiaty!

Niewielka wiązanka fiołków w srebrnym uchwycie leżała na stoliku obok dzbanka z czekoladą. Marcus spojrział na bilecik i spochmurniał.

- Od Gracemere'a? Musiałaś na nim zrobić piorunujące wrażenie!

Judith przytaknęła z niezbyt pewną miną.

- Piszę całkiem zręcznie, a fiołki są takie subtelne.

- Nie powinnaś przyjmować takich upominków.

Judith przypomniało się dziwne napięcie, jakie wyczuła między dwoma mężczyznami.

- Od Gracemere'a, czy w ogóle?

Wzruszył ramionami.

- Czy to ważne?

~ Chyba tak. mój panie. To są ogólnie przyjęte drobne dowody uznania.

Marcus nic nie odpowiedział. Podeszedł do okna i wyjrzał na skwer. Kilko dzieci bawiło się w piłkę pod opieką niani.

- Nie lubisz Gracemere'a, prawda? - Judith uznała, że najlepiej od razu wyświetlić sprawę.

- Istotnie, Judith. Nie lubię go. I nie chcę go widzieć pod moim dachem.

- Mogę spytać czemu?

- Możesz pytać, ale ja ci nie odpowiem. Sprawa jest prosta: skreśl Gracemere'a z listy swoich wielbicieli. - Mówił spokojnie, niemal bezosobowo i nadal spoglądał na dzieci bawiące się na skwerze. Nie widział ich jednak. Miał przed oczami obraz Marthy z tamtego ranka przed dzieścioną laty. Palce same mu się zacisnęły; niemal czuł w dłoni rączkę, szpicruty.

Judith ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w plecy męża.

- O nie, milordzie! Sprawa wcale nie jest prosta - odparła z gniewem, choć starała się nad nim panować. - Nie oczekujesz chyba, że spełnię twoje rozkazy bez słowa wyjaśnienia!

Marcus odwrócił się od okna.

- A jednak właśnie tego oczekuję - stwierdził bez ogródek. - Gestem ręki wskazał stos korespondencji na łóżku i dodał łagodniejszym tonem:
- Masz tylu wielbicieli... jeden mniej, jeden więcej: co za różnica?

Judith błyskawicznie rozważyła sytuację. Sprawy nieoczekiwanie się skomplikowały. Jeśli rzuci mężowi wyzwanie, Marcus natychmiast je podejmie i kto wie, do czego może się posunąć, by uniemożliwić jej kontakty z Gracemere'em. Nie, nie! Zamiast prowokować męża, powinna uspić jego czujność. Znajomość z hrabią musi rozwijać się poza zasięgiem wzroku i słuchu Marcusa.

- Pozwól, że ci coś doradzę - odezwała się tak spokojnie, jakby poprzednia ostra wymiana zdań nie miała w ogóle miejsca.

Marcus zaalarmowany nagłą zmianą tonu uniósł lekko brwi, ale nic nie powiedział.

- Może byś mnie ładnie poprosił? - ciągnęła Judith od niechcenia, obracając w palcach jeden ze swych miedzianych toków. - Może byś powiedział: „Kochana żonko, zrób to dla mnie: unikaj Gracemere'a jak zarazy?

- Lekko uniosła brwi i z filuterną minką spojrzała na kamienną twarz męża i jego zaciśnięte usta.

W oczach Marcusa błysnęło zdziwienie, ale zaraz się połapał. Jego usta wygięły się w leniwym uśmiechu.

- Skorzystam z twego pomysłu, moja pani żono - powiedział cicho.

- Może nawet zdołam go ulepszyć?

Przeszedł do swego pokoju i wrócił po minucie ze sporą paczką.

Judith z trudem powściągała ciekawość.

- Cóż to takiego?

- Prezent - odparł z uśmiechem, ostrożnie kładąc pakunek na łóżku.

Kupiłem to dla ciebie i czekałem na odpowiedni moment. Chyba właśnie nadszedł.

- To łapówka! - wykrzyknęła Judith i roześmiała się, z zapalem ciągnąc za sznurek. - Ty bezwstydniku! Próbujesz mnie przekupić!

Marcus uśmiechnął się, oczarowany jej radosnym podnieceniem. Zupełnie jak dziecko w gwiazdkowy wieczór! - pomyślał. Potem przyszło mu do głowy, że w swym ubogim, tułącym dzieciństwie Judith nie otrzymała pewnie wielu prezentów. Ta myśl wywołała w nim wzruszenie równie silne jak przyjemność, jaką sprawiała mu radość żony.

- Och, Marcusie! Jakie to piękne! - wyszeptała z zapartym tchem, wydobywszy wreszcie z opakowania marmurową szachownicę.

Czerń jednych pól była tak intensywna, że wpadała w granat, biel drugich zachwycała przejrzystością i złotawym odcieniem kości słoniowej. Judith niemal z czcią otworzyła skrzyneczkę zawierającą bierki - ciężkie, prześlicznie rzeźbione w marmurze. Oczy jej błyszczały, gdy oparła szachownicę na kolanach i zaczęła na niej ustawiać figury i pionki.

- To naprawdę nie łapówka - powiedział miękko Marcus, przyglądając się jej poczynaniom. - Zwykły prezent, ani trochę niewiążący.

Judith podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję!

-A teraz... -dodał, pochylając się nad nią i biorąc ją pod brodę-spełnisz bez żadnych nacisków moją prośbę?

- Jeśli ładnie poprosisz - rzuciła z miną pełną godności.

Opadła na poduszki, figurki szachowe rozsypały się po pościeli, a Marcus przycisnął usta do jej ust. Mocując się z węzłem przy pasku męża i wsuwając ręce pod jego szlafrok, Judith uspokajała swoje sumienie myślą, że klęska Gracemere'a wyjdzie przecież Marcusowi na dobre.

12

No i co ty na to, Judith? Mogłabyś to zrobić? - Cornelia żywo pochyliła się ku niej, a krzesło na wysokich, cienkich nóżkach zakolebało się niepokojąco. Uchwyciła się stojącego z boku stolika, który omal nie runął.

Judith odruchowo wyciągnęła rękę, by podtrzymać mebel.

- Mam was-nauczyć, jak się wygrywa w karty? - W jej głosie perlił się śmiech, kiedy rozważała tę kuszącą perspektywę, spoglądając w twarze trzech swoich przyjaciółek.

- To genialny pomysł - stwierdziła Isobel, sącząc ratafię. - Wszystkie mamy kłopoty finansowe. Sally z powodu Jeremy'ego. Cornelia musi pomagać matce, która ma tylko parę groszy dożywocia. A ja... - Zaciśnęła usta i jej twarz przybrała wyraz niesmaku. - Henley wydziela mi tak skąpo pieniędzy, jakby robił nie wiem jaką łaskę. A ile muszę się przedtem naprosić, naprzymilać! Robię to jak najrzadziej, takie to upokarzające!

- No cóż, mogłabym was nauczyć tego i owego - rozważała na głos Judith. - Karty trzeba poznać na wylot; dopiero wtedy można coś przewidzieć, coś zaryzykować. Ale potrzebne do tego zimna krew i trochę wrodzonych zdolności.

- Głupsza od Jeremy'ego nie jestem - stwierdziła Sally z niewesołym śmiechem. - On by bez przerwy grał w kości! Jak można liczyć na wygraną tam, gdzie decyduje ślepy traf?!

- Nie można - zgodziła się Judith. - Za to w makao, pikietę, lotto i wista można naprawdę grać, żeby wygrać. Choć stawki są przeważnie żenująco niskie.

- W prawdziwym „piekiełku” nie ośmieliłabym się chyba zagrać - rozważała dalej Sally. - Gdyby Jack się dowiedział! - Zadrżała. - Od razu wysłałby mnie z dziećmi na wieś. Pewnie do końca życia. - Zerknęła znad kieliszka w stronę szwagierki. - Marcus by go przekonał, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

- Jack zawsze robi to, co mu starszy brat podpowie ~ przyznała sucho Judith. - Niestety, Marcus jest rodzinną wyrocznią.

- Powiedz, co się stało, kiedy ci dał te rubiny? Zapomniałam o to spytać. Tak mi ulżyło, gdy je wręczyłam Jackowi!

Judith się roześmiała.

- O, byłam ogromnie zaskoczona i wyraziłam należyty podziw dla rodzinnych klejnotów. Ale potem napomknęłam, że rubiny bardziej pasują do twojej karnacji niż do mojej, więc lepiej by było zwrócić je sobie.

- Naprawdę mu to powiedziałaś?! - wykrzyknęła Sally, robiąc wielkie oczy. Pozostałe damy się roześmiały.

- Ależ powiedziałam! - zapewniła ją ze śmiechem Judith. - Cóż by to było za wspaniałe zakończenie! Ale Marcus się nie zgodził - dodała. - Jego zdaniem to sprzeczne z tradycją czy coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami.

- Ale chyba nie musimy chodzić do podejrzanych spelunek, żeby wygrać trochę pieniędzy? - Isobel wróciła do zasadniczego tematu.

- Nie musicie - przytaknęła Judith. - Można się całkiem nieźle obłowić podczas balu czy rautu, kiedy gra się o wyższe stawki. Ale uważam, że to krzyżująca niesprawiedliwość, że kobiety nie mają wstępu do White'a, Watiera czy Brooksa- sarknęła. - Wiecie, że w klubie Nonesuch początkowa stawka wynosi pięćdziesiąt gwinei? - w jej głosie brzmiała tęsknota.

- Więc zgadzasz się nas uczyć? - spytała Cornelia.

- O, tak - odparła Judith. - Z największą przyjemnością! Zorganizujemy szkółkę gry w karty. - Napełniła ponownie kieliszki. - Za zdrowie kobiet niezależnych!

Śmiały się w najlepsze, gdy ktoś otworzył drzwi.

- O, bardzo przepraszam! - Charlie zawahał się w progu. - Chyba ci przeszkodziłem, Judith.

Dostrzegła od razu jego pobladłą twarz i minę zbitego psa. Pospieszenie wyciągnęła rękę na przywitanie.

- Skądże znowu, Charlie! Wejdz, nie ma tu nikogo obcego!

- Jakże się miewasz, Charlie? - powitała go Sally z macierzyńskim uśmiechem i wskazała miejsce obok siebie.

Opadł na kanapę i westchnął, wpatrując się ponuro w przestrzeń. Judith nałapała mu sherry.

- Prosto od Marcusa? Jak się czujesz?

Charlie wypił sherry jednym haustem.

- Jakby mnie wysmagał.

Sally wzdrygnęła się i rzuciła Judith porozumiewawcze spojrzenie. Szwagierka odpowiedziała uniesieniem brwi.

- Wspomniał mi wczoraj, że wie o twoich długach.

- Miałem pewniaka w Newmarket - zaczął Charlie tonem głębokiego zawodu.

- Ale się nie sprawdził, co? - przerwała mu Judith; historia była stara jak świat.

Charlie pokiwał smętnie głową.

- Cholerna szkapą przywłokła się na końcu. Nie wierzyłem własnym oczom!

- Konie zawsze zawodzą, kiedy wszystko od nich zależy. Tak było z tobą, co? - Rozsiadła się wygodnie w głębokim fotelu i sączyła sherry. Nigdy nie mogła zrozumieć ryzykantów stawiających ostatni grosz na konia, stworzenie z natury rzeczy nieprzewidywalne.

Charlie skinął głową.

- To była moja ostatnia deska ratunku. Karta cholernie mi nie szła i myślałem, że ta Balerina pomoże mi wyjść na prostą. - Skulił się i tak zacisnął rękę, że kości zatrzeszczały.

Judith zmarszczyła brwi. Wiedziała, że po dojściu do pełnoletności Charlie odziedziczy wielką fortunę.

- Marcus nie odmówił ci chyba małego akonto na pokrycie długów honorowych?

Charlie wpatrywał się posepnie w dywan.

- Kiedy już starł mnie na proch, powiedział, że udzieli mi zaliczki na poczet pensji za następny kwartał. Zostanę praktycznie bez grosza na najbliższe trzy miesiące, ale przynajmniej nie wyrzucą mnie z klubów. - Zaśmiał się gorzko. - Wielka mi pociecha! Tego, co zostało, nie starczy mi nawet na życie! Ale kiedy mu to powiedziałem, oświadczył, że mogę wyjechać do Berkshire i nauczyć się zarządzania majątkiem. W ten sposób uniknę zbędnych wydatków.

- Wygląda na to, że żony i podopieczni jadą na jednym koniu - zauważyła Judith.

- Jak to?

- Mają nad sobą strażnika - wyjaśniła sucho.

- Ale podopieczni nie do końca życia! ~ zauważyła Cornelia.

- Nigdy nie wiem, czy żartujecie czy nie. - Charlie westchnął.

Judith się uśmiechnęła.

- Spróbuj się domyślić!

Charlie zerwał się z miejsca i zaczął krążyć po salonie.

- Człowiek czasem musi sobie pograć, na litość boską!

- Ale czy musi tak fuszerować jak ty? - spytała Judith z brutalną szczerością. Może powinienś dołączyć do naszej szkółki!

Uraza walczyła w nim z ciekawością. Ta ostatnia zwyciężyła.

- Do jakiej szkółki?

Judith wyjaśniła mu, widząc, jak Charlie maskuje wesołością nietęgą minę.

- Dobry Boże! - jęknął. - Nie mówisz chyba poważnie? Co za szokujący pomysł!

- Ależ traktujemy to bardzo poważnie - oświadczyła Isobel, wstając z miejsca. - Chcemy w ten sposób zdobyć niezależność finansową. - Wciągnęła koronkowe mitenki. - Muszę już iść, niestety. To był bardzo obiecujący ranek! Mogę cię podwieźć do Mount Street. Co ty na to, Cornelio?

Sunęła już ku drzwiom w mgiełce powiewnego muślinu.

- Będę ci bardzo wdzięczna! - Cornelia zerwała się, zaplątała we własny szal i klapnęła na poprzednie miejsce. - O Boże...

Gregson zaanonsował przybycie Sebastiana w chwili, gdy Judith i Isobel pochylone nad Cornelia wyplątywały ją z szala.

- O, to ty, Sebastianie? Wcale się ciebie nie spodziewałam! - Judith wyprostowała się na widok brata.

- Doprawdy? Jestem przecież twoim chłopcem na posyłki!

- Cóż to ma znaczyć? - obruszyła się Judith.
- Sebastian uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Mam nadzieję, że nie kupiłem bez potrzeby wałachów Granthama? Przysiągłbym, żeś mnie prosiła.
- Och, Sebastianie! Naprawdę je masz?! - Ucałowała go siarczyście.
- Nie myślałam, że tak szybko je zdobędziesz!
- I szybko, i tanio! - Sebastian był z siebie bardzo rad. - Dopiero co dobiłem targu. Steffington i Broughton też na nie mieli chrapkę.
- Jesteś obrotny jak zawsze, braciszku - pochwaliła go. - Gdzie one są?
- Na razie ulokowałem je razem ze swoimi. Nie byłem pewny, jak i kiedy zechcesz oznajmić mężowi o tym nabytku.

Judith przygryzła wargę.

- Tak. Muszę to jeszcze przemyśleć - przyznała.
- O co chodzi, Judith? - spytała Sally, poprawiając wstążki słomkowego kapelusika.
- Zamierzam powozić sportowym faetonem - oznajmiła Judith. - Sebastian właśnie kupił dla mnie parę koni.

- Ależ to będzie szykowne! - zachwyciła się Cornelia, stanąwszy pewnie na nogach. - Musisz obiecać, że mnie pierwszą zabierzesz na przejażdżkę!

- Z największą przyjemnością! - Judith zachowała dla siebie niepokojące wizje Cornellii na wysokiej grzędzie sportowego faetonu. Lepiej o tym nie myśleć! Odprowadziła przyjaciółki do frontowego holu.

Sebastian nalał sobie sherry, Charlie zaś, nadal zaszokowany, rzączył go opowieścią o szkółce dla karciarzy. Davenport zdał sobie sprawę, że powodzenie tego filantropijno-pedagogicznego zamierzenia siostry mogło fatalnie wpłynąć na stan ich kasy. W końcu im więcej durniów przy karcianych stołach, tym lepiej! Jednak żadne z nich nie znajdowało się w tak rozpaczliwej sytuacji jak niegdyś. Kiedy zaś zmuszą Gracemere' a do oddania zagrabionych dóbr, widmo ubóstwa zniknie raz na zawsze. Długie palce Sebastiana zacisnęły się na smukłej nóżce kieliszka. Zaraz jednak rozluźnił chwyt i odsunął od siebie niespokojne myśli, które zakłócały tok logicznego rozumowania.

Wracając pędem na górę, z głową zaprzątniętą nowym nabytkiem, Judith wpadła na swego męża.

- Wydajesz się odrobinę roztargniona - zauważył, uchwyciwszy się poręczy. - Cóż cię tak zaprzęta?

Wściekła na siebie Judith poczuła, że się rumieni.

- Nic szczególnego - odparła wyniośle. - Spieszno mi, bo zaraz wybieramy się na przejażdżkę z Sebastianem. Śliczny dziś dzień!

Kiedy ostatni raz Marcus spoglądał w okno, było raczej szaro i zbierało się na deszcz. Uniósł więc brwi.

- Pogoda jest wyjątkowo zmienna o tej porze roku.

Judith przygryzła wargę. Oczy jej męża się zwięzły.

- Co ty knujesz, rysiczko?

- Ja? Skąd ten pomysł?

- Czytam to w twoich oczach. Z całą pewnością coś knujesz.

- Ależ skąd! - Pospiesznie zmieniła temat. - Musiałeś być taki okropny dla Charliego? Nie zachowuje się gorzej niż większość młodych ludzi o podobnej pozycji!

Twarz męża straciła wszelki wyraz.

- A ty, rzecz prosta, doskonale się w tym orientujesz. Głupich młokosów łatwiej oskubać, nieprawdaż?

Judith wciągnęła głośno powietrze. Złośliwy przytyk nie chybił celu. Marcus kontynuował zwięzłe i rzeczowo:

- Jak postępuję z Charliem, to moja sprawa. Nie wtrącaj się do tego. Opiekuję się nim od dzieciństwa. Ogólnie rzecz biorąc, nieźle się dogadujemy.

Mimo nieprzyjemnej uwagi męża Judith nie dała za wygraną.

- Wiem. Charlie bardzo cię lubi i szanuje. Ale jest taki młody.

- Gdyby nie był, Judith, nie musiałbym trzymać go w cuglach i nie byłoby całej tej dyskusji. - Wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. - Jak już powiedziałem, to nie twoja sprawa. Wybacz, ale mam umówione spotkanie.

Trudno to nazwać dyskusją! - pomyślała Judith, odsuwając się, by przepuścić męża. Marcus bez ceremonii osadził ją na miejscu, choć chciała mu tylko ukazać sprawę z punktu widzenia Charliego. Ale Marcus Devlin nie zakosztował nigdy beztroskiej młodości, więc trudno mu zrozumieć jej wzloty i upadki. Będąc jeszcze chłopcem, stracił ojca, a matka wiecznie chorowała. Tak więc od razu przeskoczył w wiek męski, biorąc na swoje barki ogromną odpowiedzialność związaną ze starodawnym tytułem i wielkim majątkiem.

No tak... ale ani ona, ani Sebastian też nie zaznali beztroskiego dzieciństwa. Judith zdecydowanie odsunęła od siebie posępne refleksje i wróciła do salonu.

Atmosfera w saloniku kawalerskiego mieszkania, które Sebastian wynajmował przy Albemarle Street, była swobodna i wesoła. Sześciu mężczyzn wokół karcianego stołu siedziało wygodnie w swoich fotelach. Każdy miał pod ręką kieliszek czerwonego wina; wszyscy mieli błogie miny gości, których właśnie uraczono wyśmienitym obiadem.

Sebastian pełnił znakomicie obowiązki gospodarza; nikomu z zaproszonych nie przyszłoby do głowy, że cała jego uwaga koncentrowała się na osobie Bernarda Melville'a, hrabiego Gracemere'a.

Hrabia przyjął ochoczo zaproszenie na obiad i grę w makao. Pierwsze lody zostały przełamane i Sebastian był pewien, że obrał właściwą strategię. Zatwardziały gracz połknął przynętę i nie urwie się już z haczyka!

Nie musiał się wysilać, by przegrać z Melville'em. Hrabia grał znakomicie, toteż Sebastian bez trudu i w przekonujący sposób stracił do niego grubszą sumę. Gracemere trzymał bank. Od czasu do czasu zerkał przez stół w stronę gospodarza, który siedział wygodnie, odprężony i pewny siebie; najwyraźniej nie przejął się wcale tym, że przegrał znacznie więcej niż pozostali gracze.

- Karta ci dziś nie idzie, Davenport - zauważył jeden z gości.

Sebastian wzruszył ramionami i podniósłszy do ust kieliszek, wypił haust wina.

- Raz idzie, raz nie idzie, stary. Jak ci smakuje moje bordo?

- Wyśmienite! Skąd je masz?

- Od Harpera z Gracechurch Street. - Rzucił na stół zwitek banknotów.

- Sprawdzam! - Rozłożył swoje karty, dziewiętnaście punktów, i pokiwał głową z rezygnacją na widok dwudziestu punktów hrabiego. Gracemere przesunął językiem po wargach i odnotował kolejną wygraną na kartce, którą miał pod ręką.

Gniew i nienawiść spletały się ze sobą jak dwa jadowite węże w sercu Sebastiana. Czy Gracemere z równie zimną krwią pozbawił George'a Devereux fortuny i rodzinnego majątku? W którym momencie postanowił użyć znaczonych kart? Gracemere był dobrym graczem, ale nie dorównywał ojcu Sebastiana. Kiedy doszedł do wniosku, że nie wygra z nim w uczciwej walce?

Wielokrotnie Judith i Sebastian zastanawiali się nad tą ostatnią grą, usiłowali zrekonstruować jej przebieg. Ich ojciec podczas ostatniej partii, którą przegrał z Gracemere'em, zyskał pewność, że jego przeciwnik posługuje się znaczonymi kartami. Miał właśnie zdemaskować hrabiego jako oszusta i odzyskać przegraną, gdy Gracemere, zbierając karty, odegrał bezczelną komedię: „odkrył” znaczoną kartę w ręku Devereux. Co nastąpiło wówczas? Ojciec nie wyjawiał tych szczegółów w swoim ostatnim liście. Wyjaśnił w nim jedynie swoim dzieciom, czemu muszą wieść takie życie; do tej pory oboje sądzili, że to niespłacone długi honorowe ojca skazały ich na tułaczkę. Przedśmiertny list był obroną George'a Devereux. Ojciec mówił w nim tylko o tym, co najważniejsze: o fałszywym oskarżeniu, podrzuconym na ludzkich oczach rzekomym dowodzie winy i własnym przeświadczeniu, że w decydującej rozgrywce oszukiwał hrabia.

Skandal, który potem wybuchnął, pozbawił George'a Devereux honoru, ojczyzny, rodziny i nazwiska. Straciło do niego prawo także dwoje dzieci. Ich matka schroniła się we Francji, w ustronnym klasztorze i tam umarła. A wreszcie, po latach, gorycz zmarnowanego życia i pogłębiająca się depresja popchnęła George'a do samobójczej śmierci. Pomścić go mogły tylko dzieci.

Myśl o zemście sprawiła, że Sebastian błyskawicznie wrócił do odgrywanej roli. Ponura zaduma nie leżała w charakterze niefrasobliwego gospodarza!

- Chyba już dość przegrałem jak na jeden wieczór- powiedział lekkim tonem, ziewnął i odsunął się z krzesłem od stołu. -Następnym razem odegram się, Gracemere!

Hrabia się uśmiechnął.

- Z przyjemnością dam ci okazję do rewanżu, Davenport.

- Grywałeś już wcześniej z Gracemere'em? - zagadnął Sebastiana po wyjściu reszty gości wicehrabia Middleton; miał przy tym *doić* niewyraźną minę.

-Ależ nie! Przecież dopiero co przybył do Londynu. - Sebastian skusił przyjaciela do pozostania wyjątkowo dobrym koniakiem. - A ty, Harry, znasz go? Naprawdę taki groźny z niego przeciwnik?

- Jak wszyscy diabli!

Harry spojrzał zezem na zawartość swego kieliszka. Był przystojnym młodym człowiekiem o delikatnej budowie. Jego niezmiennie dobry humor Sebastian przypisywał poczuciu bezpieczeństwa, które zapewniały

przyjacielowi okazały majątek i niezachwiana pozycja towarzyska. Nie wbijało go to jednak w pychę: był niezwykle sympatyczny.

- Ja tam nie lubię powtarzać plotek, stary - perorował teraz Harry - ale słyszałem, że z tym facetem lepiej nie siadać do kart.

Rzucił Sebastianowi spojrzenie, które miało być bardzo chytre.

- Co tu gadać, chłopie. Jesteś tu nowy, rozumiesz, więc pomyślałem, że ci szepnę słówko. Nie żebym chciał się wtrącać, ale...

Sebastian pokręcił głową.

- Próbujesz mnie ostrzec, Harry?

Przyjaciel łyknął koniaku.

- Gracemere to ostry gracz, jasne? I wiecznie bez forszy. Nie byłbyś, pierwszym, którego... - Urwał i zakasłał nerwowo. Jakoś nie wypadało sugerować, że przyjaciel jest naiwniakiem, którego można okpić.

- Bez obawy, Harry. Taki zielony to ja nie jestem.

- Jasne, jasne! Pomyślałem tylko: lepiej, żebyś wiedział, bo jak się nie wie, to... Sam rozumiesz.

- Rozumiem. I jestem ci bardzo wdzięczny. - Sebastian objął przyjaciela ramieniem.

-I będziesz się pilnował? - brnął dalej Harry, nieustępliwy w spełnianiu przyjacielskiego obowiązku. - Mądrej głowie dość dwie słowie, no nie?

- Do mądrej głowy dotarło, co trzeba - zapewnił go z uśmiechem Sebastian. - Nie taka ona pusta, jak się Gracemere'owi zdaje!

Harry zmarszczył czoło, usiłując zgłębić sens tej wypowiedzi. Był jednak zbyt zawiany i niebawem wyruszył do domu.

Sebastian natomiast udał się do łóżka i pozwolił sobie na przyjemniejsze myśli. Widział przed sobą dwoje nieśmiałych błękitnych oczu, zadarty nosek, delikatne usta. Podobne wizje nawiedzały go co noc, odkąd poznał Harriet Moreton. Uśmiechnął się do siebie w ciemności. Dawniej nie zaprzętałyby sobie głowy takim naiwnym dziewczątkiem. Ale Harriet była inna. Nie umiał określić, na czym to polegało, ale była inna i już! Taka subtelna, taka szczerą. Pragnął jej bronić przed całym światem i... A niech to diabli! Co by Ju na to powiedziała? Poprosi ją, żeby złożyła wizytę matce Harriet. Byłby to punkt wyjścia do poważniejszych zalotów, może nawet oficjalnych starań o rękę panny Moreton?

- Mam już swego naiwniaka! Aż się prosi, żeby go okpić - oświadczył z uśmiechem satysfakcji Gracemere, wychylając kieliszek porto. - Dziś wieczorem wygrałem od niego siedemset gwinei. - Rozluźnił chustkę pod szyją. - I nawet się nie skrzywił!

- Ciekawe, kim oni właściwie są? - Agnes wyciągnęła się na łożku, spoglądając na rozbierającego się kochanka oczyma pełnymi radosnego oczekiwania. - Nikt nie wie o nich nic bliższego, ale jeśli Marcus Devlin zdecydował się na małżeństwo, kto by śmiał pytać o antenatów? A Carrington nigdy by nie popełnił mezaliansu.

- Dobrze wiesz, jaka jest ta kontynentalna arystokracja! Wszyscy ze sobą spokrewnieni, masa forsy i mnóstwo tytułów.

Hrabia zdjął koszulę.

- Cóż nas to zresztą obchodzi? Grunt, żeby ten dudek dobrze ci się przysłużył.

- Dobrze się nam przysłużył - poprawił ją od niechcienia hrabia. - Jeśli chodzi o moje osobiste zamiary, to zamierzam zaprzyjaźnić się z lady Carrington. - Ściągnął spodnie i cisnął je w ką. - To z pewnością rozdrażni Marcusa.

- Nie rozdrażniłeś go już wystarczająco?

Bernard zaśmiał się ponuro.

- Nadal mam z nim rachunki do wyrównania. Pewnego pięknego dnia skruszę tę jego cholerną dumę w proch! - Skrzywił usta w zjadliwym grymasie.

- Powiedz mi, co zaszło między wami tamtego ranka, kiedy przydybał cię z Martha?

Myślała, że wreszcie jej to wyjawi, ale jego twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę. Jak zawsze.

- To wyłącznie sprawa moja i Carringtona. - Oparł jedno kolano na łożku.

Agnes przesunęła ręką po jego udzie. Pogodziła się już z tym, że - mimo tego, co łączyło ich przez tyle lat - Bernard nigdy się jej nie zwierzył, co zaszło tamtego ranka w przydrożnym zajeździe. Przez miesiąc nie widywał się potem z nikim, a gdy ukazał się znów w towarzystwie z nowo poślubioną żoną, wydawał się taki sam jak zawsze. Tylko Agnes dostrzegła, że pozostała mu po tym wydarzeniu blizna na duszy, dokuczająca do dziś.

- A więc chcesz się zabawić z tą kokietką? Widziałam, jak dobrze się wam razem tańczyło!

Usta hrabiego wygięły się w sarkastycznym uśmiechu. Klęczał już oboma kolanami na łóżku.

- Mam zamiar zgnoić ostatecznie tego pyszałka. A Judith mi w tym pomoże. Nie masz chyba nic przeciwko temu? - dodał z ironią, unosząc brew.

Agnes roześmiała się, dotykając koniuszkiem palca jego ust.

- Żebyś ją uwiódł? Wcale mi to nie przeszkadza. To będzie nawet zabawne. - Jej śmiech był niskim, gardłowym pomrukiem rozbawienia i pożądania. - Chodźże do mnie, kochanie! Czekam już całe wieki!

Przez chwilę ignorował jej prośbę. Patrzyli na siebie z błyskiem okrucieństwa w oczach. Gracemere widział, jak bardzo podnieciła Agnes perspektywa wyrządzenia komuś krzywdy. Zapowiadała się długa, ekscytująca noc! Opadł na łóżko, z ustami na jej ustach.

- Tylko uważaj i przez figle z markizą nie zaprzepać szans na ożenek z małą Moreton! - szepnęła lady Barret między jednym pocałunkiem a drugim. - Trzydzieści tysięcy to nie byle co, mój jedyny!

- Racja - przyznał. - Zwłaszcza że oboje mamy takie kosztowne upodobania! - Przeciągnął językiem po jej wargach. - Takie znakomicie dobre, kosztowne upodobania, moja słodka.

Judith ujęła pionek w palce i pogładziła go pieszczotliwie, nim przesunęła z d2 na d4. Rzuciła zdumionemu Marcusowi szelmowski uśmiech. Nie było to typowe otwarcie. Objęła podciągnięte pod brodę kolana, rozkoszując się ciepłem ognia na policzku.

- Cóż to takiego, u diaska?! - obruszył się Marcus.

- Gambit hetmański, jeśli wykonasz identyczny ruch - odparła. - Dość rzadki, ale bardzo interesujący!

- A jeśli nie wykonam tego ruchu?

- Chyba będziesz musiał. To jedyne wyjście dla grającego czarnymi. A potem zaczniesz się prawdziwa zabawa!

Marcus wyciągnął nogi przed siebie, opierając się plecami o taboret. Oboje siedzieli na podłodze, a markiz miał na sobie tylko koszulę i bryczesy; jego surdut, fular, pończochy i obuwie były rozsiane po pokoju.

- Nim minie pół godziny, zedrzesz ze mnie koszulę i spodnie - stwierdził z rezygnacją.

- Bardzo interesująca perspektywa! - Judith zachichotała.
- W ciągu dwóch ostatnich godzin straciłaś tylko wstążkę do włosów i pantofle. Uważam, że to jawna niesprawiedliwość.
- Cóż... mogę ci dać fory - oświadczyła, usuwając swojego skoczka z pola b1.
- O hańbo! -jęknał. - Prawdziwa z ciebie diablica, Judith!
- Ale przyznasz, że taka gra w rozbieranego jest bardzo zabawna-stwierdziła z szerokim uśmiechem.
- Też bym tak myślał, gdybym nie tylko ja tracił garderobę. - Wykonał pionkiem ruch analogiczny do ruchu żony. - I co teraz?
- Zagrajmy lepiej w pikietę. Chyba dwie godziny szachów nam wystarczy. - Znów wzięła do ręki jedną z figur i uniosła ją pod światło. Białe marmur lśnił, przezroczysty, żywy, z ukrytą we wnętrzu tęczą. - Są przepiękne! Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować!
- Mogłabyś stracić kilka figur, a przy okazji to i owo z ubrania - podsunął.
- Bardzo trudno byłoby mi przegrać w szachy. Zagrajmy lepiej w pikietę!
- Chwileczkę! Chcesz powiedzieć, że zamierzasz przegrać w pikietę dla uratowania mojej męskiej dumy?!
- Jeśli zajdzie taka potrzeba. - Obdarzyła go łobuzerskim uśmiechem.
- I co ja mam robić z taką żoną?! - Marcus pochylił się, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie na kolana.
- Zagraj z nią w pikietę! - Obwiodła kciukiem kontur jego ust. -Inaczej nigdy nie pozbędę się do reszty ubrania.
- Marcus przez chwilę nic nie mówił, wpatrując się w zwróconą ku niemu twarz, śmiejące się usta i w złotobrazowe, pełne ognia oczy.
- Nie gram w pikietę tak dobrze jak w szachy - przekonywała. - A ty masz niewątpliwe zdolności do kart.
- Za to ty, moja pani żono, masz większą praktykę.
- Może i tak - przyznała. - Trzeba stale grać, żeby utrzymać się na powierzchni. - Oczy jej spochmurniały.
- Opowiedz mi o swoim ojcu! - Wypowiedział tę prośbę bez zastanowienia, pod wpływem chwilowego nastroju.
- Judith rzadko spędzała wieczory w domu, tym razem jednak po obiedzie natknął się na nią w bibliotece. Szukała jakiejś książki, by poczytać przed snem. Przyznała mu się, że jest zmęczona i nie ma ochoty na raut u Denholmów, a potem wszystko ułożyło się samo. Było coś niezwykle

intymnego w tym wieczorze przy kominku. Zmysłowa przyjemność, jaką czerpali z wzajemnej bliskości, sprawiła, że Marcus zapragnął wkroczyć na niedostępny dotąd teren.

Judith siedziała oparta o jego pierś, obracając w palcach miedziany lok.

- Był po prostu pechowym graczem, który stracił swój majątek i ojcowiznę... po prostu wszystko.

- Opowiedz mi więcej o nim, o sobie i Sebastianie.

Usiadła prosto na jego kolanach, wpatrując się w szachownicę oświetloną blaskiem ognia.

- Kiedy musiał opuścić Anglię, zabrał nas ze sobą. Nasza matka nie zniosła tej hańby. Schroniła się w jakimś klasztorze w Alpach i tam umarła. Ojciec napomykał, że odebrała sobie życie. Byliśmy wtedy bardzo mali. Sebastian nie miał jeszcze trzech lat, a ja zaledwie dwa. Pamiętam procesję wiecznie zmieniających się niań, a potem umieliśmy już radzić sobie sami. Bawiliśmy w Wiedniu, Rzymie, Pradze, Brukseli, poznaliśmy chyba wszystkie większe miasta Europy. Ojciec zarabiał na życie grą w karty, a my uczyliśmy się, jak radzić sobie z gospodarzem domu, komornikiem, właścicielem sklepu. Potem sami zaczęliśmy grywać w karty. Ojciec często był chory. - Judith zamilkła i wpatrywała się w płomień. Odruchowo wzięła do ręki szachowego króla i gładziła czarną figurkę, która utraciła nagle przejrzystość i blask.

~ Co mu dolegało? - spytał cicho Marcus, wyczuwając lekkie drzenie jej ciała, wywołane wspomnieniami.

- Depresja. Popadał w bezdenną rozpacz - odpowiedziała. - Kiedy go to nachodziło, nie był w stanie podnieść się z łóżka. Sebastian i ja musieliśmy wtedy zadbać o siebie... i o niego.

Marcus głaskał ją po plecach, szukając odpowiednich słów. Judith nagle się roześmiała.

- To brzmi okropnie... i czasem naprawdę Łak było... Ale wszystko ma swoje dobre strony! Nie posyłano nas do szkoły. Mogliśmy czytać, na co przyszła nam ochota. Nikt nam nie mówił, jak się mamy zachowywać, co jeść, kiedy kłaść się do łóżka. Robiliśmy to, co się nam podobało. Żadnych rygorów!

- Wszechstronne, naturalne wychowanie - powiedział Marcus, przygarbiając znów żonę do piersi. - Nietypowe, ale kształtujące osobowość. Zupełnie w stylu Jeana Jacquesa Rousseau!

- Chyba tak... Kilka lat temu czytaliśmy w Paryżu jego *Emila*. - Zapatrzyła się znów w ogień. Marcus z pewnością nie życzyłby sobie takiego wycho-

wania dla swoich dzieci. Ale nie miało to większego znaczenia. Postanowił przecież, że nie będzie żadnych dzieci, przynajmniej nie z ich związku.

- No to jak? - spytała. TM- Zagramy w pikietę?

- Nie - odparł. - Ogołocenie cię z ubrania tym sposobem trwałoby całe wieki. Znam inny, znacznie szybszy.

- Powiadasz? - rzuciła Judith, opierając się znów o niego - No cóż, może i warto trochę to przyspieszyć?

-Właśnie!

14

Lady Letitia Moreton uważała się za osobę niesłychanie delikatną i słabego zdrowia, toteż spoczywała przeważnie na szezlongu, wsparta na stole poduszek, z solami trzeźwiącymi w zasięgu ręki. Jej zazwyczaj smętny głos nabierał niekiedy ostrzejszych tonów.

-A zatem, markizo, pani brat zawitał do nas niedawno z kontynentu?

- Istotnie, lady Moreton, z Brukseli - przyznała Judith, którą przywiodły do salonu tej damy siostrzana miłość i poczucie obowiązku. - Kiedy poślubiłam Carringtona, brat postanowił osiąść na stałe w Londynie.

Lady Moreton niby to bawiła się frędzlą szala, nie spuszczała jednak oczu z Sebastiana i Harriet. Siedzieli obok siebie na kanapie, przeglądając jakiś album z ilustracjami; ciemnoblond główka panny obok miedzianych kędziorów młodzieńca.

- Obawiam się, że nie znam nikogo z pani krewnych, lady Carrington - zauważyła słabowita dama.

Judith bez trudu odgadła, że znaczy to: na czyje pieniądze pani brat może liczyć i ile ma własnych? Jak każda mamuśka panny na wydaniu, lady Moreton z otwartymi ramionami powitałaby w swych progach konkurenta obdarzonego tytułem i majątkiem, przepędziła natomiast adoratorów pozbawionych tych zalet. W tym przypadku, ponieważ Harriet była posażną jedynaczką, matka obawiała się szczególnie łowców posagów.

- Mój brat i ja przebywaliśmy za granicą pod opieką naszego ojca aż do jego śmierci - powiedziała gładko Judith. - Wiele czasu spędziliśmy we Francji.

-Ach, tak? Zapewne w rodzinnym *chateau*... ? - Lady Moreton delikatnie zawiesiła głos, ozdabiając swe przypuszczenie pytajnikiem.

Judith uśmiechnęła się i skłoniła leciutko głowę, co można było uznać za potwierdzenie. Odpędziła od siebie natrętne wspomnienie obskurnych pokoików, wynajmowanych wówczas, gdy bawili rzekomo w owym *chateau*.

Lady Moreton uśmiechnęła się z satysfakcją i odrobiną wyrachowania, spoglądając na córkę i Sebastiana. Prawdę mówiąc, każda rodzina, z którą raczył się skoligacić markiz Carrington, byłaby wystarczająco dobra dla Moretonów.

- Mam nadzieję, że pani, markizo, i jej brat nie pogardzicie zaproszeniem na obiad. Oczywiście bylibyśmy również uszczęśliwieni obecnością lorda Carringtona, gdyby zechciał wziąć udział w naszym skromnym rodzinnym posiłku.

- Będziemy zaszczyceni - odparła ceremonialnie Judith.

W tym momencie rozmowę przerwało przybycie następnego gościa. Do pokoju wpłynęła Agnes Barret z serdecznym powitaniem na ustach i z rękoma wyciągniętymi w przyjaznym geście. Nachyliła się nad lady Moreton i ucałowała ją z poufałością przyjaciółki od serca; uściśkała zarumienioną Harriet i dość oficjalnie uściśnęła dłoń Judith. Potem zwróciła się z życzliwym uśmiechem do Sebastiana, który zrewanżował się pocałunkiem w rączkę i błyskotliwym komplementem na temat zabójczej toalety. Istotnie, w sukni z zielonego atłasu i żakiecie oraz w ciemnozielonym kapeluszu z brązowym piórem lady Barret wyglądała olśniewająco. Ponieważ Judith była w pełni zadowolona ze swej turkusowej sukni ze srebrną lamówką, poczuła tylko leciutkie ukłucie zazdrości.

- Gracemere zaraz tu będzie, Letitio. Byłam pewna, że jego wizyta sprawi ci przyjemność. - Agnes usiadła na niskim krześle obok spoczywającej na szeszlunku przyjaciółki. - Okazuje tyle troski o Harriet, dręczy go obawa, że przeziębila się podczas wczorajszej przechadzki po parku. Wiał rzeczywiście silny wiatr, a Gracemere wbił sobie do głowy, że twoja córka była zbyt lekko ubrana na taką pogodę. Tłumaczyłam mu oczywiście, że żadna wytworna młoda dama nie włożyłaby cieplejszego okrycia... ach, ta niemądra próżność naszych dziewcząt! - Roześmiała się dobroduszenie i poklepała panienkę po ręce. - Ale z Harriet takie urocze dziecko!

- Doprawdy, pan hrabia jest uosobieniem dobroci - wzruszyła się Letitia i podniosła do nosa sole trzeźwiące.

- Lord Gracemere, jaśnie pani.
Hrabia wszedł do salonu, zanim majordomus skończył go anonsować.
- Dzień dobry, lady Moreton, panno Moreton. Mam nadzieję, że nie przeziębiała się pani podczas spaceru? Byłbym niepokieszony!
- Nic jej się złego nie stało, milordzie - uspokoiła go lady Moreton.
- Ale jesteśmy panu wdzięczne za troskę.
- O, Gracemere'owi ogromnie leży na sercu dobro Harriet! - podkreśliła znowu Agnes Barret. Uśmiechnęła się przy tym do hrabiego, on zaś prawie niedostrzegalnie uniósł brwi. Judith dostrzegła ich spojrzenia i odgadła natychmiast, że są kochankami. Ale dlaczego w takim razie Agnes Barret popiera zaloty Gracemere'a do Harriet?
- Widzę, Davenport, żeś kupił wałachy Granthama. - Słowa hrabiego sprawiły, że zarówno ogólna rozmowa, jak i myśli Judith przybrały nowy obrót. - Wielu o nie zabiegało, aleś nas wszystkich prześcignął, spryciarzu!
- To konie mojej siostry - odpowiedział Sebastian. - Choć rzeczywiście ja się o nie targowałem.
- Wielki Boże, lady Carrington! Pani powozi sportowym faetonem?
- Hrabia wydawał się zaskoczony.
- Od dzisiejszego ranka - odparła Judith. - Powóz dostarczono mi wczoraj po południu. To moja pierwsza przejażdżka.
- A jakie pierwsze wrażenia?
- Wspaniałe! Gniade idą jak złoto!
- Podziwiam pani odwagę, lady Carrington - wtrąciła Agnes. - Ale przyznam, że jestem zaskoczona. Że też Carrington wyraził zgodę na tak niekonwencjonalny powóz! Zawsze sądziłam, że ma raczej konserwatywne poglądy.
- Judith odpowiedziała jedynie lekkim uśmiechem. Jej konserwatywny mąż nie miał jeszcze okazji oglądać żony na koźle niekonwencjonalnego powozu. Podeszła do okna wychodzącego na ulicę; jeden ze stajennych Moretonów przeprowadzał jej konie, żeby nie zziębły. Mały chłopiec przykucnął koło rynsztoka, wypatrując resztek pożywienia. Łokcie sterczały mu z dziurawych rękawów brudnej kurtki, gdy gmerał w śmieciach na tej ulicy bogaczy.
- Mam nadzieję, że zabierze mnie pani na przejażdżkę po parku - odezwał się Gracemere, stając obok Judith. - Z pewnością znakomicie pani powozi, markizo!

- Miałam doskonałego nauczyciela-odparła z ciepłym uśmiechem, który wiele ją kosztował. - Chętnie popiszę się przed panem mymi umiejętnościami!

- Będę zachwycony - zapewnił ją z ukłonem. - Nie wiem tylko, co powiedziałyby na to Carrington. On i ja... -Zawahał się, szukając właściwego określenia. - Nie utrzymujemy ze sobą stosunków. Może wspominał pani coś na ten temat?

Judith była zaskoczona jego bezpośredniością; szybko jednak postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję.

- Zabronił mi przyjmować pańskie wizyty - powiedziała, udając zmieszanie. - Ponieważ jednak nie wyjaśnił czemu, nie czuję się zobligowana do posłuszeństwa! - Ostatnie słowa wypowiedziała tak buntowniczym tonem, że hrabia się uśmiechnął.

- To dawna historia - rzekł. - Niełatwo zapomnieć o starych urazach, i lady Carrington. choć obecnie mógłby już je pogrzebać.

- Mówi pan zagadkami, hrabio! - Bawiła się woreczkiem, by nie zdradzić, jak bardzo ją to interesuje.

Gracemere wzruszył ramionami.

- To historia miłości i zazdrości, jakby żywcem wzięta z powieściowego romansu. - Uśmiechnął się tęsknie. Judith wzięłaby ten uśmiech za dobrą monetę, gdyby nie wiedziała, z kim ma do czynienia. - Moja żona, moja nieboszczka żona była zaręczona z Carringtonem, nim oddała mi swe serce. Pani mąż nigdy nie przebaczył, że mu ją zabrałem.

- Martha - szepnęła Judith. Nie wiedziała dobrze, czego oczekiwała, ale z pewnością nie tego!

- Właśnie! Czyżby mówił pani o niej? - zdziwił się hrabia.

Judith skinęła głową.

- Raz jeden. Ale nie wymienił pańskiego nazwiska.

- Trudno się temu dziwić. Obawiam się, że duma pani małżonka bardzo wówczas ucierpiała, markizo. A dla człowieka jego pokroju to najcięższy cios.

Judith czuła, że to prawda, i diabli ją brali, że musi przyznać słusność Gracemere'owi, gdy mówi o Marcusie w taki protekcyjny sposób.

- Wiele mi pan wyjaśnił, milordzie - powiedziała cicho. - Ale nie rozumiem, czemu to miałoby zaszkodzić naszej przyjaźni. - Zmusiła się do tego, by dotknąć jego ręki w konspiracyjnym geście; Gracemere nakrył ją swoją dłonią.

- Miałem nadzieję, że pani to powie.

Choć dostała gęsiej skórki ze wstępu, obdarzyła hrabiego promiennym uśmiechem, zanim zwróciła się do pani domu.

- Muszę się już pożegnać, lady Moreton. Konie nie powinny zbyt długo stać na ulicy. Jedziesz ze mną, Sebastianie?

Był zatopiony w rozmowie z Harriet i lady Barret i spojrzął na siostrę zdumiony i rozżalony tym nagłym odjazdem. Ale dostrzegłszy wyraz jej oczu, natychmiast wstał.

- Oczywiście. Jeśli chcesz przegonić te bestie przez park, kiedy są wypoczęte i skore do harców, lepiej, żebym był przy tobie.

- Wątpię, żeby poniosły - rzuciła lekkim tonem. - A choćby nawet, to poradzę sobie z nimi równie dobrze jak ty, drogi braciszku.

-Niemożliwe!

Ten nieoczekiwany protest wydobył się z ust Harriet, która spłonęła jak róża, uświadomiwszy sobie, co powiedziała.

Judith nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Nie należy mylić siły ze sprawnością, Harriet. Mój brat jest oczywiście znacznie silniejszy niż ja, ale powożenie nie sprowadza się do użycia siły.

- Święte słowa, lady Carrington - przytaknęła Agnes. Potem zmierzywszy ją ostrym spojrzeniem, dodała: - Podobnie jak doświadczenie w kartach nie zapewni wygranej, gdy czarny diablik przysiadzie nam na ramieniu. Chyba to pani użyła kiedyś podobnej metafory, nieprawdaż?

Przy Pickering Street! - przypomniała sobie Judith. Wzruszyła ramionami.

- To powiedzonko było bardzo modne, gdy dorastaliśmy. Pamiętasz, Sebastianie?

- Oczywiście. - Odwrócił się, by pożegnać Harriet, i nie zauważył błysku zaciekawienia w płowych oczach lady Barret.

Gracemere wziął Judith za rękę.

-A więc do zobaczenia?

-Już się cieszę na następne spotkanie! - oświadczyła Judith z miną dziecka, które postanowiło zrobić na przekór starszym.

Usta Gracemere'a skrzywiły się w ironicznym uśmieszku. Jak łatwo będzie kierować tą gąską! Wkrótce na Berkeley Square rozpęta się prawdziwe piekło.

Judith odetchnęła z ulgą, wyszedłszy na chłodne, świeże powietrze.

- Co się stało, Ju? - spytał prosto z mostu Sebastian.

- Powiem ci za chwilę.

Sięgnęła do woreczka i wyjąwszy sześciopensówkę, podeszła z nią do dziecka przycupniętego nad rynsztokiem. Malec spojrział na nią ze strachem i cofnął się, osłaniając głowę ręką, jakby w przewidywaniu ciosu.

- Nie bój się - powiedziała Judith łagodnie. - Nie zrobię ci nic złego. Weź to! - Podała mu sześciopensówkę. Wpatrywał się w nią przez sekundę, a potem ścisnął w chudziutkiej ręce i uciekł tak szybko, jakby go ścigała cała londyńska policja.

- Biedny smarkacz! - rzekł Sebastian, gdy siostra wróciła do powozu. - Ciekawe, jak długo będzie się cieszył tą sześciopensówką, nim mu ją wydrą albo ukradną? - Posażił siostrę na wysoką ławeczkę.

Judith wzruszyła ramionami z rezygnacją.

- A potem sam ukradnie bochenek chleba i powiesz go w Newgate. Pomyśl: ocaliliśmy świat od Napoleona, a nie potrafimy ocalić tych dzieci od głodowej śmierci ani od nieludzkich praw skazujących te biedactwa na szubienicę! Napoleon jaki był, taki był... ale zreformował kodeks karny w swoim cesarstwie!

Sebastian przywykł do tyrad siostry na temat niesprawiedliwości świata, więc nie próbował z nią polemizować.

- O czym tak konferowałeś z Gracemere'em?

- Wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało!

Judith ujęła lejce i gniade pognały żwawym kłusem. Dopiero gdy znaleźli się w Hyde Parku, Judith powtórzyła bratu wszystko, czego dowiedziała się od Gracemere'a. Sebastian słuchał w milczeniu, potem zaś pokręcił głową, uświadamiając sobie dalsze komplikacje.

- Więc Carrington sam ci o tym powiedział?

- Tak, zanim się pobraliśmy. Ale nie wymienił nazwiska tego, kto zbałamucił mu narzeczoną. A ja się nie dopytywałam, bo cóż mnie to w końcu obchodziło?

- Cholerny zbieg okoliczności! - burknął Sebastian. - Gdziekolwiek byśmy się obrócili, trafiamy na tego drania!

- Z przyjemnością zabiłabym go własnymi rękami! - mruknęła krwiozerczo Judith, zapominając o lejcach.

Konie poniosły.

Sebastian bacznie obserwował siostrę, gdy je poskramiała.

- Weź się w garść - powiedział. - Załatwimy go jak trzeba bez zabijania. Po co brudzić sobie ręce?

Judith uśmiechnęła się pośepnie.

- Obmyśliłam już plan działania. Gracemere myśli, że buntują się przeciw Marcusowi. Uważa mnie za urażoną gąskę z powodu tego, że mąż dyktuje mi co robić. Z pewnością obliżuje się na myśl o romansiku z żoną wroga, któremu już raz odebrał kobietę.

- Igrasz z ogniem, dziewczyno! - zauważył ponuro Sebastian.

- Będę ostrożna - zapewniła go, odpowiadając równocześnie na powitania grupy oficerów, których właśnie mijali.

Efektowny ekwipaż i powożąca parą koni dama zwracały ogólną uwagę.

- Założę się, że za tydzień powożenie faetonem będzie szczytem mody.

- Sebastian się roześmiał. - I każda pannica, której się zdaje, że wie, jak się to robi, zechce mieć takie cacko.

- Marcus nigdy nie uwierzy, by kobieta była do tego zdolna - orzekła Judith.

- Masz właśnie okazję przekonać go, że się myli. - Sebastian gestem ręki wskazał Marcusa, rozmawiającego z dwoma przyjaciółmi.

- O! -jęknęła tylko Judith.

15

Peter Wellby pierwszy ich zauważył.

- Tam do kata! Carrington, czy to nie twoja pani?

- Umie powozić! - stwierdził z podziwem Francis Tallent. - Chyba nigdy jeszcze nie widziałem damy w sportowym faetonie. W dodatku konie są zaprzężone w szpic, jeden za drugim.

Marcus nie odrywał wzroku od nadjeżdżającego ekwipażu. Konie szły dobrym kłusem, a Judith czuła się na podniebnej grzędzie jak w domu; bicz trzymała pod idealnym kątem. Siedzący u jej boku brat także nie wyglądał na przestraszonego. Co on sobie myśli, do cholery, pozwalając siostrze na takie skandaliczne zachowanie w miejscu publicznym?! Kobieta na koźle sportowego powozu? Przecież to szczyt wulgarności! Ale może Davenportowie na skutek nietypowego wychowania nie uświadamiali sobie tej niestosowności? Marcus usiłował znaleźć dla nich jakieś usprawiedliwienie.

- Powozi gniadymi Granthama - zauważył Wellby. - Przez myśl mi nie przeszło, że z nim jest tak źle!

- Davenport szybko się połapał, co w trawie piszczy - odparł niedbałym tonem Marcus.

Zszedł na pobocze, Judith zatrzymała konie.

- Sprytny jesteś, Sebastianie! Połowa Londynu nie miała pojęcia, że Grantham się wyprzedaje!

Sebastian się zaśmiał.

- Ładne koniki, co?

- Bardzo. - Marcus podszedł z boku do faetonu i powiedział cicho: - Co ty wyprawiasz, Judith? Oddaj bratu lejce i wysiadaj!

Oboje uśmiechnęli się do niego z łobuzerskim błyskiem w niemal identycznych oczach.

- Mylisz się, Marcusie: to są moje lejce, nie Sebastiana. On mi się tylko wystarał o powóz i konie - wyjaśniła Judith.

Na chwilę Marcusowi odebrało mowę; potem zażądał posępnym tonem:

- Ustąp mi swego miejsca, Davenport.

- Bardzo proszę - rzekł Sebastian z ujmującym uśmiechem. - Zeskoczył na ziemię i przelotnie dotknął ramienia szwagra. Markiz odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały. Oczy Davenporta nadal błyszcząły szelmowsko.

- Lepiej nie idź z nią na udry - mruknął.

- Jak będę chciał twojej rady, sam o nią poproszę - wycodził szwagier groźnym szeptem.

Sebastian skinął głową ani trochę nieurazony.

Marcus zajął miejsce obok małżonki.

- Oddaj mi cugle.

- Doskonale sobie z nimi radzę, sam widziałeś - powiedziała Judith z niewinnym uśmiechem.

- Oddaj mi cugle.

Wzruszyła ramionami i oddała mu je wraz z biczem.

- Jeśli chcesz wypróbować konie, bardzo proszę.

Marcus zacisnął zęby, ale zdołał ukryć gniew. Strzelił z bata i prowadzący koń puścił się pędem.

- Lepiej nie powozić taką ognistą parą gdy się jest w złym humorze - zauważyła Judith tonem najgłębszej troski, gdy wyjeżdżali z parku. - Prawie się otarłeś o bramę!

-Siedź cicho!

Wzruszyła ramionami i odsunęła się nieco, mierząc krytycznym wzrokiem każdy ruch męża. Choć wszystko się w nim gotowało, doskonale panował nad końmi i Judith doszła do wniosku, że niepotrzebnie mu dokuczała.

Faeton zajechał pod dom na Berkeley Square.

- Musisz zsiąść bez pomocy - warknął Marcus.

Judith przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy.

- Jeśli masz ochotę na samotną przejażdżkę, mógłbyś spytać o pozwolenie. To moje konie.

Marcus odetchnął głęboko i zacisnął zęby. Powiedział jednak spokojnie:

- Idź do domu i zaczekaj w moim gabinecie. Zaraz tam będę.

Judith ześliznęła się z wysokiej ławeczki z godną podziwu zręcznością i wbiegła na frontowe schody. Marcus zaczekał, aż żona zniknie we wnętrzu domu, po czym skręcił do stajni, by zostawić tam powóz i konie. Zdawał sobie sprawę z tego, że Judith znowu chce dowieść swej niezależności. Ale była przecież jego żoną! Jeśli sama nie pojmuje, że ze swą zszarganą przeszłością i niepewnym pochodzeniem powinna zachowywać się bez zarzutu, musi jej to wbić do głowy raz na zawsze!

We frontowym holu Judith się zatrzymała. Nie miała najmniejszego zamiaru czekać na Marcusa w jego gabinecie, jak przyłapaną na psotach pensjonarka.

- Boli mnie głowa, Gregson. Idę na górę do swego pokoju. Bądź tak dobry, przyslij mi Millie... I kieliszek madery.

- Jak sobie wasza lordowska mość życzy. - Majordomus się skłonił. - Natychmiast ją powiadomię i każę podać wino.

- Dziękuję, Gregson.

Judith pospieszyła do swej sypialni. Poranne słońce tak świeciło, że prawie nie było widać płonącego na kominku ognia. Podeszła do okna i wyjrzała na skwer, postukując paznokciem o zęby. Czekwała niecierpliwie na dalszy bieg wydarzeń. Najwyższy czas, by Marcus wreszcie zrozumiał, że ożenił się z kobietą niezależną!

Millie pomogła jej zdjąć suknię i włożyć wyjątkowo twarzowy szlafroczek z złotego jedwabiu, obficie przybrany koronką. Potem nalała swojej pani kieliszek madery i krążyła niespokojnie, proponując to zimny okład, to znów sole trzeźwiące na jej rzekomy ból głowy.

- Niczego mi więcej nie potrzeba, Millie. Posiedzę spokojnie przy kominku, ból powinien zaraz ustąpić.

Po wyjściu pokojówki Judith zasiadła w pobliżu ognia nad szachownicą. Sącząc wino, próbowała zrekonstruować partię szachów, którą rozegrali z Sebastianem przed kilkoma dniami. To zajęcie pomogło jej opanować się i powstrzymało ją od ciągłego spoglądania na zegar.

Zorientowała się natychmiast, że mąż wszedł do domu. Choć uważała, że Marcus nie ma prawa ani powodu do skarg, serce zabiło jej gwałtownie. Zacisnęła pionki w dłoniach, by opanować drżenie rąk. Słyszając kroki na korytarzu, pochyliła się nad szachownicą i udawała, że nie słyszy, gdy otworzyły się drzwi,

Całkiem nie w porę przyszło Marcusowi na myśl, że żona wygląda wyjątkowo ponętnie. Burza miedzianych loków, smukła kolumna szyi. Ciało okryte przezjzystym jedwabiem, spod którego wystawała bosa stópka. Poczł skurcz w brzuchu na myśl, że żona jest nagusieńka pod powiewnym szlafrocikiem.

Przez chwilę stał na progu, oczekując, że Judith go dostrzeże. Kiedy się nie doczekał, zatrzaskał drzwi.

Podniosła głowę.

- A, to ty, milordzie! Jak ci się jeździło moimi końmi? - I pochyliła się znów nad szachownicą.

Marcus powiadomiony przez Gregsona, że jej lordowska mość udała się do swego pokoju z bólem głowy, postanowił nie wypominać jej, że miała na niego czekać w gabinecie. Zamierzał również trzymać na wodzy swój wybuchowy temperament, ale po tej bezczelnej prowokacji wszelkie dobre chęci wzięły w łeb. W dwu susach znalazł się koło kominka.

- Nie pozwolę, by moja żona zachowywała się wulgarnie jak kokota!

Znów podniosła na niego oczy i odgarnęła włosy z czoła. Widniała na nim lekka zmarszczka.

- Nie widzę nic wulgarnego w powożeniu końmi.

- Do wszystkich diabłów! Nie odgrywaj niewiniątka, Judith! Doskonale wiesz, że powożenie sportowym faetonem to bezwstydnny wybryk! Jesteś markizą Carrington i najwyższy czas, byś nauczyła się przyzwoitego zachowania!

Judith pokręciła głową i zacisnęła usta.

- Stary nudziarz z ciebie, Marcusie! Wiem, że nie jest to powóz specjalnie dla dam, ale oryginalne postępowanie nie musi być zaraz naganne, wulgarnie czy bezwstydnne.

- W twoim przypadku każdy tak je oceni! - warknął.

- Doprawdy? A to dlaczego?

- Dlatego, moja niedomyślna żono, że ktoś o twoim pochodzeniu i przeszłości nie może sobie pozwolić na wybryki, które może by wybaczone osobie bez skazy. A jako moja żona powinnaś dbać o honor mego rodu.

Judith zbladła. Jak mogła się łudzić, że to zwykła kłótnia z błałego powodu?

- Moja podejrzana przeszłość nie ma żadnego znaczenia. W Londynie nic o mnie nie wiedzą ani dobrego, ani złego, więc mogę sobie pozwolić na lansowanie własnego stylu, nie narażając na szwank twego honoru. Zapamiętaj sobie, Carrington: będę jeździć takim powozem, jakim zechcę!

- Zabrakło jej tchu, więc umilkła, zbierając siły do kolejnego starcia.

- Zapominasz o sprawie zasadniczej. - Głos Marcusa był niepokojąco spokojny. - Jesteś mi winna posłuszeństwo. Przysięgłaś je, zawierając związek małżeński.

Nieważny w obliczu prawa, dokończyła Judith w duchu, głośno zaś powiedziała:

- Nie wydrzesz mi wolności! Nie zmusisz do ulegania bzdurnym rozkazom, rezygnowania z prawa do własnych decyzji!

- Nie masz takiego prawa. Najwyraźniej nie orientujesz się, na jakich zasadach opiera się małżeństwo - stwierdził. Był bardzo blady, ale opanowany. - Powinnaś była zastanowić się nad wszelkimi aspektami tego związku, zanim podjęłaś decyzję, że wyjdiesz za mnie.

- To nie ja podjęłam decyzję w tej sprawie!

- Doprawdy? - Oczy Marcusa przewiercały ją na wylot.

Judith zaschło w ustach. Żałowała z całej duszy, że wszczęła ten spór.

- Tu nie idzie o nasze małżeństwo - powiedziała z desperacją w głosie

- tyłka o twoje zaufanie do mnie. Przez te wszystkie lata kierowałam się własnym rozumem i dobrze na tym wychodziłam. To naprawdę nie twoja sprawa, czym będę jeździć. Poprosiłam mego brata, on mi wszystko załatwił...

- Doprawdy, winienem mu dozgonną wdzięczność! - przerwał jej kaśliwie, choć nadal ze spokojem. -A więc, moja pani, spytamy twego brata. Jeśli nie zechce tych koni, pójdą jutro pod młotek w Tattersall's. - Odwrócił się, jakby temat został wyczerpany.

- Nie! Nie dopuszczę do tego!

- Nie masz innego wyjścia, moja droga.

- Właśnie że mam! Będę je trzymała w stajni brata i będę nimi jeździła, kiedy zechcę!

Wojna została wypowiedziana. Marcus z zaciśniętymi ustami i zbiełałą twarzą ruszył ku żonie.

- Na Boga! Już ja cię nauczę posłuchu!

- Tknij mnie tylko palcem, Carrington, a zastrzelę cię jak psa!

Judith zerwała się na równe nogi, przewracając niski stolik, który runął. " z hukiem- Figury szachowe rozsypały się po pokoju, a ciężka marmurowa szachownica zwała się Marcusowi na stopy. Wrzasnął z bólu, przeskakując z nogi na nogę.

- Widzisz, co się przez ciebie stało?! -jęknęła przerażona Judith, zapominając o gniewie. -Naprawdę nie chciałam zrobić ci krzywdy!

- Pewnie! Chciałaś mnie tylko zastrzelić - burknął Marcus. Stał na prawej nodze i pochyliwszy się, masował lewą.

- Dobrze wiesz, że nie zrobiłabym nic podobnego! - zapewniała, łażąc rękami. - O mój Boże! Bardzo cię boli?

- Potwornie. - Ostrożnie postawił lewą nogę na dywanie i zajął się prawą.

- Tak mi przykro! - ubolewała Judith. - Czemuś mnie tak rozzłościł? Nie zrobiłam tego naumyślnie!

- Strach pomyśleć, co byś zrobiła z rozmysłem!

Postawił prawą nogę na ziemi i się wyprostował. Nagle oczy mu się zwężyły. Na skutek gorączkowych ruchów Judith jedwabny szlafroczek rozchylił się, odsłaniając kremową pierś, falującą pod wpływem silnych emocji. W złocistych oczach krył się niepokój i ostatnie iskry gniewu. Usta miała półotwarte z przestachu.

- Sądzę - oświadczył stanowczo Marcus - że resztę tej burzliwej dyskusji odbędziemy na leżąco. Tak będzie bezpieczniej. - Wyciągnął ręce nad zwaloną stolikiem, chwycił Judith pod pachy i przeniósł ją nad rumowiskiem bez większego wysiłku, mimo że wierzgała.

- Co ty wyprawiasz?!

-A jak ci się zdaje?

Objął ją w talii; zmrużone czarne oczy błysnęły drapieżnie.

- Nie! - Judith odwróciła głowę przed pocałunkiem. - Nie życzę sobie żadnych pieszczot w trakcie kłótni!

- Nie będę pytał o pozwolenie - odparł, dotykając wargami jej ucha.

-Niech cię diabli, Marcus! Nie możesz tego chcieć!

Odpychała go obiema rękami, wyrывая się z uścisku.

-Chyba ja wiem najlepiej.

Popychał ją zdecydowanie, aż poczuła za sobą na wysokości kolan skraj łożka. Wymachując dziko rękoma opadła na wznak, przeklinając Marcusa we wszystkich znanych jej językach. Marcus cienkim paskiem od szlafrocka żony omotał jej nadgarstki i przywiązał do rzeźbionego słupka w głowach łożka. Wyginając szyję i sapiąc, Judith obserwowała jego poczynania z mieszaniną gniewu i fascynacji.

- Teraz możesz mnie atakować tylko językiem, rysiczko - oświadczył niefrasobliwie. - Ale pobiję cię i tą bronią! Założymy się o dwadzieścia gwinei?

Judith zainteresowała się natychmiast.

- O dwadzieścia gwinei?

Rozchylił poły jej szlafrocza i przeciągnął językiem po piersi i brzuchu żony.

- Wolisz o pięćdziesiąt?

Czuła jego oddech na całym ciele. Wysokość zakładu przestała ją interesować.

- Ani myślę tyle tracić! - zdołała wykrztusić, nim gorące, słodkie muśnięcia jego języka pozbawiły ją mowy.

Powiniennem być od razu posłuchać Sebastiana! - rozmyślał jakąś cząstką umysłu Marcus, rozkoszując się reakcją coraz bardziej roznamiętnionej żony. Otwarta konfrontacja z nią jest męcząca, pozbawiona finezji i nieskuteczna. Ale pokonać ją rozkoszą to szczyt strategii!

Pojękiwania Judith przybierały na sile, jej biodra prężyły się coraz mocniej, rosła w niej spirala napięcia... Wreszcie z głośnym krzykiem wygięła się jak cięciwa łuku, by opaść w końcu na łożko. Marcus ucałował ją lekko w usta i musnął wargami zamknięte powieki. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się półprzytomnie.

- Potrafisz robić cuda?

- To jedna z moich pomniejszych zalet - odparł z uśmiechem, bardzo z siebie zadowolony. Rozwiązał jedwabny pasek krepujący jej ręce. - Jesteś już chyba ujarzmiona, więc uwolnię twoje łapki. Mogą ci się przydać.

- Mogą- zgodziła się Judith. Objęła go rękami, gdy wnikał w nią. - Och, cudownie!

Marcus był tego samego zdania. Poruszał się w łagodnym rytmie, zgodnym z drzeniem jej podnieconego ciała.

- Czasem mi się zdaje - szepnął - że zostaliśmy stworzeni po to, by się ze sobą kochać.

- Tylko czasem ci to świta? - Roześmiała się i w jej oczach zapłonęła iskra triumfu. Radowała się blaskiem w oczach Marcusa i świadomością rozkoszy, jaką sobie dawali. Uniosła ku niemu biodra.

- Nie rób tego, Judith, bo kto wie, co się rozpęta!

- Niech się rozpęta! - odparła bez tchu.

Ich głosy złączyły się w starym jak świat zwycięskim okrzyku, śliskie od potu ciała stopiły się w jedno. Długi czas trwali w ciszy doskonałego zaspokojenia. Potem Judith się poruszyła. Nadal obejmowała nogami Marcusa, a jej ramiona były szeroko rozrzucone jak w chwili, gdy opadli razem po eksplozji wspólnego orgazmu.

- Nie za bardzo cię przygniotłem? - mruknął Marcus, zsuwając się z niej.

- Nie narzekam.

Wsparł się na łokciu i spoglądał na nią z uśmiechem.

- No to wróćmy do drażliwej kwestii sportowych faetonów... - powiedziała, sunąc palcem wzdłuż rowka między jej piersiami.

Judith odepchnęła jego rękę, siadła na łóżku po turecku i przyjrzała się mężowi uważnie.

- Słuchaj no - powiedziała całkiem spokojnie. - Stary nudziarz z ciebie, mój panie. Nie przerywaj! Czy choć raz od naszego ślubu musiałeś się za mnie wstydzić?

- Ani razu - przyznał. - I lepiej, żeby się to nie zmieniło!

Judith poklepała go po kolanie.

- Tym razem też ci nie przyniosę wstydu. Wprowadzę tylko nową modę. Nie zamierzam udawać dżokeja w Epsom ani w wariackim tempie powozić pocztowym dylizansem na trasie Londyn-Brighton. Pozwolę sobie tylko na coś oryginalnego, może troszkę zaskakującego. I założę się o każdą sumę, że za tydzień znajdzie się sporo innych dam, chętnych do powożenia faetonem. A żadna z nich nie będzie mi dorastać do pięt! - zakończyła.

- Zarozumiałe dziewczusko! - mruknął.

- Sam się przekonasz - zapewniła z wielką pewnością siebie.

Marcus nie odpowiedział od razu. Jego myśli pobiegły innym torem.

- Kto cię nauczył tak wspaniale powozić?

- Pewien przyjaciel - powiedziała wymijająco. - Dwa lata temu.

- Przyjaciel?

- Tak, w Wiedniu. Miał cudowne siwki. I z wielką gotowością zgodził się mnie uczyć.

- W zamian za co?
- Za przyjemność przebywania w moim towarzystwie - odparła takim tonem, jakby to było oczywiste.
- Jeden z twoich wielbicieli?
- No cóż, chyba tak. Ale to był wyjątkowo szacowny dżentelmen. Austriacki hrabia z okazałym majątkiem.
- Który oboje z bratem zdołaliście nieco uszczuplić?
- Może o kilka tysięcy - odparła beztrąsko. - Hrabiego było na to stać, a w moim towarzystwie znakomicie się bawił.
- I ty się dziwisz, że powątpiewam w twoje zasady?
- Judith przygryzła wargę.
- To całkiem co innego. Czemu zawsze wytykasz mi moją przeszłość?
- Odwróciła głowę, walcząc ze łzami.
- No właśnie! Czemu to robił... ? Dostrzegł łzę spływającą po policzku Judith. Może wyrządzał jej krzywdę? Bez względu na to, jak doszło do ich małżeństwa, mógł być tylko dumny ze swej pięknej, eleganckiej, inteligentnej żony. Chyba już czas zapomnieć o przeszłości.
- Pochylił się i starł palcem łzę z jej policzka.
- Jeśli mi udowodnisz, że potrafisz w każdej sytuacji panować nad parą ognistych koni, będziesz mogła zatrzymać ten swój faeton.
- Od razu łączy jej obeschły i wyskoczyła z łóżka.
- Zaraz się przekonasz! - Ściągnęła z niego przykrycie. - Wstawaj, leniuchu! Pojedziemy twoim powozem do Richmond i przekonasz się, jak sobie dają radę z czwórka twoich siwków! Zobaczysz, że powożę pierwsza klasa!
- Podejrzewam, że masz słuszość. - Wstał i dodał po namyśle: - Chyba mi jesteś winna dwadzieścia gwinei.
- Chyba masz rację - przytaknęła słodko.

16

Nie wiem, co robić. - Charlie zerknął skonfundowany znad trzymanyh w rękę kart. Stojący za nim Sebastian zajrzał mu przez ramię i uśmiechnął się szeroko, wyczuwając rosnące zniecierpliwienie siostry. Judith była

dobrą nauczycielką, ale brakowało jej wyrozumiałości dla cięższej myślących. Dostrzegła spojrzenie brata, odetchnęła głęboko i uzbroiła się w cierpliwość.

-Chcesz jeszcze jedną kartę, Charlie?

- Sam nie wiem. -Zmarszczył czoło. Judith próbowała mu już wyjaśnić jak można to i owo przewidzieć podczas gry w makao. - Mam osiemnaście punktów.

- Wobec tego potrzeba ci jeszcze trzech, nie więcej - wyjaśniła. - Jest tylko dwanaście kart, które byłyby w sam raz.

- Tylko dziesięć - odparł Charlie. - Mam już asa i dwójkę.

- Coraz lepiej ci idzie - pochwalił go Sebastian, śledząc z rozbawieniem przebieg lekcji.

- Słusznie - powiedziała Judith, wskazując gestem leżące na stole kupki kart, symbolizujące pozostałych graczy. - Po pięciu rozdaniach dwóch odeszło, trzej nadal grają. Co możesz powiedzieć o tych trzech?

Charlie się skupił.

- Że mają przeważnie niskie karty?

- No właśnie! - potwierdziła. - W takim razie szanse zdobycia jednej z tych dziesięciu przydatnych dla ciebie kart są...

- Niewielkie - odparł i aż się rozpromienił, że zrozumiał o co chodzi; "

- Zostanę przy tym, co mam!

- Proste, nieprawdaż?

-- Chyba tak. A co by mi się dostało, gdybym dobrał jedną?

Judith zdjęła górną kartę z bardzo już uszczuplonego stosiku i popchnęła w jego stronę. Charlie odwrócił ją. Była to trójka.

-- Nigdy ci nie mówiłam, że to się sprawdza na sto procent! - powiedziała z uśmiechem Judith na widok jego niepocieszonyj miny.

- To po co to główkowanie? Cała przyjemność polega na ryzyku, no nie?

- Istotnie. Ale czy nie sprawia ci satysfakcji, jeśli przechytrzysz ślepy los?

Charlie miał niepewną minę.

-No, owszem, ale znacznie większa jest wtedy, gdy szczęście się ni stąd, ni zowąd uśmiechnie!

Sebastian wybuchnął śmiechem na widok siostry, która uniosła ręce do, nieba w bezradnym geście.

- Tak czy owak... grunt, że Marcus nie wysłał cię do Berkshire - powiedziała, zbierając karty.

- Nie wysłał! - oświadczył Charlie. - Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy Marcus zachowuje się diabelnie przyzwoicie. Jak chciałem pojechać z Gilesem Fotheringhamem do Repton na polowanie, to Marcus sam powiedział, że powinienem mieć drugiego konia myśliwskiego. Wybrał się ze mną na licytację i pomógł mi wybrać wierzchowca pierwsza klasa! - Uśmiechnął się lekko. - Jasne, że dodał: „Gdyby nie ja, dałbyś sobie wcisnąć coś na pokaz, ale bez żadnej wytrzymałości!” Ale taki to już jest Marcus.

Judith się roześmiała. Charlie znakomicie naśladował weredyczny ton kuzyna. Zabrała się znów do rozdawania kart.

- Muszę już zmykać - powiedział Sebastian i ucałował siostrę. - Wybierasz się dziś wieczorem na raut do Hartley House?

- A jakże! Reszta mojej szkółki po raz pierwszy rozwinię tam skrzydełka. Cornelia i Isobel chcą zagrać w makao, przy oddzielnych stolikach, rzecz jasna, a Sally uparła się, że spróbuje szczęścia w lotto.

- Jak one sobie radzą?

Judith zachichotała.

- Ogólnie rzecz biorąc, całkiem dobrze. Cornelia idzie najgorzej. Zdumiewające, bo jest przecież bardzo inteligentna. Gra na fortepianie, nawet trochę komponuje, zna łacinę i grekę...

- Prawdziwa sawantka - podsumował Sebastian. - Z maślanymi łapami.

- Okropny jesteś! - ofuknęła go Judith, uśmiechając się mimo woli.

- W każdym razie bardzo jestem ciekawa, jak sobie poradzą. Przysięgły sobie, że wyjdą z tego zwycięsko!

- Boże, miej w opiece biednych londyńskich mężów! - przekomarzał się z nią Sebastian. - Jak sobie zapewnią uległość żon, jeśli nie będą ich trzymać na sznurku od sakiewki?

Judith się skrzywiła.

- Wiem, że to miał być żart, Sebastianie, ale zbyt wiele w nim gorzkiej prawdy. Gdybyś słyszał zwierzenia Isobel o poniżających sposobach...

Przypomniawszy sobie o obecności Charliego, urwała nagle. To nie były sprawy odpowiednie dla uszu naiwnych młodzianów.

Sebastian zrozumiał ją od razu i skinął głową.

- Cofam wszystko i uciekam! Przyrzekłem towarzyszyć Harriet i jej matce w wyprawie do ogrodu botanicznego. - Skrzywił się zabawnie.

- A to po co?! Założę się, że Harriet chętniej by popatrzyła na lwy.

- Ja też, ale czcigodna mamusia uważa, że znajomość z lwami nie ma walorów kształcących, więc zostaje ogród botaniczny.

- No to zabierz spory zapas soli trzeźwiących, gdyby lady Moreton zaśląbła z wrażenia na widok storczyków.

- Okropna z ciebie dziewczucha! Ani krzty szacunku dla starszych - stwierdził Sebastian.

- Jestem tego samego zdania - dobiegł od drzwi głos Carringtona. - Jak się masz, Sebastianie? - Markiz rzucił szpicrutę na kanapę i ściągnął rękawiczki.

- Dzięki, nie najgorzej. - Sebastian uśmiechnął się szeroko do szwagra i wziął cylinder ze stolika pod ścianą. - Może ty coś poradzisz na niewyparzony ozór mojej siostry?

- Próbowałem, Sebastianie, próbowałem. Ale dałem za wygraną,

- No cóż, nie dziwię się. Wielka szkoda!

- Może byście przestali robić uwagi na mój temat, jakby mnie tu nie było?! - huknęła na nich Judith oburzona, ale i rozbawiona.

- Już mnie nie ma! - Sebastian posłał siostrze całusa od ust i ruszył ku drzwiom.

- Chciałem przedyskutować z tobą pewną sprawę - powiedział Marcus - ale widzę, że się spieszysz.

- Storczyki czekają na niego z utęsknieniem - mruknęła Judith, gdy drzwi zamknęły się za bratem,

- Co takiego?

- Storczyki. Leci podlizywać się lady Moreton.

- Wielki Boże! Po co?!

- Bo wybrał ją sobie na teściową.

- Do wszystkich diabłów! - burknął Marcus. - Jej córka jest rzeczywiście bardzo posażna.

- A cóż to ma do rzeczy?! - najeżyła się Judith.

- Jak to co? Każdy młodzieniec przy zdrowych zmysłach, ale bez gotówki rozgląda się za posażną panną - odparł Marcus niedbałym tonem.

- W co gracie, Charlie? - Podszedł do karcianego stolika.

Charlie nie kwapił się z odpowiedzią. Dostrzegł wyraz twarzy Judith i zastanawiał się, czy i Marcus zauważył, jakie wrażenie zrobiły na niej jego słowa.

Judith powiedziała z przymusem:

- Cóż ty wiesz o sytuacji finansowej Sebastiana?

- Nic, ale zakładam, że żyje z kart. Wątpię, by Moretonowie spoglądali łaskawym okiem na jego zaloty. - Sięgnął po karafkę sherry.

- No to czeka cię niespodzianka!
- Bardzo bym się ucieszył, ale spójrzmy prawdzie w oczy, Judith. - Na-
lał sobie sherry, nadal nie mając pojęcia, jakie wrażenie robią jego słowa
na żonie. - Ludzie pokroju Moretonów przyjmą życzliwie niemającego
konkurenta tylko wówczas, gdy olśni ich wspianiałym tytułem.

- Ach, tak? - rzuciła lodowatym tonem Judith i zacisnęła wargi. Szybki-
mi ruchami skończyła rozdawanie kart.

- A zatem w co gracie? - spytał znów od niechcienia Marcus, popijając
sherry.

- W makao - odparł Charlie, rad ze zmiany tematu. Mina Judith nie
wróżyła nic dobrego; zauważył też lekkie drżenie jej rąk. - Bo widzisz, nie
jestem zbyt dobrym graczem - zaczął.

- Okropnym! - przerwał mu bezceremonialnie Marcus. ~ Mały pędrak
mógłby cię ograć. I właśnie dlatego wiecznie siedzisz w długach - dodał.

- Lepiej byś sobie znalazł jakąś inną rozrywkę!

- Ale jak już się nauczę wygrywać, to nie będę miał długów - wyjaśnił
z zapałem Charlie. - Judith mi tłumaczy, jak to się robi!

- Co takiego?! - wykrzyknął Marcus. Jego beztroska zniknęła. Salon
w Brukseli i inny stół do gry w makao stanęły mu tak żywo przed oczami,
że przepłoszyły z jego umysłu wszelkie rozsądne myśli. Jak mógł ludzi
się, że przeszłość zostanie pogrzebana?! - Jakich to, konkretnie, udziela ci
wskazówek?

Po zniewadze pod adresem Sebastiana jeszcze i to?! Tego już za wiele!
Judith doskonale wiedziała, co mąż ma na myśli, i ostatnie hamulce pu-
ściły.

- No cóż, znam pewną sztuczkę - oznajmiła, a jej kocie oczy rozbłyły.
- Trzeba zrobić maleńkie nacięcie w prawym rogu na wszystkich waletach.
Nikt nie zauważy, jeśli się do tego zabrać umiejętnie. Można także...

Zatruty pocisk trafił do celu. Marcus wybuchnął z posiniałą twarzą:

- Dość tego!

Bełkocząc coś niezrozumiale, Charlie zerwał się na równe nogi i po-
spiesznie opuścił pokój, zamykając starannie drzwi za sobą.

- Nie będziesz mi się wtrącać w rodzinne sprawy! Ja i tylko ja pono-
szę odpowiedzialność za Charliego i nie pozwolę, byś go demoralizowała
swymi niecnymi praktykami.

- Jak śmiesz! - przerwała mu gwałtownie Judith, zrywając się od stołu.

- Skąd to przypuszczenie, że uczę Charliego szulerki?!

- Zapominasz, że dobrze wiem, jakim sposobem wygrywałaś!

Judith ze szkarłatnej stała się biała jak płótno.

- Jesteś niesprawiedliwy - oświadczyła kategorycznym tonem. - Najpierw oskarżasz mojego brata, że dybie na posag Harriet, a teraz uważasz mnie za zdolną do takiej ohydy! Byłoby stokroć lepiej, gdybyśmy się nigdy nie spotkali!

Wypowiedziane bez zastanowienia słowa legły między nimi jak ciężkie kamienie.

Przez chwilę Marcus milczał i w pokoju słychać było tylko trzask ognia na kominku. Potem zapytał:

- Naprawdę tak myślisz? - Wpatrywał się w nią z bolesną intensywnością.

- A ty nie? - Głos miała drewniany, oczy straciły blask, chciało się jej płakać. Ale na twarzy nie odbijały się żadne emocje.

- Tylko wtedy... Tak, czasami... - powiedział bardzo powoli.

Tylko wtedy, gdy przepełniała go miłość do niej, i nagle uprzytamniał sobie, jaka jest podstępna. Tak, wtedy żałował, że się spotkali. I choć starał się zdławić w sobie ten żal, on nadal w nim tkwił.

Wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Judith stała pośrodku pokoju. Łzy spływały bezgłośnie po jej policzkach. Gdyby się nigdy nie spotkali, nie cierpiałyby tak w tej chwili. Ale nigdy by nie zaznała... Wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos. Już niedługo opuści Marcusa, będzie znów wolna! A on niebawem pozbędzie się tej chytrej oszustki, swojej żony!

Tylko dlaczego na myśl o tym czuła się taka nieszczęśliwa?

17

Bernard Melville był zdumiony. Przegrywał z Sebastianem Davenportem i nie mógł pojąć, jak to się dzieje. Jego przeciwnik zachowywał się ze zwykłą niefrasobliwością. Siedział rozparty na krześle, z kieliszkiem koniaku pod ręką. Śmiał się i żartował z tymi, którzy przystawali, by popatrzeć na ich grę. Chwilami wydawało się, że nie bardzo wie, co ma w kartach, mimo to nieustannie przybywało mu punktów.

Bernard przegrał pierwszą partię, z minimalną przewagą wygrał drugą, a teraz wszystko wskazywało na to, że przegra trzecią. Zdawało się, że im obu przypadły równie dobre karty, choć Davenport, przyjrząwszy się temu, co miał w ręku, doliczył się trzydziestu punktów, ze śmiechem pogratulował sobie szczęścia i obwieścił repik. Hrabia wiedział jednak, że jest w wystarczająco dobrej sytuacji, by wygrać z mniej doświadczonym przeciwnikiem, nawet jeśli tamten miał nieco lepsze karty. A Sebastian Davenport był przecież roztrzępany i niewyrobionym graczem, prawda?

Sebastian bacznie obserwował swego przeciwnika. Czynił to dyskretnie, spod opuszczonych powiek, toteż Gracemere nie miał pojęcia, jak dokładnie czyta mu w myślach lekceważony przeciwnik. Davenport zastanawiał się, czy nie utwierdzić hrabiego w niepochlebny mniemaniu, popełniając ewidentny błąd. Choćby przegrał tę partię, miał przewagę punktów rokującą mu niezbyt wysokie, ale niewątpliwie ostateczne zwycięstwo. Bawił się kartami, marszczył czoło, a wreszcie sięgnął po kieliszek i napił się koniaku.

Gracemere patrzył na te objawy niezdecydowania i uśmiechał się w duchu. Mimo chwilowego sukcesu ten młokos był przezroczystry jak szkło! Kiedy wreszcie Sebastian zdecydował się i z niemal wyzywającym gestem rzucił na stół swoje jedyne kiery, hrabia omal nie roześmiał się w głos. Typowe posunięcie żółtodzioba! Jakież on nieostrożny, niedoświadczony, krótko mówiąc: głupi! Gracemere oczywiście wygrał.

- Nie trzeba było pozbywać się tych kierów! - lamentował Sebastian.
- Ale wszystko mi się poplątało.

- Każdemu się zdarza - pocieszał go hrabia, rozdając karty.

Przegrał w tak błyskawicznym tempie, że mógł zawinąć tylko ślepy traf.

- Wygląda na to, że wygrałeś, Davenport.

Sebastian z niewyraźną miną zaczął podliczać punkty.

- Chyba tak. Niewysoko, ale jednak. Mam rację, Gracemere?

- Musisz mi dać rewanż. - Hrabia zebrał karty.

Sebastian ziewnął.

- Wybacz, ale nie dziś. Trzy partie to wszystko, na co mnie stać za jednym przysiadem. Za dużo tego myślenia! - Zaśmiał się z niefrasobliwą autoironią. - Chyba spróbuję szczęścia w kości. Czuję, że los mi dziś sprzyja!

- Jak sobie życzysz - wycodził hrabia, z trudem ukrywając pogardę.

- Ale w najbliższym czasie oczekuję rewanżu.

- Ma się rozumieć! Z największą przyjemnością.

Sebastian wstał od stolika, zauważył jednego z przyjaciół na drugim końcu sali i skierował się w tamtą stronę. Gracemere przyglądał się, jak młodzieniec przemyka między stołami; od czasu do czasu gubił jakby rytm - najlepszy dowód, że nie żałował sobie koniaku. Typowy dla bogatych żółtodziobów brak rozwagi.

Hrabia się uśmiechnął. Oskubanie takiego durnia było najprostszą sprawą pod słońcem. A co się tyczy siostrzyczki, to i ona wpadnie mu prosto w ręce jak dojrzała śliwka; chce się odegrać na mężu, pyszałku i zazdrośniku. Że też takie głupiątko chodzą jeszcze po świecie! Ale on i Agnes, ubawią się przynajmniej. No i zetrze wreszcie w proch Marcusa Devlina.

Na chwilę całe otoczenie zniknęło hrabiemu sprzed oczu: stoły do gry, lokaje roznoszący trunki, jaskrawe światła. Czas cofnął się, a on znalazł się znowu w tamtej izbie nad stajnią i widział utkwione w siebie nieubłagane, czarne oczy markiza. Wspomnienie było tak wyraźne, że ogarnął go taki; sam strach jak wówczas, gdy odgadł, co Marcus Devlin zamierza zrobić.

Gracemere otrząsnął się z tych majaków i rozwarł kurczowo zaciśnięte pięści. Dzięki Judith wymaże raz na zawsze z pamięci scenę straszliwego upokorzenia.

Gdy tylko Sebastian wyszedł z karcianego pokoju, jego krok nabrał pewności, oczy ożywiły się, plecy wyprostowały. Były to zmiany bardzo dyskretne i chyba tylko Judith by je dostrzegła.

- Widzę, że nadal grywasz z Gracemere'ain - zauważył wicehrabia Middleton, gdy Sebastian przyłączył się do grających w kości.

- Owszem, i szczęście mi dziś dopisało - odparł, kalkulując w duchu, ile powinien przegrać w kości dla zachowania pozorów. Miał opinię namiętnego hazardzisty, który nie przejmuje się wysokością przegranej. Od razu by zauważono, gdyby zaczął grywać wyłącznie w to, co przynosiło mu zysk.

- No cóż, rób, jak uważasz - oświadczył Harry tonem dezaprobaty. Rzucił rulon pieniędzy na stół nakryty sukniem i oświetlony wielkim kandelabrem. - Ale nie zapominaj o tym, co ci mówiłem!

- Nie zapominam - zapewnił go Sebastian, przystępując do gry, - I mówię ci z ręką na sercu, Harry, nie musisz się o mnie martwić!

Uświadomił sobie, że chętnie powiedziałby coś więcej, przypuścił przyjaciela do sekretu z wdzięczności za jego życzliwość. Przyjaźń jednak była rzeczą ryzykowną. Do niedawna przyjaźnił się z jedną tylko osobą - swoją siostrą - i obojgu wystarczało to w zupełności. Teraz jednak wypłynęli na

szersze wody i trudno by im było przestawać tylko ze sobą. Skłamałby zresztą, utrzymując, że nowe znajomości go nie cieszą.

Wkrótce potem wyszedł od Watiera i postanowił wpaść na raut w Hartley House w nadziei, że zastanie tam jeszcze Harriet, choć było już po północy. Dowiedziawszy się, że matka zabrała jego wybrankę do domu przed godziną, wszedł do pokoju karcianego i ujrzał Judith przy stole do makao. Podszedł bliżej i przez chwilę obserwował siostrę w akcji. Judith rzuciła mu przelotny uśmiech i skupiła się znów na grze. Wiedziała, że brat śledzi ją wzrokiem krytyka. Potem dzięki swej niezawodnej pamięci wyliczył jej wszystkie błędy, jakie popełniła. Oboje nawzajem świadczyli sobie podobne usługi, choć Judith przyznawała otwarcie, że Sebastian jest lepszym od niej graczem.

Po kilku minutach skinieniem głowy dał jej znak, że doskonale sobie radzi, i odszedł, chcąc sprawdzić, jak się spisują uczennice Judith. Gdy stanął obok Sally, uśmiechnęła się do niego, zdumiona własnym sukcesem. Zauważył przed nią sporą kupkę wygranych pieniędzy. Przyglądał się przez chwilę i po niezbyt udanym zagraniu poradził jej najcichszym szeptem:

- Już dość. Traci pani koncentrację.

Sally zarumieniła się i speszyła. Skinęła jednak głową, a po chwili ustąpiła miejsca komuś innemu.

- Bardzo panu dziękuję, Sebastianie.

- Nie ma za co! Ale to bardzo istotne: wiedzieć, kiedy się wycofać.

Niewiele mógł doradzić Cornelii, która była nieprzewidywalna: to grała całkiem inteligentnie, to idiotycznie. Równie nieprzewidywalne były jej zyski i straty. Nie mógł jej nawet doradzić, by dała spokój, gdyż za chwilę mogła wygrać.

- Jak mi idzie? - spytała go donośnym szeptem, upuszczając wachlarz.

Sebastian podniósł go i odparł cichutko:

- Trudno powiedzieć. Ile chciałaby pani wygrać?

- Dwieście gwinei - odparła nie ciszej niż poprzednio.

Zauważywszy, że inni gracze na nią patrzą, poczerwieniała i przewróciła kieliszek. Podbiegł lokaj i w tym zamieszaniu Sebastian zdążył jej szepnąć:

- Zastąpię panią.

Cornelia wstała, przepraszając wylewnie za swą niezgrabność.

- Ogromnie mi przykro, ale poplamiałam sobie suknię. Panie Davenport, niechże mnie pan zastąpi. Bardzo pana proszę!

Sebastian mrugnął do niej.

- Oczywiście, jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu.

Ponieważ nikt nie zgłosił sprzeciwu, Sebastian zajął miejsce i w ciągu pół godziny wygrał sumkę potrzebną Cornelii. Obie z Sally stały za nim, obserwując go w skupieniu. Wstając od stołu, z uśmiechem podał ramię każdej z nich.

- Zaobserwowałyście coś interesującego, moje panie?

-Owszem! Oboje z Judith tak się koncentrujecie podczas gry, że nie zważacie na nic, co się wokół was dzieje - odparła Sally. - i wasze twarze tracą wszelki wyraz, zupełnie jakby was nie było tam w środku. - Roześmiała się. - To brzmi idiotycznie! Ale ty z pewnością wiesz, Cornelio, co mam na myśli.

- Wiem - przytaknęła Cornelia. - To pewnie dlatego, że oboje nie grają ot tak sobie. - Spojrzała na towarzyszącego im kawalera. - Jesteście prawdziwymi graczami, nieprawdaż?

- Prawdziwymi? Co droga pani przez to rozumie? - spytał ze śmiechem, chcąc zbić ją z pantałyku.

Umysł Cornelii był niepokojąco bystry, nawet jeśli miała maślane ręce i zachowywała się niekonsekwentnie. Przez chwilę spoglądała na Sebastiana, potem pokręciła głową.

- Dobrze pan wie, co mam na myśli. Ale to nie mój interes. Nie wspomnę już o tym ani słowa.

- O czym ty mówisz? - dopytywała się Sally

Cornelia roześmiała się, rozładowując napięcie.

- O niczym! Przekomarzam się z panem Sebastianem, i tyle. Chodźmy zobaczyć, jak sobie radzi Isobel!

Isobel była zarumieniona z radości.

- Spójrzcie tylko na moje łupy! - Otworzyła woreczek, ukazując pożądaną kupkę pieniędzy. - Musiałabym przez tydzień podsuwać Henleyowi ulubione dania, siadać mu na kolanach i dopraszać się Bóg wie jak długo, by zdobyć taką sumę!

Przypomniała sobie nagle o obecności Sebastiana i spłonęła jak róża. To, z czego mogła zwierzyć się przyjaciółkom, nie nadawało się dla uszu mężczyzny!

Sebastian jednak zmarszczył brwi i zauważył:

- Musi to być dla pani bardzo nieprzyjemne.

Wszystkie trzy kobiety wymieniły zdumione spojrzenia. Jakim niezwykłym mężczyzną był brat ich przyjaciółki!

- Chodźmy zobaczyć, co tam u Judith! - odezwała się Sally, by przerwać krępujące milczenie.

- Lepiej nie - zaproponował pospiesznie Sebastian. - Ona nie lubi, żeby jej przeszkadzać. Kiedy będzie miała dosyć, sama odejdzie od gry.

Cornelia uśmiechnęła się do siebie, a Sebastian to zauważył. Znów mu przyszło do głowy, że przyjaźnie mogą być ryzykowne dla kogoś, kto ma swoje sekrety. Zaproponował paniom, by przejść do sali, gdzie podawano kolację, i tam zaczekać na Judith.

Niebawem do nich dołączyła. Sebastian zauważył, że oczy ma zmęczone, a twarz ściągniętą znacznie bardziej niż po przeciętnym wieczorze spędzonym na grze w karty. Miał nawet wrażenie, że siostra płakała. Podał jej kieliszek szampana i nie odzywał się, gdy z ożywieniem opowiadała przyjaciółkom o swych sukcesach.

- Ile wygrałaś? - spytała Sally.

- Tysiąc - rzuciła takim tonem, jakby to była drobnostka. - Zwróciłam już pieniądze pożyczone z funduszu na konie, prawda, Sebastianie?

- Owszem. Twoja wygrana na Pickering Street pokryła dług w zupełności.

- A prawda!

- Z jakiego funduszu? - spytała Sally.

- O, to taki prywatny rodzinny żarcik - powiedziała Judith, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Odwiozę cię już do domu - oświadczył Sebastian. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Chyba masz rację. - Wstała. - Cieszę się, że wieczór zakończył się takim sukcesem!

- A co z Charliem? - zainteresowała się Sally. - Zamierzał, zdaje się, grać w makao?

- Istotnie - odparła Judith z lekkim przymusem. - Mam nadzieję, że i on skorzystał z naszych lekcji. - Dotknęła ręki brata. - Nie musisz mnie odwozić, Sebastianie. Mój powóz czeka pod domem.

Sebastian pojął, że siostra woli wracać sama, i ustąpił bez protestów. Dowie się, co Judith dolega, gdy sama zechce mu się zwierzyć. Odprowadził ją do czekającej w pobliżu karety z herbem Carringtonów i ucałował siostrę na dobranoc.

Judith siedziała skulona w kącie, gdy powóz turkotał i podskakiwał na kocich łbach. Było jej zimno mimo pledu na kolanach i gorącej cegły pod stopami. Czuła się zmarznięta i śmiertelnie zmęczona, choć było to

wyczerpanie psychiczne, a nie fizyczne. Przez okienko karety wpadała migotliwa księżycowa poświata, wewnątrz powozu tonęło w zimnym, posępnym blasku. Idealnie odpowiadał stanowi jej duszy.

Millie czekała na nią, ale ani miłe ciepło, panujące w sypialni, ani łagodny blask ognia płonącego na kominku nie podniosły Judith na duchu.

- Pomóż mi zdjąć suknię, Millie, a potem możesz iść do łóżka. Z resztą sama sobie poradzę.

Pokojówka rozpięła wierzchnią suknię ze szmaragdowego jedwabiu i spodnią w kolorze jaśniejszej zieleni, haftowaną perełkami. Powiesiła je w szafie i wyszła, życząc swej pani dobrej nocy.

Judith usiadła przed lustrem w samej halce i uniosła ręce w górę, by zdjąć szmaragdowy naszyjnik i kolczyki do kompletu. Nagle ktoś ze zdumiewającą energią otworzył drzwi pomiędzy sypialniami. Na progu stał Marcus w szlafroku; czarne oczy płonęły mu jak dwa węgle.

- Nie żałuję! - oświadczył porywczo.

Judith upuściła kolczyk. Upadł z brzękiem na blat toaletki.

- Czego?

- Nie żałuję, żeśmy się spotkali - wyjaśnił, podchodząc pewnym krokiem do siedzącej na taborecie żony. Bez pospiechu odwróciła się twarzą do niego.

Objął rękoma szyję Judith, unosząc kciukami jej brodę ku górze. Czuł pod palcami ciepło tej smukłej alabastrowej szyi i tętno bijące u jej nasady.

- Nie żałuję - powtórzył miękko. - Choć z ciebie wojownicza dzika kocica, a język masz ostry jak brzytwa, ani trochę nie żałuję, żeśmy się spotkali!

Judith nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Czuła na sobie jego płonącego wzrok. Przeszył ją gwałtowny zmysłowy dreszcz.

-A ty? - spytał Marcus. - Rzeczywiście wołałabyś, żebyśmy się nigdy nie spotkali? Mów prawdę!

Pokręciła głową. W gardle jej zaschło, czuła, jak puls szaleje jej pod dotykiem rąk Marcusa.

- Nie - zdołała w końcu wyszeptać. - Wcale bym nie wołała.

Pochylił głowę i ucałował ją w usta. Podziałało jak iskra na beczkę prochu. W jednej chwili zniknęły wszelkie bariery, które miały jej bronić przed potęgą jego namiętności. Zatraciła się bez reszty w tym pocałunku.

Nie odrywając warg od ust żony, zmusił ją, by wstała, ona zaś posłuchała ślepo, rozkoszując się zapachem jego ciała i smakiem ust. Cofała się zgodnie z jego niemym rozkazem, aż poczuła za plecami twardość ściany. Dopiero teraz oderwał usta od jej ust. Judith miała wrażenie, że tonie w głębokich czarnych jeziorach jego oczu, że jest tylko maleńkim odbiciem w jego źrenicy.

- Unieś halkę!

Był to ledwie dosłyszalny szept, ale niezwykle nagły i pobudzający. Powoli podciągnęła cienką batystową bieliznę do pasa.

- Stań w rozkroku! - Rozchylił poły szlafroka.

W przypływie gwałtownej namiętności Judith stanęła w rozkroku i oparła się mocno plecami o ścianę. Bez żadnych wstępów Marcus zanurzył się w niej głęboko. Nie objęli się ramionami, nie przemówili ani słowa. Mówiły tylko ich oczy.

Judith miała wrażenie, że wzrok męża ją hipnotyzuje, a jego ciało przejmuje kontrolę nad jej ciałem. Czuła, że zatracą swą osobowość i wolę i poddaje się dominującej sile z zewnątrz, która darzy ją rozkoszą. Marcus wyczuwał to jej poddanie i ogarnęło go zapierające dech uczucie triumfu. Czul, że przekracza wszelkie dzielące ich granice, a Judith staje się nieodłączną częścią jego samego. W tym momencie ujarzmił całkowicie swoją rysicę, przykuł ją do siebie więzami rozkoszy, jaką on tylko mógł jej dać. I zachłystywał się tą pewnością posiadania i doskonałością ich zmysłowej więzi.

Tej nocy zdawał się mieć niewyczerpany zasób energii i inwencji. Wydawał rozkazy, nie uciekając się do słów. Dotykem rąk przekazywał Judith swoje życzenia, ona zaś wypełniała je bez wahania, jakby była we władzy maga. Chwilami miała wrażenie, że spętały ją czary. Ukochany prowadził ją na szczyty rozkoszy, graniczącej z bólem. Raz po raz budził w niej doznania, o których nie miała dotąd pojęcia, i wprowadzając ją w ten nieznaną świat, wnikał sam do najtajniejszych głębi jej duszy.

Wiedział, że czekają ich również takie noce, gdy Judith przejmie inicjatywę, będzie wydawać rozkazy i zaspokajać ich wspólne pragnienia. Teraz jednak on był odkrywcą i przewodnikiem po krainie rozkoszy. Przez te wszystkie godziny niezgłębionej nocnej ciszy, aż po szarawy blask świtu kochali się wszędzie, przenosząc się z podłogi na łóżko, z fotela na szezlong. Judith to znajdowała się pod spodem, to znów na górze. Zapoznała się z odmienną teksturą rozmaitych powierzchni - szorstkością dywanu,

metaliczną osnową brokatu okrywającego szezlong, gładkim atłasem pościeli.

Na koniec Marcus złożył ją na chłodnym, twardym stole z różanego drewna i po raz ostatni wniknął w nią głęboko. Było to zespolenie tak kompletne, że Judith nie umiałyby powiedzieć, gdzie jej ciało się kończy, a jego zaczyna. Głęboką ciszę nocną przerwały ich dzikie okrzyki zaspokojenia.

Judith wyrzuciła ramiona wysoko ponad głowę i wygięła biodra w łuk, zatrzymując ukochanego w sobie w chwili szalonego, pulsującego triumfem orgazmu. Potem słaba jak nowo narodzone źrebie opadła bezwładnie na zimny blat stołu.

Minęło sporo czasu, nim Marcus odzyskał siły na tyle, by przenieść ją - śpiącą czy nieprzytomną - na łóżko. Sam upadł obok niej, sen ogarnął także i jego.

Godzinę później Judith wynurzyła się z czarnej otchłani skrajnego wyczerpania. Leżała w szarawym brzasku, między snem a jawą. Pamięć wracała powoli, radując ją wspomnieniem przeżytych rozkoszy. Przypominała sobie jak przez mgłę, że tej nocy po raz pierwszy Marcus nie wycofał się w ostatniej chwili. Czy była to świadoma decyzja, czy też wśród tych szalonych pieszczot zapomniał po prostu o takich przyziemnych ostrożnościach?

Znowu zapadła w sen.

18

Jak to miło, że nas pani odwiedziła, lady Carrington! - Letitia uśmiechnęła się do gościa ze swego zarzuconego poduszkami szezlonga. - Brat dzisiaj pani nie towarzyszy? - Jej zadowolone spojrzenie spoczęło na córce. Harriet wyglądała urzekająco w sukni z wzorzystego musłinu. Ostatnimi czasy Letitia dużo i z satysfakcją rozmyślała na temat ślubu jedynaczki. Brat markizy Carrington okazywał bardzo wyraźnie upodobane do Harriet, a młodzieniec o takich koneksjach mógł zapewnić żonie wstęp do najwyższych kręgów towarzyskich.

- Nie, dzisiaj się z nim nie widziałam - odparła Judith. - Pomyślałam, że może Harriet wybrałyby się ze mną na przejażdżkę faetonem?

Panienska uśmiechnęła się nieśmiało.

- Oczywiście! Będzie zachwycona - odpowiedziała za córkę Letitia.
- Biegnij na górę, moje dziecko, i się przebierz.

Harriet się zawahała.

- Zdaje się, że lady Barret miała nas odwiedzić dziś po południu, proszę mamy. Obiecała przywieźć te bursztynowe wstążki, które wczoraj zostawiłam niechcący w jej powozie.

- Lady Barret zrozumie i wybaczy twoją nieobecność. No, nie każ czekać pani markizie!

Harriet usłuchała bez dalszych sprzeciwów, a Judith zauważyła:

- Lady Barret poświęca Harriet wiele uwagi. Taka przyjaciółka musi być dla pani ogromną pociechą, lady Moreton!

Letitia westchnęła.

- Moje słabe zdrowie to doprawdy ciężki krzyż! Bogu dzięki, Agnes w swojej dobroci zgodziła się pełnić funkcję przyzwoitki Harriet podczas spotkań towarzyskich.

- Może ja mogłabym ją czasem zastąpić? - zaoferowała się Judith. - Czy Harriet zechciałaby, na przykład, towarzyszyć mi w przyszły czwartek do Almack's na bal dobroczynny?

- Jaka pani dobra! - Letitia zwilżyła wargi koronkową chusteczką, zmoczoną w wodzie lawendowej.

- Ależ skąd! Będziemy zachwyceni, jeśli przed balem Harriet zechce zjeść z nami obiad. Przyślę po nią Sebastiana w mojej karecie.

- Doprawdy, tyle trudu!

- Mój brat będzie zachwycony, mogąc jej asystować - odparła Judith z porozumiewawczym uśmiechem.

W odpowiedzi lady Moreton uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

-Aleś się uwinęła, Harriet! -Judith z wyraźną ulgą powitała powracającą panienkę. - Co za szykowny kapelusz!

Harriet się zarumieniła.

- Pani brat też wspomniał, że mu się podoba.

Judith zachichotała.

- Jeszcze by nie! To kapelusz zdecydowanie w jego guście. - Wstała z krzesła. - Jeśli jesteś już gotowa...

Gdy wyszły przed dom, Harriet spojrzała na powóz o bardzo wysokich kołach z pewnym niepokojem.

- Nic ci nie grozi, zapewniam cię! - Judith wspięła się bez trudu na kozioł i wyciągnęła pomocną dłoń do swej towarzyski. - Daję słowo, że się nie wywrócimy.

- Tego się bynajmniej nie lękam - oświadczyła bohaterko Harriet, ujęła wyciągniętą rękę i zajęła miejsce obok Judith. - Ale strasznie tu wysoko! - Spoglądała z niepokojem na rwące się do biegu gniadosze. Konie podrzucały łbami i brzęk uprząży niósł się daleko w rzeńskim jesiennym powietrzu.

Judith bardzo ostrożnie poprawiała wodze.

- Koniki wypoczęte i rażne! - oznajmiła z pogodną beztróską, której Harriet nie podzielała. - Wczoraj nimi nie jeździłam, więc chcą jak najprędzej odrobić zaległości.

Para gniadych ruszyła galopem. Harriet zbladła i omal nie krzyknęła ze strachu. Judith ściągnęła lejce i konie przeszły w statecznego stępa.

- Tak będzie lepiej - powiedziała, gdy minęły zakręt i wjechały na ruchliwą ulicę. - Dam się im wyszaleć, gdy dotrzemy do parku.

Harriet nic nie odpowiedziała, ale kurczowo zacisnęła leżące na podółku ręce, gdy jakiś rozpędzony powóz omal nie urwał koła faetonu. Potem wpadł koniom pod kopyta chudy kundel z kawałem mięsa w pysku, uciekając przed rozsierdzonym rzeźnikiem. Jeden z gniadych stanął dęba, a Harriet wydała przerażony pisk. Ale Judith z zimną krwią uspokoiła konia i zdążyła jeszcze zerknąć, co się stało z psem.

- Wspaniale! Udało mu się uciec przed rzeźnickim tasakiem! - Roześmiała się i zerknęła z ukosa na Harriet. - Mój Boże! Aż tak się przestraszyłaś? -- Zmartwiła się na widok jej zbielełej twarzy. - Zapewniam cię, że poradzę sobie z tymi końmi w każdej sytuacji! Marcus dał mi ostrą szkołę. Zmusił mnie do wjeżdżania rozbrykanymi końmi przez wąską bramę, zanim uznał, że dam sobie radę z tą parką.

Harriet uśmiechnęła się blade, a Judith zmieniła temat rozmowy.

- Lubisz jeździć wierzchem?

- O tak, zwłaszcza na polowaniu!

W głosie dziewczyny brzmiał szczerzy entuzjazm i Judith odetchnęła z ulgą. Sebastian był zapalonym myśliwym i nie mógłby być szczęśliwy z kimś, kto nie lubił tego sportu.

Wjechały do parku, gdzie roiło się od wytwornych londyńczyków. Judith z niejakim rozbawieniem obserwowała szykowną młodą damę, która nie mogła sobie dać rady z parą karoszy. zaprzęzonych do faetonu. Siedzący obok niej stajenny był wyraźnie zaniepokojony. Nie wszystkie elegantki, które usiłowały zaćmić nieustraszoną lady Carrington. dorównywały jej zręcznością i doświadczeniem. Judith wielokrotnie unosiła bat w geście powitania lub zatrzymywała się, by zamienić kilka słów ze znajomymi

i przedstawić im Harriet. To się panience bardziej podobało i wyraźnie się odprężyła. Opowiadała z całą szczerością o swoim życiu i rodzinie, o tym, co lubi i czego nie znosi. Judith odkryła, że dziewczyna na poczucie humoru i przemiły, melodyjny śmiech.

- To chyba lady Barret daje nam znaki - zauważyła Harriet, gdy po raz drugi objeżdżały park dokoła.

Agnes i Gracemere stali istotnie na ścieżce, uśmiechając się i machając rękoma. Judith zatrzymała się obok nich i odezwała przyjaznym tonem:

- Dzień dobry, lady Barret! Witam, panie hrabio. Jak państwo widzą, postanowiłyśmy z Harriet odetchnąć świeżym powietrzem.

Gracemere uniósł oczy o ciężkich powiekach i spojrzał w uśmiechniętą twarz Judith. Gdy uśmiechnął się również, i to porozumiewawczo, dostrzegła w jego wzroku drapieżny błysk. W odpowiedzi zatrzepotała rzęsami. Uśmiech hrabiego stał się znacznie szerszy.

- Zamierzałam wpaść na Brook Street, Harriet - oznajmiła Agnes Barret odnieść ci twoje wstążki.

- Bardzo pani dziękuję - szepnęła panienka. - Okropna ze mnie gapa, że je zostawiłam!

- O, młodzi ludzie mają masę innych spraw na głowie - wtrącił Gracemere tonem dobrego wujaszka i się roześmiał. Jego śmiech kojarzył się Judith z upiornym chichotem hieny.

- Wie pani co, markizo? Nabieram coraz większej ochoty na przejażdżkę pani faetonem. - Lady Barret postawiła nogę na stopniu powozu. - Taki szykowny! Hrabia przez ten czas z przyjemnością dotrzyma towarzystwa Harriet.

Judith poczuła, że siedząca obok niej panienka sztywnieje. Zauważyła także jej zaciśnięte kurczowo na podołku ręce.

- Nic nie sprawiło by mi większej przyjemności niż jazda z panią, lady Barret, ale przyrzekłam matce Harriet, że wrócę z nią za godzinę. Mam nadzieję, że przy następnej okazji nie ominie mnie ten zaszczyt.

Harriet rozplotła ręce. Agnes Barret uśmiechnęła się sztywno, w jej lodowatym wzroku odmalowała się uraza. Wyraz twarzy Judith nie zmienił się: była nadal uprzedzająco grzeczna.

- Trzymam panią za słowo, lady Carrington. Do miłego zobaczenia, Harriet.

Agnes cofnęła się z ukłonem i położyła rękę na ramieniu Gracemere'a. Ten skłonił się również, a Judith popędziła gniade.

- Nie lubisz hrabiego - zwróciła się bez ogródek do swej towarzyszki.

Harriet wstrząsnęła się mimo woli.

- Uważam, że jest wstrętny! Nie pojmuję, jak taka subtelna kobieta jak lady Barret może się przyjaźnić z kimś podobnym.

I nie tylko przyjaźnić! - pomyślała Judith, ale zatrzymała tę informację dla siebie.

- Istotnie, jest trochę natrętny - powiedziała.

- Ciągłe mnie zagaduje i namawia na spacer. Nie mogę być dla niego nieuprzejma, bo to przecież przyjaciel lady Barret, więc nie bardzo wiem, jak się od niego uwolnić.

- Mhm... - mruknęła Judith i nie dodała nic więcej na ten temat, ale doszła do wniosku, że warto zbadać dokładniej zamiary hrabiego. Gdyby obaj z Sebastianem byli poważnymi rywalami, sprawy pogmatwałyby się jeszcze bardziej. Zapewne ożenek Gracemere'a nie oznaczałby końca jego romansu z Agnes. Oszukiwali sir Thomasa, mogli bez skrupułów oszukiwać młodszą hrabinę.

Judith ponagliła gniade do żwawego kłusa i lawirowała wśród powozów i powozików wszelkiego typu, których było pełno na ulicy. Na widok nadjeżdżającego Marcusa, który powoził swymi siwkami, znów zwolniła do stępa. Przyszedł jej do głowy znakomity pomysł: upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu!

- Harriet, przypomniało mi się coś, co muszę niezwłocznie załatwić. Poproszę mego męża, by odwiózł cię do domu.

- Och, nie! To niepotrzebne. Pojadę z panią! - wydukała Harriet, zatrwożona perspektywą przejażdżki sam na sam z markizem Carringtonem. O czym mogłaby rozmawiać z tym filarem londyńskiej elity?!

- Pewnie uznasz, że straszny z niego nudziarz - skostatowała Judith. - Ale manieri ma bez zarzutu. A twoja mama będzie zadowolona, że markiz Carrington osobiście odwiózł cię do domu

Harriet spojrzała na nią zaskoczona i nagle w jej oczach błysnęło zrozumienie.

- Tak, jestem pewna, że to ją ucieszy - przytaknęła.

Judith uśmiechnęła się, bardzo zadowolona. Harriet okazała się całkiem bystrą!

Marcus zatrzymał konie i dwa powozy stanęły obok siebie.

- Piękne popołudnie, nieprawdaż, moja pani żono? - Powitał ją uśmiechem i wymownym spojrzeniem, po czym zwrócił się % ukłonem do jej towarzyszek: - Dzień dobry, panno Moreton,

Harriet zarumieniła się i odwzajemniła ukłon.

- Z nieba mi spadasz, Marcusie! - oświadczyła Judith. - Przypomniałam sobie właśnie o czymś, co powinnam natychmiast załatwić. Harriet wyndziłaby się okropnie, więc bądź tak dobry i w moim zastępstwie odwieź ją do domu!

W czarnych oczach rozbłysły iskierki śmiechu. Marcus także był nie w ciemię bity. Rzucił cugle swemu forsyowi i wyskoczył z powozu.

- Panno Moreton, proszę pozwolić, że pomogę przy przenosinach.

Rumieńce Harriet stały się jeszcze żywsze, gdy markiz ujął ją w talii i bardzo sprawnie pomógł wysiąść z faetonu, potem zaś podsadził do swego, nie tak podniebnego pojazdu.

Następnie wrócił na chwilę do powozu żony.

- Ty przebiegła szelmo! - szepnął do niej. - Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co knujesz!

Judith uśmiechnęła się niewinnie.

- Ponieważ Sebastian ma tak mało osobistych zalet, niechże nań spadnie splendor rodziny, z którą się skoligacił! - Natychmiast pożałowała tych żartobliwych słów. Było w nich zbyt wiele gorzkiej prawdy.

Jednak Marcus - ku uldze żony - zdawał się nie pamiętać minionej sprzeczki.

- Bezwstydna z ciebie intrygantka, ale z przyjemnością poprę starania Sebastiana. Za to z tobą chyba się pokłócimy!

- O cóż znowu?

- Gdzie stangert, który miał ci towarzyszyć?

Judith się skrzywiła.

- W otwartym powozie stangret to tylko zawada. Nie można przy nim swobodnie rozmawiać!

-Ale jest nieodzowny, i kropka!

Judith westchnęła.

- Znów się odezwał despota!

- I domaga się posłuchu!

Było to niewielkie ustępstwo i nie taka znów niewygoda. Stosunki z Marcusem układały się całkiem nieźle i nie chciała, by popsuły się z powodu takiego głupstwa.

- Doskonale! Jeśli tak ci na tym zależy, nie będę więcej jeździć bez stangreta.

Marcus skinął głową.

-A teraz zabierz ze sobą Henry'ego.

- O, nie! -wykrzyknęła Judith. - To by wszystko popsuło! Bez Henry'eg nie mógłbyś zostawić koni i złożyć wizyty lady Moreton. Całe wrażeń diabli by wzięli!

Marcus roześmiał się mimo woli.

- Zupełnie nie rozumiem, jak dałem się wplątać w twoje intrygi, ale jeśli nie weźmiesz Henry'ego, to masz wracać do domu natychmiast!

Judith skinęła głową na znak zgody, wesoło pomachała do Harriet i ruszyła. Słowo „natychmiast” można różnie interpretować - mówiła sobie w duchu - a poza tym nie złożyłam żadnej słownej obietnicy! Marcus z całą pewnością nie pojawi się w okolicach parku w ciągu najbliższych trzech kwadransów, a takiej okazji do gruntownego zbadania drapieźnych błysków w oku Bernarda Meville'a nie można przecież zmarnować!

Dośćnęła upatrzoną zwierzynę w pobliżu bramy przy Apsley House. Hrabia rozmawiał z grupką przyjaciół, a lady Barret nie było nigdzie na horyzoncie, co znacznie uprościło sprawę.

- Znowu się spotykamy, milordzie! - powitała go wesoło. - Harriet odwieziona do domu. Może teraz namówię pana na przejażdżkę?

- Jestem doprawdy zaszczycony, lady Carrington! Stanę się przedmiotem ogólnej zazdrości!

- Bzdury! - odparła ze śmiechem.

- Wcale nie! - protestował, zajmując miejsce obok niej. - Znakomicie pani powozi. Czy to Carrington tak panią wyszkolił?

- Nie - zaprzeczyła Judith, popędzając konie. Postanowiła kuć żelazo, póki gorące. - Prawdę mówiąc, mąż nie pochwała mego nowego nabytku.

- Rzuciła swemu towarzyszowi porozumiewawcze spojrzenie.

-Ale nie sprzeciwił się definitywnie? - spytał Gracemere.

- Nie. Wie, że zakazami niewiele by zwojował! - Uśmiechnęła się filuternie.

- Zdumiewające, że poszedł na ustępstwa. Powszechnie uważa się, że ma niezłomny charakter.

- Bo ma! - oświadczyła Judith z wyzwaniem w głosie. -Ale to jeszcze nie powód, żebym się miała wyrzekać rozrywek, które mi odpowiadają!

-Ach, tak...

Że też właśnie Marcus Devlin ożenił się z tą rozpuszczoną smarkułą! Tym lepiej dla moich planów, pomyślał hrabia.

- Jednak w sprawie bliższych kontaktów z panem - ciągnęła dalej Judith poufnym szeptem -jest nadal nieugięty. - Dotknęła przelotnie kolana

Gracemere'a. - Uważam, że to kompletny nonsens, ale on uparł się i już.
- Rzuciła znów hrabiemu zalotny uśmiech. - Będziemy więc musieli kontynuować naszą znajomość nie całkiem oficjalnie, że tak powiem. Tak, jak to robimy teraz.

- Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli. - Ledwie mógł powstrzymać się od śmiechu. Ależ łatwo poszło! - Jednak czy nie obawia się pani, że mąż mógłby nas zaskoczyć tu, w parku?

- Nie w tej chwili. Poprosiłam, żeby coś dla mnie załatwił, i zajmie mu to co najmniej godzinę.

- Widzę, że lubisz igrzać z ogniem, Judith. Pozwolisz, żebym ci mówił po imieniu?

- Oczywiście! Ale nie chodzi o żadne igranie z ogniem, tylko o zasadę. Mam prawo przyjaźnić się, z kim tylko zechcę! Jeśli Carrington nie uznaje tego, nie ma rady: muszę kluczyć. - Zerknęła na niego z ukosa z kokieteryjną miną. - Bardzo cię gorsza, Bernardzie, moje poglądy, niegodne cnotliwej żony?

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej oczy. Było to niewątpliwie spojrzenie drapieznika.

- Wręcz przeciwnie, zawsze wolałem niecnotliwe żony. Ciepłe kluski nigdy nie były w moim guście. Jeśli chcesz utrzymywać naszą przyjaźń dla zmanifestowania swej niezależności, czuję się zaszczycony.

Judith rozmyślnie przeciągnęła owo intymne patrzenie sobie w oczy. Potem na jej ustach ukazał się lekki uśmiech.

-A więc doszliśmy do porozumienia! - Wyciągnęła do niego rękę, on zaś mocno ją uściśnął.

- Doszliśmy do porozumienia - potwierdził.

-Ale to będzie nasz sekret!

- Oczywiście - odparł gładko. - Będę milczał jak grób! Przy ludziach zdawkowa uprzejmość, a wszelkie dowody przyjaźni zachowamy na takie okazje jak ta.

- No właśnie! - Judith zdobyła się na kokieteryjny chichot.

Hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem, pobłażliwie.

- Harriet Moreton to bardzo miła panienska - zauważyła po chwili Judith.

- Bardzo miła - potwierdził hrabia. - Wielka szkoda, że z powodu złego stanu zdrowia matki nie może mieć takiego debiutu, na jaki zasługuje.

-Ale lady Barret próbuje wyręczyć przyjaciółkę w tych obowiązkach.

- O tak, Agnes to chodząca dobroć - przytaknął hrabia. - Harriet powinna jej być wdzięczna.

- Słyszałam, że to posażna panienka.

- Doprawdy? Nie miałem o tym pojęcia.

Dziękuję, milordzie! - pomyślała Judith. To obłudne zaprzeczenie wyjaśniło jej wszystko, co chciała wiedzieć. Wkrótce potem odstawiła znów hrabiego pod bramę przy Apsley House i popędziła do domu. Było później, niż sądziła; mało prawdopodobne, by zdążyła wrócić przed Marcusem. Na szczęście zaraz za bramą parku nawinął się jej Sebastian. Judith ściągnęła lejce.

- Musisz mi towarzyszyć na Berkeley Square, braciszku!

- Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz. - Sebastian przyjął tę propozycję nie do odrzucenia ze swoim zwykłym dobrym humorem. - Jest jakiś specjalny powód?

- Muszę zjawić się w domu z odpowiednią eskortą - odparła. - A poza tym chcę coś z tobą omówić.

- Carrington nie życzy sobie, żebyś jeździła bez stangreta? - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Judith się roześmiała.

- Jak się tego domyśliłeś?

-- Przecież to oczywiste! Zbyt mało zwracasz uwagi na konwenanse, Ju.

- Boże święty! Od kiedy się zrobiłeś taki pruderyjny?!

- Nic podobnego - zaprzeczył zaskoczony Sebastian. - A przynajmniej nie sędzę.

- Założę się, że to wpływ Harriet!

-A nawet jeśli tak, to co w tym złego?!

-Nie strosz się od razu! Ona jest bardzo miła. Jeśli ją kochasz, to i ja ją pokocham. O! Doszliśmy do tego, o czym chciałam z tobą pomówić!

-A mianowicie?.

- Mam wrażenie, że Gracemere zabiega o Harriet, a właściwie o jej posag.

Sebastian nagle zamilkł. Gdy się wreszcie odezwał, głos miał niemal obojętny.

- Czemu tak uważasz?

Judith wyjaśniła mu, a on słuchał w milczeniu.

- Ostatecznie poślubił już jedną dziedziczkę; porwał ją sprzed nosa wymarzonego konkurenta. Całkiem możliwe, że spróbuje jeszcze raz - podsumowała. - A poza tym nie wyobrażam sobie, z jakiego innego powodu

Agnes Barret miałyby tak zabiegać o przyjaźń młodziutkiej debutantki. Sytuacja sprzyja jej intrygom: matka Harriet nie może albo nie chce opiekować się należycie córką. Agnes proponuje swą pomoc, zdobywa jej zaufanie. Cóż dziwnego, że zaznajomi Harriet najpierw ze swymi przyjaciółmi lub ze swym kochankiem? Prawdopodobnie podzieliła się fortuną Moretonów.

- Niech to wszyscy diabli! - syknął Sebastian z niezwykłą gwałtownością. - Gdziekolwiek się obróce, wszędzie natrafiam na tego drania!

- Masz wszelkie dane, żeby go pokonać - stwierdziła spokojnie Judith. - A kiedy zniszczysz go ostatecznie podczas gry, runą także inne jego nadzieje.

Sebastian nic na to nie odpowiedział; zęby miał zaciśnięte i wpatrywał się w przestrzeń.

- Harriet nie znosi Gracemere'a.

- Sama ci to powiedziała? - Zaskoczony odwrócił się, by spojrzeć na siostrę.

- Tak, Choć nie zdaje sobie jeszcze sprawy, do czego on zmierza. Ale jeśli nie otrzyma od niej żadnej zachęty, to niewiele zdoła osiągnąć.

- Och, żeby już było po wszystkim! - westchnął Sebastian cicho, ale z ogromnym przejęciem.

Judith nic na to nie odpowiedziała, wiedząc, że brat sam wróci do równowagi. I rzeczywiście, nim dojechali na Berkeley Square, gawędził znów pogodnie, jak gdyby nigdy nic.

Ponieważ Judith nie wzięła ze sobą stangreta, sama odprowadziła konie do stajni. Marcus stał na wybrukowanym kocimi łbami tylnym dziedzińcu, rozmawiając z głównym stajennym, gdy żona zajechała. Podszedł do niej niespiesznym krokiem.

- Musimy kiedyś podyskutować o znaczeniu słowa „natychmiast”. Zda się, że to jedno z bardzo wielu słów, których sens pojmujemy całkiem odmiennie - odezwał się całkiem przyjaznym tonem.

Judith przyjrzała się uważnie jego twarzy, czy nie wyczyta na niej gniewu, ale nic groźnego nie dostrzegła.

- Jak widzisz - zwróciła mu uwagę - miałam eskortę, i to bez zarzutu! Marcus skinął głową.

- Nie przeszkadza ci to, Sebastianie, że siostra tak tobą manipuluje?

- Ogólnie rzecz biorąc, nie - odparł szwagier. - Zdążyłem do tego przywyknąć. A co z tobą?

- Ja ciągle jeszcze się opieram. Musisz mnie nauczyć, jak osiągnąć błogi stan całkowitej akceptacji.

- O, to bardzo proste. Niestety, proces trwa bardzo długo. Coś jak erozja skały.

- Cóż to za okropny zwyczaj mówienia o mnie, jakby wcale mnie tu nie było? - obruszyła się Judith.

- Samaś temu winna, że się ten zwyczaj narodził, rysiczko. To nasza jedyna broń w obliczu twoich machinacji. - Marcus uchwycił ją w pasie i z rozmachem postawił na ziemi. - Wstąpisz do nas, Sebastianie? A może przechwyciła cię po drodze, gdy miałeś całkiem inne plany?

- Zgadłeś! Miałem spotkać się z kilkoma przyjaciółmi w parku. Myślę jednak, że machnęli już na mnie ręką i rozsądniej będzie od razu wrócić, do siebie.

- Jeśli chcesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, braciszku, to ci się nie uda!

Marcus nadal obejmował ją w talii i gdy chciała się odsunąć, ręce same mu się zacisnęły. Uśmiechnęła się lekko. Co też stajenni sobie o nich pomyśla!

- Nigdy nie porywam się z motyką na słońce! - oświadczył z szerokim uśmiechem Sebastian. - Coś mi się zdaje, że w tej chwili nie jestem wam potrzebny, więc się pożegnaj.

- Mam do ciebie pilną sprawę - powiedział Marcus, całkiem już poważnym tonem. Sebastian uniósł brwi, a szwagier kontynuował: - Próbo- wałem cię złapać przez ostatnich pięć dni. Czy dziś wieczorem znajdę cię u White'a albo u Watiera?

- U White'a - odparł bez wahania Sebastian. Gracemere wspomniał, że tego wieczoru będzie tam grał w faraona.

Marcus wyczuwał jakieś fluidy krążące w powietrzu między bratem a siostrą. Zauważył już wcześniej te momenty szczególnego napięcia, kiedy zdawali się prowadzić w milczeniu jakiś dialog, niemający nic wspólnego z tym, o czym mówiło się głośno.

- A więc tam cię znajdę - zakończył.

- Zaintrygowałaś mnie! - powiedziała Judith. - Cóż to za sprawa z Sebastianem, która domaga się załatwienia?

- Nie twój interes, moja pani!

- Doprawdy? - W jej złotych oczach coś zamigotało.

Sebastian roześmiał się i opuścił dziedziniec. Sprawy między siostrą a szwagrem układały się ostatnio chyba trochę lepiej.

- Do domu! - rozkazał Marcus. - Musimy odbyć tę dyskusję o semantyce.

- Doskonale! - ucieszyła się Judith. - To powinno być interesujące!

- Też tak sędzę. Szybciej!

Judith potulnie się podporządkowała.

- Jakie zrobiła na tobie wrażenie lady Moreton?

- Hipochondryczka, ogólnie rzecz biorąc. A poza tym snobka i okropna nudziara. Musimy kontynuować tę znajomość?

- Musimy.

- Wyczuwam determinację w twoim głosie.

- Przyznasz, że Harriet jest prześliczna, ma nienaganne maniery i będzie idealną żoną dla Sebastiana!

- Zgadzam się w dwóch pierwszych punktach, choć jest nieśmiała jak myszka, ale co do trzeciego... uważam, że całkiem niedobrana z nich para.

- Sebastian wie, czego chce - oznajmiła Judith ze spokojną pewnością siebie. -A czego chce, to zdobywa.

- Całkiem jak jego siostra - zauważył Marcus, ale Judith nie wyczuła w jego tonie kąśliwości.

19

N Nie rozumiem, czemu ta głupia smarkula trzyma się tak na dystans!
- Gracemere krążył niespokojnie po salonie oświetlonym blaskiem ognia.

- Jest nieśmiała, Bernardzie. - Agnes nalała mu herbaty. --I bardzo młodziutka!

- Martha była taka sama, a nie miałem z nią trudności! Po dwóch tygodniach jadła mi z ręki!

Agnes powstrzymała się od przypomnienia hrabiemu, że był wtedy znacznie młodszy.

- Martha przeżywała chwilę buntu i była wyjątkowo podatna na uwiedzenie - odparła. - Carrington, władczy i obojętny, zniweczył w niej poczucie własnej wartości. Za kilka komplementów każdemu by oddała serce!

- Cóż za pochlebna dla mnie uwaga - zauważył z lodowatą ironią Gracemere.

- Tylko mi się nie zżymaj, Bernardzie! Wiesz doskonale, że to prawda. Harriet nie rozprostowała jeszcze skrzydełek. To jej pierwszy sezon!

- Podniosła się z kanapy i podała mu filiżankę. - Ale, ale! Zauważyłeś, że Judith weszła w komitywę z tą małą? A Sebastian jej nie odstępuje!

Gracemere zaśmiał się szyderczo.

- Ten żółtodziób?! Ma znacznie więcej forsy niż rozumu!

- Na razie, póki go nie oskubałeś.

Agnes odwróciła się znów do zastawionej tacy.

- Czasem aż mi się przykrzy: to takie dziecinnie łatwe - uzalił się hrabia, popijając herbatę.

Lady Barret podniosła na niego wzrok.

- Nie wybrzydzaj, najdroższy! Czemu miałbyś trudzić się bardziej niż to konieczne?

Roześmiał się i posłał jej całusa w dowód uznania.

- Doceniam twój punkt widzenia! Ale wracając do tej małej. Postaraj się, żeby przebywała częściej w moim towarzystwie.

- Nie wiem, czy to by wiele dało. Jeśli smarkuła robi słodkie oczy do Sebastiana, a Judith opowie się wyraźnie po ich stronie, czekają nas kłopoty.

Bezbarwne oczy Gracemere'a stwardniały.

- Jeśli nie ulegnie perswazji, są inne sposoby.

Agnes zacisnęła wargi.

- Porwanie?

- W razie potrzeby. Wystarczy jedna noc w tamtym zajeździe w Hampstead. Nieważne, czy dziewczyna sama będzie tego chciała czy nie. Z jej reputacji zostaną tylko strzępy.

- Jakież niesprawiedliwe są reguły wielkiego świata! - mruknęła Agnes z uśmiechem. - Jeśli niewiniątko zostanie zgwałcone, nie nadaje się już do przyzwoitego towarzystwa! - Zbliżyła się do Gracemere'a. Miała płynne, wężowe ruchy.

- Ale jeśli uwodziciel postąpi honorowo, małżeństwo zmyje hańbę - odparł z obleśnym i okrutnym uśmiechem.

Agnes znalazła się w jego ramionach. Jej oddech był przyspieszony, wargi rozchylone, oczy błyszczały podnieceniem. Ucałował ją zachłannie, zwracając znów uwagę na to, jak perspektywa wyrządzenia komuś krzywdy roznamiętnia Agnes. Było to jedno z ogniw wiążącego ich łańcucha.

- Małżeństwo dla uratowania honoru będzie kosztować jej rodzinę trzydzieści tysięcy funtów! - wyszeptła z ustami przy ustach kochanka.

- Biedne dziecko! Prawie mi jej żal. Będziesz dla niej dobry?

- Bywam dobry jedynie dla ciebie. Tym szczególnym rodzajem dobroci, który tak ci się podoba - odparł Gracemere, gryząc ją w usta i boleśnie zaciskając palce na jej piersi.

Agnes zadrżała i jęknęła, tuląc się do niego. Ból, jak zawsze, wprowadził ją w podniecenie.

Hrabia uśmiechnął się na widok jej reakcji. Życie roztaczało przed nim doprawdy urocze perspektywy: żona Carringtona łąsiła się jak szczenię, a młody Davenport sam się prosił, by oskubać go do gołogo!

- Dobrze się czujesz, Judith? - Sally spojrzała z niepokojem na swą szwagierkę, która wydawała się dziwnie apatyczna i pozbawiona zwykłego blasku.

Judith miała ból głowy i pobolevało ją w dole brzucha. Zaczęło się to w chwili, gdy przybyły na wieczór muzyczny do Heronów. Nie musiała nawet zaglądać do damskiej toalety, by upewnić się o tym, co i tak już wiedziała. Ta dzika i cudowna noc miłosna nie będzie mieć żadnych konsekwencji. Sama nie wiedziała, czy ją to cieszy, czy martwi.

- To ta najgorsza pora miesiąca - zwierzyła się. - A wieczór jest wyjątkowo nudny! - Istotnie, do jego atrakcji należały: występ nie najlepszej harfiarki, skąpa kolacja i szampan pośledniego gatunku. - Przejdźmy do pokoju karcianego! - zaproponowała Judith, odsuwając prawie nietknięty talerz.

- W małym saloniku jest stół do gry w lotto - powiedziała Isobel. - Mogłybyśmy się tam przyłączyć.

Judith nie była zachwycona tym pomysłem.

- Nie, zagrajmy lepiej w basetę. Stawki nie będą zbyt wysokie. Tłumaczyłam wam, co można wywnioskować z kolejności kart, więc macie jakąś laską broń do walki ze ślepy m trafem!

- Nie czuję się dziś wystarczająco bystra, by się pokusić na basetę - wyznała Sally. - Prawdę mówiąc, nie potrafiłabym zagrać przyzwoicie bez porządnego przygotowania!

- Mnie tam by nie pomogły żadne przygotowania - oświadczyła Cornelia. - Opowiadam się za lotto!

- Ale to przecież salonowe lotto, niemal loteryjka dla dzieci! - stwierdziła Judith z niesmakiem. - Cóż to za wyzwanie?!

- Oto słowa rasowego gracza, lady Carrington - rozległ się za plecami Judith cichy głos Agnes Barret.

Najwyższym wysiłkiem woli markiza powstrzymała się od okazania swej niechęci i niepokoju.

- Dobry wieczór, lady Barret. Dopiero co pani przybyła? W takim razie ominął panią występ harfiarki. - Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Słyszałam, że grała wspaniale.

- Niestety, zupełnie się nie znam na muzyce - odparła Judith.

- Ale za to na kartach! Każdemu, kto grywa u Amelii Dolby, nie brak ani zamiłowania, ani umiejętności, chyba że przygnała go tam pałaca potrzeba - dodała i zmrzywszy oczy, czekała na reakcję rozmówczynie.

Judith skłoniła lekko głowę.

- Pani z pewnością lepiej się w tym orientuje.

Lady Barret uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mężowie bywają tacy nieznośni, jeśli chodzi o pieniądze, nieprawdaż? - Wpatrywała się przez dłuższą chwilę w Judith, po czym odeszła bez słowa.

- Wielkie nieba! - odezwała się Isobel, biorąc ptyś z tacy podsuwanej przez lokaja. - Czyżbyś była w stanie wojny z lady Barret, Judith?

- W stanie wojny? Skądże znowu! Co ci przyszło do głowy?

- Sama nie wiem. Ale w powietrzu pełno było elektryczności! Prawda? - zwróciła się do swych towarzyszek, pakując z błogim uśmiechem śmietankowy przysmak do ust.

Cornelia zmarszczyła czoło.

- Rzeczywiście, kiedy stanęła tak blisko ciebie, Judith, było coś w niej, a może w tobie? Doprawdy, nie potrafię tego sprecyzować! - Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. - W każdym razie mam ochotę zagrać w lotto. Może to oznacza brak ambicji... ale po prostu sprawia mi przyjemność. I nie mam nic przeciw temu, by wygrać parę groszy.

- Ja też! - oświadczyła Isobel, przywołując skinieniem głowy lokaja noszącego ciasteczka. - Uważam, że gra o duże stawki jest bardzo ekscytująca, ale kosztuje mnie tyle nerwów. Chyba zdecyduję się na jedno z tych.

- Wybrała torcik truskawkowy. - Te ciastka są przepyszne! Czemu nie skosztujesz jednego z nich, Judith?

- Kurczę w galarecie zupełnie mi odebrało apetyt - odparła przyjaciółka.
- A poza tym, nie jestem taką wielbicielką słodczy jak ty.
- To okropna wada - przyznała Isobel z bolesciwą miną. - Jestem pewna, że niebawem będę strasznie gruba!

Sally się roześmiała.

- Będziesz, Isobel, niezrównaną matroną, pulchną i troszeczkę leniwą, ale o wielkim sercu i szczodroblewości. Nie ruszając się z kanapy, otoczysz opieką każdą przybłądę i bezdomne zwierzę, jakie stanie na twojej drodze!

Judith się uśmiechnęła. Była to całkiem trafna przepowiednia. Wielkoduszność Isobel dorównywała jej łakomstwu.

- Doskonale, wszystkie zagramy w lotto - zgodziła się. - Mam ból głowy i ból brzucha, w sam raz nadaję się do dziecinnych gier!

Prawdę mówiąc, stokroć by wolała znaleźć się w domu z książką i szklanką gorącego mleka z odrobiną koniaku. Przyszedłby Marcus i na wieść, że o kochaniu się nie ma mowy, przysiadłby po prostu na jej łóżku, pogawędził z nią. Czy ucieszy go, że nie będą mieli dziecka?

Judith zdobyła się na uśmiech i poszła razem z przyjaciółkami do salonu, gdzie ustawiono stół do gry w lotto.

Zegar w zadymionym pokoju wybił północ. Marcus dopił swój gin z wodą i wstał, gotów opuścić Daffy Club.

- Już zmykasz? - spytał Peter Wellby, wpatrując się w dym ze swej fajki, który szybował w stronę osmalonego sklepienia.

- Muszę spotkać się z moim szwagrem - wyjaśnił mu Marcus. - Powiedział, że będzie dziś wieczorem u White'a.

- Porządny chłopak z tego Davenporta - zauważył Peter, podnosząc się także. - Możemy pójść razem? - Peter ujął laskę i spojrzął obojętnie na kubek po ginie. - Mam dość tego paskudztwa na jeden wieczór.

- Przydałby się kieliszek dobrego porto - przyznał Marcus.

Kiedy jego szwagier wkraczał do klubu, Sebastian grał w faraona. Szczęście ustawicznie mu dopisywało, ale jego niefrasobliwy humor sprawiało, że przeciwników nie kłuły w oczy piętrzące się przed nim pieniądze i rewersy.

Bank trzymał Gracemere. Podniósł wzrok na markiza, gdy ten podchodził do stołu. Przez chwilę ich oczy spotkały się i hrabia znów poczuł

dreszcz trwogi, jak tamtego dawno minionego ranka, gdy Carrington przyłapał go z Martha. W błędnych oczach Gracemere'a błysnęła nienawiść. Odpowiedziała mu lodowata pogarda, zanim markiz zwrócił wzrok na szwagra.

- Mam do ciebie słówko, Sebastianie, jak skończycie.

- Jasne! - Sebastian niedbałym ruchem położył kilka rulonów pieniędzy obok wybranej karty. - I tak bym się zaraz wycofał, zanim szczęście się nie odwróci!

Gracemere zdjął górną kartę ze stosiku przed nim i odłożył waleta kier na prawo.

- W każdym razie ja już kończę na dziś - oświadczył z westchnieniem wicehrabia Middleton, popychając w stronę banku pieniądze, które położył koło swego waleta kier.

Gracemere odkrył drugą kartę - króla pik - i położył ją na lewo od talii. Rozległ się jęk zazdrości, ale niepołączonej z nienawiścią: Davenport znowu wygrał!

- Nie unoście się tak, jutro fortuna całkiem o mnie zapomni. Ta dama zmienną jest! - roześmiał się Sebastian.

Gracemere podsunął mu grabkami trzy rulony po pięćdziesiąt gwinei.

- Nie możesz odejść w takim momencie, Davenport! Szczęście stoi zdecydowanie u twego boku!

Było w głosie Gracemere'a coś, co natychmiast zwróciło uwagę zwycięzcy: podniecenie, którego hrabia nie potrafił ukryć. Sebastian spojrział na niego przez stół i dostrzegł błysk wyczekiwania w bezbarwnych oczach. Gracemere spodziewał się wygrać następnym razem! Sebastian wzruszył ramionami i usiadł ponownie, obserwując hrabiego. Położono przed nim nową talię kart.

- Stawiajcie, panowie! - zachęcił. I uśmiechnął się do wszystkich siedzących wokół stołu.

Sebastian postawił dwa rulony na to, że siódemka trefl nie wyjdzie jako pierwsza. Inni poczynili też swoje zakłady.

Gracemere odwrócił pierwszą kartę i położył naprawo od talii. Siódemka trefl. Sebastian bez słowa przesunął pieniądze w stronę banku. Hrabia uśmiechnął się, ale jego oczy napotkały chłodne spojrzenie młodzieńca.

- Twój pech z pewnością długo nie potrwa. Spróbuj jeszcze raz! - zachęcił Gracemere, przesuwając językiem po wargach.

Sebastian pokręcił głową.

- Nie dziś, milordzie. Szczęście odwróciło się ode mnie. Jestem na twoje usługi, Carrington!

Przeszedł za Marcusem w stronę foteli przy kominku. Gracemere podrzucił siódmkę trefl! Sebastian spodziewał się czegoś takiego, choć nie miał pojęcia, jak hrabiemu to się udało. Znał większość szulerskich sztuczek, ale tej akurat nie, choć domyślił się, że Gracemere coś knuje. Do tej pory Bernard Melville grał czysto, a sto gwinei nie było zawrotną sumą... czemu więc zdecydował się w tak ryzykowny sposób pomóc losowi? Może był to rodzaj treningu, podobnie jak ćwiczenia, które oboje z Judith powtarzali od czasu do czasu? A może nie mógł znieść myśli, że jego przeciwnik zszedłby z pola jako triumfator?

Sebastian wiedział już, że obrona przez niego strategia poskutkowała, i Gracemere wybrał go na następną ofiarę. Judith tymczasem umacniała swoją przyjaźń z hrabią, by jej obecność przy jego boku podczas karcianej rozgrywki nie wywołała niczyjego zdziwienia. Jeśli jednak ich wróg tak szybko posunął się do oszustwa, będą musieli nieco zmienić taktykę. Oszusta można pokonać tylko oszukańczymi sztuczkami, oni zaś nie mogli sobie pozwolić na zbyt wczesne wprowadzenie do gry niezawodnego duetu. Cóż, trzeba będzie pogodzić się z przegranymi, zwiększyć limit dopuszczalnych strat. Podjąwszy tę decyzję, Sebastian przestał zaprzętać sobie głowę Gracemere'em i sięgając po stojące obok porto, uśmiechnął się do swego szwagra.

- A więc, cóż to za sprawa, Marcusie, która domaga się załatwienia? Zaintrygowałeś mnie, słowo daję!

- Chodzi o niebagatelny dług - odparł markiz, biorąc do ręki podawany mu kieliszek. - Dzięki! Ile zapłaciłeś za konie Judith?

- Niewiele ponad cztery setki - odparł lekkim tonem Sebastian. - Prawdziwa okazja!

- Nie przeczę. - Marcus usadowił się w fotelu z narożnikami i skrzyżował nogi w oliwkowych pantalonach. - A stelmach ile sobie zażyczył?

- Chyba dwieście pięćdziesiąt. ~ Sebastian skosztował wina. - Sprawili się znakomicie, nie żal i tego grosza.

- Też tak sądzę - zapewnił go pospiesznie Marcus. - Wystawię weksel na mój bank, na sześćset pięćdziesiąt gwinei, jeśli ci to odpowiada.

Sebastian zakrztusił się portwajnem.

-A to z jakiej racji?!

- Występowałeś jako agent swojej siostry przy tym zakupie?

- No pewnie, ale... O! - W tym momencie go olśniło. - Myślisz, że wyłożyłem za nią te pieniądze? Nie, nie! Zapewniam cię, Carrington, Judith sama zapłaciła za wszystko, co do grosza. Ja ją tylko zastąpiłem przy kupnie.

- Judith? - Marcus wyprostował się raptownie. - Nie próbuj mnie nabierać, Sebastianie! Twoja siostra nie mogła sobie pozwolić na taki wydatek. Wiem najlepiej, ile wynosi jej kwartalna pensja, i sprawdzam wszystkie jej rachunki. Odstawił kieliszek na stół.

- Zgodziłem się, by zatrzymała powóz i konie. Rozumiesz więc, że nie pozwolę, byś ponosił koszty, które ja winienem pokryć!

Sebastian medytował nad swoim portem. Zabrnął, psiakrew, w ślepy zaułek! Zupełnie mu wyleciało z głowy, że Marcus nie miał pojęcia o finansowej niezależności Judith. Ale tak czy owak, nie mógł brać od szwagra pieniędzy, których nie wyłożył! Po chwili odezwał się:

- Widać coś się pogmatwało w twoich rachunkach, Carrington. Zapewniam cię, że Judith zapłaciła za wszystko z własnej kieszeni. - I dodał z miłym uśmiechem: - Ona potrafi czynić cuda, powiadam ci. Najmniejsza sumka starcza jej na Bóg wie jak długo!

-Ale skąd mogłaby wziąć... ? - Pytanie zamarło na wargach Marcusa. Jak mógł być aż taki naiwny? Taki ślepy?! Kiedy ograniczył jej wydatki, wróciła do dawnych sztuczek! -A więc Judith nadal grywa ostro w karty?

- Obojętny głos nie zdradzał furii, która w nim kipiała.

Sebastian przyjrzał się bacznie szwagrowi. Ściągnięte rysy, biała obwódka wokół ust, twardy błysk czarnych oczu powiedziały mu wszystko.

- Nie możesz oczekiwać od Judith, że pogodzi się z takim uzależnieniem - powiedział szczerze, nie próbując już oszukiwać Marcusa. - Kiedy obcięłaś jej wydatki, musiała sama wystarać się o pieniądze.

Marcus zignorował jego słowa. Spytał, panując nadal nad głosem:

- Orientujesz się może, ile ona przeciętnie wygrywa w karty?

Sebastian ssał dolną wargę.

- Wszystko zależy od tego, gdzie grywa i jak bardzo potrzebuje gotówki. Ale ogólnie rzecz biorąc, jednego wieczoru, jeśli stawki są duże, może spokojnie wygrać tysiąc, nie zwracając większej uwagi. Na Pickering Street, rzecz jasna, znacznie więcej.

Marcus miał wrażenie, że głowa zaraz mu pęknie.

-A więc odwiedza i tę jaskinię gry? Musi czuć się tam jak u siebie w domu!

Sebastian się wzdrygnął.

- Ju nie jest taka jak inne kobiety, Carrington. Ma swoją dumę, może nawet ma jej za dużo. - Pokręcił głową, szukając właściwych słów. - Jeśli spróbujesz narzucić jej swoją wolę, stawi ci opór! Nigdy nie była finansowo zależna. Od nikogo. Gdybyś miał do niej zaufanie, że utrzyma wydatki w rozsądnych granicach, nie byłoby całej sprawy.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za te uwagi. - Marcus wstał. - Tak się jednak składa, że nie pozwolę roztrwonić mojej fortuny awanturnicy, która rości sobie do niej prawa! Wybacz, ale muszę niezwłocznie pomówić z twoją siostrą. Wygląda na to, że nie wyraziłem się dość jasno w tej materii. Muszę naprawić ten błąd.

Z ciężkim sercem Sebastian spoglądał za odchodzącym szwagrem. Krucho struktura małżeństwa jego siostry runie lada chwila; był o tym przekonany. Czas pokaże, czy uda się ją kiedyś odbudować. Teraz jednak musi być gotów, by wesprzeć Judith. Niebawem będzie z pewnością potrzebowała jego pomocy.

Wychylił jeszcze jeden kieliszek porto i udał się do domu, by oczekiwać na dalszy rozwój wypadków.

20

Marcus szedł szybkim krokiem przez St. James w stronę Curzon Street. Noc była ciemna, ale nie widziałyby nic wokół siebie, choćby świecił księżyc w pełni. W jego mózgu kłębiły się gniew, rozczarowanie i żal po utracie głupiej nadziei, iż zbudowane na piasku małżeństwo może zyskać trwałą fundament. Gotów był wyzbyć się podejrzeń, pozwolić, by jego gorące uczucia do Judith zatriumfowały nad wątpliwościami. I co z tego pozostało? Gorzki smak popiołu na języku. Spodziewała się po małżeństwie z nim jedynie korzyści materialnych. A gdy nie zaspokoił wszystkich jej zachcianek, nie pomyślała ani przez chwilę o jego pozycji ani o swojej, tylko wróciła bezwstydnie do swej oszukańczej profesji! Nie zamierzała wziąć na siebie powinności związanych ze swą nową sytuacją, choć chętnie czerpała z niej korzyści. Wykorzystywała go od samego początku!

Na rogu Duke Street i Piccadilly powstało zamieszanie i gromkie hałas dotarły nawet do świadomości zatopionego w myślach markiza. Grupa

złotych młodzieńców, mniej więcej w wieku Charliego, potężnie się zataczając, kroczyła ramię w ramię, wymachując butelkami burgunda. Jeden z wesołków wypalił w niebo z pistoletu skałkowego. Ich hałaśliwa wesołość sprawiła, że z bocznej ulicy wynurzył się strażnik miejski i unosząc w górę latarkę, oświetlił rozpasaną bandę. Popełnił błąd. Z dzikim wrzaskiem, jak przy polowaniu na lisa, zaatakowali go, radzi z okazji do przywalenia stróżowi porządku.

To wystarczyło, by gniew Marcusa wybuchnął z całą siłą. Wywijając skutecznie łaską, przedarł się do powalonego na ziemię strażnika. Jeden z młodych zabijaków zamachnął się pustą butelką na ponuraka, który chciał im zepsuć zabawę. Wówczas palce markiza zacisnęły się boleśnie na jego przegubie. Butelka wypadła napastnikowi z ręki i roztrzaskała się na bruku. Pod przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu zawiadała cofnął się i wraz ze swymi towarzyszami zwiali czym prędzej.

Strażnik podniósł się z ziemi, odnalazł latarkę i poprawił ubranie. Wymamrotał coś nieprzychylnego na temat młodych chuliganów, których, wrzaski i pohukiwania dolatywały teraz ze znacznej odległości.

- Łotry! - stwierdził z niesmakiem Marcus, strząsając okruchy szkła z wysokich, lśniących butów. - Zbyt wiele pieniędzy i żadnych obowiązków! Czasem żałuję, że wojna się skończyła. Kilka lat ciężkiej żołnierskiej służby dobrze by im zrobiło!

Strażnik miejski potakiwał, ale czuł się jakoś nieswojo. Jego wybawca o niepokojącym spojrzeniu wydał mu się równie groźny jak banda napastników, których rozgromił swą łaską. Stróż porządku wymamrotał więc po*:
dziękowanie i ruszył dalej, wywijając latarkę.

Ten epizod nie ugasił płomiennego gniewu Marcusa. Gotując się wewnętrznie, wszedł do rezydencji Heronów przy Curzon Street. Wszystkie okna były jasno oświetlone, a w głównym holu powitał go gwar rozmów i dźwięki muzyki tanecznej. Poleciwszy majordomowi, by powóz lady Carrington natychmiast zjechał, Marcus ruszył schodami na górę,

Pani domu wyszła mu naprzeciw, cała w uśmiechach, i Carrington zmusił się do okazania jej należytej uprzejmości. Dla Amandy Heron było wszakże jasne, że myśli wielce czcigodnego markiza błędzą gdzieś daleko, a sądząc z wyrazu jego oczu, nie były to przyjemne myśli. Odetchnęła z ulgą, gdy po kilku zdawkowych frazesach udał się do karcianego pokoju. Po drodze zajrzał do salonu, gdzie zwinięto dywany i kilka par tańczyło przy dźwiękach fortepianu.

Judith nie tańczyła. Nie było jej też w głównym salonie. Być może uznała stawki za zbyt niskie, pomyślał gniewnie i skrzył do następnego, mniejszego salonu.

Stanąwszy na progu, od razu usłyszał wesoły głos żony:

- Wstydź się, Sally! Jak mogłaś to przegapić?

- Robi się późno - tłumaczyła się Sally. - A ja nie potrafię się tak skoncentrować jak ty, Judith!

Umiejętność nieodzowna przy tej oszukańczej maskaradzie! Marcus stał przez chwilę w cieniu ciężkiej kotary. Dziesięć osób w wyśmienitym humorze otaczało stół do gry w lotto. Grano w salonową, daleką od hazardu odmianę tej gry: przegrywający płacił szylinga. Mimo to przed Judith piętrzył się okazały stosik srebrnych monet; siedzący naprzeciwko mężczyzna podsunął jej kolejną wygraną.

- Lady Carrington, znów jest pani górą!

- Doprawdy zdumiewające - mruknął Marcus, podchodząc do stołu.

Na dźwięk głosu męża Judith ucieszyła się, a kiedy stanął za nią, odwróciła się do niego z uśmiechem. Rozwiął się on natychmiast, gdy ujrzała wyraz twarzy Marcusa. Przejął ją dreszcz niepokoju.

- Carrington! Nie spodziewałam się ciebie!

- Czy nie jest to zbyt nudna gra dla ciebie, moja droga? - spytał, wskazując na karty i stosik szylingów. Jego głos ociekał sarkazmem, w oczach płonął ledwie powstrzymany gniew.

Na policzkach Judith zakwitły mocne rumieńce. Zauważyła też pewne skrępowanie pozostałych graczy i zdumione spojrzenia rzucane na lorda Carringtona.

- Zawsze lubiłam gry towarzyskie - powiedziała, usiłując rozładować niezrozumiałe napięcie. - Wszyscy doskonale się bawiliśmy, nieprawdaż? - zwróciła się niemal błagalnie do pozostałych.

- Cudownie! - przytaknęła od razu Isobel, zbierając karty i uśmiechając się serdecznie do Judith. - Przyłączy się pan do nas, milordzie?

Pokręcił głową i odezwał się niemal opryskliwie:

- Przyszedłem po żonę. Jak tylko się pożegna, wychodzimy.

Judith podporządkowała się, chcąc zakończyć tę żenującą scenę. W głowie jej pulsowało, gdy odsunęła się od stołu i wzięła swój woreczek.

- Zapomniałaś o wygranej - podsunął jej znacząco mąż.

- Niech wróci do puli. - Judith przesunęła stosik błyszczących monet na środek stołu. Życząc całemu towarzystwu dobrej nocy, starała się

uśmiechać, jakby nic nie zaszło. Czuła jednak, że wargi jej zdrętwiały i czytała w oczach innych skrępowanie i przestrasz.

- Rozumiem, że to wygrana niewarta twego zachodu - mruknął jej Marcus do ucha, ujmując ją za ramię.

Judith zeszywniała i uwolniłaby się, gdyby nie trzymał jej tak mocno. Szła z uśmiechem przyklejonym do ust, wymieniała pożegnalne ukłony jak marionetka i pozwoliła w rekordowym tempie wyprowadzić się z rezydencji Heronów do powozu, który już na nich czekał.

- O co chodzi, Marcusie? - Spozstrzegła, że głos jej się trzęsie, i usiłowała sobie wmówić, że to nie ze strachu, tylko ze złości. Postawił ją w takiej krępującej sytuacji!

- Tutaj nie będziemy o tym dyskutować - oświadczył z lodowatą nieustępliwością.

- Ale ja żądam.

- Nie masz prawa do żadnych żądań!

Powiedział to tak surowo i stanowczo, że Judith zamilkła na dobre. Skuliła się w kącie powozu, rozpaczliwie starając się uporządkować myśli, odkryć przyczynę tego, co się wydarzyło i co się jeszcze wydarzy. Musiało zajść coś strasznego. Ale co?

Powóz dotarł na Berkeley Square. Stangret opuścił schodki. Marcus wyskoczył i pomógł żonie przy wysiadaniu. W milczeniu weszli do domu, a nocny odźwierny zamknął i zaryglował drzwi, życząc jaśnie państwu dobrej nocy.

Ręka Marcusa zacisnęła się na ramieniu Judith, gdy skierowała się w stronę schodów.

- Porozmawiamy w moim gabinecie.

Na dole nie było służby, nikt nie mógł zauważyć scysji między nimi. Judith uświadomiła sobie to i odsunęła się od męża. Był to pierwszy odruch niezależności, na jaki się zdobyła od chwili, gdy rozpoczął się ten koszmarny. Ruszyła przodem w stronę niewielkiego pokoju, położonego na tyłach domu.

- Może powiesz mi wreszcie, o co chodzi? - Ręce jej drżały, gdy ściągała swe długie jedwabne rękawiczki, palec po palcu, ale głos miała znów - opanowany.

Otoczyła ich głęboka cisza uspiętego domu i przez chwilę Marcus nie odpowiadał. Odrzucił na stół laskę i rękawiczki i nalał sobie kieliszek koniaku, usiłując powściągnąć gniew. Kiedy się odezwał, przemówił dość spokojnie.

- Przyznaję, że byłem wyjątkowo naiwny. Bóg raczy wiedzieć, czemu zakładałem, że gdy osiągnęłaś swój cel, wychodząc za mnie za męża, nie będziesz uprawiać nadal swej niechlubnej profesji.

A więc o to chodziło! Wargi Judith były zupełnie białe, gdy powiedziała:

- Kiedy dałeś mi wyraźnie do zrozumienia, że nie masz ochoty regulować moich rachunków, uznałam, że muszę sama je płacić. Nawiasem mówiąc, wolę taką sytuację. Nie chcę być zależna od czyjejsz szkodliwości i jej kaprysów, milordzie.

- Nigdy nie mówiłem, że nie chcę pokrywać twoich wydatków. Postanowiłem jednak jako twój mąż roztoczyć nad nimi kontrolę. Moja fortuna nie jest na to, byś szastała pieniędzmi bez żadnych ograniczeń, aczkolwiek tak ci się początkowo wydawało.

Lodowate, poniżające słowa. Judith czuła, że kurczy się pod ciężarem jego pogardy. Usiłowała zachować dumę i świadomość, że to Marcus jest w błędzie.

- Nigdy nie zamierzałam szastać twoimi pieniędzmi bez ograniczeń. Sądziłam tylko, że jako twoja żona zachowam przynajmniej pozory swobodnego korzystania z nich. Zamiast tego znalazłam się w sytuacji ubogiej krewnej lub dziecka, które musi błagać o pieniądze na drobne wydatki.

- I w odwecie za to, by uzupełnić zbyt nędzną twoim zdaniem pensję, ograbiłaś moich przyjaciół?

- Nikogo nie ograbiłam! Wygrywałam te pieniądze po prostu dlatego, że lepiej gram w karty!

- Wygrywałeś, bo jesteś profesjonalną hazardzistką, zwykłą awanturnicą i nigdy nie będziesz nikim innym! - stwierdził z goryczą. - Myślałem Boże, zlituj się! Myślałem, że znajdzie się w naszym małżeństwie coś trwałego i realnego. Ale realne jest tylko jedno: twoja umiejętność manipulowania ludźmi. Wykorzystasz każdego, kto ci się napatoczy!

- Nie! - szepnęła. Skurcze w brzuchu się nasiliły. Przytknęła ręce do rozpalonych policzków. - Nie, to wcale nie tak!

- Czyżby? - Jego uniesione brwi przypominały czarne pytajniki na pociemniałej twarzy. - Powiedz, kiedy doszłaś do wniosku, że najkorzystniej będzie obdarzyć właśnie mnie twą bezcenną cnotą? W chwili naszego poznania? A może później, o wiele później, na drodze do Quatre Bras?

- Co ty wygadujesz? - Oczy Judith, ogromne i pełne bólu, wpatrywały się w jego twarz, podobną do maski. - Nic z tego nie rozumiem!

-A więc pozwól, że cię oświecę, moja przewrotna i dziwnie niepojętna żono!

Odsunął się od niej raptownie, zwisające po bokach ręce zacisnął w pięści; próbował się opanować. Pragnął zranić Judith tak, jak ona zraniła jego, ale wiedział, jak gwałtowny może być wybuch, gdy utraci kontrolę nad sobą.

- Kiedy cnotliwa panna straci dziewictwo z kimś niepozabawionym zasad, uzyskuje nad nim pewną władzę. Z jakim trudem musiałaś, moja droga, powściągać swój temperament, nim zjawił się ktoś, kto mógł za ten twój skarb ofiarować najwięcej! Nie miał pojęcia, biedak, ile mu przyjdzie zapłacić! Przekonany, że ma do czynienia z doświadczoną awanturnicą, odkrył - gdy było już za późno - że to dziewczica!

Judith zrobiło się niedobrze. Całe jej ciało się sprężyło. Coś podobnego nawet jej nie przyszło do głowy! Marcus przez cały czas był przekonany, że oszukała go z rozmysłem, kusiła jak ostatnia ulicznica, by w końcu złapać w małżeńską pułapkę.

- Nie - szepnęła ledwie dosłyszalnie. - To nieprawda! Ani przez chwilę nie myślałam o żadnych pułapkach, gdy byłam z tobą. Myślałam tylko o tobie. Z pewnością pamiętasz, jak wtedy było... jak jest do dziś! - odwoływała się żarliwie do łączącej ich namiętności. - Jak możesz przypuszczać, że udawałam to wszystko? Nikt nie mógłby tego udawać! - Łzy ją dławily, ale z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od płaczu.

Marcus zbył jej słowa szorstkim machnięciem ręki.

- Jesteś znakomitą aktorką- powiedział. - Zbyt często oglądałem twoje popisy, by ci teraz uwierzyć. A w dodatku miałaś szczęście, że Francis i tamci dwaj zjawili się w samą porę. To przypieczętowało sprawę, nieprawdaż?

- Nie - wyszeptwała znowu. - Wcale tak nie było! - Ale serce ciążyło jej jak ołów, pełne bólu i zdumienia. I nagle straciła resztę sił i wolę walki. Zwiesiła głowę, ostatecznie pokonana.

- Słuchaj mnie teraz uważnie ~ kontynuował Marcus. Mówił powoli i z naciskiem; dodawało to wagi jego słowom i pomagało mu utrzymać gniew na wodzy. - Ponieważ jesteś moją żoną, na dobre i na złe, zaczniesz się zachowywać, jak przystoi mojej żonie. Nie można ci ufać, więc sam zajmę się korygowaniem twoich błędów. Od tej pory będziesz grała w towarzystwie wyłącznie w wista i salonowe lotto. Będę cię nieustannie miał na oku. - Zaczął wyliczać na palcach. - Nie przyjmiesz żadnego zaproszenia bez mojej wyraźnej zgody; do pokoju karcianego będziesz wchodzić

wyłącznie w moim towarzystwie; a jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na grze w co innego niż wist i to nieszkodliwe lotto, zmuszę cię do natychmiastowego wyjścia, bez względu na skandal, jaki to spowoduje. Rozumiesz?

- O, tak - odparła cicho Judith. Zamierzał zmienić ich małżeństwo w więzienie i zostać jej strażnikiem.

- Poza tym, zanim cokolwiek kupisz, musisz uzyskać moją aprobatę. Muszę wiedzieć, co chcesz nabyć, do czego ci to potrzebne, ile będzie kosztować. Potem podejmę decyzję, czy możesz to kupić czy nie. Już nigdy nie wystrychniesz mnie na dudka, Judith!

Wypowiedział te słowa posępnym głosem i odwrócił się od niej. Podszedł do wysokiego francuskiego okna i rozsunawszy zasłony, zapatrzył się w bezgwiazdne niebo. Usłyszał ciche stuknięcie drzwi i zrozumiał, że Judith opuściła pokój. Zdawał sobie sprawę z szorstkości swego tonu, z okrucieństwa podjętych decyzji i z głębi rozpacz, jaka kryła się pod tą lodowatą furją. I w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek żałował, że spotkał tę kobietę. Odtąd ich wzajemne kontakty przysporzą im tylko cierpienie. Gotów był ją pokochać, ale okazało się, że kochał jedynie złudę.

Znów nalał sobie koniaku i wypił jednym haustem złocisty trunek. Potem udał się na górę, do swej sypialni. Zaspany Cheveley zerwał się z fotela przy kominku.

- Mam nadzieję, że wasza lordowska mość spędził przyjemny wieczór.

- Nie pamiętam gorszego - stwierdził ze znużeniem Marcus.

Lokaj nie odezwał się więcej; poświęcił się bez reszty rytuałowi przygotowania jego lordowskiej mości do snu.

W sąsiednim pokoju Judith siedziała na łóżku i czekała. Zaraz po powrocie odesłała Millie i zamknęła za nią drzwi, także te wewnętrzne, między sypialniami. Teraz musiała tylko poczekać na odejście Cheveleya.

Siedziała zgięta wzdłuż, wyczerpana kobiecym niedomaganiem i atakiem rozpacz. Nie widziała żadnej przyszłości dla swego małżeństwa. Takiego życia, jakie zaplanował dla nich Marcus, nie zniosłoby żadne z nich.

Smuga światła pod wewnętrznymi drzwiami zniknęła: Marcus zgasił świecę przy łóżku. Judith wstała, prostując z trudem obolałe ciało. Zdjęta suknię wieczorową i włożyła amazonkę. Stąpając bezszelestnie po pokoju, otwierała ostrożnie szuflady i szafy. Do niewielkiej torby podróżnej zapakowała szczotki do włosów i szczoteczkę do zębów, koszulę nocną i zmianę ubrania. Na razie musi jej to wystarczyć, resztę sobie dokupi.

Wiedziała tylko jedno: nie zostanie ani godziny dłużej pod tym samym dachem co Marcus! To nagłe opuszczenie mężowskiego domu zniweczy ich plany w stosunku do Gracemere'a, ale nie miała wyboru. Sebastian ją zrozumie i razem wymyślą coś innego. Nigdy jeszcze nie czuła się tak osamotniona i zagubiona. Nie mogła pozostać z Marcusem, więc czemu opuszczenie go było aż tak bolesne?

Ostrożnie obróciła klucz w zamku i wymknęła się z pokoju. Na słabo oświetlonym korytarzu przystanąła, nadsłuchując. Nic, tylko zwykłe szmery uśpionego domu. Po cichu, zgięta z bólu zeszała na dół. O wyjściu frontowymi drzwiami nie było mowy, udała się więc do gabinetu męża.

Otworzyła francuskie okno i wyszła przez nie do ogrodu. Furtka w murze zaprowadziła ją do stajni. Słyszała, jak konie poruszają się i prychają, gdy przemykała się w cieniu pod ścianą. Stajenni zbudzą się dopiero za godzinę. Judith miała wrażenie, że jest jedyną osobą w Londynie, która o tej porze nie śpi. Przyszło jej do głowy, że niezbyt bezpieczny jest taki samotny spacer ulicami miasta przed świtem. Jej ręka zacisnęła się na pistolecie.

Dotarła jednak na Albermarie Street w niespełna dziesięć minut i nie spotkała po drodze nikogo. Mieszkanie Sebastiana znajdowało się na parterze, stanęła więc na palcach i zastukała w okno. Gdyby użyła kołatkı przy drzwiach, gospodarz domu usłyszałby z pewnością i trudno byłoby mu wyjaśnić wizytę o tak wczesnej porze. Uniosła rękę, by ponownie zastukać w okno, gdy drzwi frontowe się otwarły.

- Wejdz, Ju - szepnął Sebastian.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - Wśliznęła się do ciemnego korytarzyka.

- Coś mi mówiło, że to ty - odparł, biorąc jej torbę i gestem zapraszając siostrę do saloniku.

- Nie zbudziłam cię?

- Nie, nie! Czekałem na ciebie. - Postawił torbę na ziemi i przyjrzał się bacznie Judith. - Fatalnie wyglądasz! Koniaku?

- Poproszę. - Zrzuciła płaszcz i ściągnęła rękawiczki. - Dziękuję!

Z kieliszkiem w ręku podeszła do kominka, na którym ogień dogasał, ale dawał jeszcze trochę ciepła. Brat wziął ze stojącego obok kosza parę szczapkę i rzucił je na żarzące się węgielki. Rozległ się syk i buchnął płomień, Sebastian wyprostował się i popatrzył z troską na siostrę. Popijała koniak, bezwiednie masując brzuch, gdy ognisty płyn rozgrzał boleśnie zaciśnięte mięśnie.

- Boli?- spytał.

-A jakże! Tylko tego mi brakowało! - Uśmiechnęła się blade.

- No więc, jak się zachował Carrington?
- Skąd wiesz? A, to ty mu powiedziałaś?
- Chciał mi zwrócić pieniądze za twój powóz i konie. Powiedziałem, że sama za wszystko zapłaciłaś. Reszty się domyślił. Nie jest głupi, Ju.
- Nigdy go nie uważałam za głupca - odparła.

Ze smutkiem zrelacjonowała całą scenę w gabinecie Marcusa, nie pomijając żadnych szczegółów. Sebastian wysłuchiwał jej w ponurym milczeniu. Doszedł do wniosku, że jego szwagier okazał tyle subtelności, co stado rozchukanych słoń.

- No i dokąd chcesz się teraz udać? - spytał, gdy zamilkła.
- Chyba do jakiegoś małego hoteliku.
- W Londynie?
- Tak, ale w niezbyt eleganckiej dzielnicy. Gdzieś, gdzie nie natknę się na nikogo ze znajomych.
- Kensington? Bloomsbury?
- I to, i to będzie w sam raz. Słuchaj, braciszku, wiem, że to całkiem pokrzyżowało nasze plany, ale...
- Niekoniecznie - pocieszył ją Sebastian. - Na pewno coś wymyślimy. Ale w tej chwili musisz przede wszystkim pomyśleć o sobie. Rano znajdziemy dla ciebie jakieś lokum. - Odstawił swój kieliszek. - Połóż się w sypialni. Ja prześpię się na kanapie.

- Nie, nie! Całkiem wygodnie będzie mi tutaj!
- Nie marudź, Ju! - Wziął znów jej torbę podróżną. - Boli cię brzuch, a poza tym ze mną nie musisz odgrywać bohaterki. Prześpisz się w łóżku, a ja zupełnie dobrze umoszczę się na kanapie. Sypialiśmy w znacznie gorszych warunkach.

Judith rzuciła mu smutny, przepraszający uśmiech.

- Wybacz! Jakoś nie potrafię dziś rozumować logicznie.

Uśmiechnął się również i pocałował ją w policzek.

- Trudno się temu dziwić.

Judith przeszła za nim do sypialni.

- Możliwe, że Marcus zastuka do twoich drzwi.
- Bardzo prawdopodobne - przytaknął brat z cierpkim uśmiechem. - Nie może przecież udawać, że w ogóle nie istniałaś.
- Nie, choć z pewnością bardzo by tego chciał.

Sebastian pokręcił głową.

- Przyznaję, że w tej chwili nie najlepiej to się przedstawia, ale rozłąka czasem wiele zmienia.

- Nie mogę do niego wrócić! - oświadczyła, odwijając kołdrę.
- No tak - powiedział neutralnym tonem. - Chyba nie. - Wziął ją za obie ręce. - Jesteś całkiem wykończona, kochanie. Nie martw się, coś wymyślimy.
- Pewnie, że tak! Zawsze nam się to udawało - przytaknęła, ale nie była tego całkowicie pewna. Uniosła się na palcach, by go ucałować. - Dzięki, braciszku!
- Śpij dobrze!
- Judith położyła się do łóżka i mimo dręczącego ją bólu i niepewności zapadła natychmiast w głęboki sen, będący skutkiem całkowitego, fizycznego i psychicznego wyczerpania.

21

Marcus spał niespokojnie i obudził się w fatalnym nastroju. Leżał, w wielkim łóżku, rozważając ponure perspektywy swego małżeństwa. Po wczorajszej konfrontacji, po wszystkim, co sobie z Judith powiedzieli, nie widział możliwości innych stosunków niż lodowate zawieszenie broni. Wiedział, że zawsze będzie podejrzewał żonę o jakieś ukryte motywy, o chęć wykorzystania go za pomocą nieczystych metod. Nigdy już nie zdoła uwierzyć w szczerą jej reakcję, jej uczucie, nawet w łóżku. Będzie obserwował ją bezustannie. Kontrolował ją na każdym kroku. A to w połączeniu ze stanowczym oporem Judith stworzy diabelski krąg wzajemnej nieufności.

Zwłóknął się z łóżka o ponurym świetle i podszedł po cichu do drzwi łączących ich sypialnię. Były zamknięte. Nie zdziwiło go to, ale rozgniewało. Liczył na to, że od tej pory całe jej życie będzie pod jego kontrolą. O każdej porze. Nie pozwoli, by się przed nim zamykała!

Wyszedł na korytarz i stanął pod drzwiami jej sypialni. Otworzyły się bez trudu, ale pokój był pusty. Stał przez chwilę, nie wierząc własnym oczom. Zasłane łóżko, na którym nikt nie spał, powyciągane szuflady, które ktoś przetrząsał w pośpiechu. Otwarta szafa. Ogołocoła ze szczotek toaletka. Judith odeszła. W pierwszej chwili wydało mu się to bezsensownym żartem. Do jego umysłu nie docierało, że Judith go opuściła. Potem

uczepił się najbardziej trywialnego aspektu sprawy: co ludzie o tym powiedzą? Nietrudno to było przewidzieć. Znowu ogarnął go gniew. Jak śmiała go postawić w takim położeniu?! A on -jak ma wyjaśnić nocną ucieczkę żony służbie? Jak wytłumaczy jej nagłe zniknięcie reszcie świata? Takiego tchórzostwa nigdy by się po Judith nie spodziewał! Z wściekłością otworzył drzwi wewnętrzne, wpadł do swojej sypialni i zadzwonił na Cheveleya.

- Pani markiza wyjechała na wieś - rzucił zwięźle, gdy lokaj się zjawił.
- Otrzymała wiadomość o chorobie ciotki i musiała udać się do niej niezwłocznie. Powiadom o tym Millie, dobrze?

-Tak jest, milordzie.

Cheveley był zbyt dobrze wyszkolony w ukrywaniu uczuć, by okazać choćby przelotne zdziwienie na tę niesłychaną wieść. Pomógł jego lordowskiej mości włożyć ubranie i cierpliwie stał w pogotowiu z całym naręczem świeżutkich chustek na szyję - na wypadek, gdyby pierwsza próba zawiązania jej jak należy się nie powiodła. Markizowi jednak tego ranka nie zależało widać na doskonałości, gdyż w niespełna pięć minut uporał się z tym zadaniem. Wsunął do kieszeni porcelanową tabakierkę i zszedł na dół, do pokoju śniadaniowego, rzuciwszy po drodze majordomowi:

- Gregson, każ zaprzęgać do mojej kariolki!

Majordomus tylko się skłonił.

Wkraczając do pokoju śniadaniowego, markiz trzasnął drzwiami. Nalał sobie kawy, nabrał jajecznicy i siadł przy stole. Popijał kawę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w miejsce naprzeciw niego. Nietknięta jajecznica stygła. Z wolna z chaosu przepełniających go uczuć wyłonił się jakiś ład. Trzeba oczywiście odnaleźć Judith i sprowadzić ją z powrotem do domu. Pomimo wszystko była nadal jego żoną - nawet jeśli to im nie odpowiadało. Przebiegła intrygantka czy nie, była jego żoną. A kiedy ją znajdzie, na Boga...

Nagłym ruchem odsunął krzesło od stołu i podszedł do okna. Ranek był jasny, siwy szron błyszczał na trawie. Tak, diabli go brali na Judith, że postawiła go w głupiej sytuacji. Tak, musiała wrócić, bo rozpętałyby się nieprawdopodobny skandal. Ale Marcus czuł coś więcej niż gniew, gdy stał w drzwiach jej pustego pokoju... pokoju, z którego uciekło życie. W całym domu odczuwało się jej brak. Z trudem zmusił się do przeanalizowania własnych uczuć. Silniejsza od gniewu była obawa, że ją utraci.

Zaczął krążyć po pokoju, starając się uściślić, co to znaczy. Czyżby jej kręactwa nie miały już znaczenia? Czy zgodziłby się na wykorzystywanie

siebie, gdyby to było warunkiem jej powrotu? A może po prostu gotów był odstąpić od swych gróźb, jeśli Judith zaproponuje jakiś rozsądny kompromis? Czy mogli zacząć jeszcze raz, od nowa? I co tak bardzo obawiał się utracić: nadzieję na prawdziwą miłość czy dobrze mu znaną rozkosz?

Słyszał śmiech Judith, jej przekorny, zmysłowy śmiech. Czuł ją w swych ramionach. Delikatny zapach lawendy na jej skórze. Lśniaca, miedziano-ruda główka, ogromne złotobrazowe oczy. Ale to nie było wszystko. Zależało mu na samej Judith - z jej porywczym charakterem, ciętym językiem, rozkosznym poczuciem humoru. Judith broniącej dziko swej niezależności. Kobiety, która nie załamywała się w obliczu przeciwności, nie wahała się nieść pomocy na krwawym pobojuwisku, która chciała sama decydować o sobie.

Tę kobietę chciał koniecznie zmusić do uległości. Skwitował własną głupotę sardonicznym uśmiechem. Ale kimkolwiek była, jakakolwiek by była, Judith należała do niego. I wyglądało na to, że -jakimś przewrotnym zrzędzeniem losu - była właśnie tym, czego pragnął. A jeśli tak, to powinien był korygować jej wady z większą subtelnością niż dotąd. A z tym, czego nie da się zmienić, pogodzić się, i już!

Najpierw jednak musi ją odnaleźć. Pierwszy krok wydawał się oczywisty. Gdyby zawiódł, trzeba się będzie zastanowić, co dalej.

Gregson oznajmił, że kariolka jego lordowskiej mości czeka.

- Dziękuję. Lady Carrington wyjechała na wieś do chorej ciotki.

- Tak jest, milordzie. Dowiedziałem się już o tym od Cheveleya. Czy wiadomo, kiedy jej lordowska mość powróci?

- Kiedy ciotka wyzdrowieje, to jasne! - warknął Marcus, wkładając płaszcz sportowy z wieloma pelerynkami, który podawał mu Gregson.

Pojechał na Albemarle Street. Była jedenasta, powinien zastać jeszcze Sebastiana w domu. Miał rację - w pewnym sensie. Szwagier siedział właśnie przy śniadaniu, wróciwszy z bardzo wczesnej porannej wyprawy do Kensington.

- Witaj, Marcusie! - Sebastian wstał na widok markiza. - Dotrzymasz, mi towarzystwa? - Wskazał na zastawiony stół.

- Dziękuję, jadłem już śniadanie. Gdzie ona jest, Sebastianie?

- Od razu pomyślałem, że zjawiasz się w tej sprawie. - Sebastian usiadł z powrotem. - Pozwolisz, że będę kontynuował?

Marcus trzepnął się pejcem po wysokich butach.

- Nie mam całego dnia na rozmówki, Sebastianie. Gdzie ona jest?

- No cóż, jest pewien problem - mruknął gospodarz, biorąc do ręki kufel piwa. - Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Oczywiście była u ciebie?

- Oczywiście.

Sebastian pociągnął piwa.

Marcus rozejrzył się po pokoju. Gdyby Judith znajdowała się gdzieś w pobliżu, wyczułby to instynktownie. Wiedział, że jego żony nie mają już w kawalerskim mieszkaniu brata.

- Jeśli wolno mi zauważyć, nie okazałeś zbyt wielkiej subtelności w tej sprawie - stwierdził Sebastian, nabijając na widelec smażoną nereczkę.

- Gotów jestem to przyznać - odparł Marcus. - Ale sprowokowała mnie do tego.

Sebastian zmarszczył czoło. Rozważał sprawę od paru godzin, od chwili gdy siostra zasnęła. Nie pisał jej o tym ani słowa, ale doszedł do wniosku, że pewna ingerencja z jego strony wyszłaby jej na dobre. I jemu też, prawdę mówiąc. Bez jej pomocy nie mógł zniszczyć Gracemere'a, a póki z nim nie skończy, nie było mowy o oświadczeniu się Harriet. Sebastian długo zmagał się z sobą, nim doszedł do przekonania, że to, co zamierza uczynić, będzie równie korzystne dla Judith i dla niego.

- Gdybyś od samego początku nie wyciągał zbyt pochopnie wniosków, nie doszłoby do żadnej prowokacji ze strony Judith - powiedział z rozmysłem.

- Może zechcesz mi to wyjaśnić? - Marcus usiadł, nadal uderzając pejczem po bucie. Utkwił oczy pełne napięcia w twarzy szwagra.

- Ju nie miała pojęcia, kto był w oberży na dole, po tym jak ty i ona...

- Nie dokończył zdania i machnął wymownie ręką.

Marcus nagle znieruchomiał.

- Przecież sama przyznała!

- Czyżby? Jesteś tego pewien? - Sebastian smarował grzanekę masłem, nie patrząc na swego gościa.

Marcus się zastanowił. Spytał ją o to na stryszku, w dzień bitwy pod Waterloo. Rzeczywiście, nic nie odpowiedziała. Ale nie zaprzeczyła!

- Jeśli to nie była prawda, czemu nie protestowała?!

- Od razu widać, że nie znasz jeszcze Ju ani jej ekscentrycznych zasad!

- oświadczył jej Sebastian. - Była oburzona posądzeniem o taką podłą sztuczkę i uznała, że zaprzeczanie nie ma sensu.

- Chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie miesiące mogła uspokoić mnie jednym słówkiem i nie zrobiła tego?!

Sebastian skinął głową. Sprawa była nieco bardziej skomplikowana, ale nie umiałby wyjaśnić Marcusowi, że Judith nie dostrzega większej różnicy między oszustwem z premedytacją, o co ją niesłusznie oskarżał, a swoją istotnie oportunistyczną postawą. Brat jednak uważał, że różnica jest zasadnicza. Powiedział więc tylko:

- Nie powinieneś być podejrzawać jej o takie rzeczy.

Marcus przymknął oczy w przypływie irytacji. Ale za chwilę rozpoznał się: tak pozbył się brzemienia wiecznej nieufności!

- Takie podejrzenie samo się nasuwało, biorąc pod uwagę wasz poprzedni tryb życia - zauważył po chwili.

- Bardzo przepraszam! - zaproponował Sebastian. - Od samego początku wyciągałeś co do Ju fałszywe wnioski! - Spojrzył z ukosa na szwagra.

- W tamtej drugiej sprawie też. To raczej delikatna materia, ale nie miałeś podstaw do...

- W porządku! - przerwał mu Marcus, czerwieniąc się mocno. - Nie musisz mówić dalej. Wiem, do czego pijesz. Gdyby nie ta cholerna duma twojej siostry, można by uniknąć tego wszystkiego! - Znów trzepnął się pejcem po bucie. - Ale nie zamierzam brać na siebie całej winy, Sebastianie!

- I masz rację - przytaknął szwagier, podnosząc do ust kufel. Pociągnął z niego zdrowo. - Co chcesz zrobić, gdy znajdziesz Ju?

- Skręcę jej kark i utopię w Serpentine! - odparł bez namysłu Marcus.

Sebastian roześmiał się i pokręcił głową.

- To mogłoby utrudnić wam pojednanie.

Marcus zerwał się z miejsca.

- Do wszystkich diabłów, Sebastianie! Gdzie ona jest?

Szwagier znów pokręcił głową.

- Niestety, nie mogę ci pomóc.

- Ale wiesz, gdzie jest?

Sebastian przytaknął.

- Ale dałem słowo, że nie powiem.

Marcus przyjrzał mu się, mrużąc oczy i uderzając dla odmiany srebrną rączką pejcza o dłoń.

- Przypuszczam, że będziesz się z nią dziś widział.

- Tak. - W oczach Sebastiana było zrozumienie i przyzwolenie.

Marcus skinął głową i podszedł do drzwi.

- Dzięki, Sebastianie!

Drzwi zamknęły się za gościem. Sebastian przysunął znów krzesło do stołu i wyciągnął długie nożyska. Judith miałaby mu pewnie za złe wtrącanie się, ale on czuł, że odwalił kawał dobrej roboty. Był prawie pewien, że uczucia siostry do męża są o wiele głębsze, niż chciała przyznać. A Marcus także, mimo swych władczych póz, czuł do żony znacznie więcej miłości, niż okazywał.

Zakochany zakochanego od razu pozna! - pomyślał Sebastian z zadowoleniem. Nie będzie spieszył się z wizytą u Judith: da szwagrowi dość czasu na przysłanie szpiega.

Marcus zajechał kariolką od razu do stajni.

- Timkins, gdzie jest Tom?

Główny stajenny pochwycił rzucone mu lejce.

- W schowku z uprzężą, milordzie. Mam go zawołać?

- Bądź tak dobry.

W chwilę później wyrostek, mniej więcej czternastoletni, przybiegł pędem, wycierając ręce o skórzany fartuch.

- Wołał mnie pan, milordzie?

- Tak, mam dla ciebie zadanie. - Marcus przekazał chłopcu instrukcje. Ten wysłuchał w milczeniu, kiwając od czasu do czasu głową na znak, że rozumie. - Czy wszystko jasne, Tom? Z pewnością spodziewa się, że ktoś go będzie śledził, i nie będzie ci utrudniać zadania, ale nie chcę, żebyś się za bardzo rzucał w oczy.

- Bez obawy, milordzie! Jak trza, może mnie całkiem nie być. - Wyrostek uśmiechnął się niefrasobliwie. - Potrafię tak obrobić gościowi kieszenie, że ani się obejrzy!

- Nie wątpię, że potrafisz - zgodził się Marcus. - Ale mam nadzieję, że oprzesz się pokusie.

Tom był już doświadczonym złodziejaszkiem, gdy przed dwoma laty podczas meczu bokserskiego okradł Carringtona. Miał wielkie szczęście, że akurat na niego trafił. Markiz nie zauważył braku zegarka, ale inny spozstrzegawczy widz podniósł wrzask: „Łapać złodzieja!” Strach w oczach schwytanego dziecka zrobił na Marcusie ogromne wrażenie. Ujrzał nagle to małe ciało zwisające z szubienicy w Newgate i mimo protestów żadnych krwi obywateli wziął chłopca pod opiekę. Powierzył go pieczy głównego stajennego, przykazując, by mocną ręką oduczyl go złodziejskich sztuczek i zagonił do uczciwej roboty. Od tej pory Tom był najwierniejszym sługą markiza. Okazało się też, że nie brak mu inteligencji, nadawał się więc w sam raz do powierzonego mu zadania.

Poszukiwania się zaczęły i Marcus mógł już tylko czekać. Wrócił więc do swego gabinetu, zastanawiając się, ile każde z nich - Judith i on - ponosi winy za nieporozumienie, które przysporzyło im tyle bólu. Oboje przyczynili się do tego, ale z ręką na sercu Marcus musiał przyznać, że to on pierwszy rzucił kamieniem.

Przed dobrze utrzymanym domem na Cambridge Gardens w North Kensington zatrzymał się powóz. Wsiadły z niego trzy damy, rozglądając się ciekawie po nieznanym otoczeniu. Kensington było całkiem szacowną dzielnicą, ale wyszło z mody i nikt z wielkiego świata tam nie bywał.

- Cóż za dziwne miejsce wybrała sobie Judith! - zauważyła Isobel.

- Nie dziwniejsze niż decyzja, którą podjęła! - potwierdziła jeszcze bardziej znacząco Cornelia.

- Masz tu wrócić za godzinę - poinstruowała stangreta Sally, po czym podeszła do kołatki na pomalowanych na niebiesko drzwiach.

- To wcale nie wygląda na hotel - stwierdziła Isobel. Jej doświadczenia w tym względzie ograniczały się do hoteli tej klasy co Brown's Hotel lub Grillon's.

Drzwi hoteliku otwarły się jednak szybko, a pokojówka zapewniła panie, że jest to istotnie Cunningham's Hotel, a sama pani Cunningham zaraz się zjawi.

Pani Cunningham była szacowną niewiastą w nieco wyświeconej sukni. Niezwykle ciepło powitała w swoim hotelu trzy niewątpliwe przedstawicielki najwyższych sfer.

- Chcemy się zobaczyć z lady... - Cornelia urwała, bo Sally kopnęła ją dyskretnie w kostkę.

- ... panią Devlin - dokończyła pospiesznie Sally. - Słyszałyśmy, że zatrzymała się tutaj.

Judith w swoim liściku, doręczonym Sally przez Sebastiana, uprzedziła przyjaciółki, że zatrzymała się w Cunningham's Hotel pod rodzowym nazwiskiem męża, nie korzystając z jego tytułu.

- O, tak! - Pani Cunningham uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Zajmuje najlepszy apartament w tylnej części budynku; wygodny i cichy, jak sobie życzyła, z widokiem na ogród. Dora panie zaprowadzi, a ja każę zaraz podać herbatę.

Udały się za pokojówką na górę, a następnie korytarzem dotarły do podwójnych drzwi apartamentu. Judith siedziała koło okna, pochylona nad szachownicą. Na widok przyjaciółek zerwała się z okrzykiem radości.

- Jak to miło z waszej strony, że przyszłyście! Czułam się strasznie samotna i zaczęłam już roztkliwiać się nad sobą.

- To przecież oczywiste, że czym prędzej przyjechałyśmy - odparła Sally, rozglądając się po saloniku. Był dość przyjemny, ale nie mógł się oczywiście równać z żółtym salonem na Berkeley Square. - Co ty tu robisz, Judith? Twój liścik niczego nam nie wyjaśnił a Sebastian nabrał wody w usta.

- Przeważnie rozmyślam - odparła Judith. - Jak dotąd nie wymyśliłam nic rozsądnego ani pocieszającego - dodała.

- Ale co się stało? - Cornelia usadowiła się na kanapie. - Skąd się wzięłaś w takim miejscu?

- To całkiem przyjemne miejsce - powiedziała Judith. - Mam dużą sypialnię, no i ten salonik, a pani Cunningham bardzo dba o swoich gości.

- W porządku, ale dlaczego tu jesteś? - Isobel przerwała tę całkiem niepotrzebną obronę hotelu.

Judith westchnęła.

- Strasznie się pokłóciliśmy z Marcusem. Musiałam gdzieś uciec, żeby w spokoju wszystko sobie przemyśleć.

- Opuściłaś męża?! - Nawet Cornelia była wstrząśnięta. - Tak po prostu wyszłaś z domu i przeniosłaś się tutaj?!

- Ujęłaś to w dwóch słowach. Widzicie, Marcus zabronił mi grać w karty i zapowiedział, że będzie kontrolował każdy grosz z moich wydatków. - Obracając w palcach figury szachowe, Judith powiedziała im tyle, ile mogła, nie zdradzając tego, co zaszło w Belgii. - A ponieważ w żadnym wypadku nie pogodzę się z jego decyzją-zakończyła-a Marcus uparł się, że muszę mu być posłuszna, co innego mogłam zrobić?

Isobel pokręciła głową i powiedziała z wahaniem:

- Wydaje mi się, że trochę przesadziłaś. Wszyscy mężowie domagają się posłuszeństwa. Trzeba po prostu jakoś obchodzić ich rozkazy i zakazy.

Pokojówka przyniosła herbatę.

- Pani Cunningham pyta, czy panie wolą chleb z masłem czy ciasto?

- Ciasto! - odpowiedziała automatycznie Isobel.

Judith zachichotała i poczuła się troszkę lepiej. Przez cały dzień walczyła z ogarniającymi ją falami przygnębienia. Dręczyło ją też poczucie winy

na myśl o tym, że nieopatrznie zrujnowała plany, które opracowali oboje z bratem. A jednak nie usłyszała od Sebastiana żadnych wyrzutów!

- Ale co właściwie masz zamiar zrobić, Judith? - spytała Sally, która przez dłuższy czas siedziała bez słowa, rozważając sytuację.

- Nie wiem - przyznała szczerze Judith.

- Nie możesz po prostu zniknąć! Jak Marcus by to wytłumaczył? - nie ustawała Sally. - Rodzina... - Urwała i bezradnie wzruszyła ramionami. Znacznie lepiej niż Judith zdawała sobie sprawę z potęgi i wysokiej pozycji Devlinów. Ostatecznie należała do nich od pięciu lat! Sama myśl o narażeniu na szwank ich reputacji, o wywołaniu ich gniewu, przyprawiała ją o dreszcz trwogi.

- Może po prostu umrę i będzie po kłopotcie - powiedziała Judith.

Z niewiadomego powodu przysłała jej na myśl matka, która zmarła w jakimś francuskim klasztorze, prawie nie pozostawiając po sobie śladu, jeśli nie liczyć dwojga dzieci.

- Judith! - zaprotestowała Cornelia. - Nie mów takich rzeczy!

- O, nie mam na myśli prawdziwej śmierci - wyjaśniła. - Po prostu zniknę, a Marcus rozpuści wieść, że zmarłam na tyfus albo spadłam z konia czy coś w tym rodzaju.

- Oszalałaś! - orzekła Sally. - Jeśli sądzisz, że rodzina Devlinów pozwoli ci tak się z tego wymigać, to nic o nich nie wiesz!

Judith przez chwilę gryzła wargę. Dręczyła ją myśl, że Sally chyba ma rację.

- Nie potrafię teraz jasno myśleć - powiedziała w końcu. - Zastanowię się nad tym później, Opowiedzcie mi najświeższe ploteczki! Czuję się taka odcięta od świata.

- Krąży wspaniała anegdotka na temat Hester Stanning - powiedziała Isobel. - Słyszałam ją od Godfreya Chaunceta - mówiła dalej cichym, poufnym tonem.

Judith słuchała jej opowieści jednym uchem. Umysł jej zaprzątnięty był ważniejszym problemem: jak w nowych warunkach zdoła utrzymać się w kręgu zainteresowania Gracemere'a. Może Sebastian urządzi prywatne spotkanie przy kartach, a ona się na nim nieoczekiwanie zjawi?

- Nie uważasz, że to zabawne, Judith?

- O! Tak, tak... bardzo zabawne - ocknęła się raptownie.

- Wcale nie słuchałaś! - rzuciła oskarżycielskim tonem Isobel, spoglądając na czekoladowe ciasto, które przyniosła Dora. - Kto wie, może się odważyć na drugi kawałek? Bardzo smaczne.

Judith odkroiła dla niej następną porcję.

- Naprawdę słuchałam - zapewniła.

- Czy podczas kłótni z Carringtonem całkiem tracisz panowanie nad sobą? - spytała Cornelia tonem osoby zafascynowanej niezwyklej zjawiskiem.

To pytanie wywołało falę nagłej tęsknoty, tak silnej, że Judith na chwilę zamilkła. Zatonęła we wspomnieniach gwałtownych kłótni, które przerażają się w równie gwałtowne wybuchy namiętności.

- Tak - przyznała. - Jestem okropnie porywczą, Marcus też.

- Wielkie nieba! - westchnęła Cornelia. - Zupełnie sobie nie wyobrażam Forsythe'a w nagłym gniewie! Ciekawam, czy udałoby mi się sprowokować go do tego? Może to by nam urozmaiciło życie?

Judith nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Jesteś na to zbyt spokojna i zrównoważona, Cornelio, Zresztą, od razu wzięłabyś stronę swojego męża, bo zawsze oceniasz sprawę z każdego punktu widzenia.

Po wyjściu gości Judith spędziła resztę popołudnia w posępnej zadumie. Cornelia, Sally i Isobel nie rozumiały jej postępowania. Będą stały przy niej murem, dotrzymywały towarzystwa, na pewno nie zdradzą jej sekretu... ale nie miały zielonego pojęcia, co ją popchnęło do tak desperackiego kroku. Nigdy nie zakosztowały wolności - tej niełatwej wolności osób spoza wielkiego świata - więc nigdy nie przyszłoby im do głowy równie drastyczne rozwiązanie. Nie straciły przez to w oczach Judith. Wręcz przeciwnie, zazdrościła im nieskomplikowanego, bezpiecznego życia.

Ściemniało się już, ale nie zadzwoniła po Dorę, by zapaliła świece. Rosnące cienie wydawały się odbiciem jej nastroju; czuła, jak zanurza się coraz głębiej w otchłań rozpacz. Ból nasilał się, ilekroć wspomniała, co Marcus jej powiedział, co o niej myślał. A jednak podejrzewając ją o takie straszne rzeczy, nadal kochał się z nią tak, że zespalał się bez reszty ciałem i duchem. Ale mimo to...

Stukanie do drzwi przerwało zakłęty krąg ponurych myśli. Wszedł Sebastian. Judith zamrugała oczyma: było już tak mroczno!

- Czemu siedzisz po ciemku?

Skrzeszał ognia; zapłonął stojący na stole wieloramienny świecznik. Sebastian przyjrzał się uważnie siostrze. Wygląd Judith potwierdzał jego podejrzenia i usprawiedliwiał jego ranny postępek.

- Pomyślałem, że przyda ci się towarzystwo przy obiedzie - powiedział lekko, jakby nie dostrzegał jej bladości ani oczu pełnych łez. - Pani

Cunningham poinformowała mnie, że będzie karp w pietruszkowym sosie i kurczę duszone z grzybami. Pomyślałem, że to brzmi całkiem zachęcająco.

Judith zdołała powstrzymać łzy.

- Dzięki, braciszku! - powiedziała opanowanym głosem. - Obawiałam się samotnego obiadu.

- Tak też myślałem. - Pochylił się i pocałował ją. - Przygnębiona?

- To bardzo łagodne określenie - odparła. - Co zrobimy z Grace-mere'em?

- To w tej chwili nie ma znaczenia. - Przynął stolik z szachownicą do kominka. - Jak dojdiesz do siebie, na pewno coś wymyślimy.

- Ale...

- Która ręka? - przerwał jej Sebastian, podsuwając dwie zaciśnięte dłonie.

Judith wskazała lewą. Otworzył, ukazując czarnego pionka.

- Znakomicie! Los mi sprzyja - powiedział wesoło, sadowiac się po stronie białych. - Siadaj, Ju, i uśmiechnij się, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia!

Usiadła i patrzyła, jak brat sunie pionkiem na e4. Wykonała analogiczny ruch.

- Widziałeś się z Marcusem? - Starła się opanować drżenie głosu.

- Odwiedził mnie dziś rano.

Przesunął następny pionek na d4. Znow wykonała typowe kontrposunięcie.

- Co mówił?

Sebastian zmierzył przychylnym okiem centralny kwadrat z czterech pionków.

- Chciał wiedzieć, gdzie jesteś. - Wziął do ręki skoczka.

Judith odpowiedziała również skoczkiem i oboje zbili po jednym pionku. Po tradycyjnym otwarciu mogła się zacząć prawdziwa gra.

- Bardzo był zły?

- Nie skakał z radości - odpowiedział brat, wprowadzając do akcji gońca. - Ale nie spodziewałaś się chyba, że skapituluje bez walki?

- Spodziewałam się, że okaże trochę więcej zrozumienia - burknęła, pochylając się nad szachownicą. - Ale on nawet nie próbuje mnie zrozumieć.

- No, nie powiedziałbym - orzekł rozważnie Sebastian, czekając na ruch siostry. - Uważam, że ogólnie rzecz biorąc, całkiem dobrze cię rozumie, Ju.

- Jak możesz tak mówić?! - Ręka Judith zawisła nad skoczkiem.
- Doskonale wie, że jak ci pozwoli, żebyś jeździła na nim jak na łysej ko-
byle, wasze małżeństwo diabli wezmą - wyjaśnił Sebastian. - Odpowiedz
mi szczerze, Ju! Chcesz męża, który tylko by ci potakiwał i nigdy by się
nie odważył sprzeciwić?

- Nie - zaprzeczyła. - Oczywiście, że nie! Ale dlaczego musimy się
wiecznie kłócić, Sebastianie? Zupełnie tego nie pojmuję!

Brat wzruszył ramionami.

- Taka już wasza natura. Mówiąc otwarcie, wątpię, by można było coś
na to poradzić!

- Harriet nie będzie ci skakać do oczu - zauważyła.

- Bo nie będzie miała powodu - odparł bez namysłu. - Zostanę poczi-
wym hreczkosiejem. Takim, któremu w głowie tylko gospodarstwo, polo-
wanie i dzieciaki.

- Tak, bo jak się pobierzecie z Harriet, nie będzie w tym żadnego oszu-
kaństwa - odpowiedziała gorzko Judith. - Ani wątpliwości, kogo się po-
ślubia. Harriet nigdy się nie dowie o tragedii naszego ojca ani o naszym
wrogu. Wszystko to zostanie pogrzebane raz na zawsze. Nic nie zniszczy
waszego małżeństwa, zanim się na dobre zaczęło. - Głos jej się załamał,
odwróciła się od szachownicy. - Przepraszam!

Sebastian podał jej chusteczkę. Nie miał już żadnych wątpliwości, że
rano postąpił słusznie.

- Twój ruch. Ju - powiedział, wskazując szachownicę. - To prawda, że
moje małżeństwo będzie się opierać, daj Boże, na nieco innych podsta-
wach niż twoje, ale chyba i wy z Marcusem potraficie wydobyć się z tego
dołka. Jak się już wszystko unormuje.

- Jak to możliwe?! - wykrzyknęła. - Jak możesz w ogóle mówić takie
rzeczy? Po tym, co mi powiedział, o co mnie posądza, co zamierza zro-
bić.

- Wiem, wiem - uspokajał ją Sebastian. - Zgadzam się, że to nie do znie-
sienia. Ale mogłabyś wyjechać do Bawarii. Helwigowie radzi cię widzieć
u siebie. Tam byś mogła spędzić kilka najtrudniejszych miesięcy.

- Istotnie - zgodziła się Judith i nagle towarzystwo brata zaczęło ją draż-
nić; nigdy dotąd jej się to nie zdarzało!

Była już prawie północ, kiedy Sebastian się pożegnał. Mały Tom, drzą-
cy z zimna w przeciwległej bramie, odetchnął z ulgą. Śledzenie ludzi to
cholernie nudne zajęcie, pomyślał, ruszając znów za facetem w cylindrze
i długiej pelerynie. Trzeba wystawać godzinami, to przed domem, to przed

klubem... Nawet człowiek nie może wyskoczyć czegoś przegryźć, bo a nuż gość akurat by się zmył?

Mimo tych zastrzeżeń Tom wykonywał swe zadanie bardzo solidnie i mógł zaprowadzić chlebobawcę w każde miejsce, które śledzony odwiedził.

Sebastian skinał na przejeżdżającą dorożkę. Jeśli nawet podejrzewał, że z tyłu wiozą pasażera na gapę, to nie dał tego po sobie poznać.

Tom zeskoczył na rogu Albemarle Street. Gość wyraźnie wybierał się do domu pokimać, wobec tego tropiciel uznał, że może teraz złożyć raport jego lordowskiej mości, a potem, daj Boże, znaleźć coś do przegryzienia w kuchni, nim rymnie się na swoje wyrko nad stajnią.

Marcus tego wieczoru nie miał ochoty na towarzystwo. Pozostał więc w domu, przy kominku, próbując zająć umysł opisami walk w *Pamiętnikach Cezara*. Niewiele to jednak pomogło, gdyż znacznie bardziej go zaprzętała jego własna wojna domowa.

Drzwi biblioteki się otworzyły.

- Ten mały Tom chciałby się widzieć z waszą lordowską mością.

- Przyślij go tu, Gregson.

Zanim te słowa przebrzmiały, Tom był już w bibliotece.

- Zdejmij czapkę, chłopcze! - upomniał go majordomus szeptem pełnym oburzenia.

Chłopcy stajenni nie mieli, ogólnie rzecz biorąc, wstępu do biblioteki.

Tom ściągnął pospiesznie czapkę i stał niepewnie, miętosząc ją w rękach.

- Ten gość wrócił do domu i chyba już chrapie - wyjaśnił. - To pomyślałem, że pewnie by pan chciał, milordzie, natychmiast o wszystkim wiedzieć.

- Istotnie. Jadłeś już obiad?

- Nie, milordzie. Pomyślałem, że lepiej mieć gościa na oku. Choć siedział tam i siedział, cały wieczór.

- Gregson, zadbaj o to, by przygotowano chłopcu w kuchni porządny posiłek - polecił Marcus.

Majordomus skłonił się w milczeniu i wyszedł. Jeśli nawet uważał to za ujmę, że ma troszczyć się o obiad dla chłopca stajennego, nie zdradził swoich uczuć.

-A więc, Tom, co masz mi do powiedzenia?

Tom dokładnie opisał całodzienną wędrówkę Sebastiana. Postoje poi większej części były łatwe do przewidzenia: szkółka bokserska Jacksona,,

klub Watiera, kawalerka wicehrabiego Middletona, park. Jednak na samym końcu tej kolekcji znajdował się bezcenny klejnot.

- Kensington, powiadasz? - Marcus spoglądał w rubinową głębię kieliszka. To brzmiało obiecująco, chyba że Sebastian miał tam utrzymankę. Ale jakoś nie podejrzewał szwagra o łączenie konkurów do Harriet Moreton z wizytami u kochanki.

- Mogie tam zaprowadzić od ręki, milordzie!

- Wystarczy jutro, Tom. Idź teraz coś zjeść. Dobrześ się sprawił!

Chłopak opuścił bibliotekę rozpromieniony. Opłacił się cały dzień o suchym pysku i wystawanie na zimnie: zdobył pochwałę od swego pana!

Marcus dołożył jeszcze jedno polano do ognia i napełnił znów kieliszek. Jutro odzyska swoją żonę i będzie jej na przyszłość dobrze pilnował!

22

Następnego ranka Marcus wstał wcześniej i w ciągu kilku minut zasypał służbę gradem poleceń. Gregson został poinformowany, że jego lordowska mość wybiera się na parę tygodni na wieś. Cheveley i Millie otrzymali instrukcje spakowania osobistych rzeczy swoich państwa i udania się natychmiast do Berkshire. Karetą podróżna z dwoma forysiami miała czekać przed drzwiami punktualnie o dziesiątej.

Marcus zszedł następnym dziarskim krokiem do pokoju śniadaniowego. Nałożył sobie polędwicy i zabierał się właśnie do niej, gdy do pokoju wtargnął Charlie.

Marcus spojrział na kuzyna ze zdziwieniem, na jego wargach pojawił się uśmiech. Zniknął jednak natychmiast, gdy stało się jasne, że Charlie jest w wojowniczym nastroju. Miał identyczną minę z tą w dzieciństwie, gdy - jego zdaniem - opiekun dopuścił się rażącej niesprawiedliwości i chłopczyk zebrał na odwagę, by otwarcie stawić mu czoło.

- O co chodzi, Charlie? - spytał bez wstępów Marcus.

- Gdzie jest Judith? - rzucił oskarżycielskim tonem młody kuzyn. - Gregson powiada, że wyjechała do chorej ciotki, ale ona nie ma żadnej ciotki: chorej ani zdrowej. W każdym razie nie w Anglii!

- Skąd wiesz? - spytał z całym spokojem Marcus, dolewając sobie kawy.

- Bo mi powiedziała! - oświadczył Charlie i spojrzał wilkiem na opiekuną, - Więc gdzie ona jest?

- Siadaj - polecił Marcus, wskazując mu krzesło. - I przestań piorunować mnie wzrokiem, Charlie.

- Nie mam zamiaru się rozsiadać - odparował Charlie. - Chcę wiedzieć, gdzie jest Judith! Widziałem się z nią wczoraj i nigdzie się nie wybierała!

- Czy musi ci się spowiadać ze wszystkiego? - spytał łagodnie Marcus. Charlie poczerwieniał i jeszcze bardziej się naburmuszył.

- Pewnie, że nie, ale nie wyjechałaby bez słowa! Jestem tego pewien! Marcus westchnął.

- Co w takim razie sugerujesz? Chyba nie oskarżasz mnie o zamordowanie żony i ukrycie jej ciała?

To ironiczne pytanie sprawiło, że Charlie poczerwieniał jeszcze bardziej.

- No nie, jasne, że nie! Tylko...

- Tylko co? - dopytywał się Marcus.

- Tylko mogłeś ją wytrącić z równowagi - wyrzucił z siebie kuzyn.

Wiem, jaki potrafisz być zjadliwy, kiedy ci się coś nie spodoba!

Marcus zmarszczył brwi.

- Naprawdę tak trudno ze mną wytrzymać, Charlie? Zawsze starałem się być twoim przyjacielem.

- Wiem. - Charlie, okropnie zażenowany, bawił się widelcem. - Chodzi tylko o to, że bywasz cholernie wymagający, a język masz jak brzytwa! Człowiek się potem czuje jak skończony głupek i podła gnida.

Marcus wzdygnął się na tę szczerą odpowiedź, ale musiał przyznać, że jest w niej nieco racji. Popatrzył uważnie na kuzyna. Z pewnością takie wystąpienie sporo Charliego kosztowało. Nigdy nie lubił się stawiać. Judith miała naprawdę rzadki dar pozyskiwania wiernych przyjaciół! Że też go to od razu nie uderzyło, jak wielu ich zdobyła przez kilka miesięcy swego pobytu w Londynie!

- Zależy mi tylko na tym, byś nie roztrwonił fortuny, która ci przypadnie, jak dojdiesz do pełnoletności - powiedział łagodnie.

- Ale gdzie jest Judith? - Charlie usiadł nagle i sięgnął widelcem po kawałek bekonu. - Nie stało jej się nic złego?

Marcus pokręcił głową.

- O ile wiem, nic złego jej nie spotkało, Charlie. A już na pewno nie z mojej ręki, jeśli to masz na myśli.

Charlie rozprawił się z bekonem.

-Ale gdzie ona jest?

Marcus westchnął.

- W Kensington. Ale dziś wyjeżdżamy do Carrington Manor na kilka tygodni.

- W Kensington? - Charlie zdumiał się tak, jakby kuzyn oznajmił mu, że Judith jest na księżycu. - Co ona tam robi?

- Obawiam się, że to sekret, i nie zamierzam go zdradzać - powiedział stanowczo Marcus. - Doceniam twoją troskę, Charlie, ale to są nasze osobiste sprawy, Judith i moje. Nie chcę być grubiański, ale pilnuj swoich interesów!

Charlie nadział na widelec zapiekanego grzybka.

-Ale nic jej się nie stało?

- Nic, Charlie. Wszystko z nią w porządku. - Marcus uśmiechnął się, obserwując z rozbawieniem kuzyna, który bezwiednie i beztrząsco pałaszował potężne śniadanie.

- No to doskonale! - Charlie odetchnął z ulgą. - Nie chciałem się wtrącać, ale sam wiesz, jak to jest z Judith. Człowiek mimo woli niepokoi się o nią.

Marcus skinął głową.

-Tak, Charlie, wiem, jak to jest. A teraz wybac, ale mam kilka spraw do załatwienia. Nie przeszkadzaj sobie w śniadaniu!

- E tam, nie chcę żadnego śniadania - odparł Charlie. - Jadłem już u siebie, zanim tu przyszedłem.

- Doprawdy? Ciekawe, skąd mi przyszło do głowy, że możesz być głodny! - Marcus roześmiał się i serdecznie objął kuzyna. W chwilę później wyszedł z domu i wsiadł do czekającej już karety z herbem Carringtonów.

Tom wdrapał się na kozioł i wskazywał stangretowi drogę do Cambridge Gardens. Kiedy tam dotarli, Marcus wysiadł i stał przez chwilę, rozglądając się po cichej uliczce. Schronienie Judith ocenił jako dyskretny, skromny hotelik odwiedzany zapewne przez solidnych mieszczan oraz ich połowice. W końcu podszedł do drzwi.

Pani Cunningham zerkała z okna frontowego pokoju na wspaniały, ozdobiony herbem ekwipaż, któremu towarzyszyło dwóch forysiów. Zatrzymał się przed jej hotelem! Z karety wysiadł wysoki, elegancki dżentelmen

w pelerynie i przez chwilę spoglądał na dom, a potem ruszył do drzwi frontowych.

- Dora! Dora! Otwieraj natychmiast! - zawołała pani Cunningham i przyglądając fałdy sukni, wpłynęła do frontowego holu powitać gościa.

Dora otworzyła drzwi, zanim jeszcze Marcus dotknął kołatkę.

- Dzień dobry panu!

- Dzień dobry - odpowiedział z miłym uśmiechem, spostrzegając od razu okazałą postać właścicielki za piecami służącej. - O ile mi wiadomo, zatrzymała się tu pewna dama...

- A jakże, proszę szanownego pana. Pani Devlin! - podsunęła ochoczo pani Cunningham.

Nie ulegało wątpliwości: ten dżentelmen mógł pytać tylko o nią!

- No tak, pani Devlin - mruknął Marcus i znów się uśmiechnął.

Był pewien, że Judith nie zamieszkała w hotelu jako lady Carrington. Zastanawiał się, ile trudu będzie miał z odgadnięciem, jakie nazwisko podała. Ale dzięki usłużności właścicielki hotelu obeszło się bez kłopotów.

- Czy zastałem ją w domu? - spytał.

- O tak, proszę szanownego pana. Jest u niej jakaś dama.

Marcus zmarszczył brwi. Kto też mógł odwiedzać tu Judith?

- Może zechce mi pani wskazać drogę?

- Tak, oczywiście! Doro, zaprowadź szanownego pana!

- Dziękuję pani. - Marcus skierował się w stronę schodów, a następnie przystanął z ręką na poręczy. - Lady Carrington wyjeżdża stąd natychmiast. Jeśli pani będzie łaskawa przedstawić rachunek, ureguluję go od ręki.

Lady Carrington! Na twarzy pani Cunningham odbiło się zmieszanie i podniecenie.

- Ale, proszę szanownego pana, nie było mowy o żadnym wyjeździe! Pani Dev... to znaczy lady...

Marcus uniósł rękę, ucinając te zagmatwane protesty.

- Zapewniam panią, że lady Carrington odjeżdża niezwłocznie. Jestem jej mężem, pani rozumie.

Pani Cunningham przełknęła ślinę i dygnęła.

- Tak jest, milordzie. Nie wiedziałam...

- Skąd mogła pani wiedzieć? - odparł grzecznie i ruszył po schodach za podskakującym kuperkiem Dory. Pod drzwiami Judith, gdy już miała zastukać, powiedział szybko:

- Sam się zaanonsuję.

Zaczekał, aż rozczarowana pokojówka zejdzie po schodach, po czym otworzył podwójne drzwi. Judith i Sally siedziały na ławeczce pod oknem, zatopione w rozmowie. Zerknęły w stronę drzwi.

Judith ujrzała męża, poczerwieniała i zbladła.

- Marcus? - szepnęła niepewna, czy to nie zjawą.

- Właśnie - potwierdził. - Jestem widać jedyną osobą w Londynie, która nie dostała tu zaproszenia! - zauważył dość kąśliwie. Był zły na szwagierkę. Przygotował sobie wielką scenę pojednania, a jej obecność krzyżowała mu szyki.

Sally instynktownie przysunęła się bliżej do Judith, która zdołała wykrztusić:

- Co ty tu robisz?

- Przybywam po moją żonę - powiedział, zrzucając pelerynę. - Sally, bądź tak dobra, zostaw nas samych.

Sally zawahała się, po czym przysunęła się jeszcze bardziej do Judith.

- Bardzo mi przykro, Marcusie, ale jestem tu na wyraźne zaproszenie Judith i pozostanę!

Wytrzymała bohatersko jego zdumione spojrzenie i wyprostowała się, gotowa bronić przyjaciółki przed wszelkimi natrętami, z rozsierdzonym mężem włącznie.

Najpierw Charlie, a teraz Sally, pomyślał Marcus z rezygnacją. Co się dzieje z jego tak dotąd łatwą do kierowania rodziną?! Głupie pytanie! Oczywiście to wpływ Judith! Powtórzył z zimną krwią:

- Muszę cię jednak prosić, byś zostawiła nas samych.

- Nie!

Marcus się roześmiał.

- Moja droga Sally, cóż ty sobie wyobrażasz, że jej zrobię?

- Nie wiem - odparła. - Ale nie pozwolę ci znęcać się nad Judith!

Na te słowa Marcusowi opadła szczeka, a Judith odzyskała mowę.

- Wszystko w porządku, Sally. Mogłabyś poczekać na dole?

Sally spojrzała i na jedno, i na drugie, po czym powiedziała z powątpiewaniem:

- Jeśli jesteś pewna...

- Nie zmuszaj mnie, bym cię wyrzucił z pokoju! - wykrzyknął zirytowany Marcus.

- O! To właśnie miałam na myśli! - wypaliła Sally. - Judith, naprawdę chcesz, żebym wyszła?

Judith omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Naprawdę - zapewniła zdławionym głosem. - Marcus nie zrobi mi nic złego. Zresztą mam pistolet.

- No cóż... będę na dole. Wystarczy, że zawołasz! - Sally wyszła wreszcie, obrzuciwszy Marcusa jeszcze jednym mrocznym spojrzeniem.

- Wielki Boże! - powiedział, gdy drzwi się za nią zamknęły. - A ja zawsze uważałem ją za trwożliwą myszkę!

- Bo się ciebie bała - odparła Judith. - Ale ona wcale nie jest taka, tylko żywa, zabawna i znacznie inteligentniejsza, niż ty czy Jack sądzicie.

- Przed chwilą wcale nie było widać, że się mnie boi - zauważył Marcus i parsknął niewesołym śmiechem. - Nie rozumiem, czemu wszyscy podejrzewają, że zrobisz mi coś złego! Widać do żadnego z nich nie mierzyłaś z pistoletu! - Ściągnął rękawiczki i rzucił je obok peleryny na kanapę.

Judith obserwowała go w milczeniu. Wydawało się, że jest w wyśmieni-tym humorze, co było przecież niemożliwe. Nią zaś wstrząsała taka burza uczuć, że sama już nie wiedziała, co czuje.

Po chwili Marcus się odezwał:

- Wyjątkowo irytujące z ciebie stworzenie, ryszczko! Co miała znaczyć ta ucieczka? Czyś pomyślała, co sobie ludzie pomyślą?

- To mnie doprawdy nie interesuje - oświadczyła. - Nie wrócę do ciebie.

-Ależ wrócisz, wrócisz!

- Nie będę żyła w więzieniu, które dla mnie zbudowałeś! - odparła z zacisniętym gardłem; poczucie krzywdy wróciło. - Tobie zależy tylko na pozorach. A ja kicham na pozory, Carrington! Coś tam wymyślisz, żeby je ocalić, jestem pewna! ~ Odwróciła się do okna. - Tylko zostaw mnie w spokoju!

-Chodź no tu!

Nadal wpatrywała się w pędzące chmury, bezlistne wiązy i wronę na ogrodowym murze.

- Chodź no tu, Judith! - powtórzył opanowanym głosem.

Odwróciła się powoli. Siedział na poręczy kanapy, oczy miał takie spokojne, usta łagodne. Skinał na nią i ruszył w jego stronę, jakby przyciąga-na przez magnes. Gdy była już blisko, wstał i ujął ją pod brodę.

- Czemu nie powiedziałaś mi prawdy?

- Jakiej prawdy?

Ich spojrzenia się spotkały, czuta też wyraźnie dotyk ciepłej ręki na bro-dzie.

- Że nie wiedziałaś, kto był w oberży na dole.

W jej oczach błysnęła panika.

- Skąd wiesz?!

- Sebastian mi powiedział.

Wyrwała się z jego uścisku.

- Nie miał prawa!

- Ale mi powiedział. - Marcus objął ją znowu. - Nie szarp się i posłuchaj mnie! To było z mojej strony niewybaczalne, że podejrzewałem cię o wszystko co najgorsze... - Uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu były głód i tęsknota. - Ale, rysiczko, może mi jednak przebaczysz?

Sebastian ją zdradził. Znał prawdziwy powód, dla którego nie odpierała zarzutów Marcusa. A jednak postanowił zignorować te racje, byle jakoś załatać ich małżeństwo. Z powodu Gracemere'a? Z powodu Harriet?

- Powiedz coś! - błagał Marcus, przesuając palcem po jej ustach. - Proszę cię, Judith, powiedz coś! Nie mogę pozwolić, byś ode mnie odeszła, najdroższa, ale nie wiem, jak cię przeproszać. To było takie straszne, gdy myślałem, że wykorzystujesz mnie dla własnych korzyści. Byłem o krok od szaleństwa na myśl, że jestem dla ciebie jedynie środkiem do celu. Czy potrafisz to zrozumieć?

- O tak - powiedziała miękko. - Potrafię to zrozumieć.

Nawet teraz jego słowa napełniły ją radością, choć wiedziała, że nadal go oszukuje. Był istotnie środkiem do celu. a przecież stał się kimś znacznie ważniejszym!

- Judith? - powtórzył Marcus z łagodną natarczywością. - Pragnę czegoś więcej niż zrozumienia.

Chwyciła go za rękę.

- Już dobrze, kochany. Zapomnijmy o tym!

Marcus przycisnął usta do jej ust w mocnym pocałunku, pieczętującym ich pojednanie. Judith przywarła do niego, rozpaczliwie pragnąc zakosztować tyle szczęścia, ile się da w tych wspólnych chwilach, które im jeszcze pozostały. Tak chciała wierzyć, że Marcus nigdy się nie dowie o ich planach związanych z Gracemere'em.

- Jak mnie odnalazłeś? - spytała, gdy oderwał wreszcie usta od jej ust.

- Dzięki Sebastianowi.

Uśmiechnął się do niej i pieszczotliwie przesunął palcem po jej policzku.

- Nie podał ci chyba mego adresu?!
- No nie. Kazałem go śledzić.
- Boże święty! Cóż za teatralne chwytły!

Marcus pokręcił głową.

- To ty jesteś specjalistką od teatralnych chwytów! Ta ucieczka przez okno, w środku nocy, z jakiego to melodramatu?

Chwycił ją w ramiona i znów zaczął całować.

- Jeszcze chwilę - wymamrotała Judith z ustami przy jego ustach. - Jeśli chodzi o tę drugą sprawę...

- A, o to! - Puścił ją bardzo niechętnie. - Poinformowałem moich bankierów, że możesz czerpać z mojego konta bez ograniczeń. Jesteśmy odąd równymi partnerami, a zatem majątek należy tak samo do ciebie, jak do mnie. Ja nie będę kwestionował twoich wydatków, a ty, mam nadzieję, moich.

Ukrywając gorzko-słodkie emocje, jakie budził w niej ten dowód kompletnego zaufania, rzuciła mu promienny uśmiech.

- To doprawdy pomysłowe i wspaniałomyślne rozwiązanie problemu... nie do rozwiązania!

- Ale przestań grać hazardowo. - Uszczypnął ją w nos. - Jeśli spotkam cię w pobliżu jakiejś jaskini gry, moje szczęście, nie odpowiadam za konsekwencje! Zrozumiano?

- Zrozumiano. Ograniczę się do gier towarzyskich.

- Doskonale! A teraz jedziemy do Berkshire na parę tygodni, więc zadzwoń na pokojówkę, żeby spakowała twoje rzeczy.

- Do Berkshire? Tak od razu?

- Bez zwłoki.

- Czemu?

- Bo ja tak postanowiłem - oświadczył wesoło. - A teraz zejść na dół i uspokoję Sally, że jesteś nadal zdrowa i cała. - Pokręcił głową ze zdumieniem. - Ciekawe, czy Jack wie, jaka z niej bojowa istotka?

- Zapewne nie - odparła Judith, śmiejąc się. - Ale ty, jako dobry brat, oświecisz go niewątpliwie w tej materii.

Pod nieobecność siostry Sebastian poświęcił się całkowicie zalotom do Harriet. Lady Moreton obserwowała młodych z rosnącym zadowoleniem,

oczekując w każdej chwili formalnych oświadczeń o rękę córki. Sebastian gryzł się z tego powodu, ale póki nie odzyska swego rodzinnego majątku, nie ma nic do zaoferowania przyszłej żonie. Tylko Harriet wcale się nie przejmowała zwłoką, tak była ufna i przeświadczona o miłości ukochanego.

Żadne z nich nie było świadome niebezpieczeństwa wiszącego nad ich głowami. Tymczasem przybierało ono coraz bardziej konkretny kształt w sypialni wysokiego domu nad Tamizą.

Okno z małymi szybkami grzechotało w porywach wiatru, a ogień na kominku płonął nierówno, gdy zimne podmuchy wdzierały się przez szpary. Agnes otuliła się kaszmirowym szalem, wstając leniwie z łóżka. Była syta rozkoszy i nie przerażał jej chłód wiszący w powietrzu. Pochyliła się nad ogniem, by ogrzać ręce.

- Ta nieznośna smarkuła dostrzega tylko Sebastiana! - powiedziała, wracając po namiętym interludium do przerwanej konwersacji. - Ileż to razy musiałeś ją komplementować dziś po południu, zanim raczyła cię usłyszeć, a co dopiero odpowiedzieć?

- Co najmniej sześć - odparł Gracemere. - Najwidoczniej nie da się uwieść i wobec tego trzeba ją wziąć szturmem.

- Kiedy? - Agnes oblizała wargi. - Lepiej nie czekać, bo Sebastian może się zdeklarować w każdej chwili.

- Racja! Postaram się go jak najprędzej wydoić z pieniędzy; to powinno pozbawić go szans u Moretonów. A potem: do dzieła!

- Ani przez chwilę nie wątpię, że ci się powiedzie, Bernardzie.

Agnes dotknęła jego ust końcem palca. Chwycił ją za przegub, wciągnął jej palec do ust i mocno przygryzł zębami. Agnes roześmiała się, nie próbując nawet uwolnić palca. Odrzuciła głowę do tyłu, wyginając w łuk białą szyję.

Gracemere puścił jej nadgarstek i objął szyję.

- Pasujemy do siebie jak ulał, moja droga Agnes!

- O tak! - szepnęła.

Dopiero po długim czasie powrócili do rozmowy.

- Teraz, kiedy Judith i Carringtona nie ma w mieście, brakuje ci zapewne rozrywek!

Gracemere się roześmiał.

- Mam pewne plany, które zrealizuję po jej powrocie. Może będę potrzebował posłańca, który zaniesie wieści.

- Komu?

- Carringtonowi, rzecz jasna! - Lekki uśmieszek przewinał mu się przez usta. - Po cóż kompromitować jego żonę, gdyby on nie miał się o tym dowiedzieć?

- Oczywiście - zgodziła się Agnes. - Sama przekażę mu wieść o skalannej nocie małżonki z niezwykle delikatnością i prawdziwą rozkoszą!

- Przypuszczałem, że ta rola przypadnie ci do gustu, najdroższa.

Judith ukrywała się w ciemnym kątku oranżerii. Serce jej biło szybko z podniecenia, dłonie miała wilgotne, pot perlił się na czole - zarówno z powodu forsownej gonitwy, jak i tropikalnej atmosfery w cieplarni. W powietrzu unosił się zapach orchidei, róż i jaśminu. Przez szklaną kopułę dachu widać było nocne niebo - czarny przestwór usiany gwiazdami. Tylko one i cieniutki sierp księżyca rozjaśniały nieco mrok.

Gdy Judith zamknęła drzwi z salonu do oranżerii, ciężkie aksamitne kotary opadły, odcinając dostęp światła z domu. Nadstawiała więc ucha, czy nie usłyszy skrzypnięcia otwieranych drzwi i kroków pomiędzy rzędami krzewów i kwiatów. Czy Marcus odgadnie, gdzie się ukryła? Z pewnością niejedna para bawiła się tu w chowanego. Ale w gruncie rzeczy chodziło przecież o to, żeby ją znalazł!

Zaśmiała się cichutko. Bez trudu zaraziła Marcusa upodobaniem do dziecinnych zabaw. Ścigali się po łące albo rzucali patyki z mostu do rzeki i zakładali się, który pierwszy wypłynie po drugiej stronie. Zakładali się o byle co i nigdy o pieniądze. Prześcigali się w obmyślaniu najbardziej nieprawdopodobnych zakładów.

Tym razem popołudnie spędzili na zamarzniętym stawie, prześcigając się w wymyślnych figurach łyżwiarskich. Judith nie mogła się równać z Marcusem, który od dzieciństwa ślizgał się tutaj, i przeważnie lądowała na siedzeniu. Zebrała sporą kolekcję siniaków; za większość z nich był odpowiedzialny Marcus. Ukryta w kątku oranżerii, Judith wspominała dotyk jego rąk masujących autentyczne lub rzekome sińce.

Drzwi skrzypnęły, w szparze pojawiło się światło. Zniknęło tak szybko, że mogło być złudzeniem. Panowała cisza, ale Judith wyczuwała obecność Marcusa w oranżerii. Po cichutku przesunęła się za drzewko pomarańczowe. Czekwała z bijącym sercem, tak czujnie, jakby ścigał ją prawdziwy drapieżnik.

Marcus przystanął przy drzewie laurowym, by oczy przywykły do ciemności. Starał się zgadnąć, gdzie ukryła się żona. Oranżeria była duża, więc mogła wymknąć się za jego plecami i szukać wiatru w polu, a raczej w ogromnym domu. Zaczynał mieć już dość tej zabawy. Marzyły mu się całkiem inne rozrywki. Przypomniał sobie masowanie ślicznej pupci... coś takiego niechby trwało choćby do świtu!

Do jego uszu dotarł szmer tak cichy, że mogła to być myszka. Stał jeszcze moment bez ruchu, nadsłuchując i wpatrując się w mrok. Po chwili żwir zachrząścił w tym samym kącie. Marcus zaśmiał się cicho. Najwyraźniej Judith też zależało na szybkim zakończeniu tej zabawy! Zdjął buty i na paluszkach podkradł się do podejrzanego kąta, mając nadzieję zaskoczyć żonę. Chyba dostrzegł jakiś kształt w cieniu pomarańczowego drzewka.

Judith przykucnęła w swej kryjówce, nadstawiając uszu. Marcus musiał ją przecież usłyszeć! Ale kroków nadal nie było słychać.

- Mam cię!

Judith wrzasnęła ze strachu. Marcus wybuchnął śmiechem. Chwycił ją pod pachy i postawił na nogi.

- Przegrałaś!

Judith przywarła do niego; kolana się pod nią uginały.

- Przestraszyłeś mnie!

- Chyba na tym polega zabawa: pościg drapieżcy za ofiarą?

Pogładził główkę spoczywającą na jego piersi.

- Wiem, ale nie myślałam, że mnie przestraszysz! Sebastian ani razu mnie nie przestraszył, jak się bawiliśmy w dzieciństwie. Zawsze słyszałam jego kroki.

- Dorośli są widać sprytniejsi - mruknął,

- Ale czy byś mnie znalazł, gdyby nie moje wskazówki?

- Wszystko jedno, moja pani! Znalazłem cię i domagam się nagrody!

- Niech ci będzie. A ja upomnę się o nią potem.

- Odkąd to zwyciężeni dostają nagrody?

- Odkąd ja ustanawiam reguły! Świat nie jest tylko dla zwycięzców!

Znacznie, znacznie później Judith leżała w bezwstydnym zapamiętaniu na puszystym dywanie w bibliotece. Jej biodra przeżyły się pod palacą, żarliwą pieczęcią jego języka i ust.

Wokół nich cały dom tonął w ciszy, słychać było tylko trzaskanie ognia. Czuła jego żar na swych obnażonych udach równie wyraźnie jak gorąco narastające w łądźwiach.

Marcus obrócił się, pociągając ją za sobą. Leżała teraz na nim, tak że stapiały się w jedno jej miękkość z jego muskularnością. Rozsunął jej uda i powolnym obrotem bioder wniknął w jej rozedrgane ciało. Judith zacisnęła się wokół niego, odchylając się do tyłu, aż uklękła z nogami po obu jego bokach.

Zataczała powolne kręgi nad nim i wokół niego, rozkosznie dręcząc jego i siebie. Spojrzała sennym wzrokiem na tonący w poświacie księżyca, oszroniony trawnik za oknem. I nagle uświadomiła sobie, że jest naprawdę szczęśliwa - po raz pierwszy w życiu.

Nigdy dotąd w jej bytowaniu nie było miejsca ani czasu na niezmaconą radość. Ale w tej chwili, pełnej namiętności, wszystko inne straciło znaczenie... nawet zemsta. Niebawem wróca do Londynu i znów trzeba się będzie mizdrzyć do Gracemere'a.

Nie! Teraz nie będzie o tym myśleć.

Przycisnęła usta do jego ust.

23

M Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś w wiejskim ustroniu. - Bernard Melville wykonał wraz ze swą partnerką zręczny piruet.

Judith westchnęła.

- Nie! Było okropnie nudno. Na wsi nie ma nic ciekawego, a Carrington spędzał całe dni ze swoim rządcą.

-A mimo to żądał, byś wyjechała razem z nim? ~ Gracemere smutno pokręcił głową i cmoknął. - Jak to nieładnie z jego strony. Ale cóż, wszyscy wiemy, że Carrington nie liczy się z uczuciami innych.

Ścisnął Judith za rękę. Ukryła dreszcz obrzydzenia i uśmiechnęła się do hrabiego, trzepocząc rzęsami.

- To prawda - przytaknęła.

Obiegła wzrokiem zatłoczoną salę balową w obawie, że Marcus zrezygnuje z umówionego spotkania i zechce zrobić jej niespodziankę, przychodząc na bal Sedgewicków. Co prawda nie było nic zdroźnego w tym, że tańczyła z Gracemere'em. Nawet Marcus był dla niego uprzejmy, gdy spotkali się w towarzystwie.

- Bardzo nam tu brakowało pięknej markizy - zapewnił ją hrabia. Po jego mięsistych wargach przemknął uśmieszek.

- Bzdury! Doskonale wiesz, milordzie, że rude nie są teraz w modzie.
- Jej roześmiane oczy wzywały go, by temu zaprzeczył. Spełnił to życzenie bez wahania.

- Nie jesteś ruda, Judith! - szepnął, trącając palcem jeden z jej miedzianych loków. - Nie pasują do ciebie żadne utarte określenia. I na tym polega twój urok!

Judith zrobiła skromną minkę i zmieniła temat rozmowy.

- Słyszałam, że dobrze grasz w karty.

- Cóż za bezwstydnny unik! - wykrzyknął. - Nic miłszego mi nie powiesz w podzięce za mój komplement?

- Doprawdy, mój panie! Dama nie odpowiada na komplementy przygodnego tancerza! - Rzęsy jej znów zatrzepotały, rzuciła mu szelmowski uśmiech.

- Przygodnego tancerza?! Wypraszam sobie!

- Tak właśnie powinnam o tobie myśleć. Zabroniono mi przyjaźnić się z tobą - odparła kokieteryjnie.

Bezbarwne oczy Gracemere'a zabłyśły.

- Zgodziliśmy się przecież, że mężom trzeba od czasu do czasu dać nauczkę!

Oczy Judith iskrzyły się podnieceniem; widać przypadła jej do gustu rola spiskowca. Hrabia uśmiechnął się, bardzo zadowolony z siebie. Na widok tego uśmiechu Judith miała ochotę kopnąć go dotkliwie w goleń. Na szczęście walc dobiegł końca i zeszedł z parkietu.

- Brat zapewnił mnie, że znakomicie grasz w karty - wróciła do tematu, gdy znaleźli się w niewielkim salonie, przylegającym do sali balowej.

- Twój brat jest także niezłym graczem - skłamał Gracemere z uprzejmym uśmiechem.

- Ale nie tak dobrym jak ja - oświadczyła Judith, składając z trzaskiem wachlarz. - Wyzwam cię na pojedynek... zagramy w pikietę! - Wskazała mały stolik w kącie pokoju.

- Kusząca propozycja - odparł, uśmiechając się układnie. - Jakie stawki proponujesz?

Judith postukała złożonym wachlarzem o dłoń.

- Dziesięć gwinei za punkt?

Gracemere uśmiechnął się na tę propozycję. Typowa stawka pewnego siebie naiwniaka, który myśli, że gra wysoko. Widział już Judith przy

karcianym stole i wiedział, że Agnes spotkała ją u Amelii Dolby, nie mogła więc być zupełną nowicjuską. Prawdopodobnie miała, jak jej brat, więcej entuzjazmu niż pojęcia o grze,

- To dobre na herbatce u cioci - skarcił ją. - Proponuję coś bardziej ekscytującego.

- A mianowicie, milordzie? - Judith oczekiwała, że hrabia potraktuje ją z pobłażaniem. Pod maską ochoczej ciekawości ocknął się w niej niepokój.

Wpatrywał się w nią i głąaskał się po brodzie.

-Twoja zgoda na obiad ze mną, sam na sam, przeciwko... przeciwko... Co też mogłoby cię skusić? - rozważał głośno.

Twoja głowa na półmisku! - pomyślała zjadliwie Judith. Zamierzała, jak najbardziej, przegrać z hrabią, ale nie miała najmniejszej ochoty na żadne tete-a-tete! Ale nie będzie się tym martwić zawczasu.

- Chciałabym przejechać się twym i karozami po Richmond Park - podsunęła słodko. - Miałam ochotę wydrzeć ci lejce już w pierwszej chwili, gdy je zobaczyłam!

-A więc grajmy! - Skierował się w stronę karcianego stolika.

Judith przyjęła jego propozycję w jednym tylko celu: żeby zorientować się w jego sposobie gry i nawykach. Potem podzielił się spostrzeżeniami z Sebastianem. A ponieważ Gracemere zniszczył George'a Devereux, grając w pikietę, w tej samej grze otrzyma ostateczny cios z rąk jego dzieci.

Z nerwowym pośpiechem zajęła miejsce przy stole i przyglądała się, jak hrabia otwiera nową talię. Nie przypuszczała, by grając z nią, oszukiwał; wystrzeżała się dotąd gry przy tym samym stole co on, nie miał więc pojęcia, jak dobrze gra. Pewnie sądził, że jest przeciętnym graczem albo i gorzej.

Dostosowała się więc do jego oczekiwań.. Przegrała niezbyt wysoko w pierwszym rozdaniu, wygrała w drugim tak, że wyglądało to na ślepy traf. i wreszcie znów przegrała w trzecim, ale nie haniebnie, unikając ostatecznej klęski.

- Jesteś naprawdę znakomitym graczem, Bernardzie - powiedziała z uśmiechem, gdy podliczał punkty. - Może kiedyś wtajemniczysz mnie w swoje metody?

Cóż za uroczy pomysł. Wiedziała już, że sprostą w grze Bernardowi Melville'owi, bez względu na to, czy będzie grał uczciwie, czy oszukiwał. Uśmiechała się nadal, rozkoszując się tą myślą.

Bernard parsknął śmiechem.

- Z przyjemnością, moja droga! Ale najpierw domagam się mojej wygranej.

- Oczywiście! Tylko że... - Rozejrzała się po pokoju. - Chyba nie dziś, bo jedliśmy już obiad, a to doprawdy nie jest ustronne miejsce.

Znowu się roześmiał.

- Pozwól, że ja się wszystkim zajmę, Judith! Powiadomię cię, w jakim to będzie dniu, gdzie i o jakiej godzinie.

- Dzień to już chyba ja wybiorę, mój panie - zastrzegła się. - Nie jestem kobietą wolną!

- Wiem. - Sięgnął po jej rękę i podniósł ją do ust. - Jesteś zamężna. Ale czy cnotliwa? - Posłał Judith uśmiech znad jej dłoni. - Co za niestosowne pytanie, wybacz mi! Jestem jednak przekonany, że gdy przyjdzie pora, zdołasz uspokoić Carringtona jakąś bajeczką!

Jakże chętnie by go zastrzeliła! Nie, nie, to byłaby zbyt lekka śmierć. Trzeba wymyślić coś powolnego i bardziej bolesnego!

- Pewnie tak... - Wstała. - Ale teraz muszę wrócić na salę. nim ktoś zauważy moją przydługą nieobecność.

Gracemere skłonił się i stojąc przy stole, spoglądał za nią, gdy wracała lekkim krokiem na salę balową. Jakiegokolwiek kłamstwo wymyśli, by zamydlić oczy mężowi, Carrington i tak dowie się o potajnym, intymnym spotkaniu żony z jego dawnym wrogiem. Perspektywa tak stosownej zemsty była upajająca! A teraz, ograwszy siostrę, zagra z jej bratem dla bardziej konkretnych korzyści. Przeszedł do karcianego pokoju, gdzie grano ostro i wysoko. Siedzący przy stole do makao Sebastian pomachał *do* niego wesoło.

- Przyłącz się do nas, Gracemere!

- Chętnie. - Siadł naprzeciwko Sebastiana. - Grałem właśnie w pikietę z twoją siostrą.

- Wygrałeś, oczywiście? Nietęgo gra - odparł Sebastian z szerokim uśmiechem, wykładając na stół rulon pieniędzy.

- Oszczerstwo! - rozległ się od drzwi głos Judith.

- Wygrałaś? - spytał zaczepnie brat i pochylił się nad swymi kartami ze zmarszczonym czołem.

- Nie - przyznała, stając za hrabią. - Jego lordowska moc jest zdecydowanie lepszy ode mnie.

Gracemere podniósł wzrok.

- Przypadły mi dobre karty - wyjaśnił skromnie. - Mam nadzieję, że pani asysta przyniesie mi szczęście, lady Carrington.

- Ja też mam taką nadzieję - mruknęła, uśmiechając się do wszystkich siedzących wokół stołu.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zorientować się, co Gracemere ma w ręku. Nadal przyglądając się z uśmiechem grze, Judith zaczęła się wachlować.

Bank trzymał lord Sedgewick. Jego pełne aprobaty spojrzenie spoczęło na lady Carrington. Diabelnie atrakcyjna kobietka! Spozregęła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się do niego. Sedgewick poczuł wyraźne podniecenie. Szczęściarz z tego Marcusa. ale utrzymać w ryzach taką żoneczkę to niełatwa sprawa. Czy on podołałby takiemu zadaniu? Przyszła mu na myśl jego własna żona, matrona o flegmatycznym temperamencie, bez najmniejszego zainteresowania dla spraw łóżkowych, nie licząc oczywiście zapewnienia ciągłości rodu. Natomiast lady Carrington sprawiała wrażenie całkiem utalentowanej w tej dziedzinie.

Sedgewick całą siłą woli skierował znów swe myśli ku grze w karty. Doprawdy nie wypada myśleć w ten sposób o żonie kogoś ze znajomych! Ale naprawdę była cholernie atrakcyjna. Ten szelmowski uśmieszek, ledwie unoszący kąciki ust...

Sebastian raz po raz odrywał wzrok od kart i włączał się do żywej konwersacji, która toczyła się wokół stołu. Judith nie była jedyną damą przyglądającą się grze, ale tylko ona się wachlowała. Była to jednak czynność tak oczywista, że nikt poza Sebastianem nie zwracał na to uwagi.

W ciągu pół godziny Gracemere stracił trzysta gwinei. Jakoś nie zwrócił na to uwagi, że ilekroć pewien był wygranej, Davenport okazywał się lepszy i szybszy. Sebastian zresztą nie wygrywał stale. Hrabia jednak przegrywał bez przerwy. Uznał, że to po prostu zła passa.

Potem Judith wysliznęła się z pokoju. To był tylko krótki trening. Ona i Sebastian nie ćwiczyli w towarzystwie od czasów Brukseli. Teraz oboje musieli się upewnić, czy dadzą radę Gracemere'owi. Ostatni akt zbliżał się wielkimi krokami.

- Judith? - Łagodny głos Harriet w miły sposób przerwał jej rozmyślenia.

- Harriet! Nie zauważyłam cię wcześniej. - Ujęła dziewczynę pod ramię.
- Siadźmy przy oknie, strasznie tu gorąco. Bardzo późno się zjawiłaś. Sebastian nie mógł się ciebie doczekać!

- Coś zatrzymało lady Barret. Przyjechała po mnie dopiero po jedenastej - zwierzała się Harriet. - A mama znów się źle czuje. - Policzki dziewczyny delikatnie się zaróżowiły. - Nie widziałam nigdzie twojego brata. Pomyślałam, że może już wyszedł.

Judith się roześmiała.

- Z pewnością by nie wyszedł, jeśli miał nadzieję spotkać cię tutaj. Jest w karcianym pokoju.

Harriet przyjęła tę informację w milczeniu. Oczy miała spuszczone, palce bawiły się jedwabną frędzlą woreczka. Judith spytała łagodnie, czy coś ją trapi.

Nie podnosząc oczu, Harriet odpowiedziała:

- Czasem mi się wydaje, że... że twój brat za wiele grywa w karty.

Judith przygryzła wargę. Harriet okazała się bardziej spostrzegawcza, niż sądziła!

- Owszem, lubi grać - powiedziała obojętnym tonem. - Ale mogę cię zapewnić, Harriet, że nigdy by nie naraził waszej przyszłości nierozważną grą.

Harriet odetchnęła z ulgą i spojrzała wreszcie na rozmówczynię. Twarz jej promieniała, oczy błyszczały.

- Naprawdę w to wierzysz, Judith? Tak się bałam, że jest nałogowym hazardzistą!

- Bardzo lubi grać - rzekła Judith, kładąc dłoń na rękę panienci. - Ale to jeszcze nie oznacza, że jest nałogowym hazardzistą. Kiedy nie ma okazji do gry, doskonale może się obejść bez kart.

- No, no! Jakież tajemnice? - rozległ się za nimi sztucznie wesoły głos Agnes Barret.

- Dobry wieczór, lady Barret - powiedziała Judith dość chłodno. Nie mogła się zdobyć na cieplejszy ton. - Nie, nie mamy z Harriet żadnych tajemnic.

- Oczywiście, że nie! - zgodziła się Harriet, zarumieniona i wyraźnie zaniepokojona.

Lady Barret spoglądała na nią przez chwilę z nieco pogardliwym uśmiechem, zanim zagadnęła Judith.

- Słyszałam, że wróciła pani właśnie z Berkshire.

- Istotnie. Mój mąż musiał się tam udać w sprawach gospodarskich — odparła markiza.

Uczyniwszy zadość elementarnym wymogom grzeczności, Agnes zwróciła się znów do Harriet.

- Harriet, moja droga, nie masz chyba nic przeciw temu, by pozostać tu nieco dłużej? Obiecałam w drodze powrotnej podrzucić do domu lorda Gracemere'a, a on jeszcze siedzi w pokoju karcianym. - Towarzyszył temu wyjaśnieniu melodyjny śmiech. - Nie sądzę, by twoja mama była niespokojna. Wie przecież, że jesteś ze mną.

Harriet wymamrotała coś niezrozumiałego, ale jej oczy pobiegły do Judith z wyraźnym błaganiem.

- Właśnie miałam wezwać mój powóz - oświadczyła natychmiast markiza. - Jeśli Harriet jest zmęczona, z przyjemnością odwiezę ją do domu. Jestem pewna, że lady Moreton nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie! - przytaknęła pospiesznie Harriet. - A ja naprawdę jestem trochę znużona, lady Barret. - Dotknęła skroni i uśmiechnęła się blade. - Głowa zaczyna mnie boleć, tak tu gorąco.

Judith wyczytała jawną nienawiść w przelotnym spojrzeniu, jakie jej rzuciła Agnes. Zmroziło ją to, ale odpowiedziała dyskretnym, lecz pełnym triumfu uniesieniem brwi. To była otwarta wojna, ale właściwie o co?

Poniósłszy klęskę, Agnes skłoniła się lekko, wyraziła Harriet współczucie z powodu niedomagania, obiecała odwiedzić ją i oczywiście jej mamę jutro rano i odeszła.

- Dziękuję! - szepnęła Harriet.

Judith się roześmiała.

- Nie ma za co. Ale z ciebie znakomita aktorka! Sama niema! uwierzyłam w ten twój ból głowy. A teraz wyciągnijmy Sebastiana z pokoju karcianego, niech nas odwiezie do domu!

Ta sugestia spotkała się z natychmiastową aprobatą Harriet i obie wyruszyły na poszukiwanie młodzieńca. Kiedy weszły do karcianego pokoju, dziwny wyraz odmalował się na twarzy Sebastiana. Rzucił natychmiast karty i podszedł do nich.

- Nie powinnaś tu wchodzić! - powiedział niemal szorstko do Harriet, prowadząc ją z powrotem na salę balową.

- Przyszłyśmy po ciebie - wyjaśniła zdziwiona Judith. - Myślałyśmy, że zechcesz nas odwieźć do domu.

-Z największą przyjemnością. - Sebastian trochę się opamiętał, ale jego twarz nadal miała dziwny wyraz. - Zaraz rozkażę, żeby twój powóz zjechał.

- O co chodzi? - spytała szeptem Judith, gdy Harriet poszła po okrycie.

- Nie życzę sobie, żeby Harriet wchodziła do pokoju karcianego! - oświadczył równie cicho, ale gwałtownie. - To nie miejsce dla niej.

-Ach, tak?...

Judith udała się za Harriet do pokoju dla pań, rozważając słowa brata. Sebastian pragnął, by wejście do pokoju karcianego nie zbrukało jego przyszłej żony. Interesujące! Jak widać, to miejsce było dla niego symbolem wszystkiego, o czym chciał raz na zawsze zapomnieć, gdy porachuje się z Gracemere'em. Pokój karciany kojarzył mu się z bezpardonową grą, z rozpaczliwą sytuacją, z biedą, gniewem i niesprawiedliwością. Ale czyż nie wiązały się z nim także wspomnienia przyjaźni, łączącej go z siostrą? Zasmuciła ją myśl, że być może oddalą się od siebie z bratem.

Marcus właśnie wrócił, kiedy zjawiła się w domu.

- Już wybierałem się po ciebie do Sedgewicków - oznajmił, gdy tylko weszła do holu. - Miałaś przyjemny wieczór? - Otworzył przed nią drzwi do biblioteki.

Przyjemny? A jakże! Flirty z Gracemere'em i oszukiwanie podczas gry w karty. Wieczór pełen fałszu. Judith myślała, że jakoś to znieśie, wiedząc, jak istotne jest zachowanie tajemnicy, ale na dźwięk głosu męża ogarnęła ją panika. Poczowała, że się czerwieni i oblewa potem. Jak Marcus mógłby nie spostrzec, że sumienie ją gryzie? Instynkt nakazywał jej wymówić się zmęczeniem i popędzić na górę, nie wdając się w konwersację. Zamiast tego jednak starała się zachować naturalnie.

- Całkiem przyjemnie, dziękuję. - I weszła przed nim do biblioteki.

Czemu, u licha, nie mogła spojrzeć mu w oczy? Z pewnością Marcus wyczuje, że jest napięta jak struna!

- Kieliszek porto przed snem? - zaproponował.

- Wolałabym maderę. - Rzuciła okrycie na kanapę i podeszła do okna wychodzącego na skwer. Rozsunęła kotary i zauważyła inteligentnie: - Mroźna noc!

- Istotnie - potwierdził, stawiając na stole kieliszek żony i przyglądając się jej z rozbawieniem. - Cóż dostrzegłaś interesującego na skwerze o tak późnej porze?

Wzruszyła ramionami, zaśmiała się lekko i odeszła od okna.

- Nic, oczywiście. Licho wie. czemu jestem taka podniecona.

Marcus zauważył, że jej wesołość była wymuszona.

- Bardzo interesujące! - Sącył porto, spoglądając na żonę znad kieliszka. - Coś ty zbroiła, rysiczko?

- Ja? Cóż miałabym zbroić?

- Właśnie o to pytam.

Nadal obserwował ją bacznie, aż poczerwieniała.

- Na sali był straszny ścisk - odpowiedziała, pociągając zbyt duży łyk wina. - Pewnie dlatego jestem taka podniecona.

- To oczywiście wyjaśnia wszystko - odparł ze śmiertelną powagą.

Judith rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. Mąż wydawał się ubawiony, ale bynajmniej nie usatysfakcjonowany. Ziewnęła.

- Jestem zmęczona. Chyba się położyę.

- Myślałem, że jesteś podniecona? - przypomniał nie w porę.

Judith zaczęła obgryzać paznokcie.

- Bo jestem i nie jestem. To takie dziwne uczucie.

- Może przejdziemy się po skwerze? - zaproponował. - Trochę ruchu i chłodne nocne powietrze pomogą ci zdecydować, co ci właściwie dolega.

- Przestań się ze mną drażnić, Marcusie! - wykrzyknęła w bezsilnym gniewie, rozpaczliwie próbując odwieść go od tematu.

-Wybacz, o pani! - Podeszedł do niej i wyjął jej kieliszek z ręki. - Chodźmy na górę, tam wyciągnę z ciebie sekret przy użyciu całkiem innych metod.

- Nie ma żadnego sekretu! Nie rozumiem, o czym ty mówisz!

- Doprawdy? - Uniósł brwi. - Więc pozwól, że ci wyjaśnię. Wiem, że albo zabrnęłaś dziś wieczorem w diabelne kłopoty, albo się w nie pakujesz.

- Skąd wiesz, że... To znaczy... Nic nie możesz wiedzieć, bo nie ma żadnego sekretu! - Przygryzła wargę, czując, jak nieporadne jest jej zaprzeczenie.

Marcus pokręcił głową.

- Jeśli nie pozwoliłaś sobie na żadne sztuczki, ryszczko, lepiej powiedz mi, co cię trapi!

To było nie do wytrzymania.

- Rozmawiasz ze mną jak z dzieckiem, a nie z dorosłą kobietą, która właśnie wróciła z wyjątkowo nudnego balu! - powiedziała, przybierając pozę urażonej godności.

Marcus znowu pokręcił głową.

- Nie dam się na to nabrać. No, zdecyduj się wreszcie i powiedz mi, co knujesz!

Judith rozpaczliwie poszukiwała jakiegoś nieszkodliwego wyjaśnienia, które zadowoliliby jej męża.

- Po prostu jestem niemądra - wymamrotała w końcu. - Nie chcę o tym mówić.

Na czym ta głupota miała polegać? O czym nie chciała mówić? Nie miała pojęcia i żywiła tylko nadzieję, że Marcusowi to wystarczy. Nadzieja okazała się płonna.

- Nie pozostawiasz mi innego wyjścia - stwierdził, przyglądając się jej uważnie.

Było w tym spojrzeniu coś, co wzbudziło w niej najgorsze podejrzenia. Owszem, nie zniknęły z jego oczu rozbawienie ani zmysłowe błyski. Ale dostrzegła przede wszystkim niezłomny zamiar dotarcia do celu.

- Robisz z igły widły - spróbowała znów zbagatelizować sprawę. - Jestem nie w humorze, bo miałam męczący wieczór i zaczyna mnie boleć głowa.

Była to bardzo mizerna argumentacja i Judith nie zdziwiła się specjalnie, gdy nie odniosła skutku.

- Bzdura! - odparł stanowczo Marcus. - Coś knujesz i starasz się to przede mną ukryć. Wiem z doświadczenia, że to oznacza największe problemy. Nie mam zamiaru znów z tobą walczyć ani teraz, ani w przyszłości. Bądź więc tak dobra i powiedz, głośno i wyraźnie, o co chodzi!

Gdyby nie ten ciężar na sumieniu, Judith odpowiedziałaby na taką bezczelną prowokację w sposób, na jaki zasługiwała! Tej nocy jednak była zbyt przerażona, by się odgryzać mężowi.

- Proszę cię - powiedziała, przyciskając ręce do skroni. - Jestem naprawdę strasznie zmęczona. Nie znęcaj się nade mną!

Wyprowadziło to natychmiast Marcusa z równowagi.

- Ja się znęcam?! Ja chcę wiedzieć, co ci dolega, a ty mi mówisz, że się znęcam?!

- Wcale nie chcesz wiedzieć, co mi dolega! Uważasz, że coś przed tobą ukrywam, i chcesz to ze mnie wyciągnąć! To całkiem co innego, zapewniam cię!

- W moim przekonaniu to jedno i to samo, jeśli chodzi o ciebie, Judith!

- Pokręcił głową z wyrazem szczerego żalu. - No cóż, dograłaś się. Nie mów, że cię nie ostrzegałem!

- Marcus! - wrzasnęła Judith, gdy nagle została przerzucona przez ramię męża, a rozburzone loki opadły jej na twarz.

- Słucham, moja droga? - spytał z wielką troską, zmierzając do drzwi.

- Puść mnie, natychmiast! - Okładała go pięściami i kichała, bo włosy łaskotały ją w nos. Jej suknia ze szmaragdowej tafty nie nadawała się do takiego traktowania, a perłowe kolczyki obijały się o plecy Marcusa. Wierzgała zawzięcie nogami w białych aksamitnych pantofelkach.

- Owszem, kiedy będziemy już na górze - odpowiedział spokojnie, podtrzymując ręką jej wypięty tyłeczek; poza tym ignorował całkowicie jej ewolucje.

- Ale... służba! -jęknęła Judith. - Nie możesz mnie obnosić po całym domu w takiej upokarzającej pozycji!

- Nie mogę? - W jego głosie dźwięczał śmiech.

Judith opadła z jękiem, zamknęła oczy i modliła się, by cała służba była już w łóżku, z wyjątkiem oczywiście Millie i Cheveleya! Na myśl o nich wyprężyła się gwałtownie.

- O Boże! Marcus, musisz mi pozwolić wejść normalnie do mego pokoju!

- Muszę?

- Proszę cię!

Przystanął w połowie schodów.

- Jeśli wyznasz mi szczerze to, czego chcę się dowiedzieć, pozwolę ci wejść do pokoju na własnych nogach.

- O Boże! - wymamrotała znowu Judith. I w tejże chwili spłynęło na nią olśnienie. Miało to widać związek z nagłym napływem krwi do głowy. Ależ tak, oczywiście! I to wcale nie będzie kłamstwo, tylko cząstka prawdy.

Kiedy nie odpowiedziała natychmiast na jego ultimatum, Marcus podjął znów wspinaczkę, dźwigając swe brzemie pozornie bez wysiłku.

- Proszę cię! - zaskomlała, gdy dotarli do szczytu schodów. - Postaw mnie na ziemi, a ja ci wszystko wyjaśnię, jak tylko znajdziemy się w moim pokoju. Daję słowo!

Marcus nie odpowiedział, tylko maszerował korytarzem w kierunku sypialni Judith. Przy drzwiach jednak zatrzymał się, zdjęty litością.

- Słowo rysicy?

- Słowo Davenportów! - wysapała. - Nie zniósłabym, gdybyś mnie tam wtaszczył jak worek kartofli!

Ze śmiechem postawił ją na podłodze, podtrzymując w talii, póki nogami nie dotknęła ziemi.

- Uprzedzałem cię, że znam różne metody perswazji!

Judith odgarnęła włosy z oczu i próbowała wygładzić sponiewieraną suknię. Spojrzała groźnie na męża. Twarz miała zaczerwienioną z oburzenia i na skutek podróżyowania w tak niezwykłej pozycji.

- Jak mogłeś?!

- Bez trudu.

Otworzył drzwi i z kpiącym ukłonem przepuścił ją przed sobą.

- Jezusiczkule! - wykrzyknęła Millie, zrywając się z krzesła. - Co też się stało z panią suknią?! - Spoglądała, nie wierząc własnym oczom, na zrujnowaną toaletę markizy i jej dziko skłębione loki.

- Czuję się tak, jakby mnie jakiś dzikus włókł za włosy przez ciernie!
- oświadczyła Judith, rzucając mężowi piorunujące spojrzenie.

Marcus uśmiechnął się szeroko.

- Masz kwadrans na wyszykowanie się do łóżka, madame. Potem wywiązesz się z umowy.

- Wymuszenie, a nie umowa! - burknęła Judith, gdy wewnętrzne drzwi zamknęły się za markizem. - Pomóż mi się rozebrać, Millie! Kwadrans to nie tak znów dużo czasu!

- Pewnie, że nie! Ale co się stało?

- To przez głupie żarty jego lordowskiej mości - wyjaśniła Judith, spoglądając na swe odbicie w ściennym lustrze. - Ale ze mnie straszdyło!

Millie pomogła swej pani włożyć nocną koszulę i wyszczotkowała jej włosy, które znów przypominały miedzianą chmurkę.

- Jeśli nie jestem już potrzebna, to od razu zajmę się tą suknią! - Podniosła nieszczęsną kreację i skierowała się ku drzwiom.

- Doskonale, Millie. Dziękuję i dobranoc!

Judith pogasiła wszystkie świece z wyjątkiem jednej i wskoczyła do łóżka. Oparła się o stos poduszek i podciągnęła kołdrę pod brodę, by zaprezentować obraz Bogu ducha winnej damy w nocnym stroju Marcusowi, kiedy przyjdzie wysłuchać jej wyjaśnień. W toku działania panika ją opuściła. Teraz już wiedziała, jak poradzić sobie z sytuacją. Była równie spokojna jak wówczas, gdy grała o wysoką stawkę na Pickering Street.

- No i co, moja pani żono? - Marcus zamknął drzwi za sobą i zbliżył się do łóżka. - Możesz sobie wyglądać jak uosobienie niewinności, ja i tak wiem swoje. No, gadaj! - Pstryknął palcami.

Judith zmarszczyła brwi i usiadła prosto.

- Powiedziała ci już, że jestem niemądra i robię z igły widły, ale jeśli tak nalegasz, to ci powiem. Chodzi o Agnes Barret. - Opadła znów na poduszki z miną osoby, którą zmuszono do wykonania trudnego i bezużytecznego zadania.

- O Agnes Barret? - Marcus przysiadł w nogach łóżka. - Wyjaśnij to dokładnie!

- Nie wiem jak - stwierdziła i w jej głosie zabrzmiała szczerłość. - Ta kobieta strasznie mnie denerwuje. Mam wrażenie, że toczę z nią walkę na śmierć i życie, tylko nie wiem, o co chodzi i jak mam z nią walczyć. Ilekroć się z nią stykam, dostaję już nie gęsiej, ale krokodylej skórki!

- Dobry Boże! - Marcus podniósł świecę do góry; twarz Judith w tym oświetleniu wyglądała jak płaskorzeźba. Wyczytał szczerłość w jej oczach.

- A co się wydarzyło dziś?

Wzruszyła ramionami.

- Posprzeczałyśmy się, a właściwie nie... tylko przeszkodziłam jej w odwiezieniu do domu Harriet i była wściekła. Nie masz pojęcia, jakim wzrokiem na mnie spojrzała! Z jakiegoś powodu przyczepiła się do Harriet.

- Judith zaczęła skubać pościel. - Mam wrażenie, że Agnes i Gracemere... są kochankami.

Marcus zmarszczył brwi.

- Całkiem możliwe. Znają się podobno od dzieciństwa. Ale czemu miałybyś się tym przejmować?

- To takie krępujące - wykrztusiła, owijając wokół palca nitkę wyciągniętą z prześcieradła. - Właśnie dlatego nie chciałam z tobą o tym rozmawiać. Mam wrażenie, że Gracemere zaleca się do Harriet, tylko ona nie chce mieć z nim do czynienia, a Agnes stara się umożliwić im zbliżenie.

- Rozumiem.

Rozumiał naprawdę. Harriet nie była pierwszą posażną panną, o którą Gracemere się ubiegał. Ona jednak trzymała go na dystans, nie była drugą Marthą. Wygląda na to, że Sebastian okazał się groźniejszym niż on przeciwnikiem dla Gracemere'a.

- Już się naburmuszyłeś! - powiedziała Judith. - A nie powiedziałam jeszcze nic, co by cię mogło rozżłościć!

Przestał stroić groźne miny do wspomnień i się uśmiechnął.

- Mój Boże, rysiczko! Masz jeszcze coś dla mnie w zanadrzu?

- Sama nie wiem, tak czy nie - mówiła z rozważą, nadal kręcąc w palcach nitkę.

- No, wyduś to z siebie!

- No... Ilekroć jestem z Harriet, a ona rozmawia z Agnes, Gracemere kręci się koło mnie. - Spojrzała na męża, unosząc ciemne brwi. - Nie chciałam poruszać drażliwych tematów.

- Moja droga, temat nie będzie drażliwy, jeśli nie zaczniesz ośmielać Gracemere'a. Od czasu do czasu musisz znosić jego obecność. A ja nie

umrę na sam dźwięk jego nazwiska - podsumował z cierpkim uśmiechem.

- Wolałam nie ryzykować - powiedziała z całkowitą szczerością.

Marcus pochylił się, chwycił jeden z jej loczków i owinał sobie dokoła palca.

- A więc to cię nękało dziś wieczorem?

- Tak - potwierdziła. - Ale teraz, kiedy zmusiłeś mnie, bym ci to wyznała, mam wrażenie, że coś sobie uroiłam na temat Agnes, i czuję się wyjątkowo głupio!

Marcus roześmiał się i zrzucił brokatowy szlafrok.

- W takim razie musimy cię podnieść na duchu. Posuń się!

Judith spełniła jego życzenie. Tym razem niewielkim kosztem wywinęła się z trudnej sytuacji. Jak długo jeszcze szczęście będzie jej dopisywało?

24

Nie rozumiem, jak możesz traktować tak obojętnie zaloty Gracemere'a do Harriet! - Judith zacisnęła kurczowo ręce ukryte w mufce z łabędziego puchu. Popołudnie było stanowczo zbyt mroźne na tradycyjną przechadzkę po parku. Przepisy dobrego tonu okazały się jednak silniejsze od wygody osobistej i spacerowiczów było niemal tak dużo jak w najpogodniejszy dzień.

Sebastian przejechał laską po bezlistnym żywopłocie.

- Sama powiedziałaś, że Harriet go nie znosi - odparł. - A mnie kocha - dodał z nutką triumfu. - To po co mam się przejmować Gracemere'em? Gdyby to był ktoś inny, nawet bym mu współczuł.

- On jest w znowie z Agnes Barret!

- Nie bądź melodramatyczna, Ju! W znowie, też coś! Jakież to spisek mieliby knuć?

Judith pokręciła głową. Nie umiała tego sprecyzować, ale czuła, że Agnes i Bernard to ucieleśnienie zła.

- Są kochankami - powiedziała.

Sebastian wzruszył ramionami.

- Możliwe. I co z tego?

Judith dała za wygraną i pospiesznie zmieniała temat.

- Przyjedziesz do Carrington Manor na Boże Narodzenie?

- A gdzie miałbym się udać? - odparł ze śmiechem.

- Mógłbyś spędzić święta w towarzystwie lorda i lady Moreton - oświadczyła wyniosłym tonem Judith. - Jestem pewna, że z racji Bożego Narodzenia uraczą cię czymś więcej niż kleik i słaba herbatka.

- Nie płęć! - ofuknął ją łagodnie brat.

Dobrze wiedział, że siostra zamierza zaprosić na święta Harriet i taktownie wymigać się od zaproszenia jej rodziców.

Judith pomachała ręką do przejeżdżającego landa w odpowiedzi na żywołowe pozdrowienia siedzących w nim dam.

- To Isobel i Cornelia.

Małe lando się zatrzymało.

- Masz absolutnie boski kapelusz, Judith! - orzekła Isobel. - Witaj, Sebastianie! Widziałam takusienki u modystki, ale wcale mi się nie spodobał. Nawet go nie przymierzyłam. „Jeszcze sobie pomyślą, że wyłysiałam czy coś podobnego!” - powiedziałam sobie.

Sebastian dopiero teraz zauważył rzeczony kapelusz. Był to rodzaj hełmu, obejmującego ciasno głowę siostry. Zakrywał całkowicie włosy i dzięki temu uwypuklał rysy.

- Grunt to struktura kostna - skomentowała Cornelia. - Trzeba mieć wyjątkowo piękną twarz, żeby coś takiego nosić. - Sięgnęła chusteczką do zaczerwienionego nosa. - Bardzo żałuję, Isobel, że dałam ci się namówić na ten spacer. Jest zimno jak licho i znacznie przyjemniej byłoby mi z książką przy ogniu!

- E tam! Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi - odparła Isobel. - Nie możesz całymi dniami ślezczyć nad jakąś łaciną! Prawda, Judith? A pan co o tym sądzi, Sebastianie?

Sebastian przyjrzał się czerwononosej, wyraźnie niezadowolonej Corneli.

- Myślę, że lektura przy kominku też ma swoje zalety, choć ja osobiście nie przepadam za klasykę.

Cornelia kichnęła i wytarła nos.

- To wcale nie była łacina, tylko powieść *Guy Mannering*. Słyszałaś o niej, Judith?

Judith skinęła głową.

- Nawet mam ją w domu, ale jeszcze nie przeczytałam. To podobno dzieło sir Waltera Scotta?

- Tak, chociaż on się do tej powieści nie przyznaje.

Podmuch wiatru wprawił w drżenie pióro na kapeluszu Isobel. Stangret zakasłał znacząco, konie niecierpliwie przebierały nogami.

- Konie wyraźnie marzną, Isobel - zauważył Sebastian. - Nie powinny długo stać przy takiej pogodzie.

- Ani ludzie spacerować! - oświadczyła Judith, otulając się szczelniej pelisą.

Pomachawszy odjeżdżającym damom, zwróciła się znów do brata:

- Myślę, że czas przyspieszyć nasz atak na Gracemere'a. Powinniśmy zakończyć sprawę przed Bożym Narodzeniem.

Sebastian skinął głową.

- Już się nam nie wywinie! Zacznę przegrywać coraz większe sumy, by zaostriżyć mu apetyt przed ostatnim starciem.

- Mamy na to dość pieniędzy?

- Starczy!

- Czy on znów szachrował?

- Dwukrotnie. Przegrałem beztrósko. Ani mu w głowie, że wiem, jak je zdobył!

- Za trzy tygodnie będzie bal u księżnej Devonshire - rozważała Judith. - Tydzień przed świętami. Idealna okazja do zdemaskowania Gracemere'a: będą tam dosłownie wszyscy.

Sebastian zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął energicznie głową.

- Odtąd będę grał z nim przeważnie w pikietę. Od czasu do czasu wygram, ale na ogół będę przegrywał i to grubo. W przeddzień balu stracę do niego tyle, że pomyśli, iż jestem o krok od ruiny. I postanowi nazajutrz dokończyć dzieła.

-A wtedy my... -Judith zadrżała, ale nie z zimna.

W ustalonym dniu wspólnymi siłami zniszczą Gracemere'a.

- Udam zafascynowaną waszym „pojedyńkiem”. Pomyśli, że jestem wyjątkowo głupia: nie widzę, że podrzyna ci gardło!

- Musisz się postarać, żeby Marcus był tego wieczoru gdzie indziej - powiedział rzeczowo Sebastian.

- Tak - zgodziła się Judith. Po czym dodała porywczo: - Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam to udawanie! Czuję się jak ostatnia zdrayczyni.

- Już tylko trzy tygodnie - powiedział cicho Sebastian. - Nie więcej. Ja też nie zniósłbym tego dłużej, Ju.

- Wiem. - Chwyliła go za rękę i uściśnęła ją aż do bólu. Za chwilę jednak odezwała się pogodnym tonem, by rozładować napięcie. - Pomyślałeś już, jak sobie poradzisz z Letitią?

Sebastian jęknął.

- Mam nadzieję, że do Yorkshire jest dość daleko, by nie nękała nas ciągłymi wizytami.

- Czy Harriet zdoła przeciwstawić się mamusce?

Sebastian się zastanowił.

- Tak, jeśli będzie miała oparcie we mnie - odparł po namyśle. - Myślę, że kiedy się pobierzemy, prędzej zdecyduje się zmartwić swoją mamę niż mnie.

Judith wybuchnęła śmiechem.

- To takie słodkie, uległe stworzonko, Sebastianie! Co za szczęście, że zakochała się w kimś, kto nigdy jej nie skrzywdzi!

Przebiegł ją niepokojący dreszcz; przed oczyma ujrzała znów złączone postacie Agnes i Gracemere'a.

- Muszę wracać do domu - powiedziała, gdy dotarli do Apsley Gate.

- Będą dziś u nas na obiedzie lord Castlereagh, lord Liverpool i książę Wellington.

- W jakich wysokich kręgach się obracasz! - zauważył ze śmiechem Sebastian. - Premier i minister spraw zagranicznych, ni mniej, ni więcej!

- Podejrzewam, że teraz, gdy wojna już nam nie grozi, Marcus poważniej zainteresuje się polityką - odparła. - Podobnie jak Wellington. Według Marcusa ma on bardzo prostą filozofię życiową: służyć królowi i ojczyźnie tam, gdzie w danej chwili jest potrzebny: czy to na polu bitwy, czy to w parlamencie. Wellington jest najpopularniejszym człowiekiem w kraju, a w Izbie Lordów ma takie wpływy, że mógłby zjednoczyć torysów znacznie łatwiej niż Liverpool. - Zmarszczyła brwi. - Nagłe coś mi przyszło do głowy. Może Marcus chciałby wejść do rządu stworzonego przez Wellingtona?

- Moja siostra panią ministrową! - powiedział Sebastian, udając zbożny lęk. - Spiesz więc do domu i oczaruj te znakomitości!

- To dziwne, ale Wellington wcale mnie nie onieśmiela - wyznała Judith. - Może dlatego, że przespałam kiedyś noc na stole w jego kwatery głównej. A poza tym straszny z niego flirtiarz!

- W takim razie pasujecie do siebie jak ulał! - droczył się z nią brat.

Po powrocie do domu Judith zastała liścik od hrabiego Gracemere'a, wzywający ją do spłacenia długu honorowego. Miała nazajutrz wziąć wraz

z nim udział w ridotto w Ranelagh. Judith nachmurzyła się, zabrała ze sobą liścik do sypialni i zadzwoniła na Millie. Czekając na pokojówkę, schowała zaproszenie na samo dno szuflady.

Bernard wybrał doprawdy osobliwe miejsce na spłatę honorowego długu! Ridotto w Ranelagh było dostępną dla wszystkich, ordynarną maskaradą, w której osoby z dobrego towarzystwa z reguły nie uczestniczyły. Ale może o to właśnie chodziło? Hrabia chciał, by o ich spotkaniu nikt się nie dowiedział? Ale z drugiej strony, nie podejrzewała Gracemere'a o taką troskliwość. Prawdopodobnie chodziło więc o jakiś kawał.

Oczywiście nie pojedzie tam! Tylko że to by ją skłóciło z hrabią. Nie zdąży go udobruchać do balu u księżnej Devonshire, a wówczas zamierzała towarzyszyć mu jak cień!

- Którą suknię, proszę jaśnie pani?

- Co takiego, Millie? - Spojrzała na pokojówkę nieprzytomnym wzrokiem. Millie stała cierpliwie koło szafy.

- Którą suknię włoży pani dziś wieczorem?

- A prawda! - Judith skoncentrowała się na tym istotnym problemie.

- Chyba tę słomkową, z tafty.

-I do tego szafiry - odezwał się Marcus, stając w wewnętrznych drzwiach. Czarne oczy błyszczały mu wesoło. - Przyciągną uwagę do dekoltu, który i bez tego robi duże wrażenie. Księżę z pewnością go doceni.

Judith zachichotała.

- Należy dbać o gości!

- To obowiązek gospodarzy - przytaknął z całą powagą.

- A dobra żona powinna wspierać ambicje męża - zakończyła słodkiutko.

Marcus uśmiechnął się krzywo.

-Domyśliłaś się?

- Które ministerstwo. cię nęci? Spraw zagranicznych, a może wewnętrznych?

Wzruszył ramionami.

- Tego jeszcze nie wiem. Zależy od tego, na co polują Peel i Canning. Zresztą to sprawa dalekiej przyszłości. Teraz chciałbym tylko przygotować grunt.

- Postaram się oczarować twoich gości - obiecała. - Ale Castlereagh to skwaszony jegomość. Jestem pewna, że nie pochwała flirtów!

Marcus się roześmiał.

- Pal go sześć! Moja przyszła kariera zależy od Wellingtona, kochanie!

Judith na cały wieczór zapomniała o Gracemerze. Było to fascynujące spotkanie i zasypiając we wczesnych godzinach rannych, myślała, że całym jej odpowiada rola żony polityka!

Gdy Marcus obudził się nazajutrz, był piękny ranek. Zegar na kominiku wybijał właśnie dziewiątą, ale Judith nadal spała. Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią.

Leżała na wznak, z rękoma nad głową, z rozchylonymi ustami. Wydawała się jeszcze młodsza, dziwnie bezbronna i niewinna jak dziecko. Niepodobna do światowej damy, która oczarowała gości ubiegłego wieczoru.

Mógł się spodziewać, że efektem jej kontynentalnego wychowania będzie ogłada towarzyska, duży zasób wiadomości, znajomość świata. Nie przypuszczał jednak, by podczas swoich podróży Judith zetknęła się z arystokracją. A jednak ani razu nie popełniła faux pas i czuła się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie. Z Sebastianem było tak samo. Aż dziw, że George Davenport w tak niesprzyjających warunkach dochował się takich dzieci! Nie po raz pierwszy Marcus zastanawiał się nad antenatami Davenportów. Judith utrzymywała, że nic o nich nie wie. Jej ojciec twierdził podobno, że nie mają oni znaczenia, a rodzina powinna kształtować się sama. Marcus widział w tym pewien sens.

Położył się znów obok Judith i oparł udem o jej ciepłą, jedwabistą nogę. Sama bliskość i zapach żony spowodowały, że zalała go fala gorąca. Nie opierał się jej i delikatnie obrócił Judith na bok. Mruknęła coś przez sen, Przytulił się do niej, a ona bezwiednie otarła się tyłeczkiem o jego brzuch, Uśmiechnął się: jej ciało nawet bez kontroli umysłu dobrze wiedziało, co robić. Pogłaskał leciusiętko jej uda. Znow coś zamruczała i podciągnęła kolana do góry, nadstawiając się w niemym zaproszeniu.

Zanurzył się w niej, pieszcząc dłońmi jej piersi, wtulając twarz w chmurę pachnących, połyskliwych włosów. Ona zaś zacisnęła się wokół niego, mięciutka i aksamitna, tak iż stał się częścią niej. Czuł, jak całe jej ciało ożywa, krew zaczyna żywiej krążyć w żyłach, mięśnie nabierają prężności, umysł staje się znów bystry i jasny. Fantazjował przez chwilę, że to on tchnął w nią życie, stworzył ją dla nowego dnia.

- Dzień dobry, rysiczko! - szepnął jej we włosy.

Zaśmiała się sennie.

- Jeszcze nikt mnie w taki miły sposób nie budził! - Przewróciła się znów na wznak i zamrugała powiekami, gdy pochylił się nad nią. Dotknęła jego ust koniuszkiem palca. - Dobrze ci się spało?

- Cudownie. - Zsunął się z łóżka, przeciągnął się i ziewnął. - Jakie masz piany na dzisiaj?

Judith usiadła wsparta o poduszki, zachwycając się widokiem. Marcus na golasa - co za radość dla oczu! Jednakże jego pytanie przypomniało jej o problemie, z którym musiała się uporać.

- Chyba pojeździmy sobie konno z Sebastianem - powiedziała. Przedstawi sprawę bratu i razem wymyślą jakieś rozwiązanie.

Marcus posłał jej całusa i wyszedł, a Judith odrzuciła kołdrę i zadzwoniła na Millie.

Rozwiązanie okazało się zdumiewająco proste.

- Jedź do Ranelagh - powiedział Sebastian. - A ja już się postaram znaleźć cię tam. Będę z grupą przyjaciół. Cała paczka ciut-ciut pod gazem i bardzo wesolutka. Nie zdołacie się od nas odczepić. Spełnisz życzenie Gracemere'a. ale przez cały czas będziesz pod skrzydłami brata. Powiesz Marcusowi, jak tylko wrócisz do domu, gdzie byłeś; założę się, że nie przejmie się tą eskapadą. Jeśli mu się nie spodoba, że wzięłaś udział w takiej wulgarnej rozrywce, to jakoś zniesiesz jego dezaprobatę.

Zrobiła zawiedzioną minę.

- Bura od Marcusa to nic przyjemnego!

- Na pewno nie jest to zbyt wysoka cena za taki wybryk!

Judith nie była tego pewna, ale nic już nie powiedziała.

25

Plan Sebastiana powiódł się znakomicie. Marcus był na obiedzie z przyjaciółmi, nie widział więc żony opuszczającej dom w kremowym dominie, z maską przewieszoną przez ramię. Na rogu skweru w powozie czekał na nią Gracemere.

Judith powitała go olśniewającym uśmiechem.

- Co za wspianiała przygoda, milordzie! - emocjonowała się jak dziecko w obliczu niezwyklej atrakcji. - Jeszcze nigdy nie byłam na publicznej maskaradzie!

Hrabia pochylił się nad jej dłonią.

- A więc mam zaszczyt zapoznać cię z urokami ridotta. - Podsadził ją do powozu i wszedł za nią. - Mam nadzieję, że spodoba ci się Ranelagh. Niektórzy uważają, że ładniej tam niż w Vauxhall.

Wieczór był stosunkowo ciepły i Judith szczerze zachwycałaby się widokiem ogrodów rześkie oświetlonych niezliczonymi złotymi lampionami, gdyby nie miała ważniejszych spraw na głowie. Musiała czym prędzej spotkać się z Sebastianem i jego kompanią, zanim zagubią się w tłumie anonimowych postaci, paradujących po alejkach parku w dominach i maskach.

- Chciałabym zatańczyć - oznajmiła. - Możemy przejść do pawilonu?

- Jak najbardziej! - Hrabia skłonił się i wziął od niej maskę. - Pozwól.

Jakoś wytrzymała dotyk jego palców, zręcznie zawiązujących sznureczki maski; starała się trzymać od niego możliwie daleko, by nie zdradzić swej głębokiej odrazy. Pozostawiła kremowe domino niezapięte. Zwisało jej z ramion, ukazując balową suknię z szafirowej tafty. Ten intensywny kolor sprawił, że włosy Judith zapłonęły ogniem; Sebastian nie będzie miał trudności z rozpoznaniem jej w tłumie - mimo maski.

Okружиł salę zaledwie raz, a Sebastian już ich wypatrzył. Stał z grupą przyjaciół, opierając się o ścianę i robiąc oko do tancerek, które wyglądały na wolne od przesądów i gotowe na wszelkie rozkosze ridotta. Młodzieńcy popijali porter i gin i wymieniali niezbyt subtelne uwagi na temat obecnych.

- Wielki Boże! To moja siostra - oznajmił Sebastian z lekka przepitym głosem, gdy Judith i Gracemere znaleźli się w jego zasięgu.

Judith poczuła, że jej partner nagle zeszytywniał.

- Sebastianie! - zawołała, wrywając się z ramion hrabiego. - Co ty tu robisz? Czy to nie fantastyczna zabawa? Nigdy nie widziałam takich ludzi! Wyobraź sobie, gonili się przed chwilą dokoła sadzawki! Ł zdjęli maski. O, bardzo przepraszam, milordzie! - Odwróciła się z promiennym uśmiechem do hrabiego. - Co za zbieg okoliczności! Mój brat też tu jest!

- Widzę. - Gracemere się skłonił. - Witaj, Davenport! Twoja siostra chciała zakosztować uroków ridotta, więc zaferowałem się jako eskorta.

-- Ależ, Ju! Wiesz przecież, że sam bym ci towarzyszył - powiedział z wyrzutem Sebastian. - Ale pozwólcie, że zaznajomię was z moimi przyjaciółmi!

Kiedy Judith wzięła brata pod ramię, kobietą w zielonym dominie wysunęła się ze swej kryjówki we wnęce okiennej. Nie zapowiadało się na

żaden skandal; nie będzie okazji donieść markizowi o wiarołomstwie żony. Agnes Barret wróciła do domu.

Tak starannie opracowany przez hrabiego plan uwiedzenia spalił na panewce. Sebastian, podochociwszy się ginem i porterem, trwał w przekonaniu, że Gracemere jest zachwycony tym przypadkowym spotkaniem i nic go bardziej nie ucieszy niż wspólny obiad w rotundzie, skąd mogli obserwować bawiących się mieszczuchów i kokotki. Padło wiele żartobliwych uwag na temat ewentualnej reakcji Carringtona na udział żony w tak wulgarnych rozrywkach. W dodatku w trakcie wieczoru Judith podchmieliła się równie mocno jak jej brat i jego kompania.

Gracemere mógł tylko siedzieć i czekać niecierpliwie, kiedy to się skończy. Czuł się jak podstarzały wujaszek, który trafił na hulankę rozwrzeszczanych młokosów. Judith z pewnością nie zachowywała się jak przystało markizie; szczęściem, maska zapewniała jej anonimowość. Można by jej zresztą zarzucić jedynie hałaśliwe zachowanie. O publicznym skandalu nie było co marzyć. Zamiast intymnego obiadku w nastrojowo oświetlonej łoży krzykliwa biesiada na oczach tłumu. A w dodatku Judith była w towarzystwie brata.

Na koniec hrabia musiał jeszcze znieść towarzystwo rozchichotanego Sebastiana w powozie. Odmowa podwiezienia go do domu wyglądałaby bardzo dziwnie. Hrabia siedział więc w kącie, przysłuchując się z niesmakiem pijackim śmiechom i niestosownym uwagom rodzeństwa.

Kiedy powóz zatrzymał się na Berkeley Square, Sebastian wyskoczył.

- Odprowadzę siostrę do domu! - rzucił Gracemere'owi głosem przerywanym przez czkawkę. - Dzięki za podwiezienie! Fantastyczny wieczór, fantastyczna zabawa! - Przyłożył palec do ust. - Ale cicho sza, prawda?

Hrabia westchnął i przytaknął bez entuzjazmu. Potem podniósł rękę Judith do ust.

- Chyba rozumiesz, moja droga, że nie uważam tego za spłatę długu. Warunki umowy nie zostały spełnione.

Judith zamrugała niezbyt przytomnie. Wyraźnie zmagająca się z pamięcią.

- Jaki dług? A prawda! - Uśmiechnęła się z triumfem. - Już pamiętam! Musimy znowu zagrać w pikietę, wiesz? Wtedy na pewno wygram i popędzę twoje karę przez Richmond Park!

- Być może - odparł z kwaśnym uśmiechem. - Ale przedtem powinnaś uregulować dług. Wiem, że nie będziesz się wzbraniać!

- Nie, nie! Jasne, że nie. - Judith czknęła, uśmiechnęła się niewyraźnie i wysiadła, potykając się na schodku.

Potem odwróciła się i pomachała hrabiemu z całego serca. Zastukał na stangreta i konie ruszyły. Gracemere wyrżał raz jeszcze przez okno, gdy skręcali za róg. Brat i siostra, chichocząc, pokonywali z trudem frontowe schody.

Co za cholerny pech! A ta łatwowierna idiotka ma w dodatku słabą głowę. Następnym razem trzeba wymyślić coś lepszego.

- No, uporaliśmy się z tym całkiem nieźle - zauważył Sebastian, sięgając do kołatki.

Judith pokręciła głową.

- Gracemere uznał, że to się nie liczy, i żąda powtórki.

- Jakoś go przechytrzymy - zapewnił ją brat.

Judith się roześmiała.

- Pewnie że tak! Ale obawiam się, że uważa ciebie za jeszcze większego durnia niż przedtem!

Jeszcze się śmiali, gdy odźwierny im otwierał.

- Dobry wieczór, jaśnie pani.

- Dobry wieczór, Norris. Czy jego lordowska mość wrócił?

- Tak jest, milady. Chyba jest w bibliotece.

W głowie Judith pod wpływem odniesionego sukcesu zrodził się szalony pomysł. Później miała dojść do wniosku, że był wyjątkowo głupi. Pospiesznie rzuciła bratu „dobranoc!” i weszła do domu, kierując się wprost do biblioteki. Po drodze zawiązała znów maskę.

Siedzący przy ogniu i czekający na powrót żony Marcus podniósł wzrok znad Tacyta, gdy drzwi się otworzyły.

- Dobry wieczór, milordzie! - powiedziała Judith, opierając się o drzwi z niezbyt przytomnym uśmiechem. - Miło ci czas minął? - Wypowiedź przerywana była lekką czkawką.

- Owszem, dziękuję. - Marcus zamknął książkę i spojrzał na żonę z pewnym zdumieniem. Opierała się jakoś bezwładnie o framugę i uśmiech miała dziwnie nijaki. - A tobie jak minął wieczór?

- Fantastycznie! - Znów czknęła. - O, bardzo przepraszam... - Zakryła usta ręką. To jakoś tak... mimo woli... Głupio wyszło... - I zachichotała.

Zauważył, że maskę ma przekrzywioną.

- Judith, czyś ty aby nie pijana? - Wydawało się to niemożliwe, ale zbyt często widywał podobne objawy, żeby ich nie poznać.

Pokręciła energicznie głową i znowu czknęła,

- Oczywiście, że nie... najwyżej odrobinę zawiana. - Zatoczyła się i znów zachichotała. - Nie bądź taki sztywny! To nieładnie, kiedy ja czuję się tak ciepłutko i przytulnie.

- Chodź no tu! - polecił, odkładając książkę.

Judith oderwała się od drzwi i ruszyła ku niemu zyzgakiem, wpadając po drodze na okrągły stolik.

- Ojej! - Podtrzymała go i z wielką troskliwością ustawiła prosto. - Bardzo jestem nieuważna. Wcale go nie widziałam!

- Więc jak ci minął wieczór, mężusiu? - Klapnęła mu na kolana z westchnieniem ulgi. - Nogi mi się zmęczyły. Założę się, że nie bawiłeś się tak dobrze jak ja! O, przepraszam! - Znowu dostała czkawki, po czym oparła mu głowę na ramieniu, uśmiechając się krzywo. Oczywiście miała prawie zamknięte.

- Gdzieś ty była, u licha? - spytał, rozwiązując jej maskę z tyłu głowy. Był ubawiony i zgorzony równocześnie.

- W Raneiaigh - odparła z przymilnym uśmiechem na twarzy. - Na riddotto. Bardzo ordynarne, ale fantastyczna zabawa! Byłam z Sebastianem i jego przyjaciółmi. - Oczywiście miała całkiem zamknięte, ale nadal się uśmiechała.

Udział w wulgarniej maskaradzie to jedno, ale powrót do domu w takim stanie to całkiem co innego!

- Coś ty piła, u diabła?

- Gin - odparła.

- Gin?!

- I porter - dodała, jakby to miało polepszyć sprawę. Przytuliła się do jego ramienia. - Powinieneś być wybrać się z nami!

- Nie przypominam sobie, żebyś mnie zapraszała - zauważył sucho.

- Ale gdybym był z wami, z pewnością nie wróciłabyś do domu w takim stanie!

Zatrzepotała kokieteryjnie rzęsami.

- Nie będziesz mi chyba prawić kazania?

Marcus westchnął.

- Niewiele by to dało w twoim obecnym stanie. Sama odczujesz skutki własnej głupoty. Nie chciałbym być jutro rano w twojej skórze!

- Bzdura! - sprzeciwiła się i dostała znów czkawki.

- Sama się przekonasz. No chodź, położę cię do łóżka. - Podniósł się, trzymając ją na rękach. Objęła go ramieniem za szyję i przylgnęła do niej twarzą.

- Na litość boską, nie wierć się! Nie chciałym cię upuścić.

- Ja też bym tego nie chciała - wymamrotała. - Chyba powiedziałam Millie, żeby nie czekała na mnie.

- Całe szczęście! Co też by sobie pomyślała, widząc cię w takim stanie?

- Och, nie bądź takim świętoszkiem!

Pociągnęła go za nos.

- Przestań, Judith! - Niezadowolone stanowczo brało górę nad rozbiawieniem.

Kiedy dotarli do jej sypialni, rzucił ją na łóżko. Odbiła się jak piłka, ziewnęła i rozrzuciła szeroko nogi i ręce.

-A teraz będę spać!

- Nie możesz spać w ubraniu.

Uniosł jej nogi i ściągnął aksamitne pantofelki. Podkasał spódnicę i zrolował jedwabne pończoszki.

- Wstawaj!

Postawił ją na nogi i rozpiął suknię. Judith słaniała się i nuciła coś z rozanielonym uśmiechem.

Suknia opadła na podłogę z szelestem tafty, a Marcus przypomniał sobie, jak pierwszy raz rozbierał Judith w Quatre Bras. W innych warunkach to wspomnienie podnieciłoby go. Tym razem nie. Ściągnął jej halkę, rozwiązał tasiemki pantalonów.

Otworzyła nagle oczy pełne sennej, zmysłowej zachęty i przesunęła rękoma po swym ciele. Miała na sobie tylko obróżkę z pereł i perłowe kolczyki. Rzuciła mu ten sam uśmiech, krzywy, ale uroczy.

- Boże święty! - mruknął Marcus. - Gdzie jest twoja koszula nocna? - Znalazł ją w szafie i podnosząc żonę do pozycji siedzącej, narzucił jej na głowę obszerną szatę z batysty. - Gdzie masz ręce?

-Tutaj! - wymamrotała spod obfitych fałdów, trzepocząc ramionami.

- Dobry Boże! - mruknął znowu, wypychając odporne kończyny w długie rękawy. - Od tej pory, moja pani żono, poza domem nie weźmiesz do ust nic prócz orszady i lemoniady. Zrozumiano?

Zdjął z niej biżuterię i ulokował Judith pod kołdrą. Stał teraz nad nią, kręcąc głową.

Nagle otworzyła szeroko oczy. Roześmiała się do niego. Wszystkie ślady upojenia alkoholowego zniknęły.

-Oszukałam cię! Nie sądziłam, że mi się uda!

Szczęka mu opadła.

-Judith, ty... ty diabolic!

Spoglądał na nią nie wierząc własnym oczom. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest absolutnie trzeźwa. Uniosła się na poduszkach i zachichotała.

- Powinieneś lepiej mnie znać! Nigdy się nie upijam. To tylko sztuczka, którą wyćwiczyliśmy z Sebastianem do perfekcji. Powinieneś zobaczyć nas w duecie!

- Wyobrażam sobie, ilu durniów na nią nabraliście - powiedział bezbarwnym głosem.

- No, owszem, zdarzało się. To całkiem niewinna sztuczka.

- Niewinna?! - zaatakował ją, kipiąc ze złości: - Jak śmiałaś drwić sobie ze mnie?

Judith uświadomiła sobie nagle, jak wielki błąd popełniła. Taka była szczęśliwa, że nabrała Gracemere'a, i po prostu ją poniosło. Co za idiotyczny pomysł: wypróbować na Marcusie sztuczki z niechlubnej przeszłości!

-- Ja tylko żartowałam! - zawołała, zrywając się z łóżka. - Nie lubisz, żeby się z tobą droczyć? Bardzo przepraszam! - Położyła mu rękę na ramieniu, ale ją strząsnął. - Tak cię proszę, Marcusie - mówiła, obejmując go w pasie i tuląc głowę do jego pleców. - Nie bądź na mnie zły!

- Nie chodzi o droczenie się - warknął. - Zrobiłaś ze mnie durnia! Nie życzę sobie, byś traktowała mnie jak jednego z głupców, których nabieraliście przez całe życie!

- Przepraszam! - powtórzyła. - Teraz rozumiem, że popełniłam wielki błąd, ale nie chciałam zrobić nic złego. Proszę, wybacz mi!

W jej głosie brzmiała szczerza skrucha. Marcus czuł, jak gniew w nim ucicha. Rozpoznał jego dwie przyczyny: obawa przed śmiesznością i niechęć do wszystkiego, co łączyło się z dawnym życiem Judith. Powinien był odgadnąć prawdę. Zanadto się kontrolowała, by pozwolić sobie na nadużycie alkoholu. Mogła je tylko udawać, gdy było jej to na rękę.

- Nie waż się już nigdy traktować mnie w taki sposób!

- Nie będę, przysięgam! - Uściskała go mocniej. ~ Ale powiedz, że mi wybaczasz!

-Wybaczam ci.

- A kara?

Uwolnił się z jej objęć i obrócił ją twarzą do siebie. Położył dłonie na jej ramionach.

- Wymyślę coś odpowiedniego, kiedy mi opowiesz, coś robiła w Ranelagh.

- Przecież ci już powiedziałam! Brałam udział w ridotto z Sebastianem i jego przyjaciółmi.

- Czemu nie wspomniałaś mi o tym wcześniej?

- Bo wiedziałam, że tylko się naburmuszysz! - Obdarzyła go łobuzerskim uśmiechem. - Na pewno by tak było, nie zapieraj się!

- Nie mam zamiaru. Publiczna maskarada nie jest odpowiednią rozrywką dla markizy Carrington.

- Wiem, wiem, ale nikt nas nie rozpoznał.

- Twój brat ma nieszczególne pomysły, jeśli chodzi o rozrywki. Chyba nie zabrał na tę eskapadę panny, z którą zamierza się ożenić? - spytał sucho.

- Oczywiście, że nie! - odparła Judith. - Nie chce nawet, by Harriet wchodziła do pokoju, gdzie grają w karty. Ale ja to co innego!

Jak też Harriet ustosunkuje się po ślubie do tej szczególnej więzi między Sebastianem a jego siostrą? - pomyślał Marcus.

- Widzę, że mamy z twoim bratem podobne poglądy na to, co nie przystoi żonom - zauważył. - Wolałbym tylko, żeby pamiętał, że jego siostra jest również moją żoną!

-Ależ pamięta! To była moja decyzja!

Trudno to nazwać prawdą. Ale zawsze coś zbliżonego,

- Sam bym z tobą pojechał, gdybyś poprosiła. - Jego ręce ześliznęły się z jej ramion; trzymał ją teraz za ręce. - Wolisz towarzystwo Sebastiana niż moje, ryszczko?

- Jak możesz myśleć coś takiego? - Była szczerze zmartwiona jego przypuszczeniem, ale przecież nie mogła mu powiedzieć prawdy.

- Nietrudno dojść do takiego wniosku - powiedział cicho.

- Nie sądziłam, żeby to cię bawiło - zmyślała rozpaczliwie. - A poza tym nie znamy jeszcze Londynu zbyt dobrze, więc chcieliśmy poznać tutejsze zwyczaje.

Nie kwestionował niczego, choć wyjaśnienie wydawało mu się mało prawdopodobne.

- No dobrze, zapomnijmy o tym.

Puścił jej ręce.

Judith zawróciła do łóżka. Poczowała się odrzucona.

-Chwileczkę!

Coś w jego głosie rozproszyło jej melancholię. Zatrzymała się z jednym kolanem na łóżku, a drugą stopą na podłodze.

- To mi przypomina o karze!

Judith obejrzała się przez ramię. Jej oczy błyszczały oczekiwaniem.

- Tak, milordzie? - spytała słodko.

Podszedł do łóżka.

- Myślę, że sama ją sobie wybierzesz, później. A na razie klęknij na łóżku. - Sięgnął za nią po poduszki i podsunął jej całą stertę pod brzuszek.

Judith śmiała się cicho, podciągając nocną koszulę do pasa i osuwając się na stos poduszek.

- Bardzo stosowne zakończenie niestosownego wieczoru!

~ Okropna dziewucho - szepnął, obejmując ją ręką w talii i zanurzając się w niej. - Gdybym miał szczyptę rozumu, odesłałbym cię do Berkshire, żebyś więcej nie psociła.

Judith nie znalazła zaraz odpowiedzi, a potem nie była już zdolna do sensownej wymiany zdań. Za to ich ciała porozumiewały się bez najmniejszego trudu.

26

NNo i co teraz? - spytała Agnes, odrywając wzrok od cieplarnianych róż, które układała w kryształowym wazonie. - Nadal obstajesz przy zemście?

- Oczywiście - odparł Gracemere. - To przypadkowe spotkanie z Davenportem było irytujące, chociaż szkoda, że nie mogłaś ich wtedy zobaczyć. Ależ byli zalani! - Takie z nich głuptasy, że nieraz się zastanawiam, czy warto sobie zadawać z nimi tyle trudu!

Agnes rzuciła zwiędnięty kwiat do stojącego u jej stóp koszyka.

- Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika, Bernardzie.

- Masz rację - przytaknął i zażył tabaki. - Mam szczerzy zamiar wyegzekwować ten dług od Judith. Spłaci go podczas obiadu we dwoje w miejscu, które sam wybiorę. Tym razem nie przeszkodzą nam żadne osoby niepożądane! Ty zobaczysz ją w moim towarzystwie i wspomnisz o tym tak, by Carrington to usłyszał. A ponieważ jego żona jest bardzo aktywną stroną w tym zabawnym romansiku, markiz nie będzie mógł wyzwać mnie, nie narażając na śmieszność siebie i jej. I wobec tego przyjdzie mu przełknąć tę gorzką pigułkę i zapomnieć o dumie!

- To będzie koniec jego małżeństwa - orzekła Agnes i zaśmiała się cynicznie.

Gracemere wzruszył ramionami.

- Ma się rozumieć! O to mi przecież chodzi! Zresztą wątpię, czy Judith coś do niego czuje. Zbyt się rwie do wyzwolenia spod jego władzy.

- Uśmiechnął się. - Gdzie radzisz, moja miła, zorganizować ten intymny obiadek? Musi to być coś bardziej szokującego niż Ranelagh!

- Prywatny gabinet w jednym z hotelików na Jermyn Street - rzuciła niedbale Agnes. - Jestem pewna, że znajdziesz coś odpowiedniego.

Gracemere na chwilę stracił mowę, potem ryknął śmiechem.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, moja droga! Genialny pomysł. Zaproszę markizę Carrington do burdelu!

- To rzeczywiście zabawny pomysł - przyznała Agnes. Jej usta wygięły się w uśmiechu. - Jest coś takiego w tej suczce, sama nie wiem co, że ilekroć się zetkniemy, przechodzą mnie ciarki. - Pokręciła głową. - Zawsze zrobi albo powie coś, co mi działa na nerwy! Z przyjemnością będę świadkiem jej upokorzenia.

- Będziesz, kochanie, będziesz - zapewnił ją Gracemere. - Ugoszczę żonę Carringtona w przybytku miłości i założę się, że to niewiniątko nie domyśli się, gdzie uczujemy.

- I na tym polega cały dowcip! - zgodziła się Agnes. - Skąd by mogła wiedzieć?

- Rzeczywiście, skąd? - Gracemere podszedł do sekretarzyka. - Chodź no tu i pomóż mi sklecić zaproszenie. Powinno być bardziej nagłace niż pierwsze, ale nadal zamaskowane tą gadaniną o długu honorowym. Dziewuszka lubi sobie wyobrażać, że jest nieustraszoną bohaterką i przegrywa z podniesionym czołem!

Pół godziny później hrabia osuszył piaskiem pojedynczy arkusik papieru, złożył go i zapieczętował swoim sygnetem.

- Nadałaś tej bzdurce najwłaściwszy ton, najdroższa: wyzwanie dla smarkuli żadnej ryzykownych przygód. Nie oprze się pokusie, by popisać się swoją odwagą i zrobić na złość mężowi.

Agnes się uśmiechnęła.

-A kiedy się już uporasz z Devlinami, co zrobimy z Harriet?

- Wystarczy zwykłe porwanie. Przebywa ciągle w twoim towarzystwie, więc przywieziesz mi ją w wynajętym powozie. Nic prostszego.

-I zaraz potem ożenisz się z nią- dodała Agnes, kiwając głową. - Jedna noc i dziewczyna bez oporu podrepcze rano do ołtarza. A jak się pobierzecie, jej rodzice nie będą mogli nic zrobić. Zależy im na reputacji, więc dostaniemy te trzydzieści tysięcy, najdroższy, a świat obiegnie ploteczka o ucieczce zakochanych i nagleym porywie namiętności.

Zaśmiała się cynicznie, a Gracemere przekonał się nie po raz pierwszy, że kochanka nie różni się od niego w ocenie bliźnich.

Zaproszenie przyniesiono Judith nazajutrz z poranną czekoladą. Obiad miał się odbyć tego samego dnia, a wszystkie szczegóły zostały starannie dopracowane. Judith wsiądzie do pozbawionego herbów powozu, który będzie na nią czekał w tym samym miejscu co poprzednio. Hrabia nie chciał zdradzić, dokąd się udadzą, wyraził jednak nadzieję, że spodoba się tam komuś tak miłującemu przygodę i ryzyko jak ona.

Zmięta karteluszek i zakłęta z cicha. Tym razem się nie wywinie! Nie mogła odmówić, nie zrażając do siebie Gracemere'a - a o tym nie było mowy w przeddzień decydującej rozgrywki.

Judith ubrała się i ruszyła na poszukiwanie Marcusa. Pracował w swoim gabinecie z sekretarzem, ale uśmiechnął się na jej widok.

- Dzień dobry, kochanie! Czego sobie życzysz?

Boże święty, że też musi go okłamywać!

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wybieram się dziś wieczorem na obiad.

- O! - Marcus odłożył pióro. - A ja nie jestem zaproszony?

- Obawiam się, że nie. - Odwróciła wzrok i modliła się, żeby nic nie wyczytał z jej twarzy. - To taki babski wieczór.

Marcus się roześmiał.

- Cornelia i spółka?

- Właśnie! Ale długo nie zabawię.

John odchrząknął dyskretnie.

- Proszę mi wybaczyć, ale wasze lordowskie mości przyjęły już zaproszenie na wieczór muzyczny u państwa Willoughbych. Ma wystąpić jakaś harfiarka.

- O! Zupełnie zapomniałam! - zawołała Judith. - Ale ogromnie mi zależy na tym przyjacielskim wieczorku. Będiesz tak dobry, Marcusie?

Nie potrafił oprzeć się proszącemu spojrzeniu tych złotobrazowych oczu.

- Wygląda na to, że będę musiał udać się do Willoughbych sam.

- Jesteś ideałem męża! - oświadczyła, przechylając się przez biurko, żeby go ucałować.

John odwrócił wzrok.

- Spodziewam się rekompensaty - oświadczył Marcus.

- To się rozumie samo przez się. - Podeszła do drzwi. - I jak powiedziałam, nie zabawię długo!

jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, jej nieobecność potrwa najwyżej godzinę. Bernard Melville, hrabia Gracemere, nie będzie miał wiele przyjemności z randki z żoną swego wroga, choćby sobie nie wiem ile obiecywał!

Podjąwszy tę decyzję, Judith poczuła, że sumienie trochę mniej jej dokucza. Okoliczności były wyraźnie sprzyjające, gdyż żadna z jej przyjaciółek nie otrzymała zaproszenia na ów wieczór muzyczny. Państwo Willoughby byli starszym małżeństwem, które nie udzielało się zbyt w towarzystwie. Ponieważ jednak przyjaźnili się z matką Marcusa, markiz czuł się zobligowany do przyjęcia zaproszenia na to spotkanie niewielkiego grona miłośników muzyki, przeważnie w starszym wieku. Kiedy wróci do domu, jego żona będzie leżała już w łóżku, spędziwszy większą część wieczoru nad wyraz cnotliwie, przy domowym ognisku.

Judith przemyślała bardzo starannie swój strój, wybierając suknię z wyjątkowo skromnym dekoltem i upinając włosy w stateczną koronę. W jej zachowaniu tym razem nie będzie ani krzty kokieterii. Przed wyjściem z domu posłała Millie do kuchni po coś, co zdumiało pokojówkę. Ponieważ jednak nie mogła wypytywać swojej pani, dostarczyła jej tego, czego żądała, postanawiając poruszyć sprawę w pokoju dla służby, gdzie mogli snuć bez końca domysły na temat dziwacznych zachcianek markizy.

Judith schowała małą paczuszkę w swoim woreczku, zarzuciła szal na ramiona i zeszła na dół. Państwo Willoughby zaprosili gości na wcześniejszą godzinę, więc Marcusa już nie było.

Niczym niewyróżniający się powóz czekał na nią w tym samym miejscu co poprzednio, a hrabia znajdował się znów w jego wnętrzu.

- Dobry wieczór, Bernardzie - powitała go wesoło Judith. - Zupełnie mnie zaskoczyłeś tym zaproszeniem na ostatnią chwilę!

- Przygoda prawie zawsze nas zaskakuje - odparł. - A ty lubisz przygody, moja droga Judith, nieprawdaż?

Judith pozwoliła sobie na lekki śmieszek.

- Życie byłoby bez nich bardzo nudne, hrabio!

- No właśnie! A cóż porabia twój stateczny mąż? Jak się go pozbyłaś tym razem?

Judith zacisnęła zęby.

- Marcus miał już ten wieczór zajęty - odparła. - Dokąd jedziemy, Bernardzie?

- O, to niespodzianka - powiedziała. - Spodziewam się, że przypadnie ci do gustu.

- Jestem tego pewna! - Klasnęła lekko w dłonie, oczy jej płonęły w mrocznym wnętrzu powozu. - Lubię niespodzianki tak samo jak przygody.

- Znakomicie! - stwierdził, sięgając po jej rękę. - Mam nadzieję, że ta spełni wszelkie twoje oczekiwania.

- Oby spełniła i twoje. Bernardzie - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

Podniósł jej rękę do ust.

Powóz zatrzymał się przed wysokim domem. Wejście oświetlała latarnia, zza zasłon w oknach połyskiwało światło. Judith wysiadła i rozejrzała się ciekawie po ulicy.

- Gdzie jesteśmy?

- Na Jermyn Street - rzucił od niechcienia Gracemere. - Jest to niewielki i bardzo dyskretny hotelik, który odwiedzam od czasu do czasu. Chodźmy, moja droga. ~ Podprowadził ją do drzwi, które otworzył starszawy lokaj w pudrowanej peruce.

- Witamy, milordzie... łaskawa pani. - Skłonił się. - Madame jest w salonie.

Judith pozwoliła się zaprowadzić do salonu. Rozejrzała się dokoła. Złoczone gzymsy, ciężkie aksamitowe draperie, głębokie fotele i damy w przesadnie eleganckich sukniach. W powietrzu unosiła się woń piżma, stanowczo zbyt intensywna. Judith natychmiast zorientowała się, dokąd ją Gracemere przywiózł. Bywała już w podobnych miejscach. Luksusowy burdel, gdzie spełniano wszelkie zachcianki bogaczy. Nie było rzeczy, której by te kobiety nie zrobiły za odpowiednią cenę.

Spojrzała z ukosa na towarzyszącego jej mężczyznę i ujrzała okrutny uśmieszek na jego ustach, gdy witał się z imponującą gospodynią. Gracemere jest pewien, że nie mam pojęcia, dokąd mnie przywiózł! - uświadomiła sobie. Jakaż dama z towarzystwa odgadłaby, co to za miejsce? Skąd hrabia mógł wiedzieć, że jej ojciec miał kilku dobrych przyjaciół, którzy prowadzili podobne domy i mogli zapewnić dach nad głową i wszelkie wygody druhowi w potrzebie - wdowcowi z dwojgiem dzieci? Ich ojciec podobał się kobietom, toteż zapewne nie skapiono mu tam żadnych dowodów życzliwości. Gdy dzieci podrosły, ojciec przestał korzystać z tego rodzaju gościny, ale w pamięci Judith pozostał bardzo wyraźny obraz.

Madame powitała ją uprzejmie, ale zerkała na nią spod oka i zdawała się bawić jej kosztem do spółki z Gracemere'em. Najwyraźniej oboje dobrze się znali.

- Zamówiona przez pana hrabiego jadalnia jest oczywiście gotowa, milordzie - oznajmiła. - Bernice wskaże państwu drogę.

Skinęła na młodą kobietę w szkarłatnej sukni, która podeszła natychmiast. Jej suknia była kosztowna, ozdabiająca ją koronka delikatna, ale dekolt tak głęboki, że ledwie zasłaniał sutki.

- Tędy, milordzie, madame.

Prawie nie dostrzegła Judith, ale nie szczędziła uśmiechów Gracemere'owi, który połaskotał ją od niechcenia pod brodą.

Udali się na górę do niewielkiego pokoju, urządzonego z takim samym przepychem jak salon na dole. Na kominku płonął ogień, na okrągłym stole nakryto na dwie osoby. Poza tym jedynym meblem była olbrzymia, zasłana poduszkami kanapa, jeśli nie liczyć wysłużonego parawanu w kącie. Judith wiedziała, że znajduje się za nim pokojowy sedes. Tego typu pokoje zapewniały użytkownikom wszelkie wygody.

- Mój Boże, Bernardzie - powiedziała ze zdumieniem i zachichotała. - Cóż za osobliwe miejsce! Raczej przypomina sypialnię niż jadalnię!

- Bo to bardzo niezwykły hotel - stwierdził, nalewając wina do dwóch kieliszków. - Wnieśmy toast, moja droga Judith!

Wzięła podawany kieliszek.

- A za co wypijemy?

- Za przygodę i na pohybel mężom-tyranom! - Uniósł kieliszek i ze śmiechem spełnił toast.

Judith wypięła łyceczek, uśmiechnęła się i z kieliszkiem w ręku podeszła do okna. Odsunęła nieco zasłonę, by wyjrzeć na ulicę. Ukryta za zasłoną wyjęła z woreczka małeńką paczuszkę i wyspała jej zawartość do kieliszka.

- Czy na tej ulicy jest wiele podobnych hoteli, Bernardzie? - spytała z niewinną ciekawością, i odwracając się znów do niego z uśmiechem, wypięła zawartość kieliszka. - Możesz mi nalać jeszcze trochę wina?

- Oczywiście, moja droga. - Podeszedł do niej z karafką. Jeśli znów się upije, to doda jeszcze pikanterii całej sprawie. Zapewne nie będzie pamiętała, co się wydarzyło, gdy odwiezie ją i pozostawi na progu mężowskiego domu jako towar niewątpliwie uszkodzony.

Judith uniosła kieliszek i nagle jęknęła, odstawiając go raptownie na stół. Podniosła rękę do gardła i na oczach zdumionego i przerażonego

Gracemere'a wyraźnie zzieleniała. Wydała stłumiony okrzyk i pomknęła za parawan, skąd dobiegły bynajmniej nie romantyczne odgłosy.

Posługując się niewinnym kłamstwem, Marcus usprawiedliwił przed Willoughbymi nieobecność żony. Potem, jak tego po nim oczekiwano, gawędził z pozostałymi gośćmi, z których większość znał od dzieciństwa, spożył nienadzwyczajną kolację i napił się naprawdę dobrego burgunda. Wreszcie przeszedł wraz z innymi do salonu na koncert.

- Lord Carrington! Co za nieoczekiwane spotkanie. - Agnes Barret pojawiła się, wsparta na ramieniu męża w chwili, gdy harfiarka zajmowała już miejsce. - Przybywamy tak późno - szepnęła Agnes, siadając obok markiza. - Mieliśmy jeszcze jedno zaproszenie na obiad, ale nie mogliśmy obrazić Willoughbych. To starzy przyjaciele mojego męża. - Wachlowała się energicznie i rozglądała po salonie, wymieniając ukłony i uśmiechy ze znajomymi.

Marcus wymamrotał w odpowiedzi jakiś stosowny frazes. Pomyślał, że lady Barret jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą z tymi pięknymi oczyma, wysokimi kośćmi policzkowymi i dziwnie mu znajomym przekornym wygięciem ust.

- Lady Carrington nie towarzyszy panu? - zwróciła się znów do niego z uśmiechem.

- Niestety, umówiła się już wcześniej - odparł.

- Ach, tak... - Agnes jakby zbierała myśli. - Ale chyba nie na Jermyn Street?

Marcus poczuł na plecach złowróżbny dreszcz.

- Nie sądzę, madame.

Agnes pokręciła głową.

- Nie, oczywiście, że nie. To niemądre z mojej strony, a jednak mogłabym dać głowę, że widziałam ją wysiadającą z powozu! To z pewnością złudzenie optyczne. Od latarni nad drzwiami padały takie dziwne cienie...

Marcus siedział nieruchomo, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, z oczyma utkwionymi w harfiarce, która właśnie zaczęła brzdąkać na swym instrumencie. Czuł, że oplatają go macki zła, emanujące z siedzącej obok niego kobiety. Judith miała słuszność: Agnes Barret była

z gruntu zła. Należało się jej strzec! A jeśli byli w zмовіе z Gracemere'em, to Judith znajdowała się w niebezpieczeństwie. Nie wiedział, co jej grozi i dlaczego, ale wyczuwał zagrożenie. Znów ujrzał przed sobą posiniaczoną twarzyczkę Marthy i usłyszał jej żałosny szloch. Bez słowa wyjaśnienia podniósł się z krzesła i opuścił pokój. Goniły za nim łagodne dźwięki harfy.

Agnes spoglądała za nim zaskoczona. Zasiała dopiero pierwsze ziarnko podejrzenia. Nie wspomniała o Bernardzie. Na to przyjdzie kolej jutro lub pojutrze, kiedy przelotne słówko wprawi języki w ruch. Co też mogło skłonić markiza do tak raptownego wyjścia?

Marcus opuścił dom Wilioughbych bez pożegnania i pospieszył na Jermyн Street.

Gracemere przez chwilę w przerażającej bezsilności przysłuchiwał się odgłosom gwałtownych torsji, dobiegającym zza parawanu. Potem w kilku susach znalazł się przy drzwiach, otworzył je na oścież i wrzasnął o pomoc. Madame przybiegła pędem, dwie panienki tuż za nią.

- Co się stało, milordzie?

Wskazał na kąt pokoju.

- Towarzysząca mi dama źle się poczuła. Zróbcie z tym coś!

Madame nadśłuchiwała przez chwilę, potem rzuciła hrabiemu wymowne spojrzenie, pospiesznie weszła do pokoju i zniknęła za parawanem.

Gracemere krążył niespokojnie po korytarzu. Nie miał ochoty być świadkiem tak odrażającej i wstydlіwej przypadłości. Uderzając pięścią o dłoń, przeklinał wszystkie kobiety. To nie mogło być wino: wypіła zaledwie jeden kieliszek i była całkiem trzeźwa, kiedy tu przyjechali.

Judith wyszła niepewnym krokiem zza parawanu, podtrzymywana przez madame i jedną z dziewcząt. Była biała jak воск, czoło miała pokryte potem, włosy matowe, a oczy jej łzawiły.

- Zupełnie nie rozumiem, milordzie - Przycisnęła rękę do ust. - Chyba coś, co zjadłam wcześniej... To takie upokarzające. Nie wiem, jak przeproszać...

- Musisz wrócić do domu - przerwał jej szorstko. - Mój woźnica cię odwiezie.

Skinęła słabo głową.

- Tak, bardzo dziękuję. Muszę się położyć... - Zataczając się, podeszła do kanapy i legła na wznak, z zamkniętymi oczyma.

Madame rozpostarła wachlarz i zaczęła wachlować się energicznie.

- Nie życzę sobie chorych kobiet w moim domu, milordzie! - powiedziała kategorycznym tonem. - Nie wygląda mi to dobrze. I co sobie inni klienci pomyślą, słuchając takich...

- Dobrze, dobrze! - przerwał jej Bernard. - Sprowadźcie ją na dół i wsadźcie do powozu! Powiedźcie woźnicy, żeby odwiózł ją z powrotem na Berkeley Square.

Udało się jakoś sprowadzić przelewającą się przez ręce i jęczącą Judith ze schodów i wepchnąć do czekającego powozu. Bernard stał przy oknie i spoglądał za odjeżdżającym pojazdem. Chyba jakiś diabeł uwziął się, by pokrzyżować jego dokładnie opracowane plany! Hrabia podszedł do stołu i rzucił się na fotel. W fatalnym nastroju sięgnął po kieliszek. Zje przynajmniej obiad, który zamawiał z taką starannością.

Marcus skręcił z St 'James's Street w Jermyn Street. Zdumiony własnym opanowaniem rozglądał się po ulicy. Trzy domy miały latarnie nad drzwiami. Był absolutnie pewny, że w jednym z nich znajdzie swą żonę w towarzystwie Bernarda Melville'a. Nie miał pojęcia, po co tu przyszła, jak dała się schwytać Gracemere'owi w pułapkę, ale w tej chwili niewiele go to obchodziło. Później będzie czas na wyjaśnienia. Teraz miał w głowie tylko jedną myśl: dotrzeć do Judith, nim stanie się jej krzywdą!

W pierwszym domu nic nie wiedzieli o żadnym lordzie Gracemere. W drugim lokaj w pudrowanej peruce skłonił się i wpuścił go niezwłocznie. Z salonu wynurzyła się madame, cała w uśmiechach, gotowa na spotkanie nowego klienta.

- Gdzie jest Gracemere?

Obsesowe pytanie, płonące czarne oczy i twarz podobna do maski zrobiły na madame niesamowite wrażenie.

- Mam wrażenie, że jego lordowska mość jest na górze. Czy oczekuje pana?

- Jeśli nawet nie, to powinien! - odparł Marcus. - Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Madame domyśliła się bez trudu, jaką sprawę ma nowo przybyły do hrabiego. Skinęła na Bernice. To nie jej problem, jeśli Gracemere sprowokował któregoś z oszukanych mężów. Ona w każdym razie nie życzyła sobie scen we frontowym holu!

- Zaprowadź tego dżentelmena do hrabiego Gracemere'a.

Marcus pospiesznie wszedł po schodach za dziewczyną, Przed samymi drzwiami odprawił panienkę. Przez chwilę stał, nadsłuchując. Kompletna cisza. Ostrożnie nacisnął klamkę i otworzył drzwi. W pokoju była tylko jedna osoba.

Gracemere siedział przy stole, rozparty w fotelu, z kieliszkiem czerwonego wina w rękę i oczyma utkwionymi w ogień płonący na kominku. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił głowę.

- A, tutaj jesteś, Gracemere - powiedział zwodniczo uprzejmym tonem Marcus.

- Bardzo mi pochlebia, żeś mnie szukał, Carrington - odezwał się Bernard, popijając wino. - Skąd to nieoczekiwane zainteresowanie moją osobą?

- To bardzo proste. - Marcus rzucił laskę na kanapę i usiadł naprzeciw hrabiego. Przez chwilę rozglądał się po pokoju, zanim znów na niego spojrział. - Gdzie moja żona, Bernardzie?

Gracemere szerokim gestem ogarnął pokój.

- Dlaczego mnie o to pytasz, Marcusie? Jak widzisz, jem obiad w samotności.

- Na to wygląda - zgodził się Marcus. - Ale najwyraźniej spodziewasz się gościa. - Wziął do ręki widelec leżący po jego stronie stołu i dokładnie mu się przyjrzał, potem sięgnął po kieliszek. Był napełniony do połowy. - Czyby twój gość na chwilę się oddalił?

Hrabia parsknął sardonicznym śmiechem.

- Mam nadzieję, że nie na chwilę!

- Doprawdy? Zaciekawiasz mnie, Gracemere. Bądź tak dobry wytłumaczyć. - Obracał nóżkę kieliszka w palcach, bacznie obserwując hrabiego przez stół.

- Twojej żony tu nie ma - powiedział hrabia. - Była tu, ale teraz spoczywa bezpiecznie we własnym łóżku. Mam nadzieję!

- Rozumiem. - Marcus wstał. - A jakie okoliczności spowodowały jej wyjście?

Gracemere się wzdrygnął.

- Nie było w tym nic zdroźnego. Jej cnota pozostała bez skazy, Marcusie. A teraz może pozwolisz mi zjeść w spokoju obiad?

- Jak najbardziej. Ale pozwól, że udzielę ci przedtem rady. Jeśli knujesz jeszcze jakieś plany związane z moją żoną, radzę z nich zrezygnować.

- Podniósł swoją laskę i postukał nią o dłoń. - Nie chciałbym znów użyć szpicruty, ale jeśli okaże się to konieczne, tym razem nie będę robił z tego tajemnicy. Będzie to główny temat plotek w sezonie i nie tylko.

Skłonił się z szyderczym uśmiechem, ale w jego oczach była nieukrywana groźba, gdy przez sekundę spoczęły na zaczerwienionej twarzy Gracemere'a.

- Nie zlekceważ mnie po raz wtóry, Bernardzie. Tym razem duma nie skłoni mnie do ukrywania prawdy. Gotów jestem na wszystko, byle pokazać światu, jaki naprawdę jesteś. Tylko tyle mam ci do powiedzenia.

Wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi za sobą.

27

Marcus wrócił piechotą na Berkeley Square. Czymkolwiek kierowała się początkowo Judith, zacieśniając kontakty z Gracemere'em, potrafiła wyplatać się z kłopotliwej sytuacji! Sądząc z niedopitego wina, oddaliła się w pośpiechu i musiała urządzić nie lada scenę, jeśli goszczący ją hrabia nie życzył sobie jej powrotu.

Ale dlaczego w ogóle spotykała się z Gracemere'em? Czy chciała podkreślić swą niezależność i zrobić mężowi na złość? Przecież to nie miało sensu! Rozwiązali całkiem przyjaźnie ten problem: Judith zgodziła się dostosować do jego życzeń, jeśli złagodzi on swe dyktatorskie zapędy. Czemu więc miałyby upierać się przy tej znajomości? Nie, to za słabe określenie: znajomi nie jadają obiadków tete-a-tete! A zatem?

Dobrze mu znane podejrzenia znów zaczęły wić się jak węże w jego wnętrzu; zrobiło mu się zimno i niedobrze. Czy on w ogóle znał Judith? Może sprzymierzyła się z Gracemere'em, by go zranić? Ale w takim razie czemu opuściła go tak nagle? Może nie posądzała go o uwodzicielskie zamiary? Niemożliwe! Judith zbyt dobrze znała świat, by złapać się na taką

sztuczkę. A może Gracemere wprowadził ją w błąd i sądziła, że będzie to obiad w większym gronie znanych jej osób? A gdy odkryła prawdę... To wyjaśnienie było bardziej prawdopodobne i nieco go pocieszyło, Potem jednak przypomniał sobie, że okłamała go rano, opowiadając o spotkaniu z przyjaciółkami. Węże podejrzeń znów zasyczały, poczuł w ustach gorzki smak zdrady.

Judith stała przy oknie, wyglądając na skwer, gdy mąż znalazł się w zasięgu jej wzroku. Czekwała na niego, dobrze wiedząc, co powinna zrobić. Zdawała sobie sprawę z tego, że Gracemere jest zdolny do zrujnowania komuś życia oszustwem i kłamstwami i do ucieczki z cudzą narzeczoną. To jednak, na co sobie pozwolił tym razem, przekraczało granice zwykłej podłości. Potajemne spotkanie to ostatecznie nic takiego, ale miejsce, w jakie zaprowadził pełną zaufania kobietę, za jaką uważał Judith! Była przy tym pewna, że ta intryga została uknuta przeciw Marcusowi; jego żona służyła tylko za narzędzie. Marcus zapewne miał być powiadomiony, o jej haniebnym rendez-vous i upokorzony publicznie.

Stała przy oknie z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Choć nadal czuła się słabo po gwałtownych torsjach, wiedziała, że musi udaremnić knowania Gracemere'a. Nie tak trudno o publiczny skandal. Sama jej obecność w towarzystwie hrabiego w takim miejscu stanowiła wystarczający powód.

Musi wyjawić Marcusowi całą prawdę. Jeśli usłyszy ją z jej ust, będzie ostrzeżony i przygotowany na najgorsze. Ale myśl o tym, na jakie ryzyko naraża się takim wyznaniem, napawała Judith trwogą.

Marcus wszedł na frontowe schody i zniknął jej z oczu. Wymknęła się na korytarz i gdy tylko mąż przestąpił próg, zbiegła do niego na dół.

- Muszę z tobą pomówić, Marcusie!

Spojrzał na nią z niepokojem. Była blada i zdenerwowana, ale poza tym nic jej chyba nie dolegało.

- Udał ci się wieczór? - spytał bez uśmiechu, powierzając płaszcz i rękawiczki Gregsonowi.

Postanowił na razie udawać, że o niczym nie wie.

Pokręciła głową.

- Możemy przejść do twego gabinetu? Muszę koniecznie z tobą pomówić.

Czyżby chciała mu się zwierzyć? Poczuł dreszcz nadziei.

- Taka ważna sprawa?

- Myślę, że tak. - Kurczowo spłotła ręce, na jej twarzy malowało się bolesne napięcie.

Ponad wszystko na świecie pragnął, by mu się zwierzyła. Tylko jej szczerość mogła rozproszyć jego podejrzania, położyć kres nieufności.

- Nie możemy poczekać z tym do rana?

- Nie sądzę.

- W porządku. Uporajmy się z tym jak najszybciej.

Judith weszła pierwsza do gabinetu. Świece były pogaszone, ale ogień na kominku jeszcze się palił. Zapaliła znów świece, Marcus dorzucił polano do ognia.

- Może powinienem się czymś pokrzepić? - Wskazał karafki na kredensie.

- Chyba tak. Ja też poproszę o porto.

Marcus napełnił dwa kieliszki, spoglądając na Judith grzejącą ręce przy ogniu. Jego blask rozpląmienił loki wokół jej twarzy.

- Muszę ci coś wyznać - odezwała się w końcu, zwracając ku niemu twarz, która jeszcze bardziej pობładła. - Obawiam się, że będziesz bardzo zły...

Sama mu wszystko wyzna! Ukrył swą radość i odparł spokojnie:

- Zostałem więc ostrzeżony. A teraz posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

- Dobrze. - Odstawiła kieliszek i się wyprostowała. - Chodzi o Gracemere'a.

Zamilkła, ale Marcus nie powiedział nic. Sącył porto i czekał.

Cichym głosem opowiedziała mu, jak grała w pikietę z Gracemere'em, jakie były stawki i dokąd zawiózł ją dziś wieczorem.

- Obawiam się, że zamierza wywołać skandal, żeby ściągnąć na ciebie hańbę - zakończyła. - Musiałam ci to powiedzieć, ostrzec cię. Nie zniosłabym, gdybyś usłyszał o całej sprawie od kogoś obcego! - Zamilkła i z twarzą pełną niepokoju czekała na jego odpowiedź.

- Nie masz wątpliwości, co to było za miejsce? - Głos miał opanowany, ale nie spuszczał z niej oczu.

Skinęła głową.

- Jako dzieci mieszkaliśmy przez jakiś czas w podobnych przybytkach, ale nie będę się teraz w to wdawać.

- Opowiesz mi innym razem - stwierdził spokojnie. - Ale tym razem nie zabawiłaś tam zbyt długo?

- Nie, bo dodałam gorczycy do wina i dostałam strasznych torsji - odparła. - To sztuczka, dzięki której wybrnęłam już nieraz z kłopotliwej sytuacji. - W oczach jej pojawił się błysk przypominający dawną psotną Judith. - Hrabiego całkiem zbiło to z tropu!

Zły humor Gracemere'a był teraz całkiem zrozumiały. Marcusowi mimo woli zachciało się śmiać.

- Bardzo wymiotowałaś?

Skinęła głową.

- Okropnie! Gorczyca jest niezawodna, ale to bardzo męczące - dodała.

- Nadal mi słabo i mam dreszcze.

Marcus zadał teraz najważniejsze pytanie:

-A czemu podtrzymywałaś znajomość z Gracemere'em mimo obietnicy, że będziesz go unikać?

Judith przygryzła wargę. Sprawa robiła się coraz trudniejsza.

- Jest jeszcze coś, o czym nie chciałam ci mówić.

- Na litość boską Judith! Całkiem z tobą tak, jak z obieraniem cebuli: kiedy jestem już pewien, że ściągnąłem z niej ostatnią skórkę i pozostała czysta prawda, pojawia się tuzin nowych warstw!

- Założę się, że nigdy w życiu nie obierałeś cebuli - stwierdziła Judith, zbaczając na chwilę z tematu.

- To bez znaczenia.

Westchnęła.

- Wiem, że to Gracemere odebrał ci Marthę...

Marcus gwałtownie wciągnął powietrze, ale ponieważ się nie odzywał, mówiła dalej:

- Gracemere mi to powiedział. Tym właśnie tłumaczył twój wrogi stosunek do niego. Chciałam... Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat. Ty wspomniałeś o niej tylko raz i zastrzegłeś, że nigdy więcej nie będziemy na ten temat rozmawiali. Powiedziałeś, że była moim całkowitym przeciwieństwem, więc chciałam się dowiedzieć, co to właściwie znaczy. Jaka ona była? Okropnie mnie to dręczyło!

Marcus wpatrywał się w nią, przez chwilę niezdolny do odpowiedzi. Kobięca ciekawość! I to miało być wszystko? Judith po prostu chciała dowiedzieć się czegoś więcej o swej poprzedniczce? Rozwiązanie wydawało się aż nazbyt proste - a jednak całkowicie zrozumiałe. Rzeczywiście, odmówił dalszych rozmów na ten temat.

- Nigdy nie lubiłam Gracemere'a, Marcusie - podjęła znów Judith, gdy nadal milczał. Przeinaczona prawda brzmiała bardzo przekonująco w jej

ustach. - I nigdy mu nie ufałam. Właśnie dlatego wzięłam z sobą gorczycę. Ale nie sądziłam, że wynikną jakieś kłopoty z tego, że podtrzymam znajomość z nim z czystej ciekawości. Nie chciałam cię zranić! Och, jak mam cię o tym przekonać?

Przyglądał się jej uważnie przez chwilę, a potem skinął głową.

- Wierzę ci. No i co? Zaspokoiliś swą ciekawość?

Judith pokręciła głową.

- Nie było na to czasu. Kiedy się połąpałam, co on knuje, musiałam działać bez zwłoki!

Marcus dorzucił jeszcze jedno polano do ognia. Potem odezwał się rzeczowym tonem:

- To prawda, że Martha zakochała się w Gracemerze. I to, że gdybym okazywał jej więcej względów, nie doszłoby do tego. Wyrśliśmy razem. Włości naszych rodziców graniczyły z sobą i niemal od kołyski wiedzieliśmy, że mamy się pobrać i połączyć nasze majątki. Nie kwestionowałem tej decyzji, ale nie widziałem powodu, by z tej racji okazywać jej więcej zainteresowania.

Polano wymknęło się z kominka, siejąc deszcz iskier. Marcus butem wepchnął je z powrotem na palenisko.

- Używałem wówczas życia jak każdy młokos, który ma za dużo pieniędzy i żadnych obowiązków. A z Marthy była taka potulna szara myszka...

Spojrzał na Judith, która wprost olśniewała mimo przykrych zajęć tego wieczoru.

- Jesteście takie różne jak dzień i noc. I fizycznie, i z usposobienia. Martha była bardzo łagodna, podatna na wpływy. Idealna ofiara dla takiego łotra jak Gracemere: wiecznie bez grosza, uciekającego przed wierzycielami i więzieniem za długi. Był jednak dobrze urodzony i potrafił sobie zjednać ludzi, jeśli mu na tym zależało. Postarał się więc, by Martha ujrzała we mnie znienawidzonego, narzuconego siłą konkurenta. I uciekli.

Stał oparty o gzyms kominka i wpatrzony w ogień; przed oczyma przeływały mu obrazy z dawnych lat, tak wyraźne, jakby to było wczoraj.

Ojciec Marthy był chory, a braci nie miała. Na wzgardzonego narzuczonego spadł więc obowiązek ścigania uciekinierów i przywiezienia panny do domu, nim kowal udzieli im ślubu. Dogonił ich bardzo szybko. Gracemere'owi nie spieszyło się wcale do Gretna Green.

Kiedy ich odnalazł, Martha była posiniaczona i mamrotała coś nieprzytomnie. Jej kochanek, chcąc się zabezpieczyć przed możliwością anulowania

małżeństwa, zgwałcił ją na pierwszym postoju. Odarta z czci, może już brzemienna, Martha nie miała innego wyjścia. Musiała go poślubić.

- Przystałem na zerwanie zaręczyn, starając się robić dobrą minę do złej gry - Marcus podjął swą opowieść. Nie zdradził, że wściekłość omal go wtedy nie popchnęła do zachłostania na śmierć Bernarda Melville'a.

- Dziewięć miesięcy później Martha zmarła w połogu, wydając na świat martwe dziecko. Cały jej majątek przypadł Gracemere'owi.

Spojrzał na Judith, z jego oczu nic nie można było wyczytać.

- Czy to zaspokoilo twoją ciekawość, rysiczko?

Judith skinęła głową. Ale ciekawość, która dotąd była wygodną wymówką, zawładnęła nią naprawdę. Wiedziała, że Marcus opuścił coś w swym opowiadaniu. Wyczuwała potężne emocje pod jego pozornym spokojem. W obecnej sytuacji musiała jednak zadowolić się tym, co jej powiedział. Łatwość, z jaką zdołała oszukać męża, okazała się dla niej trudniejsza od okłamywania go. Ufał jej teraz tak, że uwierzył w jej bajeczkę.

- Sama nie wiem, czemu tak mi na tym zależało - powiedziała. - To się wydarzyło tak dawno!

- Tak, byłaś wtedy dwunastoletnią dziewczynką- odparł Marcus z cierpkim uśmiechem.

- Bardzo jesteś na mnie zły? - Popatrzyła na niego z powagą. - Masz do tego pełne prawo!

- Nie, nie jestem zły. Ale rozczarowany, że nie zwróciłaś się o wyjaśnienie do mnie. Myślałem, że sprawy między nami układają się ostatnio całkiem dobrze.

„Oplączę nas zdradziecka nić, gdy kłamstwa sieć zaczniemy wić” - pomyślała Judith, słysząc urazę w jego głosie.

Pospiesznie zmieniała temat.

- Co zrobimy, jeśli Gracemere uprze się, żeby wywołać skandal?

Twarz Marcusa przybrała surowy wyraz.

- Nie uprze się - oświadczył zwięźle.

- Skąd możesz być tego pewny?

- Moja droga Judith, uwierz mi: poradzę sobie z Gracemere'em.

Patrząc na jego zaciśnięte szczęki, zdecydowaną linię ust i twardy wyraz oczu, nie wątpiła w to ani przez chwilę. Ale co będzie z jego żoną? Kłamczuchą i intrygantką? Nagły dreszcz przebiegł jej po plecach.

Twarz mu złagodniała, kiedy spostrzegł, że Judith drży.

- Powinnaś być w łóżku - powiedział. - Wieczór spędzony nad sedesem mógłby każdego wykończyć! - Uśmiechnął się mimo woli, wyobrażając sobie tę scenę. Niemal żal mu się zrobiło Gracemere'a. Podał Judith wino, o którym zapomniała, mówiąc lekkim tonem: - Bądź grzeczna i wypij porto, rozgrzeje cię!

Judith odpowiedziała trochę niepewnym uśmiechem i posłusznie wypiła; podziałało zbawiennie na jej zbolęły i pusty brzuch.

-A teraz na górę! - Odebrał od niej kieliszek. - Przyjdę później, kiedy już będziesz w łóżku.

- Bardzo bym chciała, żebyś mnie przytulił - wyszeptowała cichutko.

Marcus objął ją ramionami i przygarnął do siebie. Czuł, jaka jest krucha.

- Będę cię tulił przez całą noc - szepnęła w jej pachnące włosy. - Zjawię się, jak tylko Millie cię ułoży.

Przez całą noc spoczywała bezpiecznie w jego ramionach, ale w snach prześladowały ją obrazy zniszczenia i chaosu.

28

Kilka dni później, przy śniadaniu, Marcus otrzymał od swego starego przyjaciela, pułkownika Morcby'ego z 7. Regimentu Huzarów zaproszenie na uroczysty obiad, w którym mieli wziąć udział Arthur Wellesley, księżę Wellington; marszałek polny Gebhard Leberecht von Blucher oraz generał Karl von Clausewitz. O ósmej wieczorem w środę, dwunastego grudnia w siedzibie regimentu przy Horseguard's Parade. Był to dzień balu u księżnej Devonshire.

Marcus popijał kawę, zastanawiając się, jak Judith zareaguje, jeśli on wykręci się z tego balu. Miał on być ukoronowaniem przedświątecznych imprez towarzyskich; zjawi się na nim cały wytworny Londyn. Czy Judith nie poczuje się urażona, że nie dotrzymam jej towarzystwa? - zastanawiał się markiz. Będą tam przecież jej przyjaciele, brat. Choćbyśmy udali się tam razem, nie mielibyśmy czasu dla siebie. Ale Judith nie należy do kobiet, które zmuszają męża, żeby im towarzyszył! Na pewno zrozumie, jak bardzo kusi go zaproszenie pułkownika Morcby'ego.

Opuścił pokój śniadaniowy i udał się na górę, do apartamentów żony. W jej sypialni było jak w rzymskiej łaźni. Na kominku ogień aż huczał, a z ustawionej przy nim miedzianej wanny buchała para. Marcus zamrugał i odzyskałszy ostrość widzenia, uśmiechnął się.

Millie dolewała dzbankiem wody do wanny, a stojąca obok Judith dużym palcem u nogi sprawdzała temperaturę. Włosy miała upięte na czubku głowy i była golusieńka.

- Dzień dobry! - powitała go z uśmiechem. - Możesz na razie odejść, Millie, ale przynieś jeszcze kilka dzbanków wody z kuchni, na potem. Kąpię się - udzieliła Marcusowi raczej zbędnej informacji.

- Zauważyłem,

Odsunął się na bok, gdy Millie z pustymi dzbankami spieszyła ku drzwiom.

- Zamierzam spędzić cały rano, pławiąc się w gorącej kąpieli - powiadomiła męża, wchodząc do wanny. - Jaka szkoda, że nie możesz się przyłączyć!

- Kto powiedział, że nie mogę?

- No, właściwie nikt. - Odrzuciła głowę do tyłu, opierając ją o krawędź wanny, i podciągnęła nogi tak, że ozdobione dołeczkami kolana wynurzyły się z wody. - Ale ponieważ jesteś ubrany do wyjścia, doszłam do wniosku, że nie masz nastroju do takich igraszek.

- Do igraszek jestem chętny, jak najbardziej - odparł - ale czeka mnie trening u Angela.

- O! - zainteresowała się żywo Judith i usiadła prosto, rozchlapując wodę na przezornie rozesłaną płachtę. - Bardzo bym chciała uczyć się fechtunku!

- Zdumiewasz mnie - stwierdził Marcus, zrzucając z siebie surdut i podwijając rękawy koszuli. - Nie sądziłem, że jest coś, na czym byś się nie znała. Żaden adorator tego cię nie nauczył?

- Niestety, nie-zaprzeczyła, siadając znów wygodnie i obserwując spod rzęs poczynania męża. - Może ty byś się tego podjął?

- Z przyjemnością. - Marcus wziął do ręki kawałek lawendowego mydła i stanął za wanną. - Pochyl się do przodu, to ci umyję plecy.

- Zniszczysz sobie spodnie - ostrzegła go, nie zmieniając pozycji.

- Są z dzianiny, moje serce, i dopasowują się do wszystkich moich życzeń - wyjaśnił. - W przeciwieństwie do mej odpornej żony! - Objął ją ramieniem i zmusił, żeby się nachyliła, po czym zaczął mydlić jej gładkie

plecy zdecydowanymi okrężnymi ruchami, od czasu do czasu przeciągając paznokciem wzdłuż kręgosłupa.

Judith wygięła grzbiet jak kotka pod dotknięciem jego rąk i pochyliła szyję, pozwalając koniuszkowi mężowskiego palca wślizgnąć się aż pod włosy.

-A, byłbym zapomniał - mruknął Marcus, zjeżdżając ręką po jej plecach pod wodę, by dokonać bardziej intymnych ablucji. - Zostałem zaproszony na obiad przy Horeseguard's Parade we środę. Nie weźmiesz mi za złe, jeśli nie będę ci towarzyszył na bal u księżnej?

Lekki dreszczyk, który przebiegł jej po skórze, Marcus przypisał całkiem innym przyczynom.

- Od kogo to zaproszenie? - spytała, mimo że znała odpowiedź.

Charlie wystarał się o nie u swego pułkownika. W pierwszej chwili był zdziwiony prośbą Judith, ale mu wytłumaczyła, że będzie to dla Marcusa miłą niespodzianka i możliwość wywinięcia się od balu, który uważał za okropne nudziarstwo. Na pewno stokroć woli obiad w gronie swych przyjaciół wojaków.

Marcus nie potrafił ukryć swojej radości przed Judith. Złagodziło to nieco jej wyrzuty sumienia.

Pojawienie się Millie z dzbankami gorącej wody położyło kres nie całkiem niewinnym igraszkom. Marcus wrzucił mydło do wody, wytarł ręce i wstał, opuszczając rękawy.

- Możesz się teraz kąpać spokojnie, rysiczko!

- Nie zapomnij powiedzieć Johnowi, żeby powiadomił pułkownika o przyjęciu zaproszenia!

- Nie zapomnę. - W przelocie dotknął jej miedzianych loków upiętych na czubku głowy i podszedł do drzwi. - Żona, która rozumie słabostki męża, to bezcenna perła!

„Oplącze nas zdradziecka nić, gdy kłamstwa sięc zaczniemy wić”. Ten cytat zbyt często przychodził jej ostatnio na myśl. Miała wrażenie, że krew pulsuje w niej w rytmie tych posępnych słów.

Bernard MeWille rzucił ukradkowe spojrzenie na swego przeciwnika, który siedział naprzeciwko. Davenport dużo pił. Zmierzwił włosy

opadały niechlujnie na jego szerokie czoło. Co chwila w roztargnieniu rozgarniał je ręką. Od trzech godzin przegrywał raz za razem i Bernard czuł skurcz podniecenia, charakterystyczny dla gracza, który zapędził przeciwnika w kozi róg. Nie liczył już swoich wygranych i wiedział z doświadczenia, że Sebastian, ogarnięty tą samą gorączką, nie ma pojęcia, ile przegrał. Dawno już zabrakło mu gotówki i teraz automatycznie wypisywał niezliczone rewersy. Ich sterta przed Bernardem stawała się coraz wyższa.

Dwukrotnie Meiville posłużył się znaczonymi kartami, gdy Sebastianowi się poszczęściło; hrabia tak przywykł do wygrywania z nim, że nie mógł znieść myśli o najmniejszym powodzeniu przeciwnika. Wietrzył już zapach krwi i czuł jej smak na języku. Za godzinę, jak sobie wyliczył, Sebastian Davenport będzie ostatecznie zrujnowany.

- Sebastianie, siedzisz przy kartach przez cały wieczór! - Harry Middleton zbliżył się do ich stolika, starając się ukryć niepokój, który wzbudził w nim widok pieniędzy i rewersów, piętrzących się przed Gracemere'em. - Oderwij się od nich na chwilę, człowieku, i okaż swe talenty towarzyskie!

Bernard nie był w stanie ukryć wściekłości, jaką wzbudziła w nim ta niepożądana interwencja. Syknął przez zęby:

- Zostaw go w spokoju, Middleton, i nie przerywaj nam gry!

Sebastian podniósł oczy i uśmiechnął się niezbyt przytomnie do swego przyjaciela.

- Do licha, Harry, całkiem straciłem poczucie czasu! - Skupił znów wzrok na kartach. - To ostatnie rozdanie, Gracemere. Mam dosyć na dziś.

- Roześmiał się z pozorną beztroską i pozbył się waleta kier.

Melville nie miał wyboru, musiał pogodzić się z wcześniejszym zakończeniem gry. Sebastian rzucił na stół swoje karty i ziewnął.

- Na ile leżę, Gracemere?

Bernard zsumował punkty.

- Dziewięćdziesiąt osiem.

- Boże święty! - Sebastian znów ziewnął. - Podlicz wszystkie moje rewersy, to jutro rano prześlę ci weksel na mój bank.

Oszołamiąca przegrana zrobiła jednak na nim wrażenie. Hrabia obserwował go ukradkiem i zauważył lekkie drżenie rąk i zaciśnięcie ust. Potem Sebastian spojrzał na niego, unióśł brwi z pozorną nonszalancją i gwizdnął.

- Nie odmówisz mi chyba rewanzu, milordzie?

- Skądże znowu! Może jutro, w Devonshire House? - Bernard omal się nie oblizał na samą myśl o tym.

Sebastian skinął głową, próbował się roześmiać, ale jego śmiech zabrzmiał dziwnie głucho.

- Czemu nie? Bez tego byłby to nudny wieczór, załóżę się! -I objąwszy przyjaźnie ramieniem Middletona, wyszedł razem z nim.

- Wygląda na to, że straciłeś kupę forsy! - zauważył Harry, spoglądając na niego z niepokojem.

Sebastian wzruszył ramionami.

- Jutro się odegram, Harry.

- Mówiłem ci, z Gracemere'em lepiej nie siadać do kart!

Sebastian popatrzył na swego przyjaciela i Harry ujrzał w jego wzroku coś dziwnego.

- Ze mną też, Harry. Jutro Gracemere się o tym przekona. Zobaczysz!

Middleton poczuł, że jeżą mu się włosy. Nigdy dotąd nie widział u przyjaciela takiego spojrzenia ani nie słyszał podobnego tonu w jego głosie. Nagle zorientował się, że Sebastian Davenport może być niebezpieczny, choć nie wiedział, jak ani dlaczego zrodziło się w nim to przekonanie.

29

Gregson, kiedy się zjawi mój brat, przyslij go od razu do żółtego salonu. Dla nikogo innego nie ma mnie w domu.

- Tak jest, wasza lordowska mość.

Judith, zmierzając ku schodom, zatrzymała się przy brązowych chryzantemach, ustawionych w miedzianym dzbanie na marmurowym stoliku.

- Wyraźnie zwiędnięte - zawyrokowała. - Każ je zastąpić świeżymi.

- Jak sobie jaśnie pani życzy. - Gregson się skłonił. W głosie markizy była tego ranka jakaś ostra nuta. Robiła wrażenie poirytowanej.

Judith pospieszyła na górę do swego ulubionego schronienia i natychmiast pochyliła się nad szachownicą. Problem okazał się wystarczająco skomplikowany, by zająć jej myśli przez następną godzinę, gdy czekała

na brata. Zamierzali spędzić większą część dnia na intensywnym treningu przed wieczornym występem i rozstać się późnym popołudniem, by mieć dość czasu na odpoczynek i wyciszenie się przed rozpoczęciem gry.

To była zasada, której przestrzegali od dawna w swoim cygańskim życiu, ale od wielu miesięcy nie musieli się do niej stosować. Mimo niepokoju z racji niezwykle ryzykownego zadania, jakie ich czekało, Judith poczuła, że ogarnia ją dobrze znane radosne podniecenie.

Sebastian zjawił się koło dziesiątej. Przywitał się pospiesznie, po czym ściągnął surdut i usiadł przy stole w samej tylko koszuli, otwierając nową talię kart.

- Zajmijmy się najpierw asami. Ruchy oznaczające asa pik i asa kier są do siebie zbyt podobne. Zobaczmy, czy uda ci się wyraźniej zaznaczyć różnicę.

Judith skinęła głową i wzięła do ręki wachlarz.

Pracowali sumiennie do południa, dokonując niewielkich zmian w swoim kodzie, potem zaś grali w szachy, póki Gregson nie oznajmił, że podano drugie śniadanie. Gdy Marcus wszedł do jadalni, zastał już tam swoją żonę i szwagra. W milczeniu, pochłonięci własnymi myślami, spożywali ostrygi i kurczę na zimno.

- Gdybym was nie znał, pomyślałbym, że się pokłóciliście - zauważył, zabierając się do ostryg.

- Cóż znowu! - Judith zdobyła się na uśmiech. - Chwila zadumy i tyle. Jak ci upłynął ranek?

Marcus zaczął im opowiadać anegdotkę zasłyszaną u Brooksa, ale zorientował się, że wcale go nie słuchają. Przerwał, czekając, aż któreś z nich zorientuje się, że nie skończył swej opowieści. Nie doczekawszy się, wzruszył ramionami i skupił uwagę na talerzu.

~ Jesz dziś obiad w domu, Ju? - spytał nagle Sebastian.

- Nie, u Henleyów - odpowiedziała. - Isobel wydaje obiad proszony przed balem.

- To doskonale! - Marcus napełnił znów swój kieliszek i uśmiechnął się przez stół do żony. - Przykro by mi było, gdybyś musiała jeść sama, rysiczko.

- O, zawsze mogę uniknąć takiego losu, jeśli tylko zechcę - odparła, unosząc brwi. - Nie jestem skazana wyłącznie na towarzystwo męża, mój panie!

Kiedy indziej Marcus uznałby to za zwykłe przekomarzanie się; tym razem jednak wyczuł w głosie żony napięcie, a jej uśmiech wydał mu się wymuszony. Chyba jednak pokłócili się z Sebastianem.

- Czy masz dziś po południu coś ważnego do roboty, Judith? Może wybrałabyś się ze mną do Richmond Park? Taka piękna pogoda! - spytał, gdy posiłek dobiegał końca.

Pokręciła głową.

- Kiedy indziej z przyjemnością, ale to popołudnie mamy już z Sebastianem zajęte.

- Ach, tak? - Marcus odrzucił serwetkę na stół, starając się ukryć zdziwienie i urazę. - Wobec tego nie będę wam dłużej przeszkadzał.

- O Boże! - westchnęła Judith, gdy drzwi zamknęły się cicho za mężem.

- Chyba nie zabrzmiało to zbyt grzecznie, ale nie mogłam wymyślić żadnej uprzejmej wymówki!

- Od jutra nie będziesz już potrzebowała żadnych wymówek. - Sebastian wstał od stołu. - Wracajmy do pracy!

Do piątej rozpracowali każdą ewentualność, każdą znaną im kombinację kart. Oboje zaznajomili się ze stylem gry Gracemere'a, jeśli grał uczciwie; Sebastian poznał też wszystkie sztuczki, jakie stosował, oszukując. Mieli opracowany w najdrobniejszych szczegółach system, dzięki któremu powinni pokonać hrabiego, nawet jeśli będzie grał znaczonymi kartami.

- Zrobiliśmy co w ludzkiej mocy - oświadczył na koniec Sebastian.

- Pozostaje już tylko przypadek, ale z tym trzeba się zawsze liczyć.

- Gracemere poczuł krew - powiedziała Judith. - Oboje dobrze wiemy, jakie to szaleństwo. Teraz nie ustanie, póki jeden z was nie znajdzie się w sytuacji bez wyjścia... on albo ty.

- Na pewno nie ja! - stwierdził brat ze spokojną pewnością siebie.

- Oczywiście, że nie ty!

Judith wyciągnęła rękę. Uścisnęli sobie dłonie w poczuciu jedności, która im obojgu dodawała nadziei. Sebastian pocałował siostrę w policzek i wyszedł. Wsłuchiwała się w kroki cichnące na schodach, a potem poszła na górę do swego pokoju. Gdy leżała z tamponikami na oczach, widziała przed sobą zawieruchę wirujących kart.

Gracemere przybył do Devonshire House jako eskorta lady Barret trochę po dziesiątej. Zjawili się dość wcześnie, ale w granicach dobrego tonu i przez godzinę przechadzali się po salonach. Zatańczyli ze sobą

dwukrotnie, potem zaś poprosił ją do tańca znajomy jej niedomagającego męża.

- Zjawię się, by podziwiać, jak dobijasz swą ofiarę! - szepnęła hrabiemu, gdy się rozstawali. Uśmiechnęła się złośliwie, błyskając drobnymi białymi ząbkami.

Gracemere pochylił się nad jej ręką.

- Taka publiczność doda jeszcze smaku egzekucji!

- Sadzę, że innej publiczności też nie zabraknie - mruknęła.

Błade oczy hrabiego zmrużyły się mściwie.

- Myślisz o jego siostrze? Ja też mam taką nadzieję.

- Oby tym razem znów nie dostała torsji! - Cichy śmiech Agnes był równie złośliwy jak jej poprzedni uśmieszek. Oddaliła się wsparta na ramieniu swego partnera.

Gracemere rozejrzał się po salonie, który szybko zapełniał się gośćmi. Ani śladu Sebastiana Davenporta. Ujrzał za to Judith wkraczającą na salę wraz z Isobel Henley i jej towarzystwem. Wargi hrabiego się zacisnęły. Od czasu katastrofy na Jermyn Street podtrzymywał znajomość z Judith równie wytrwale jak przedtem, choć zawsze robił to za plecami Marcusa. Motyw takiego postępowania był bardzo prosty: ukochana siostra musi być świadkiem ostatecznej klęski brata. Jej bezsilność i przerażenie przynajmniej w niewielkim stopniu wynagrodzą hrabiemu kompromitację, na jaką go naraziła. Duma Marcusa dozna uszczerbku z racji publicznego upokorzenia szwagra, a Harriet Moreton i jej fortuna przypadną Gracemere'owi i Agnes.

Hrabia podszedł do Judith.

- Niezrównana! - szepnął, podnosząc jej rękę do ust.

Jego podziw był zresztą całkiem szczery. Szmaragdy błyszcząły w miedzianych lokach Judith i wokół białej szyi. Suknia ze złotej, cienkiej jak pajęczyna gazy na brązowym atłasie była niezwykle oryginalna i stanowiła idealne tło dla jej karnacji i włosów.

- Pochlebca! - odparowała, uderzając go wachlarzem po nadgarstku. - Ale nie mam nic przeciw pochlebstwom, milordzie, więc nie szczędź mi ich.

Roześmiał się i poprowadził ją do tańca.

- Małżonek ci nie towarzyszy?

- Niestety, nie - wyznała z przesadnym westchnieniem. - Wolał obiad w towarzystwie wojskowych niż ten bal.

- Doskonale się złożyło! - Na jego ustach pojawił się uśmiezek i Judith poczuła, że oblewają ją pot. - Nie widzę również twego brata.

- Zjawi się chyba trochę później. Miał jeść obiad z przyjaciółmi.

- Umówiliśmy się z nim przy karcianym stole - powiedział hrabia, nadal się uśmiechając. - Toczmy ze sobą wojnę!

- Wiem, Sebastian mi powiedział. W pikietę, prawda? - Roześmiała się.

- Postanowił wygrać dziś za wszelką cenę. Uprzedzam cię, Bernardzie! Powiada, że wczoraj zbyt się zagalopował, i musi się odegrać, bo będzie po nim! - Znów się roześmiała, jakby ta myśl wydawała się jej absurdalna.

Gracemere zachichotał w odpowiedzi.

- Aż się palę do tego rewanzu! Czy mogę liczyć na to, że jego śliczna siostra stanie po mojej stronie?

- No, to by mogło wyglądać na niełojalność - powiedziała kokieteryjnie.

- Ale postaram się zachować bezstronność. Już się cieszę na oglądanie pojedynku dwóch takich utalentowanych graczy! - Pochyliła się ku niemu i powiedziała niemal ze skruchą: -Ale wydaje mi się, Bernardzie, że masz większe szanse.

- Teraz ty mi pochlebiasz, madame! - odparł Gracemere z ledwie maskowanym szyderstwem.

Na szczęście, Judith nie poznała się na tym.

- Przecież wczoraj wygrałeś - przekonywała go z całą powagą. - Choć... może Sebastianowi po prostu karta nie szła? Strasznie dużo zależy od kart!

- Jak najbardziej, moja droga Judith - przytaknął. - Miejmy nadzieję, że szczęście uśmiechnie się dziś do twego brata, żeby było sprawiedliwie, rozumiesz.

-Oczywiście!

Muzyka zamilkła i hrabia musiał odstąpić partnerkę następnemu tancerzowi. Przypomniawszy jej jednak, by koniecznie zjawiła się w karcianym pokoju. Judith, cała w uśmiechach, przyrzekła mu to, po czym zajęła miejsce wśród ustawiających się par. Jak dotąd, wszystko szło dobrze.

Kiedy zjawił się Sebastian, wydawał się uosobieniem dobrego humoru, witał przyjaciół i znajomych, obtańcowywał panie, nie żałował sobie szampana i w ogóle zachowywał się jak każdy inny złoty młodzieniec.

Ku jego uldze, a jej nieukrywanemu żalowi, Harriet nie otrzymała zaproszenia na ten bal. Była młodziutką debutantką, niedostrzeganą

w najwyższych kręgach towarzyskich. Kiedy Sebastian oświadczy się wreszcie i wszyscy dowiedzą się, że zaręczyła się ze szwagrem markiza Carringtona, sytuacja zmieni się diametralnie - tłumaczyła jej Letitia. Niewiele to jednak pomogło panience, spędzającej wieczór z chorowitą mamusią.

Było już po północy, gdy Sebastian i Gracemere spotkali się w karcianym pokoju. Judith zauważyła, kiedy zniknęli z sali balowej. Umówiła się z bratem, że nie przyłączy się do nich od razu. Pograją sobie, Sebastian wyraźnie będzie górą i wówczas - jak przewidywali - Gracemere sięgnie po znaczone karty.

Niemal przez godzinę tańczyła więc, uśmiechała się, rozmawiała. Jadła kolację i piła szampana, starając się nie myśleć o tym, co się dzieje w karcianym pokoju. Jeśli wszystko szło zgodnie z planem, Bernard Melville głowił się już, co się u licha stało?!

O pierwszej udała się do pokoju gier. Natychmiast się zorientowała, że dzieje się tam coś niezwykłego. Choć przy innych stołach grano w kości, faraona, makao i basetę, gracze byli dziwnie roztargnieni. Coraz to zerkali w stronę małego stolika w alkwie, gdzie dwóch mężczyzn grało w pikietę.

Judith podeszła ku nim.

- Przybywam, by dotrzymać obietnicy, milordzie! - oznajmiła wesoło.

Gracemere podniósł na nią oczy znad kart; od razu rozpoznała spojrzenie gracza ogarniętego szaleństwem.

- Pani bratu szczęście zaczęło dopisywać - powiedział nieco zachrypniętym głosem.

Judith dostrzegła leżący przed Sebastianem stos pieniędzy. Hrabia nie musiał jeszcze wypisywać rewersów. Stała swobodnie za krzesłem Gracemere'a.

Był zbity z tropu; powoli uświadamiał sobie, że mężczyzna, z którym gra, nie jest tym, którego - jak sądził - tak dobrze znał. Twarz Davenporta straciła wszelki wyraz. Prawie się nie odzywał, z rzadka rzucał kilka słów, zwięzłych i precyzyjnych. Aktywne były tylko jego smukłe, białe ręce.

Początkowo hrabia przypisywał swoją przegraną złym kartom, które mu się trafiały. Gdy nasunęło mu się podejrzenie, że może za tym kryć się coś więcej, natychmiast je odrzucił. Grał zbyt często z Sebastianem Davenportem, by nie wiedzieć, jaki z niego gracz. Co prawda, od czasu do czasu udawało mu się wygrać, ale nawet najgorszemu partaczowi raz czy drugi się poszczęści. Kiedy jednak porażka następowała za porażką, hrabiego

uderzyła absurdalność sytuacji. Podwyższał stawki pewny, że za chwilę wszystko wróci do normy -jak zawsze. Jedna naprawdę wysoka wygrana powetuje mu wszelkie straty. Mając to na uwadze, posłużył się pierwszą znaczoną kartą. Zrobił to tak zręcznie, że Judith się nie połapała i Gracemere wygrał.

Sebastian nie wydawał się tym przejęty. Podsunął mu tylko przez stół spory stosik pieniędzy. Judith wykrzyknęła podekscytowana i pochwaliła go teatralnym szeptem:

- Brawo, milordzie!

Gracemere zdawał się jej nie słyszeć. Znowu podwyższył stawki. Co raz więcej osób zwabionych emocjonującą grą podchodziło do ich stolika. Zrobiło się gorąco i Judith rozłożyła wachlarz.

Gracemere miał wrażenie, że wszystko stanęło na głowie. Scena była mu dobrze znana, z jedną, bardzo istotną różnicą: to nie on wygrywał! Grał w skupieniu, wypisując zawzięcie rewersy, tak jak to robił wczoraj jego przeciwnik. Używał znaczonych kart, a mimo to nie wygrywał! Davenport zawsze był przygotowany i udawało mu się utrzymać przewagę. Jak to mogło być?! Nie widział żadnego wytłumaczenia prócz jednego: jego przeciwnik nagle przeistoczył się z zarozumiałego żółtodzioba w gracza o zdumiewającym doświadczeniu. Nie, nie! To coś więcej! Potrzeba było magika, żeby oprzeć się „specjalnym” kartom hrabiego!

Obejrzał się na kobietę stojącą za jego plecami. Wachlowała się od niechcienia. Uśmiechnęła się do niego uspokajająco, jakby nic nie rozumiała. Myślała widać, że jej bratu po prostu dopisało szczęście.

Gracemere był zapalonym graczem. Pewnym, że uratuje go jedna wygrana. Jeśli postawi wszystko, co mu jeszcze zostało, odzyska, co przegrał, i powali swego przeciwnika na kolana.

Niegdyś George Devereux postawił na ostatnią kartę swoje rodzinne dobra w Yorkshire. Teraz Bernard Melville rzucił na szalę majątek, który wygrał niegdyś od Devereux. Podał kartkę z propozycją stawki przeciwnikowi. Sebastian spojrział na nią i umieścił z boku stołu, a wraz z nią całą swą wygraną jako równowartość stawki hrabiego. Potem wydobył z kieszeni pierścień misternej roboty. Tę ostatnią grę stoczył w imieniu swojego ojca. Wymienił niemal niedostrzegalne spojrzenie z siostrą, włożył sygnet na palec i otworzywszy nową talię kart, zaczął je rozdawać.

Agnes Barret wpatrywała się sygnet na rękę Sebastiana Davenporta. Cały świat zaczął wokół niej kołować, wszystko przeobraziło się

w nieprawdopodobny koszmar. Chciała krzyknąć coś do Bernarda, ostrzec go, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła. Wreszcie oderwała wzrok od ręki Sebastiana i spojrzała na jego siostrę. Na sekundę złoto-brązowe oczy Judith spotkały się z jej oczyma i nagle Agnes rozpoznała w tamtej samej sobie. Odkrycie omal jej nie zważyło z nóg. Jak mogła się nie domyślić? Czemu jakiś pierwotny instynkt nie podszeptał jej, że to są jej dzieci, których nie widziała od lat?

Marcus Devlin, markiz Carrington stał w otwartych drzwiach karcianego pokoju. Szmer rozmów widzów, którzy obstąpili graczy, był taki cichy, że prawie niezauważalny. Mimo wielkiej liczby gapiów Marcus widział, co się tam dzieje. Dostrzegał wyraźne, pełne znaczenia ruchy wachlarza swojej żony. Wiedział, co Judith robi. Wraz z bratem ograbiali z majątku hrabiego Gracemere'a na oczach śmietanki towarzyskiej Londynu. Nie miał pojęcia, czemu to robią; wiedział tylko, że on nic na to nie może poradzić. Musiałby zdemaskować własną żonę.

Złamany własnym tchórzostwem żałował, że obiad przy Horseguard's Parade zakończył się tak wcześnie, że nie wrócił od razu do domu, że wzięła go pokusa, by wyruszyć na poszukiwanie żony. Gdyby nie to, los oszczędziłby mu tej gorzkiej wiedzy, z którą nie wiedział co począć. Wiedzy, która zniszczyła całą jego miłość, udaremniła wszelką ufność, będącą podstawą małżeństwa.

W chwili, gdy rodowy majątek Devereux wrócił w posiadanie prawowitego właściciela, Agnes Barret zrozumiała wszystko. Bernard Melville, został pokonany własną bronią przez dzieci człowieka, którego zniszczył przed dwudziestoma laty. Nie wiedziała, jak zdołali tego dokonać, ale nie miała wątpliwości, że brat i siostra współdziałali ze sobą. Te gamonie, żółtodzioby, głuptasy dążyły do tego konsekwentnie od dnia swego przybycia do Londynu.

Mdlący, bezsilny gniew ścisnął ją za gardło, gdy dostrzegła całkowitą dezorientację Bernarda w obliczu ostatecznej porażki. Znów spotkała się wzrokiem z córką. W oczach Agnes były dzika furia i mściwy gniew. Judith spoglądała z chłodnym triumfem. Z pozbawionych nagle czucia palców lady Barret wypadł kieliszek i roniąc czerwone krople, roztrzaskał się na parkiecie.

Początkowo cichy szmer głosów narastał. Gracemere rozpaczliwie usiłował zebrać rozbiegane myśli. Był tylko jeden sposób, by odzyskać wszystko. Dwadzieścia lat temu zdołał podrzucić przeciwnikowi znaczoną kartę.

George Devereux został zhańbiony i zniszczony ostatecznie. Gdyby udało się teraz powtórzyć tę sztuczkę, publicznie zdemaskować przeciwnika, odzyskałby wszystko. Oszust nie może zachować zagarniętych bezprawnie dóbr! Wezbrała w nim nadzieja; rozumował chłodno, logicznie.

- Brawo, Davenport! - rzucił, przerywając milczenie pełne napięcia. Lekko potrząsnął rękawem - miał już kartę w dłoni.

Judith z trzaskiem złożyła wachlarz.

- Pozwolisz, że spojrzę...

Zanim hrabia mógł skończyć to zdanie, zanim sięgnął do kart przeciwnika, by błyskawicznie podmienić jedną z nich, odezwał się Sebastian Davenport. Jego słowa sprawiły, że Gracemere poczuł fałę nudności i smak żółci w ustach.

- Chwileczkę - powiedział syn George'a Devereux, ujmując mocno przegub wyciągniętej ręki przeciwnika. - Wybacz, milordzie.

W tym właśnie momencie Marcus przystąpił do działania. Przepchnął się przez tłum i znalazł się u boku żony. Nie powiedział ani słowa, tylko jedną ręką chwycił ją za łokieć, a drugą popychał ją przed sobą, zmuszając, by odsunęła się od stołu.

Nie miała pojęcia, że mąż tu jest. Gdy spojrzała na niego i dostrzegła zacisnięte szczęki i twarde jak stal oczy, zrozumiała, że widział wszystko. I w jednej chwili pojęła w całej pełni, co traci.

Marcus zauważył jej nieprzytomne spojrzenie, nadal jednak popychał ją ku drzwiom, nie zważając na scenę rozgrywającą się przy stole.

- Nie! - zaoponowała Judith zdławionym głosem. - Zaczekaj, proszę! Za minutę wszystko się rozstrzygnie.

Napięcie w jej cichym głosie było tak wielkie, że zbiło go z tropu. Zatrzymał się. W absolutnej ciszy zabrzmiał w całym pokoju głos Sebastiana:

- Mogę zobaczyć kartę, którą trzymasz w ręku, milordzie?

Długie palce Sebastiana zacisnęły się kurczowo na przegubie hrabiego, zmuszając go do ujawnienia karty ukrytej we wnętrzu dłoni. Marcus mimo woli zwrócił głowę w tamtą stronę, nie puszczając Judith. Przyglądał się ze zdumieniem, jak jego szwagier wyjmuje kartę z bezwładnej ręki przeciwnika. Słyszał słowa Sebastiana:

- Cóż to za osobliwy znaczek na rogu, Gracemere! Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Możesz tu podejść, Harry?

Judith westchnęła, całe jej ciało odprężyło się, gdy Harry Middleton wiał kartę z ręki przyjaciela. Marcus pomyślał, że niczego już nie rozumie.

A potem z lodowatą zawziętością postanowił dowiedzieć się wszystkiego, choćby miał poddać swoją żonę torturom.

- Idziemy! - rzucił gniewnie; nacisk jego ręki na plecy Judith stał się jeszcze silniejszy.

Nie opierała się dłużej. Wiedziała, że musi stawić czoło temu, czego obawiała się najbardziej.

Opuścili Devonshire House, z nikim się nie żegnając, i drogę powrotną odbyli w przytłaczającym milczeniu. Kiedy powóz zatrzymał się, Marcus wyskoczył, postawił żonę na ziemi i popędził ją znów przed sobą do drzwi frontowych i głównego holu. Naciskał na jej plecy tak mocno, że była pewna, iż ślad pozostanie na zawsze.

Gdy znaleźli się wewnątrz domu, spojrzała na niego posępnie.

- Do twojego gabinetu?

- Właśnie.

Wepchnął ją do pokoju i gwałtownie zatrzęsął drzwiami. Gdy się zamknęły, puścił żonę i podszedł do kominka. Oparł się o jego grzyski i z ponurą miną wpatrywał się w Judith, stojącą przed nim w milczeniu.

- Opowiesz mi teraz całą prawdę - powiedział bez ogródek. - Może nigdy dotąd ci się to nie przydarzyło, ale teraz powiesz mi wszystko. Jeśli coś zataisz albo przekreścisz, nie odpowiadam za konsekwencje. Zaczynaj!

Była to jedyna szansa, by jeszcze coś ocalić. Rozpaczliwie miała. Judith odetchnęła głęboko i zaczęła od początku. Od tego, co wydarzyło się przed dwudziestoma laty. Marcus słuchał bez najmniejszego ruchu, bez słowa, póki nie zamilkła. Jej słowa wisały w powietrzu jak ołowiany całun.

- Teraz pojmuję, czemu twojemu bratu tak zależało na tym, żebyśmy się pogodzili - powiedział Marcus powoli i dobitnie. - Gdybyśmy się rozstali, nie miałyby z ciebie zbyt wiele pożytku, co?

- To prawda - przytaknęła posępnie Judith.

Po cóż zaprzeczać?

- A więc znaleźliście sobie naiwniaka, który ułatwił wam od dawna planowaną zemstę.

Judith pokręciła głową.

- To nieprawda! Nie dziwię się, że tak sądzisz, ale tak nie było. Nie schwytaliśmy cię w pułapkę. Sebastian powiedział ci prawdę!

Marcus sceptycznie uniósł brew.

- Nie zaprzeczysz chyba, że to małżeństwo okazało się dla was bardzo korzystne.

- Nie mogę temu zaprzeczyć - odparła z bólem. -I doskonale rozumiem twój gniew i ból. Proszę cię tylko, żebyś uwierzył, że nie usidliłam cię z premedytacją.

-Ale nie odważyłaś się zwierzyć mi - stwierdził. -Nawet wówczas, gdy sprawy ułożyły się już gładko między nami. Czym cię zraziłem, Judith, w ciągu tych ostatnich tygodni, że nie okazałaś mi zaufania?

Pokręciła znów głową.

- Niczym! Ale gdybym powiedziała ci o naszych planach, uniemożliwiłbyś je, prawda?

- Oczywiście, że tak! - zapewnił ją z zawziętością. - Zamknąłbym cię w pokoju i wyrzucił klucz, gdyby to mogło cię powstrzymać od zhańbienia się w taki odrażający sposób!

Judith poczerwieniała. Głos jej nabrał znów siły.

- Gracemere'a spotkało to, na co zasłużył. Od wielu tygodni bezczelnie okradał Sebastiana. Podobnie jak ograbił naszego ojca, a potem jeszcze oskarżył go o oszustwo! Gdyby ktoś skrzywdził twój ojca, Marcusie, czy pozwoliłbyś, by uszło mu to bezkarnie? Czy ty nie możesz zrozumieć, czym jest pragnienie zemsty? Potrzeba wymierzenia sprawiedliwości?

Markiz nie odpowiedział na ten namiętny apel do jego uczuć. Zamiast tego spytał tonem chłodnej ciekawości:

- Powiedz mi, czy zaproszenie od pułkownika Morcby'ego to czysty przypadek?

Judith poczerwieniała jeszcze bardziej. Opuściła ją wola walki, ujrzała beznadziejność swego położenia.

- Nie - przyznała niechętnie. - Charlie...

- Charlie? Chcesz powiedzieć, że wtajemniczyłaś mego kuzyna w to oszustwo, skłoniłaś go do zdrady?

Jego oczy były jak wielkie czarne, dziury w zbielejącej twarzy.

-Niezupełnie... To znaczy, Charlie wystarał się o zaproszenie, ale nie powiedziałam mu, dlaczego mi na tym zależy. - Spoglądała na niego z rękoma przyciśniętymi do rozpalonych policzków, zrozpaczona tym, co jej powiedział, i tym, co miał prawo o niej myśleć.

Odetchnął głęboko.

- Zejdź mi z oczu! Nie chcę być z tobą w jednym pokoju.

- Proszę cię, Marcusie... -Zrobiła krok w jego stronę.

Wyciągnął ręce przed siebie, jakby zamierzał ją odepchnąć.

-Wyjdź stąd!

- Proszę cię. Postaraj się mnie zrozumieć, spojrzeć na to moimi oczami - prosiła, nie mogąc się pogodzić z odtrąceniem, przerażona, że jeśli go usłucha, przepaść między nimi stanie się nie do przebycia.

Chwyił ją za ramiona i potrząsnął z całej siły. Potem puścił, jakby dotknął rozpalonego żelaza lub czegoś niewypowiedzianie odrażającego. Gdy stała oszołomiona pośrodku pokoju, pocierając posiniaczone ręce, wypadł z gabinetu, zostawiając drzwi otwarte.

Judith skuliła się na fotelu przy kominku, ogarnięta rozpaczą.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała - obraz nędzy i rozpaczki mimo szmaragdów, pajęczej gazy i ałtasu - nim powrócił Marcus. Stał przed nią i odezwał się z bezosobową uprzejmością:

-Przepraszam, jeśli sprawiłem ci ból. Nie chciałem tego. Chodź teraz na górę, powinnaś się położyć.

- Dziękuję, wolę tu zostać - odparła z równie sztywną grzecznością.

Marcus pochylił się, ściągnął ją z fotela i postawił na nogi.

- Muszę cię zanieść?

Pokręciła głową i wyszła z pokoju. Żadne z nich nie zniósłoby teraz fizycznego kontaktu.

Szła przed nim po schodach i weszła do swojej sypialni. Marcus skrzywił do swego pokoju.

30

Judith przeleżała bezsennie resztę nocy, wpatrując się w baldachim nad głową. Mimo całkowitego wyczerpania, fizycznego i duchowego, o zasnieniu nie było mowy.

Powinna odczuwać triumf: dokonali wreszcie zemsty. Sebastian odzyskał swój rodowy majątek i była pewna, że zdoła naprawić wszelkie szkody, spowodowane rozrzutnością Gracemere'a. George Devereux został pomszczony, a jego dzieci odzyskały pozycję w świecie, której ich pozbawiono.

Tak, powinna odczuwać triumf i satysfakcję. Ale miała w sobie jedynie pustkę. Czym było zemsta wobec utraty miłości? Usiłowała zachować jedno, nie wyrzekając się drugiego - i pozostała jej garść popiołu, którą rozwiął wiatr.

Nie! Miała nadal Sebastiana. Mógł teraz zdobyć Harriet, osiąść z nią na wsi i zrealizować swe sielskie marzenia.

Ale co z nią?

Dla Marcusa mogła uczynić tylko jedno: usunąć się jak najdyskretniej z jego życia. Żadne prawo nie wzbraniało tego. Musi powiadomić go o tym jak najprędzej. Podjąwszy tę niewesołą decyzję, zdołała wreszcie zasnąć. Właśnie wschodziło słońce.

Kiedy się obudziła, ranek był już w pełni. Zadzwoiła na Millie, wstała i ubrała się apatycznie, w milczeniu.

- Czy jego lordowska mość jest w domu, Millie? - spytała wreszcie.

- Zdaje się, milady, że wyszedł po śniadaniu. Jaśnie pani chyba trochę zmęczona - zauważyła z troską. - Może nałożyć odrobinę różu?

Judith przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Oczy miała bez blasku, powieki ciężkie, twarz bladą. Pokręciła głową.

- Nie, to by tylko pogorszyło sprawę. - Zawiązała sznurek korali na szyi i zeszła do żółtego salonu.

- Pan Davenport był tu pół godziny temu i i zostawił swoją kartę.

Majordomus podsunął ją na srebrnej tacy.

- Dziękuję, Gregson. Mógłbyś przynieść mi kawę?

Sebastian nabazgrał na odwrocie swej karty wizytowej: *Czemu nie skaczę z radości? Czuję się, jakbyśmy przegrali zamiast wygrać. Przyjdź do mnie, kiedy tylko będziesz mogła. Muszę z tobą pomówić!*

Judith wrzuciła kartę do ognia. Prawdopodobnie czułaby się tak samo jak brat nawet bez tej katastrofy z Marcusem. Żyli w zbyt wielkim napięciu, nic dziwnego, że byli wykończeni! Potrzebowała teraz Sebastiana jak nigdy dotąd.

- Lady Barret, wasza lordowska mość - zaanonsował Gregson, wkraczając do pokoju z kawą na tacy.

Judith stanęła przed oczami twarz Agnes z wczorajszego wieczoru: maska gniewu i nienawiści. Otwierała już usta, by powiedzieć Gregsonowi, że nikogo nie przyjmuje, ale Agnes weszła zaraz za majordomem. Była równie blada jak markiza.

- Witam, lady Barret. - Judith się skłoniła. Jakże słaby wydał się jej własny głos! - Jak to miło, że pani mnie odwiedziła. Jeszcze jedną filiżankę, Gregson.

- Nie, nie! Dziękuję za kawę - odparła Agnes.

Nie odwzajemniła ukłonu Judith, tylko krążyła po pokoju, czekając, aż majordomus napełni filiżankę Judith.

Kiedy za majordomem zamknęły się wreszcie drzwi, Agnes przypuściła gwałtowny atak. Oczy jej płonęły, plamy różu odcinały się jaskrawo od bladej twarzy.

- Mówmy bez ogródek, Judith. !. Nie mam pojęcia, jak zdołaliście tego dokonać, ale doskonale wiem, co zrobiliście ubiegłej nocy, ty i twój brat!

-A mianowicie? - Usiłując zachować spokój, Judith ironicznie uniosła brew.

- Jakimś sposobem do spółki oszukaliście i ograbiliście Gracemere'a.
- Głos Agnes trząsał się, zaciśnięte ręce drżały. - Doprowadziliście go do ruiny! - syknęła i natarła na Judith, która cofnęła się pod naporem jej mściwego gniewu.

- A on doprowadziłby do ruiny mojego brata, tak jak to zrobił z ojcem
- odparła Judith z drzeniem w głosie.

Nie było sensu kłamać przed tą kobietą, która zdawała się wiedzieć o wszystkim.

Agnes wybuchnęła śmiechem.

- W przeciwieństwie do ciebie i twego brata wasz ojciec był słabeuszem i głupcem. Nie umiał się postawić ani obronić tego, co posiadał!

Judith wpatrywała się w nią. Mimo oburzenia musiała przyznać, że jest w tym trochę racji. Ale zawsze zakładała, że to tułaczka i nędza osłabiły charakter i wolę ojca. Ta kobieta dawała do zrozumienia, że słabość tkwiła w nim już wcześniej.

- Co pani wie o moim ojcu? - spytała. - Albo o jego życiu?

Agnes znów się roześmiała i Judith odwróciła się raptownie od niej.

- Proszę opuścić mój dom, lady Barret!

- Wyjdę stąd, kiedy powiem, co mam do powiedzenia, Judith! - Mówiła niemal szeptem, ale każde jej słowo brzmiało niezwykle wyraźnie. - Zapłacisz za to, coś uczyniła... ty i twój brat!

- Już za to płacę - odparła Judith cicho, jakby do siebie. - Nie ma pani pojęcia, jak wysoką cenę. - Głos jej nabrał siły. - Ale mój brat odzyskał swoje dziedzictwo. Jego szczęście i pozycja w świecie są zapewnione.

- On też zapłaci! - powtórzyła Agnes z zimną pewnością siebie.

Judith przeszły ciarki po plecach. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na te groźby, i gdy Gregson ukazał się w drzwiach, poczuła ulgę.

- Lady Devlin, lady Isobel Henley, pani Forsythe.

- Judith, całe miasto o tym mówi! - wykrzyknęła Isobel, wpływając do pokoju w obłoku muślinu. - Twój brat przyłapał hrabiego Gracemere'a na oszukiwaniu w karty!

- Wysłałam przed północą - wpadła jej w słowo Cornelia. Potknęła się o róg dywanu, ale na szczęście odzyskała równowagę. -Ale Forsythe o niczym innym nie mówił przy śniadaniu! Powiada, że Gracemere nie ośmieli się już pokazać w towarzystwie... O, bardzo przepraszam, lady Barret! Nie zauważyłam, że pani tu jest.

Na oczach zdumionej Judith w Agnes zaszła nieprawdopodobna zmiana. Zniknęło mordercze spojrzenie, rumieniec powrócił na policzki. Odezwała się lekkim tonem, ze zwykłą nonszalancją:

- Istotnie, jak powiada lady Isobel, mówi o tym całe miasto. Jestem pewna, że wszyscy będą się tu dobijać, lady Carrington, by porozmawiać z pani bratem.

- Ciekawam, od jak dawna hrabia oszukiwał - rozważała Sally, siadając przy ogniu. -Niemożliwe, by przytrafiło mu się to po raz pierwszy wczoraj wieczorem!

- Mało prawdopodobne - stwierdziła Judith, starając się mówić normalnym głosem.

Jeśli Agnes Barret jest do tego zdolna, ona też to potrafi! Ostatecznie przez całe życie musiała grać komedię i udawać beztroskę.

-Ale skąd Sebastian mógł wiedzieć... ?

- Grywał z hrabią od dwóch miesięcy - odpowiedziała Judith, wrzuszając ramionami i odwracając wzrok od Agnes. - Pewnie już wcześniej zauważył, że coś jest nie w porządku.

- Panna Moreton, wasza lordowska mość.

Drzwi znowu się otworzyły i wpadła podekscytowana Harriet.

- Och, Judith, nie mogę się wprost opanować, takie podniecające nowiny! Czy to prawda, że Sebastian przyłapał hrabiego Gracemere'a na oszukiwaniu w karty? Jak żałuję, że nie byłam przy tym!

Spostrzegła Agnes i urwała, czerwieniąc się okropnie.

- Nigdy nie przepadałaś za Gracemere'em, nieprawdaż, moja droga? - zauważyła Agnes. - A jednak to nieładnie cieszyć się z cudzego nieszczęścia.

- Trudno tak to określić - odezwała się Isobel, mierząc okiem talerz pełen ciasteczek i herbatników. - Kiedy ktoś z rozmysłem zamierza wyrządzić szkodę drugiemu i zostaje na tym przyłapany, nie nazwałabym tego nieszczęściem.

Zdecydowała się na kruche ciasteczko.

Agnes odpowiedziała chłodnym ukłonem i zaczęła kartkować jakieś czasopismo, leżące na stoliku. Cornelia z pożałowania godnym brakiem

delikatności kopnęła Isobel w kostkę i zapadło niezręczne milczenie. W końcu Sally powiedziała ze swą zwykłą dobrocią:

- To doprawdy szokujący postępek. Ale hrabia miał zapewne ważne powody, by dopuścić się czegoś takiego. Prawdopodobnie zawrotne długi, bo cóż by innego?

- Masz rację - powiedziała Cornelia. - Nie powinniśmy nikogo zbyt pochopnie potępiać.

- O tak! - zgodziła się z nią Sally, myśląc o rubinach zastawionych za cztery tysiące funtów.

Przez następne pół godziny chyba połowa Londynu przewinęła się przez salon Judith, pragnąc poznać wszelkie nieznane dotąd szczegóły. Markiza witała ich gościnnie, ale zapewniała, że nie wie nic więcej, gdyż od wczorajszego wieczoru nie widziała się z bratem. Przez cały ten czas głowiła się, jaką zemstę knują Agnes i Gracemere. Czekwała niecierpliwie na wyjście gości, by jak najprędzej udać się do Sebastiana.

- Judith, muszę już wracać do domu. Annie ma krup. - Sally zjawiła się nagle u jej boku. - Niania całkiem dobrze sobie radzi, ale to małe biedactwo marudzi, gdy mamusi zbyt długo nie ma!

- Bardzo mi przykro - odpowiedziała Judith z jakimś roztargnieniem. - To nic poważnego, mam nadzieję?

- Nie... Judith, czy coś się stało? - Sally przyjrzała się uważnie przyjaciółce. - Wydajesz się niezbyt przytomna.

- Trudno się chyba dziwić! - Starając się zbagatelizować sprawę, wskazała na zatłoczony pokój. - I to po ostatniej nocy!

- No, chyba tak. A co ci powiedział Marcus?

Był to bystry domysł, ale Sally nieźle umiała przewidywać reakcje Devlinów. Judith pokręciła głową.

- Nie teraz, Sally!

Sally odpowiedziała na to pełnym współczucia pocałunkiem.

- O, byłabym zapomniała! Harriet musiała wyjść, jakieś sprawunki dla matki. Byłaś zajęta rozmową i nie chciała ci przeszkadzać. Prosiła tylko żeby ci przekazać od niej serdeczności.

- Dzięki! Mam nadzieję, że Sebastian zdoła później odpowiedzieć na wszystkie jej pytania. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Sally uściśliła jej rękę i wyszła.

Judith rozejrzała się po salonie i spostrzegła, że Agnes Barret także wymknęła się dyskretnie. Od niej z pewnością nie oczekiwała serdecznego pożegnania.

Gdy tylko ostatni goście się wynieśli, Judith wyruszyła na Albemarle Street. Sebastian dostrzegł ją przez okno i sam jej otworzył.

- Ukrywam się! - wyznał. - Rano widziałem się z Harrym Middletonem, ale zapowiedziałem Broughtonowi, że poza tym dla nikogo nie ma mnie w domu.

- Mądrze z twojej strony - przyznała. - W moim salonie było pełno ciekawskich, którzy usiłowali wyciągnąć ode mnie jakieś nieznanne jeszcze szczegóły.

Zdjęła kapelusz i rękawiczki. Sebastian nalał jej sherry.

- Okropnie wyglądasz - powiedział bez ogródek. - Co się z tobą stało ubiegłej nocy? Szukałem cię wszędzie, ale zniknęłaś.

- Marcus zabrał mnie do domu zaraz po tym, jak zdemaskowałeś Gracemere'a.

Sebastian gwizdnął cicho.

- Widział wszystko?

Skinęła głową.

- Wszyściutko.

- Źle z wami?

Znowu skinęła głową.

- I to bardzo! Spełniły się nasze najgorsze przewidywania.

- Tak mi przykro, kochanie. - Sebastian objął siostrę. Płakała cicho, a on gładził ją po włosach. - Kiedy trochę ochłonie i zaczniesz myśleć logicznie, zrozumie wszystko! Wie przecież, że go kochasz. Musiałby być ślepy, żeby tego nie widział!

- Miałam nadzieję, że mnie kocha - powiedziała ponuro. - Ale widocznie miłość łatwo zabić. Gardzi mną.

Słyszała głos Marcusa żądającego, by zeszła mu z oczu. Tyle w nim było odrazy.

- Bzdury! - zaprzeczył brat. - Z pewnością tobą nie gardzi!

- Właśnie że tak! Mówmy lepiej o czymś innym. Agnes Barret odwiedziła mnie dziś rano.

Powtórzyła bratu jej słowa. Sebastian słuchał uważnie.

- Nic nie może zrobić! - orzekł w końcu. - Żadne z nich nie jest w stanie odegrać się, Ju. Gracemere musi opuścić Londyn. Może tylko objąć się po prowincji albo wyjechać za granicę. Ale nie ma dla niego miejsca w towarzystwie. Ani teraz, ani nigdy.

- A Agnes?

- Na nią nie spadła hańba. Może żyć jak dotąd.

- Ale bez swego kochanka. A jeśli zwiążali ze sobą losy, klęska Gracemere'a będzie i jej klęską tak czy inaczej.

- Albo zerwie z Gracemere'em, albo wyrzeknie się wszystkiego i uda się z nim na wygnanie. Niewesoła alternatywa! No więc, co zrobimy z Marcusem?

Judith ze znużeniem pokręciła głową.

- Wątpię, by coś się udało zrobić. Rozstaniemy się jak najprędzej, możliwie dyskretnie. Wymyślimy jakąś bajeczkę na mój temat i Marcus będzie mógł ożenić się i żyć tak jak dawniej, zanim mnie poznał.

Sebastian nie wiedział, co powiedzieć. Każda pociecha była niczym w porównaniu ze szczęściem, które się nie ziściło.

Judith sięgnęła po kapelusz i rękawiczki.

- Lepiej wróć do domu. Może Marcus już tam jest.

Kiedy dotarła na Berkeley Square, natknęła się na progu na czekającą na nią pokojówkę Harriet.

- Bardzo przepraszam, wasza lordowska mość, ale lady Moreton mnie przysłała. - Służąca dygnęła. - Prosi, żeby odesłać naszą panienkę do domu jak najszybciej.

- Odesłać Harriet? Ależ ona wyszła stąd dawno temu! - Z Berkeley Square na Brook Street było dziesięć minut spacerkiem. - A prawda! Miała załatwić jakieś zakupy dla lady Moreton. Pewnie to ją zatrzymało.

- Gdzie tam, milady! - zaproponowała dziewczyna. - Panienska odesłała już do domu lokaja z lekarstwem dla lady Moreton!

- Chodźmy lepiej do środka! - powiedziała Judith i pokojówka weszła za nią do domu.

- Gregson, widziałeś, jak panna Moreton wychodziła?

- Tak jest, wasza lordowska mość. Wyszły razem z lady Barret.

Judith poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Harriet i Agnes. Ujrzała znów przed sobą te płowe oczy, błyszczące mściwie. Słyszała pogroźki wygłaszane syczącym szeptem.

Harriet była idealnym narzędziem zemsty na Sebastianie.

- Powiedz swojej pani, że panna Moreton wyszła z lady Barret. Jestem pewna, że niebawem wróci do domu - poinstruowała pokojówkę. - Gregson, pošlij kogoś ze służby, żeby znalazł jego lordowską mość. - Mówiła żywo, nie dając poznać po sobie przerażenia. - Nie, lepiej posłać kilku ludzi. Może być w którymś z klubów, u Jacksona, albo u kogoś z przyjaciół. Trzeba go odnaleźć bez zwłoki!

- Co mają przekazać jego lordowskiej mości?
- Tylko tyle, by czym prędzej wracał do domu.

Judith udała się do swego salonu. Znalazłszy się nareszcie sama, krążyła niespokojnie po pokoju. Czuła się całkowicie bezradna. Co tamtych dwoje zamierza zrobić z Harriet? Marcus lepiej znał Gracemere'a, może się domyśli. Zbyt była tym przejęta, by zastanawiać się, jak spojrzy mężowi w oczy po wczorajszej okropnej scenie. Nie przyszło jej też do głowy, że mógłby odmówić pomocy. Marcus nie był mściwy. Z najwyższym trudem powstrzymała się od posłania po Sebastiana. W czym mógłby jej pomóc? Byłby równie przerażony i bezradny jak ona.

Jeden z sześciu rozesłanych na miasto lokajów znalazł Marcusa w szkole boksu Jacksona. Rozebrany do pasa, oczekujący potem markiz usiłował wyładować swój gniew i rozczarowanie na worku treningowym.

Spędził noc nie lepszą niż Judith, ale ostrze jego gniewu nieco stępieło, rozsądek doszedł do głosu i w mroku zabłysła iskierka światła. Słyszał wyraźnie głos Judith domagający się zrozumienia. Zemsta... Wiedział, jak silne może być pragnienie zemsty. Kiedyś sam mu się poddał, także z powodu Gracemere'a. Judith i Sebastian mieli pełne prawo do zemsty. Nadal jednak nie mógł pogodzić się z myślą, że został przez nich wykorzystany. Gdyby Judith mu się zwierzyła...

Ale jak mogła to uczynić? Powstrzymałby ją przecież! Choćby nie wiem jak współczuł jej bratu, bolał nad tragedią ojca, nigdy by nie pozwolił Judith na to, co zrobiła. A zniszczenie Bernarda Melville'a, hrabiego Gracemere'a było głównym celem życia Judith. Póki zemsta się nie dokonała, nic innego się nie liczyło... nawet mąż. Jak mógł spodziewać się, że Judith zrezygnuje z czegoś najważniejszego dla niej tylko dlatego, że on pojawił się w jej życiu? A jej więź z bratem była zbyt złożona i zbyt mocna, by mogła ją zniweczyć zwykła namiętność czy nawet rozkwitająca miłość.

Nie pochwałał tego, co zrobiła, ale rozumiał ją. Od zrozumienia nie tak daleko do akceptacji.

- Milordzie, przybył jeden z pańskich ludzi z jakąś wiadomością. Marcus chwycił ręcznik i otarł pot z twarzy.
- Ktoś do mnie, Jackson?
- Tak jest, milordzie.

Jackson wskazał młodzieńca w liberii Carringtonów, który stał w przeciwnym końcu sali i spoglądał ze zdumieniem na walczących bokserów.

- Czego on chce, u diabła?

Marcus skinął na chłopaka, ten zaś pokłusował przez salę, wołając już z daleka:

- Jej lordowska mość prosi, żeby pan niezwłocznie wrócił pan do domu, milordzie!

Serce zabiło mu gwałtownie. Tylko najgorsze nieszczęście mogło skłonić Judith do ściągania go do domu w taki sposób.

- Czy jej lordowska mość dobrze się czuje? - spytał niecierpliwie, wycierając mokną od potu głowę.

- Tak jest, milordzie - przyznał służący. - Chyba tak. Pan Gregson powiedział, że mamy szukać waszej lordowskiej mości po całym Londynie.

- Nie ty jeden?

- Nie, milordzie. Wystął nas sześciu.

- Wracaj natychmiast na Berkeley Square i powiedz, że zaraz tam będę - polecił zwięźle Marcus i nieco już spokojniejszy udał się do przebieralni. Najważniejsze, że Judith była zdrowa i cała. Chyba nie kazała go szukać po całym mieście po to, by oznajmić, że od niego odchodzi? Chociaż z tego rysiczką wszystko było możliwe!

Ubrał się w pośpiechu i wziął dorożkę. Gregson otworzył mu drzwi, zanim do nich dotarł.

- Jej lordowska mość?

- W żółtym salonie, milordzie.

Pobiegł, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- O co chodzi, Judith? - Miał to pytanie na ustach, zanim drzwi się otworzyły. Błada twarz i przerażone oczy żony sprawiły, że zamarł na progu.

- Co się stało?

- Harriet... - wyszeptała. Chciała podbiec do męża, ale wspomnienia ostatniej nocy były zbyt żywe. - Myślę, że Agnes i Gracemere porwali ją!

Na minutę przymknął oczy. Nie chciał już słyszeć o Gracemere! Jeśli mają jakoś pozbierać kawałki swego rozbitego małżeństwa, muszą o nim zapomnieć. Niech go piekło pochłonie! I nagle ujrzał znów Marthę - taką, jaką zobaczył tamtego ranka przed dziesięcioma laty. Skuloną w kącie pokoju, z posiniaczoną twarzą, z oczyma osłepłymi od łez, wydającą cichutkie jęki. Ktoś, kto raz posunął się do gwałtu, nie zawaha się przed następnym.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Judith wyjaśniła, co się stało. Spokój Marcusa udzielił się i jej. Podawała fakty, a nie swoje domniemania.

- Tak się boję! - wyznała w końcu. - Zawsze wyczuwałam w nich zło. Co oni jej zrobią, Marcusie?

Marcus zastanawiał się pospiesznie nad odpowiedzią. Nie było sensu podsycać jej obaw. Później, gdy będzie już po wszystkim, opowie jej całą prawdę o losie Marthy. Ale teraz musi zapobiec zgwałceniu kolejnej ofiary. Musi zdążyć na czas! Wtedy nie zdążył. Tym razem nie zawiedzie.

Przemówił wyraźnie i dobitnie. Judith zadrżała, ujrawszy w jego oczach tyle gniewu i stanowczości.

- Nie pozwolę, by Harriet coś się stało. To sprawa między mną a Gracemere'em. Nie mów o tym nikomu i czekaj tu na mnie. Ty i twój brat macie się do tego nie mieszać! Rozumiesz?

- Rozumiem - odparła, gdy wychodził już z pokoju.

Rozumiała, ale nie godziła się z tym!

31

Judith pobiegła na górę, zarzuciła pelerynę na ramiona, wetknęła do kieszeni pistolet i ciężką sakiewkę i wymknęła się z domu przez francuskie okno w gabinecie męża.

Gdy przebiegała po brukowanym kocimi łbami dziedzińcu, kariolka Marcusa zajeżdżała właśnie od strony stajni. Zarzuciwszy kaptur na głowę, Judith podażyła za nią na skwer i tam zatrzymała przejeżdżającą krytą dorożkę.

- Zaczekaj za rogiem, a potem ruszaj za tą karioiką, jak tylko woźnica weźmie cugle do rąk - poinstruowała dorożkarza, wręczając mu gwineę. Aż zasalutował.

- Pewnie paniusia nie chce, żeby ten gość się skapował, że za nim jadem?

- Owszem, jeśli zdołasz tego dokonać - przytaknęła, kryjąc się we wnętrzu powozu.

Wyjrzała przez przysłonięte skórzaną zasłonką okno i zobaczyła Marcusa wychodzącego z domu i wsiadającego do kariolki. Zawołała półgłosem do dorożkarza:

- Dostaniesz jeszcze dwie gwinee, jeśli go nie zgubisz. I jeśli nie zorientuje się, że jedziemy za nim!

- Zrobione! - Woźnica strzelił z bata i dorożka ruszyła.

Judith opadła na siedzenie, starając się nie wciągać zbyt głęboko w płuca cuchnącego powietrza. Poprzedni pasażer jadł surową cebulę i palił pasudny tytoń.

Marcus ani razu się nie obejrzał. Jechał w ostrym tempie przez miasto, kierując się na północ, w stronę Hampstead Heath. Już raz odbywał tę samą drogę z takim samym pośpiechem, gnany równie desperacką furją. Jak długo był już Gracemere sam na sam z tą dziewczyną? Najwyżej cztery godziny. A może Agnes Barret mu towarzyszyła? Nie tylko sprowadziła mu ofiarę, ale jeszcze trzymała podczas... Niewypowiedziane ohydne obrazy zawirowały mu przed oczyma. Naprzeciw niego toczył się dyliżans do Reading. Pocztylion grał na trąbce. Uchwycił się kozła z całej siły i zamknął oczy, gdy kariolka minęła go, nie zwalniając pędu - w odległości może centymetra.

- O rety! - wrzasnął dorożkarz do swej pasażerki. - To ci dopiero jazda! Głowę daję, że nawet lakieru nie zadrapa! Cholernie mu się spieszy, temu paninemu facetowi!

Dorożka kolebała się i podskakiwała na wyboistej drodze. Judith uczepiła się z całej siły skórzanej pętli, starając się ani na chwilę nie tracić kariolki z oczu. Trochę zbyt późno uświadomiła sobie, że nie wie, dokąd Marcus jedzie. Równie dobrze mógł zmierzać do Reading i do Oksfordu. W każdym razie przekraczało to znacznie przeciętny kurs londyńskiego dorożkarza. Ale skąd jej mąż wiedział, gdzie szukać Gracemere'a?

Droga wiała się teraz po wrzosowisku. Judith wychyliła się z okna.

- Nadal go widać?

- A jakże, właśnie minął rozstaje. Cóż mi się widzi, że jadzie Pod Zielonego Ludzika! - odrzyknął woźnica. - Tu w okolicy nie ma inszych domów. Kto by chciał mieć szubienicę pod bokiem?

- No, tak... rzeczwiście.

Judith cofnęła się do śmierzącego wnętrza, odwracając wzrok, gdy na skrzyżowaniu dróg mijali gnijące zwłoki, które dyndały na szubienicy.

Marcus wjechał na dziedziniec ponurej, obskurnej gospody, ozdobionej skrzypiącym szyldeM POD ZIEŁONYM LUDZIKIEM. Wskoczył z powozu i rzuciwszy cugle chłopakowi, który stał pod ścianą i dłubał w nosie, wszedł do krytego smołowanym dachem budynku, schylając się w niskich drzwiach. Jakby od niechcienia trzymał w ręku bicz.

Z izby z szynkwasem dolatywał gwar głosów; odór zwietrzałego piwa łączył się z zapachem pichnącej się w kuchni kapusty. Z jakiegoś pomieszczenia na tyłach domu wychynał oberżysta, wycierając ręce w brudny fartuch. Gdy ujrzał przybysza, zrobił wielkie oczy. Miał wrażenie, że czas cofnął się o wiele lat.

- Widzę, Winkler, że nadal tu jesteś -- zauważył markiz uprzejmym tonem, lecz z groźnym wyrazem twarzy. - Aż dziw, że agenci z Bow Street jeszcze cię nie capnęli!

Karczmarz przestępował z nogi na nogę i spoglądał na Marcusa chytrze, acz z pewnym niepokojem.

- Czym mogę służyć, milordzie?

- Tym samym co poprzednio - odparł Marcus. - Nie sprawię ci większego kłopotu. Odnajdę twoich gości nad stajnią, jak zwykle, nieprawdaż?

Winkler oblizał wargi i rozejrzał się niespokojnie, jakby w obawie, że z któregoś zakurzonego kąta wyskoczy agent z Bow Street.

- Jak bym śmiał przeczyć takiemu panu, milordzie.

- Nie radziłbym - odparł sucho Marcus, odwracając się na pięcie. - A gdybyś usłyszał jakieś dziwne odgłosy, to nie zwracaj na nie uwagi, dobrze? Wiem, jaki potrafisz być głuchy, Winkler!

Oberżysta otarł czoło fartuchem.

- Jak sobie wielmożny pan życzy.

- No właśnie!

Marcus uśmiechnął się uprzejmie i wyszedł znów na zewnątrz. Dotarł na podwórze na tyłach oberży. Stała tam stajnia, solidny budynek z czerwonej cegły. Pod jej spadzistym dachem znajdowały się dwa połączone ze sobą pokoje, które można było wynająć za grube pieniądze. Nie zadawano żadnych pytań ich użytkownikom, przeważnie przestępcom, a to, co działo się na poddaszu, pozostawało ich tajemnicą. Jak dotąd, Winkler, i jego lokatorzy nie wzbudzili zainteresowania przedstawicieli prawa.

Marcus zerknął w stronę zabezpieczonych kratą i szczelnie zasłoniętych okien, wychodzących na dziedziniec, nim wszedł do budynku. Nie dostrzegł żadnego ruchu za zasłonami. Nie słyszał też nic podejznanego, gdy wspinał się ostrożnie po mrocznych, drewnianych schodach. U ich szczytu przystanął. Serce mu zaczęło walić. Spodziewał się usłyszeć te same dźwięki, które dziesięć lat temu sprawiły, że wpadł do pokoju z podniesioną szpicrutą. Ale tym razem nikt nie płakał.

Jednym kopnięciem otworzył drzwi.

Gracemere zerwał się na równe nogi, z paskudnym przekleństwem na ustach. Przewrócone krzesło runęło na podłogę.

- To ty?!

- Chyba się mnie spodziewałeś, Gracemere - powiedział Marcus. - Dobrze wiesz, że dotrzymuję obietnic!

Rozejrzał się po pokoju. Szczelnie zaciągnięte zasłony nie przepuszczały słonecznego światła. Paliły się jednak grube łojowe świece i płonął jasny ogień na kominku.

Harriet siedziała skulona na drewnianej ławie koło ognia. Na dźwięk głosu Marcusa zerwała się z głośnym okrzykiem. Spoglądała na niego dziwnym wzrokiem, jak na ducha. Oczy miała spuchnięte od płaczu, włosy rozwichrzone, na twarzy malowała się rozpacz; nie dostrzegł jednak żadnych śladów przemocy fizycznej.

Pospieszenie zbliżył się do niej.

- Czy on się nad tobą znęcał, moje dziecko?

Zaczerpnęła raptownie powietrza, próbowała zaprzeczyć i zanosła się płaczem. Była o krok od ataku hysterii.

Marcus nie tracił czasu na uspokajanie jej. Zwrócił się do hrabiego, który stał jak skamieniały.

- Głupio z twojej strony, żeś tu wrócił, Gracemere, ale cóż? Szczury zwykle wracają na swe śmietnisko - zauważył, uderzając szpicrutą o podłogę. Jego oczy pobiegły w stronę ściany. Wiedział, że ten pokój łączy się z sąsiednim. - A gdzież lady Barret? Chciałbym, żeby była świadkiem tego, co zaraz nastąpi.

z twarzy Gracemere'a odpłynęła krew. Rozglądał się rozpaczliwie po pokoju. Wreszcie chwycił duży nóż leżący na stole. Szpicruta Marcusa świsnęła, uderzając hrabiego po palcach. Z okrzykiem wściekłości, trwogi i bólu cofnął rękę.

Marcus zbliżał się powoli, nie spuszczać oczu z twarzy wroga, niedbale trzymając szpicrutę. Nagle znowu nią smagnał. Hrabia się cofnął. Raz po raz szpicruta świszczwała w powietrzu, a Gracemere uskakiwał. Wreszcie Marcus przyparł go do masywnej szafy.

- A teraz - powiedział półgłosem - porozmawiamy serio, mój panie!

- Istotnie, szkoda czasu na żarty. - Agnes Barret stanęła w drzwiach łączących oba pokoje. W rękę miała pistolet skałkowy, wymierzony w markiza. - Oddaj szpicrutę Gracemere'owi. Sądzę, że z przyjemnością się nią posłużę.

Hrabia roześmiał się i wyciągnął rękę.

- Nie myśl, Carrington, że zawaham się strzelić - powiedziała Agnes z wymuszonym uśmiechem. - Oczywiście nie zabiję cię, mogłoby to spowodować przykre konsekwencje. Przestrzelę ci kolana. Od dawna nas tu nie będzie, gdy odzyskasz przytomność i zdołasz jakoś zwlec się po schodach.

Harriet krzyknęła. Gracemere wyrwał Marcusowi szpicrutę.

Tymczasem w gospodzie oberżysta rozpaczliwie usiłował zaczerpnąć tchu. Coraz bardziej zaciskał mu się wokół gardła kolorowy szalik dorożkarza, który po raz drugi zadawał mu pytanie:

- No to gdzie mamy szukać tego faceta, koleś?

- Chyba mu trudno mówić - podpowiedziała Judith, widząc, jak oberżysta trzepocze się rozpaczliwie. - Może by trochę poluzować?

Dorożkarz co nieco pofolgował i pan Winkler wskazał gestem na dwór i wykrztusił chrapliwie, lecz zrozumiałe: „W stajni!” Z wyrazu jego twarzy wynikało niezbitcie, że nie zamierza dłużej strzec niczyjej prywatności ani cudzych sekretów.

- Zostań tu i miej go na oku! - poleciła dorożkarzowi Judith, wyjmując pistolet z kieszeni. - Jeśli będziesz mi potrzebny, zawołam.

- Jasne! - odparł. - A umie paniusia z tego strzelać?

- Jako tako - odpowiedziała Judith. - Podkasawszy spódnice, pobiegła w stronę stajni, nie mając pojęcia, co ją tam czeka. Znalazłszy się w mrocznym, zalatującym nawozem wnętrzu, przystanąła, rozglądając się dokoła. I wówczas usłyszała krzyk Harriet i trzask szpicruty.

Puściła się pędem po schodach, potknęła się, podniosła i dotarłszy do drzwi na górze, otworzyła je na oścież. Jej oczy, wyćwiczone w błyskawicznej obserwacji, ogarnęły natychmiast całą scenę: Agnes Barret z pistoletem wycelowanym w Marcusa; dwóch mężczyzn wrywających sobie nawzajem szpicrutę; sparaliżowana strachem Harriet z otwartymi ustami, niezdolna już do wydania żadnego dźwięku.

Judith strzeliła bez zastanowienia i skałkowy pistolet wypadł z ręki Agnes, która wpatrywała się w osłupieniu w tryskającą krwią ranę.

- Wielki Boże! - sapnął Marcus, wydierając szpicrutę z osłabłej nagle ręki Gracemere'a.

Judith jednym skokiem znalazła się przy Agnes i podniosła upuszczony przez nią pistolet. Wycelowawszy go bezzwłocznie w hrabiego i po raz pierwszy spojrzała prosto na męża.

- Piękny strzał! - zauważył. - Ale nie dziwi mnie to specjalnie.
Najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi. Spojrzenie Judith pobiegło w stronę ławy, na której tkwiła całkowicie otumaniona Harriet.
- Co z nią... ?
- Wystraszyła się, ale nie poniosła większej szkody - poinformował żonę Marcus. - Bardziej mnie interesuje, co ty, u diabła, tu robisz?!
- Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podszedł do Agnes, która nadal wpatrywała się z niedowierzaniem w broczącą krwią rękę.
- Całe szczęście, że tu jestem - odparła cierpko Judith. - Naprawdę oczekiwałeś, że zostawię całą sprawę tobie?!
- Dałem chyba jasno do zrozumienia, że tego właśnie oczekuję.
Ujął rękę Agnes i owiązał ranę chusteczką.
- Przecież ja cię kocham! - wykrzyknęła Judith zirytowana do ostateczności. - Miałabym stać z boku, kiedy mogło cię spotkać coś złego?!
- Marcus oderwał wzrok od opatrunku i uśmiech rozjaśnił mu całą twarz.
- Rzeczywiście, to nie w twoim stylu - odparł. - Kiedy pokochasz, to mocno i na długo. Prawda, rysiczko?
- A ty? - Były w tym pytaniu obawa i nadzieja.
- Nigdy przedtem nie kochałem - odpowiedział z uśmiechem. - Ale coś mi się zdaje, że to niezwykle silne uczucie.
- Rozpacz, niepokój i napięcie opuściły ją. Pozostały ogromna ulga i ożywcze ciepło. Wszystko będzie dobrze! Nie straciła Marcusa ani jego miłości.
- A wybaczenie? Czy twoja miłość potrafi wybaczać? - spytała.
- Wszystko na to wskazuje - powiedział, zawiązując węzełek na chusteczce. - Zadowolona pani z opatrunku, lady Barret?
- Zadowolona? To słowo niezbyt pasuje do mojej sytuacji - stwierdziła Agnes. Spojrzała na Judith z dziwnym uśmiechem. - Słowo daję, Charlotte! Nie myślałam, że te dwie beksy, ty i Peter, wyrosną na ludzi z charakterem! Jak też George zdołał was tak wychować?
- Gracemere rzucił się na ławę obok zatrwożonej Harriet i wybuchnął niepokojącym śmiechem, w którym nie było ani krzty wesołości.
- Judith spojrzała w osłupieniu na Agnes.
- Co to ma znaczyć? - Ale znała już odpowiedź. Od samego początku wyczuwała to instynktownie.
- Nie domyślasz się, moje dziecko? - spytała drwiąco Agnes. - Nie, nie! Widzę, że już wiesz. Zdumiewające, ale jestem z ciebie dumna. Nigdy nie sądziłam, że z dzieci George'a wyrosnie coś takiego!

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała Judith głuchym głosem.
- Alice Devereux zmarła w jakimś tam klasztorze - odparła Agnes. - Ale potem wstała z grobu, jak widzisz.

Szyderczym gestem przesunęła zdrową ręką po swym ciele.

- Marcusie... ? - Judith wymówiła z wahaniem imię męża. Jej oczy pobiegły do niego, ręka wyciągnęła się z nieśmiałą prośbą.

- Jestem przy tobie - powiedział cicho, ujmując jej dłoń i ściskając mocno, podczas gdy jej matka mówiła dalej:

- Twój ojciec był taki ślepy! Nigdy się nie domyślił, że byliśmy z Gracemere'em kochankami, niemal od dzieciństwa. Ponieważ oboje nie mieliśmy ani grosza, wysłałam za męża dla pieniędzy. Ale nie ułożyło się tak, jak przewidywaliśmy, i w końcu trzeba się było pozbyć George'a.

Mówiła cicho, jakby do siebie.

- Zawsze wchodził nam w drogę, nie zostawiał mnie w spokoju. I w dodatku te dzieci: najpierw Peter, a zaraz potem ty! Musiałam się od niego uwolnić!

Judith poczuła falę mdłości, ale nie mogła się poruszyć ani przerwać matce. A ta mówiła, jakby była pewna zrozumienia z jej strony.

- Nie wystarczyło go zwyczajnie opuścić, bo znów zostalibyśmy bez pieniędzy. Wobec tego Gracemere ograł go do czysta. Nie mieliśmy innego wyjścia.

- A Sebastian i ja tylko ci przeszkadzaliśmy - usłyszała Judith własny głos. - Trudno rozpocząć nowe życie z dwojgiem dzieciaków.

Agnes pokręciła niecierpliwie głową.

- Nigdy nie chciałam dzieci. To George się uparł! Postanowił wziąć was ze sobą... i tym lepiej.

- Oczywiście - przytaknęła Judith, jakby chodziło o kogo innego. - Doskonale to rozumiem.

- Wygląda na to, że ta historia zatoczyła pełne koło, madame - odezwał się Marcus, nadal trzymając Judith za rękę. - Pani dzieci zniszczyły panią i pani kochanka równie definitywnie, jak wy zniszczyliście ich ojca. Jest coś urzekającego w tej symetrii, nieprawdaż?

Był teraz przeświadczony, że sprawiedliwości stało się zadość. Słuchając tej występnej kobiety, która dla zaspokojenia namiętności skazała własne dzieci na wieczną tułaczkę, mógł jedynie przyklasnąć temu, czego dokonali Judith i jej brat. Zemsta była starym jak świat, nieubłaganym nakazem moralnym.

- Ty, matko, nie musisz sobie rujnować życia. Możesz pozostać ze swym obecnym mężem w Londynie - wtrąciła Judith z bezlitosnym uśmiechem.
- Jestem pewna, że Sebastian, to znaczy Peter, chętnie pozna cię bliżej. Ja także.

Agnes spojrzała na córkę z błyskiem uznania.

- To mogłoby nawet być zabawne! Ale nie zobaczysz mnie więcej, moja droga. Pożegnaj ode mnie swego brata. - Odwróciła się i przeszła do przyległego pokoju. Gracemere podniósł się z ławy, złożył Judith sztycherzy ukłon i podążył za swą kochanką.

- Nic nie rozumiem - odezwała się płaczącym głosem Harriet.

- I nie musisz niczego rozumieć - odparła pospiesznie Judith. - Coś ty przeżyła, kochanie! Ale na dole stoi dorożka. Woźnica jest niezwykle godny zaufania, zaraz cię odwiezie prościutko na Brook Street! Zresztą, ja pojedę z tobą.

- O, co to, to nie! - przerwał jej Marcus. - Nie zamierzam tracić cię już ani na chwilę z oczu. No, chodź, Harriet. - Wziął na ręce oszołomioną, spłakaną dziewczynę. - Wsadzę cię do dorożki i powiem woźnicy, by zawiózł cię do Sebastiana. Myślę, że przy nim prędzej odzyskasz siły niż w towarzystwie matki. Sebastian już będzie wiedział, jak przedstawić całą sprawę twoim rodzicom, żeby nigdy nie dowiedzieli się prawdy. Davenportowie to potrafiał! - Rzucił żonie pochmurne spojrzenie, w którym krył się jednak cień rozbawienia. - Zostań tu, Judith, póki nie wrócę.

- Zostanę - obiecała.

Stała, wpatrując się w zamknięte drzwi sąsiedniego pokoju. Jak wiele ma w sobie z matki? Czy zdołała skazić ją swym złem? Nie, z pewnością nie! Ukształtowało ją trudne życie, a nie więzy krwi z Agnes Barret. Porzucając dzieci, matka wyrządziła im największą przysługę. Gdyby została z nimi, pewnie spaczyłaby im charakter.

Judith poczuła w sobie dziwny spokój. Wszystkie kawałki łamigłówek trafiły na właściwe miejsce. Poznała swoją matkę. Pomściła ojca. A teraz była wolna - mogła być po prostu sobą.

- Jak też Sebastian wytrzyma z kobietą, która załamuje się w kulminacyjnym punkcie wielkiej przygody? On, który całe swe życie spędził w twoim towarzystwie?! Zupełnie sobie tego nie wyobrażam! - zauważył Marcus po powrocie.

- Uzna to pewnie za przyjemną odmianę - odparła Judith. - Skąd wiedziałeś, że znajdziesz tu Gracemere'a?

- Opowiem ci o tym później. Znacznie później.

Podszedł do niej i wziął ją za ręce. Czarne oczy spoglądały na nią z napięciem.

- Jak się czujesz po tym wszystkim?

- W pierwszej chwili byłam zszokowana, ale teraz nie ma to już większego znaczenia. A ona jest dla mnie nikim. - Wzruszyła ramionami. - To dziwne, ale nie czuję żadnych więzi pomiędzy nami. Prawdę mówiąc, odkał wiem, kim jest, ulżyło mi. Od początku budziła we mnie niepokój. Teraz już wiem dlaczego.

Marcus skinął głową.

-Naprawdę nie macie ze sobą nic wspólnego. Możemy zapomnieć o tym i zacząć wszystko od nowa.

Judith przygryzła wargę.

-Tylko, wiesz... jest jeszcze coś...

- O nie! -jęknął Marcus, puszczać jej ręce. - Żadnych rewelacji więcej, Judith! Błagam cię!

- Nie chciałam ci o tym mówić.

- Judith, nie rób mi tego!

- Kiedy muszę! -jęknęła. - Gdybyś nie dowiedział się o Gracemerze i o całej reszcie, siedziałabym cicho. Ale jak już wiesz, powinieś i tego się dowiedzieć. Sam byś się zresztą połapał, gdybyś się dobrze zastanowił.

Marcus przymknął na chwilę oczy i powiedział z ciężkim westchnieniem:

- No to mów! Co jeszcze chowasz dla mnie w zanadru?

- No bo, widzisz, my wcale nie jesteśmy małżeństwem - wypaliła.

-Co takiego?!

-Judith Davenport nie istnieje podobnie jak Sebastian... w sensie prawnym. Uprzytomniłam to sobie dopiero po ślubie, spoglądając na wpis w rejestrze. Naprawdę nazywamy się Devereux. Nawet nie pamiętam, kiedy ktoś do mnie mówił Charlotte, ale... - Spostrzegła błysk zrozumienia w oczach męża i zamilkła.

Marcus chwycił ją za rękę i pociągnął do drzwi. Potykała się, ale włókł ją, nie zwalniając kroku, po rachitycznych schodach. Gdy z mrocznego wnętrza wynurzyli się na zalany słońcem dziedziniec, Judith zamrugała oczyma, osłepiona blaskiem.

- Marcusie, co ty wyprawiasz? Dokąd mnie ciagniesz? - dopytywała się bez tchu.

- Powiem ci dokąd - odparł dobitnie. - Do biskupa po specjalną licencję, a potem weźmiemy wreszcie legalny, niepodważalny ślub! A wówczas zamierzam wyegzekwować wszystkie swoje małżeńskie prawa, włącznie z prawem do bicia własnej żony! Nie wiem tylko, w jakiej kolejności będę się domagać tych praw. - Chwycił ją w tali i bez ceregieli wrzucił do kariolki.

- Mogę wyrazić swoje zdanie? - spytała, wdrapując się na siedzenie.

- Nie, nie możesz! - Usiadł obok niej. - Jeśli masz choć odrobinę rozsądku, w co zresztą wątpię, będziesz siedzieć cicho!

Judith usiadła wygodniej i wygładziła spódnice. Zaparło jej dech, gdy konie pomknęły galopem. W dzikim pędzie przemierzali wrzosowisko, a na rozstaju koło szubienicy skręcili na pusty trakt pocztowy. Judith przyjrzała się uważnie swemu towarzyszowi i dostrzegła szelmowski błysk w jego oku.

- Śmiejesz się! - stwierdziła.

- Z czego miałbym się śmiać? - obruszył się, nie odwracając oczu od drogi. - Przez ostatnich siedem miesięcy żyłem w grzechu z kobietą, która skłoniła mnie do odbycia jakiejś parodii ślubu, i gdyby nie szczególne okoliczności, pozostawiłaby mnie w niewiedzy do końca życia!

- Czasem niewiedza jest błogosławieństwem - odparowała Judith niezadowolona jego groźnym tonem. - Wiem, że się śmiejesz! - powtórzyła. - Sam kiedyś powiedziałeś, że to bardzo niezdrowo powstrzymywać się od śmiechu... można dostać apopleksji.

Marcus zjechał z drogi w kępę drzew. Zatrzymał kariolkę i odwrócił się do Judith. Figlarny blask jej oczu przybrał na sile, gdy ujrzała jego rozbawienie.

- Wiedziałaś, że się śmiejesz! - stwierdziła z satysfakcją.

Wziął ją pod brodę.

- Odkąd cię poznałem, straciłem rozum. Jakże inaczej pozwoliłbym takiej nieznośnej, pozbawionej skrupułów dzikiej kotce, żeby wodziła mnie za nos?

- Człowiek nie wybiera, w kim się zakocha. Wiem to z własnego doświadczenia! Jakżebym inaczej zakochała się na zabój w takim tyranie, nieznośnym despotie, który chce mną dyrygować?

-Ale kochasz go mimo wszystko?

- O tak! - odparła, chwytając go za rękę. - Tak samo jak on kocha tę chytrą awanturnicę!

- Do szaleństwa - powiedział cicho. - Kocham cię do szaleństwa, wstrętna rysiczko!

Przywarł ustami do jej ust i wtargnął językiem do ich słodkiego wnętrza. A ona rozkoszowała się nim, jego smakiem i zapachem i nadzieją niczym niezakłóconej przyszłości, kiedy lojalność będzie taka prosta, a zaufanie absolutne.